

ANNA KLEIBER



SABAT  
czterdziestek

ANNA KLEIBER

**SABAT**  
czterdziestek

Warszawa 2016

bis

Projekt okładki: *Ilona Gostyńska-Rymkiewicz*

Copyright © Anna Kleiber

Copyright © Wydawnictwo BIS 2016

ISBN 978-83-7551-484-1

Wydawnictwo BIS

ul. Łędzka 44a

01-446 Warszawa

tel. 22 877-27-05, 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: [bisbis@wydawnictwobis.com.pl](mailto:bisbis@wydawnictwobis.com.pl)

[www.wydawnictwobis.com.pl](http://www.wydawnictwobis.com.pl)

Skład wersji elektronicznej: *Tomasz Szymański*

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

Stałam na molo w Zatoce Puckiej i w palcach obracałam obrączkę. Morze było spokojne, w oddali płynął statek, a wokół wydzierały się mewy. Po raz ostatni obejrzałam złoty krążek, pocałowałam go na pożegnanie, a potem mocno się zamachnęłam. Poszybował wysoko, błysnął w słońcu i z głośnym plumknięciem zanurzył się w wodę.

– Ewa! Ewka! – doszło do mnie z brzegu. To była mama. Przez chwilę stała jeszcze i patrzyła w moją stronę, osłaniając oczy przed zachodzącym słońcem. Wiedziałam jednak, że długo tak nie postoi, bo właśnie dotarło do niej, co zrobiłam. I oto, ze zgrozą marszcząc czoło, dreptała po zmurszałych deskach, ciągnąc za sobą plecak.

– Widziałam! Wszystko! – sapnęła z zadyszka. – Czyś ty oszalała?! Tak ci się przelewa? Sprzedać trzeba było! Zezłomować! Wziąć trochę grosza, a nie honorowo na pastwę żywiołu rzucać! Zaraz kogoś zawołam, żeby zanurkował i ją odłowił! – Odwróciła się w kierunku brzegu i podniosła rękę, aby przywołać pijących tam wino wyrostków.

– Ani się waż! – Mocno złapałam ją za pulchną dłoń. Mama zamilkła, jej oczy zrobiły się dwa razy większe, a usta zmieniły się w wąską kreseczkę. Siedzące na piasku maolaty przerwały popijanie i całą uwagę, którą przed chwilą skupiały na butelkach z winem i głupim rechocie, skierowały ku nam. Zrobiło mi się głupio. Na mać moją osobistą nigdy nie fukałam, ale Bóg mi świadkiem, że musiałam zadziałać szokowo, bo tylko w ten sposób mogłam przełamać przedsięwzięte przez nią postanowienie.

– Mamuś! – Objęłam ją, odebrałam plecak i pociągnęłam go w kierunku zejścia na plażę. – Nie chcę tej obrączki.

– Obrączki możesz nie chcieć, wcale ci się nie dziwię, ale złota żal... – Truchtała za mną, raz po raz łapiąc głębszy oddech. Odchudzania nigdy pod uwagę nie brała, tak samo jak ostrzeżeń najbliższych, że z taką tuszą tylko cudem jeszcze nie dostała cukrzycy, nie wspominając o zawale lub innych nieciekawych, związanych z otyłością przypadłościach. Jeść lubiła, a że na co dzień doglądała kuchni, zasłaniała się wymówką, że własną gębą wszystkiego musi spróbować, czy aby na pewno gościom pod pysk można podać. Oczywiście w ten sposób mówiła tylko do nas – najbliższej rodziny. Utyskującym na jej wagę lekarzom przedstawiała wersję, w której „gębę” i „pyski” zastępowała „ustami”.

– Ponadto – mówiła, nie wiem, czy lekarzom również, ale nam niejednokrotnie – dzięki obecnej figurze mogę nosić stroje w stylu Magdy Gessler.

Przy czym umknął jej uwagi fakt, że Magda Gessler w porównaniu z nią wyglądała jak potraktowany herbicydem szczypiorek. A teraz mamusia dreptała za mną w rytmie: mój krok jeden, mamine dwa, powiewając połami narzutki w optymistycznym pomarańczowym kolorze. O kroju *à la* Gessler oczywiście.

– Mamuś! – Przystanąłam na chwilę, aby mogła mnie dogonić. – Jeśli chodzi

o tę obrączkę, to mi nie żal – powiedziałam dobitnie. – Z przeszłością nie chcę mieć nic wspólnego. Od jutra zaczynam nowe życie, a to był taki symboliczny gest na dobry początek.

– Symboliczny może i tak, ale dlaczego taki kosztowny? – mruknęła. – Ale jak tam sobie chcesz. I załóż wreszcie plecak. Nie masz chyba zamiaru ciągnąć go do samego dworca?

Zrobiłam, jak kazała, i szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę Kolejowej. Pociąg odjeżdżał za trzydzieści minut. To niewiele czasu, tym bardziej że było lato, a więc sezon, kiedy ludzie nader chętnie się przemieszczają. Przemknęła mi przez głowę myśl, że jednak trzeba było się zgodzić, aby ktoś mnie podwiózł, lub przynajmniej wziąć taksówkę, ale byłam uparta niczym sentymentalna gówniara i chciałam pożegnać się z morzem, z każdą mijaną ulicą, domem, a i z klombem również.

– Dobrze, że masz już bilet – sapnęła mama, otarła pot z czoła, bojowo wystawiła łokcie i rzuciła się w tłum, aby dopchać się do peronu. Kilka minut wcześniej przyjechały dwa pociągi, z których wysypało się mrowie spragnionych nadbałtyckiego klimatu ludzi. – Usiądź tak, abyś nie była sama – dodała.

– Usiądź? – Rozejrzałam się wokół. – Chyba raczej stań.

– Usiądź, stań... A rób, co chcesz! – Przesadnie siąknęła nosem i z dezaprobatą pokiwała głową. – Ty dobrze wiesz, co o tym sądzę... – Pogroziła placem, co mnie rozśmieszyło. Lata, w których bałam się tego złowróżbnego wymachiwania palcem, minęły dawno i bezpowrotnie.

– Tato się spóźnia... – Rozejrzałam się po tłumach, nie podejmując dyskusji o *gap year* – wycieczce w daleki świat, mającej dostarczyć nie tylko nowych wrażeń, ale również pełnić funkcję terapii geograficznej. Wybierałam się tak daleko, jak tylko się dało, aby nabrać zdrowego dystansu do przeszłości oraz sił do przeżycia kolejnych czekających mnie lat.

– Jesteś pewna, że żywa wrócisz? A jak cię jakiś Arab złapie i do haremu wsadzi?

– Żaden Arab mi niestraszny, za stara jestem. O, widzę tatę! – Aby wiedział, gdzie ma iść, podskoczyłam, machając przy tym intensywnie ręką. Coś mnie zaniepokoiło.

– Mamo... – mruknęłam z niedowierzaniem i podskoczyłam jeszcze raz, aby potwierdzić fakt ujrzany za pierwszym podskokiem. Niestety, nie pomyliłam się: za ojcem, przejęci moją egzotycznie brzmiącą wyprawą, podążali wujowie i ciotki – bracia oraz siostry moich rodziców.

Informując rodziców o tym, że robię sobie w życiu przerwę na wyjazd w najdalsze zakątki świata, kategorycznie zaznaczyłam, iż gremialne rodzinne pożegnanie nie wchodzi w rachubę. Wziąwszy pod uwagę bliskie stosunki łączące moich krewnych, wiedziałam, czego mogę się po nich spodziewać – wielkiego



greckiego pożegnania (skoro istnieje wielkie greckie wesele, to i także pożegnanie można sobie wyobrazić). Jak postanowiłam, tak też i zrobiłam: ugościłam kawą i ciastem trzech moich braci, ich żony oraz gromadkę siostrzeńców, zaznaczając, że na pociąg odprowadzić mogą mnie jedynie rodzice. Ciotki i wujów obdzwoniłam i wyraźnie powiedziałam, że tak ma zostać: rodzice, ja i plecak. A co teraz widziałam? Podnieconą gromadkę cioteczek i wujków, pragnących obdarzyć mnie swym ostatnim, ku tak zwanej przestrodze, słowem, przy czym ten i ów chętnie do owego słowa dołączyłby całkiem porządną przemowę.

Bo jak to możliwe, że Ewka, oczko w głowie rodziny, w której od lat rodzili się tylko chłopcy, wypuszczała się w tak daleką podróż? To nic, że Ewka (przypominam, nadal o mnie mowa) była czterdziestoletnią rozwódką, która poznała smak życia szczerze doprawionego dziegciem, miała więc pełne prawo do zmiany menu i zakosztowania innych smaków, aby nie tylko umilić sobie życie, ale i mieć co wspominać na starość, gdy zasiądzie w fotelu bujanym, a nogi okryje ciepłym kocikiem. Chciałam wyjechać, oderwać się od Pucka i wspomnień związanych z tym miejscem, a potem obejrzeć się za siebie i ocenić, ile z tego, co przeżyłam, warte jest przechowywania w pamięci.

– Uparci są jak i ty – powiedziała mama, patrząc w stronę przepychających się krewniaków. – Ty się zaparłaś, że chcesz jechać na kraj świata, a oni, że chcą cię gremialnie pożegnać. Jedna krew w was płynie.

– Córcia! – Tata uściśnął mnie mocno, poklepał po plecach, znów uściśnął i znów poklepał.

Ojciec był mężczyzną wysokim, potężnie zbudowanym i nikt, patrząc na niego, nie posądziłby go o to, że łatwo ulega wzruszeniom. W tej chwili jednak najwyraźniej uległ i z tego powodu właśnie tak mnie ścisnął i trzepał w plecy, raz po raz nerwowo przełykając ślinę. Nie, zdecydowanie musiałam mu pomóc i położyć kres jego tikom, odsunęłam się więc:

– Spóźniłeś się, tato.

– Wiem, wiem... Przepraszam, ale rodzinka mnie zatrzymała. Myśleli, że będziesz jeszcze w domu, ale już wyszłyście, więc...

– Więc przyjechaliśmy na dworzec – dokończyła ciotka Elka, siostra taty. Wyrosła równie wielka jak jej brat i jakkolwiek o tacie można było powiedzieć, że jest przystojny, na temat urody Elki nigdy, nawet w jej młodszych latach, nic dobrego rzec się nie dało. Ciotka jednak z drastycznego braku urody dramatu nie robiła, bo jako osoba charakterna (oraz posiadająca zdrową krzepę) siłą zdobywała to, co sobie upatrzyła. Niektórzy członkowie rodziny uważali, że z charakteru jestem do niej podobna, ja jednak z oburzeniem wzdragałam się przed takim porównywaniem. W każdym razie przebojowa ciotka Elka szturmem wzięła sobie za męża najprzystojniejszego mężczyznę z całego Pucka. Nieszczęśliwy wujek Zbyszek już po kilku tygodniach spędzonych z ciotką stwierdził, że uroda jest jego

przekleństwem:

– Gdybym miał inną gębę, ta cholera, Elka, nigdy by na mnie parolu nie zagięła.

– Ewciu – powiedziała ciotka Elka – pamiętaj, uważaj na siebie. Naprawdę nie wiem, co ci do głowy strześliło. Rozwód to nie koniec świata, wielu ludzi się rozwodzi i nie robią z tego aż takiego halo jak ty. Nie chcą nigdzie się chować czy wyjeżdżać, tak jak ty to sobie wymyśliłaś... – Trajkocząc, pociągała przydługim nosem i mrużyła oczy krótkowidza. Nigdy nie zaakceptowała ani okularów, ani soczewek, więc przez lata mrużenia oczu wypracowała sobie dorodne kurze łapki.

– Koniec świata! Dobrze, Elka, że podjęłaś ten wątek – weszła jej w słowo ciotka Irka, siostra mamy. Irka, w przeciwieństwie do Elki, która była jak skóra zdarta z brata, w ogóle nie wykazywała podobieństwa do siostry. Drobną, zgrabną, preferowała raczej sportowe stroje, a jeśli już koniecznie musiała włożyć coś eleganckiego, zawsze była to skromna, acz po mistrzowsku uszyta sukienka. A na pogrzebach zawsze pojawiała się w koronkowej małej czarnej. Zaraz, zaraz... przecież tylko na pogrzeby ją wkłada! Z niedowierzaniem przyjrzałam się ciotczynej sukience. Dlaczego więc teraz miała ją na sobie?!

– Naprawdę nie wiem, po co, Ewuniu, wybierasz się aż tak daleko? Matka i ojciec ze zgryzoty umrą! Po co ci to? Chiny! – Przewróciła oczami. – Indie! – Białka oczu znów jej bryknęły. – Afryka! – Już szykowały się do kolejnego bryknięcia, ale weszłam ciotce w słowo:

– Ciociu, trasy jeszcze nie ustaliłyśmy. Na pewno będzie egzotycznie, ale też bezpiecznie. Nie mamy z Kamilą po dwadzieścia lat!

Irka już otwierała usta, ale wepchnął się przed nią mój chrzestny – brat mamy, wuj Gwidon. Z dwojga rodziców chrzestnych został mi tylko on. Chrzestna (druga siostra taty, Jolanta) nie żyła od dwudziestu pięciu lat, a przyczyną zejścia z tego świata był muchomor sromotnikowy, którego ciotka, jako wybitna smakoszka wytworów runa leśnego, nieopatrznie spożyła. Na szczęście dla reszty rodziny wyjątkowo tego dnia nie podzieliła się z nikim przyrządzonym przez siebie sosem grzybowym. Zjadła wszystko sama, a smakowało jej do tego stopnia, że wyczyściła garnek, wycierając resztki chlebem. Świeć Panie nad jej duszą! Od tego tragicznego zdarzenia wuj Gwidon poczuł się za mnie podwójnie odpowiedzialny – w końcu, bez matki chrzestnej, byłam poniekąd osierocona.

– Bezpiecznie! – prychnął. – O bezpieczeństwie nic mi nie mów. Doprawdy nie pojmuję, po co, jeśli chcesz popełnić samobójstwo, wybierasz się aż tak daleko? Czy ty masz pojęcie, ile kosztuje transport zwłok?

Jego policzki poróżowiwały, a lewe ucho zaczęło lekko drżeć. Gdy byłam dzieckiem, lewe ucho Gwidona było moją ulubioną częścią wujka, bo ruszając nim, zawsze rozśmieszał mnie do łez. Teraz ucho drżało nerwowo. Pokusiłabym się nawet o stwierdzenie, co wcale nie byłoby nadużyciem, że bardzo nerwowo. Poza

tym Gwidon przytupywał sobie prawą nogą, co też dobrze nie wróżyło, bo przytupywał tylko i wyłącznie, gdy był wściekły. Ostatnio zatupał tak na własnym (trzecim z kolei) weselu, kiedy to jeden z gości porwał do tańca jego żonę. Orkiestra myślała, że wujowi tak się spodobał kawałek, który grają, więc zamiast zrobić zaplanowaną przerwę, znów zagrała to samo, a skoro zagrała, to i nieszczęśnik płasający z wybranką Gwidona nie przerwał zabawy i nadal beztrosko z nią sobie hasał. Myślę, że owa beztroska wynikała po części również z faktu, że Gwidon z twarzy zawsze prezentował się dość gamoniowato i dodatkowo był niski, lecz na nieszczęście dla tancerza silny i nabity, co skrzętnie ukrywał nieco za duży garnitur. Wuj zatupał jeszcze raz i tak się z roztańczonym uzurpatorem rozprawił, że wesele trzeba było zakończyć dużo wcześniej, niż planowano. Patrzyłam teraz na stopę Gwidona i zastanawiałam się, do czego będzie zdolny tym razem? Przytrzyma mnie i nie pozwoli wsiąść do pociągu? Wyrwie plecak i ucieknie w nieznanym kierunku, pozbawiając mnie w ten sposób dokumentów oraz gotówki? Oderwałam oczy od Gwidonowego idealnie wypolerowanego skózanego buta i wzruszyłam ramionami. Podejmowanie jakiegokolwiek dyskusji nie miało sensu. Postanowiłam z żadnym krewnym nie rozmawiać, a już na pewno nie z Gwidonem. Gwidon jako jedyny z wujów pozwolił mi mówić do siebie na ty, bo wydawało mu się, że w ten sposób wywrze na mnie większy wpływ. Życie osobiste ułożył sobie tak samo koncertowo jak ja, ale ja nie uzurpowałam sobie prawa do przejęcia kontroli nad wychowaniem chrześniaków. Jak się dzieci nie ma, to się nie ma, i trzeba to sobie dobitnie uświadomić, a nie usilnie partycypować w wychowywaniu jedynej chrześnicy, jak to czynił Gwidon. Co na to moi rodzice? Do domu wstępu mu nie bronili, nie był przecież pedofilem z krzywą gębą. Był nawet całkiem mile widzianym gościem, bowiem z upodobaniem przepytywał mnie z zadanych lekcji (co rodzicom bardzo się podobało) i pouczał, jak mam żyć. Po latach, gdy zaliczyłam rozwód (przypominam, on sam miał za sobą trzy, a żadne z jego małżeństw nie trwało dłużej niż rok), nie krył rozczarowania.

– Jakbym w pysk dostał! Nigdy bym cię nie posądził o to, że zamiast wcielać w życie moje dobre rady, pozazdrościsz mi rozwodów!

I czasami mnie nachodził, aby uraczyć komentarzami niepozostawiającymi wątpliwości, co o mnie sądzi. Przy kolejnym sążnistym, ociekającym goryczą monologu odczekałam, aż zamilknie, i odważyłam się po raz pierwszy w życiu powiedzieć mu w oczy, co ja o nim myślę. Co sądzę o jego radach i traktowaniu mnie jak niepełnosprawnej umysłowo, którą trzeba nieustannie prowadzić za rączkę i decydować o kolorze jej bluzki oraz głębokości dekoltu. Wuj Gwidon zamilkł z wielce oburzoną miną. Jego wprowadzająca w błąd, bo sugerująca brak inteligencji twarz nie wyglądała w tym momencie zbyt przyjemnie, a wrażenie to dodatkowo wzmacniał trzydniowy zarost, który również był przejawem troski –



biedny Gwidon tak się o mnie martwił, że aż zapomniał się ogolić. Podeszłam do drzwi, otworzyłam je na całą szerokość i powiedziałam:

– A teraz won z mojego życia!

Zastanowił się chwilę, wyciągnął w moim kierunku palec, tak jakby miał zamiar rzucić ciętą ripostę, albo klątwę nawet, w milczeniu potrzymał go przez jakiś czas w powietrzu, po czym dłoń złożył w pięść i wcisnął ją do kieszeni. Intensywnie nad czymś myślał.

– Nie sądzisz, że temat moich uczuć można uznać za wyczerpany? – rzuciłam zaczepnie.

Gdyby mnie ktoś tak obcesowo wyprosił, natychmiast bym wyszła, ale on, Gwidon, nie miał zamiaru. Bo myślał. A czy, do cholery, nie mógł myśleć w drodze do domu? Tak mu dobrze było patrzeć na moją wściekłą minę, która zwiastowała, że nie odpuszczę i za chwilę znów go wyproszę?

– Więc? – zapytałam.

– Dobrze! – powiedział i ze świstem wypuścił przez nos powietrze. Przez moment przypominał wściekłego byka gotującego się do natarcia.

– Powiem ci krótko, wydziedziczam cię! – Złośliwy uśmiech dodatkowo oszpecił jego twarz. Zaskoczył mnie. Gwidon niejednokrotnie mówił, że kiedyś zapisze mi swój dom, a sam wyprowadzi się do jakiegoś niewielkiego mieszkanca, więc w majestacie jego słów wymarzyłam sobie, że urządzę tam pensjonat moich marzeń. A warunki po temu były wspaniałe! Wyraz „dom” nie oddawał w pełni walorów, które posiadało Gwidonowe lokum. Była to usytuowana tuż przy plaży wspaniała willa w Kołobrzegu. Wielki budynek ze spadzistym dachem, z czterema tarasami i wieloma pustymi pokojami, które od lat aż się prosiły, aby wzbogacić je w łazienki i „puścić do ludzi”. Do tego wszystkiego dochodził duży kawał ziemi, na którym ewentualni goście mogliby mieć parking, a i jeszcze znalazłoby się miejsce na plac zabaw i grilla. Jednak Gwidon, zapalony marynarz, ani myślał wpuszczać obcych do swej ukochanej willi. Chciał mieć święty spokój, a ponadto mawiał:

– Brzydzę się obcymi.

– Przecież gdy jesteś na morzu, dom stoi pusty, a mógłby wtedy dla ciebie zarabiać. I to całkiem ładne pieniądze. – Kiedyś starałam się go do tego namówić.

– Pieniądzy mam dość, a poza tym, przypominam, wkrótce przechodzę na emeryturę i tym bardziej do domu nikogo nie wpuszczę. Jeszcze trochę tam pomieszkam, a w swoim czasie gdzieś się wyprowadzę. Nie pytaj mnie gdzie, bo jeszcze nie wiem, w każdym razie ty później z willą zrobisz, co będziesz chciała. I nie bój się, zdążysz się jeszcze nią nacieszyć.

Skoro tak się zaparł, nie było sensu więcej na niego naciskać. Tylko cierpliwie czekać i marzyć o wspaniałym pensjonacie, bo takie skrzywienie zawodowe wyssałam z mlekiem matki.

A teraz mój chrzestny stał i chytrym wzrokiem obserwował, jaką reakcję wywołały jego słowa. Na końcu języka miałam przedszkolną odzywkę, że kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera, lecz fraza ta, mimo że prymitywna, była dość rozbudowana, przy jej wypowiedzianiu mógł mi się więc nieopatrznie głos załamać, a satysfakcji Gwidonowi dać nie mogłam.

– Jak sobie chcesz – powiedziałam, z trudem modulując głos na brzmiący obojętnie i beztrzesko.

– Idę więc.

– Idź, idź – powiedziałam, aby przyspieszyć podjęcie decyzji i żeby nie poznał, jak wielką sprawił mi przykrość.

W końcu poszedł. Od tamtej pory, a minęło naprawdę sporo czasu, go nie widziałam. Spotkaliśmy się dopiero teraz, na peronie, i zaznaczam, wcale nie zamierzałam z nim gadać.

– Tak samo myślę i ja. – Po uprzednim głośnym odchrząknięciu głos zabrał wuj Edek. Był bratem taty, lecz z wyglądu nie przypominał ani jego, ani ciotki Elki, ani nawet świętej pamięci ciotki Jolanty. Jak na mężczyznę był stosunkowo niski i miał lekkiego zęza, który ożywiał jego nijaką urodę. – A poza tym taki *gap year* – ciągnął, jako jedyny z wujostwa odważnie używając anglojęzycznej nazwy mojego wyjazdu – nadaje się dla ludzi młodych, stojących u progu dorosłości. Rozumiem, wyskoczyć w świat po maturze, tuż przed studiami, ale w twoim wieku? Ewuniu, ty chyba do reszty rozum postradałaś.

Nie mogłam się opanować. Zgrzytnęłam zębami i powiedziałam:

– W tak strasznym wieku jak mój też można stać u jakiegoś progu.

– Owszem, u progu starości. – Wujek Edek dolnymi zębami skubnął nijakiego wąsa, potem naciągnął szelki przytrzymujące spodnie i strzelił nimi efektownie, acz chyba zbyt mocno, bo syknął cicho.

– Bolało? – zapytałam z jadowitą uprzejmością.

– Tak, to znaczy nie, ale pozwól, że rozwinę rozpoczętą myśl, więc...

Nie pozwoliłam mu na rozwinięcie owej złotej myśli, bo podniosłam plecak i założyłam go na plecy.

– Mimo wszystko miło was było spotkać – powiedziałam. – Zobaczymy się za kilka miesięcy. – Uśmiechnęłam się radośnie, po raz ostatni uściskałam rodziców i zaczęłam przeciskać się do wagonu. Z trudem dopchałam się do okna i pomachałam wszystkim na pożegnanie. W powietrzu rozległ się przeciągły świst i pociąg powoli ruszył z miejsca. Mama z rozpaczą ścisnęła wujka Gwidona za ramię i krzyknęła:

– Gwidon! Zrób coś!

Wuj kiwnął tylko głową i patrzył na mnie z marsową miną. Mama, a w ślad za nią ciotki, wydobyły tradycyjne, bawełniane chusteczki i zaczęły nimi szaleńczo machać. Mama krzyknęła:

– Uważaj w tym dalekim świecie!

– Dalekim świecie? – mruknął stojący obok mnie chudy wyrostek w bejsbolówce na głowie. – A ja, kurwa, myślałem, że ten pociąg tylko do Jeleniej wali! – I zaśmiał się głośno, rehotliwie.

Zadziwiająco, co czas potrafi zrobić ze wspomnieniami. Byłam przekonana w stu procentach, że Zadole pamiętałam doskonale, lecz jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że wcale tak nie było. Naiwnie spodziewałam się zobaczyć obraz, jaki nosiłam w pamięci, ale w chwili, gdy przed oczami zobaczyłam skromną panoramę wsi, poczułam coś w rodzaju zdziwienia pomieszanego z rozczarowaniem. Maleńka wioseczka nie jawiła się już tak sielsko i przytulnie jak w przeszłości. Chylące się ku upadkowi gospodarstwa rozrzucone były od siebie w dość dużych odległościach, a otaczające je płoty wyglądały, jakby przycupnęły na chwilę, by odpocząć po gorącej latynoskiej sambie. Kiedyś, dzięki Kamie, często przyjeżdżałam tam na wakacje i korzystałam z gościnności jej dziadka oraz uroków wsi. Kamila na stałe mieszkała w Warszawie i któregoś lata, wyjątkowo zamiast do Zadola, przyjechała z rodzicami nad wybrzeże, do Pucka. Wynajęli pokój w pensjonacie moich rodziców i tak się zaczęła nasza przyjaźń. Kolejne wakacje spędziłyśmy już po części w Pucku, a po części u jej dziadka na Dolnym Śląsku, w Zadolu właśnie. Tak było przez następnych kilka lat i zawsze były to najcudowniejsze wyjazdy, na jakie pozwalali mi rodzice – bo pachniały swobodą, wprawdzie pod czujnym okiem dziadka Kamili, ale wreszcie bez cienia choćby jednego członka mojej nadopiekuńczej rodziny. Początkowo nie mogłam uwierzyć we własne szczęście, że puścili mnie tak daleko bez jakiegokolwiek nadzorca, ale nie zadawałam na ten temat żadnych pytań, by nie pomyśleli, że tęsknię za obecnością krewnych. Bo do tej pory, jeśli jechałam na wakacje (najczęściej były to góry), to tylko z rodzicami, braćmi lub pod opieką ciotek, gdy rodzice mieli zbyt wiele pracy i nie mogli pozwolić sobie na urlop. Oczywiście, zważywszy na mój wiek, wysyłanie mnie na wakacje pod opieką nie było wymysłem dziwacznym, patologicznym czy nadającym się do nagłośnienia w mediach. Zachowanie rodziców było jak najbardziej normalne i sama, gdybym miała dzieci, też bym je w ten sposób traktowała. Ale wtedy, będąc w wieku mocno gówniarskim, uważałam, że taki „dorosły” wyjazd należy mi się jak psu zupa. Czułam, że dorosłeję. Bez nich. Bez rodzinki.

Aby zażyć wiejskiego powietrza, do Zadola przyjeżdżała również kuzynka Kamili – Malwina. Nasza rówieśnica. Wołałyśmy na nią Malina, co nie było szczególnie odkrywcze, ale i jej nie obrażało, a to z kolei było ważne z tego względu, że bez obaw mogłyśmy zwracać się tak do niej przy obcych. Malina brzmiało krócej, lepiej, a co najważniejsze, ona sama bardzo nie lubiła, gdy tak na nią mówiłyśmy, a skoro czegoś nie lubiła, to jak najbardziej należało to robić. A musiała dostać za swoje choćby dlatego, że pochodziła z Krakowa, co budziło

naszą zazdrość i wpędzało w kompleksy. Pochodzę z Krakowa! Mieszkam w Krakowie! Co dzień przechadzam się po Plantach! Jak dumnie to brzmiało. Mówiłam Kamie, żeby tego Krakowa nie brała sobie do serca, bo sama przecież pochodziła z Warszawy, stolicy, jak by nie było, więc sroce spod ogona nie wypadła. Ona jednak się tym gryzła. Ona! A co ja miałam powiedzieć? Ja, która z Pucka pochodziłam? I tak to się toczyło – Malina zadzierała nosa z powodu Krakowa, a my jej za to odpłacałyśmy, uprzykrzając wakacyjny żywot i solidarnie demonstrując naszą niechęć. Może kiedyś byśmy się do niej przekonały, ale mimoż była nieprzeciętną i ryczącą ciamajdą, czego zdzierżyć nie mogłyśmy bardziej niż tej jej możliwości codziennego przechadzania się po Plantach. Nie cierpiałyśmy więc Maliny tak mocno, jak się dało, przy czym niechęć tę, teraz myślę, że całkiem świadomie, podsyczał dziadek Walery. Wieczorami, gdy nie odwiedzał go sąsiad Rasputin i dopisywała pogoda, wychodził przed dom i z kubkiem, jak nam wmawiał, „wieczornej herbaty” w ręce siadał na starej, koślawej ławce, rozglądał się po okolicy, popijał i im bardziej mu tego napoju ubywało z kubka, w tym lepszy wpadał nastrój.

Lubiłyśmy, gdy tak siadywał i popijał, a już najbardziej nas cieszyło, gdy widziałyśmy, że wychylił ze trzy lub cztery kubki, bo wtedy miałyśmy pewność, że dziadek noc prześpi jak niemowlę, a my będziemy mogły wymknąć się z domu – po to choćby, by wykapać się w Śmierdzielu.

Biegłyśmy więc do dziadka, gdy już się na dobre na ławce rozsiadł, jadłyśmy miętowe dropsy, którymi nas częstował i dyskretnie liczyłyśmy, ile wypija tej swojej „herbatki”. Gdy już każda z nas zjadła po kilka dropsów, dziadek chował resztę do kieszeni kamizelki (dziadek nawet latem nosił wełnianą kamizelkę) i mówił do Kamili:

– Kamuś, ty bystra dziewczucha jesteś, a ty – tu sękatym palcem trykał Malwinę w klatkę piersiową – bierz z niej przykład, bo z roku na rok robisz się coraz bardziej gapowata. – I wybuchał skrzekliwym, szyderczym śmiechem. Na mnie rzucał jedynie krzywe spojrzenie, marszczył brwi, z politowaniem kiwał głową i nic nie mówił. Głupia nie byłam, przekaz rozumiałam jasno – o mnie również nic dobrego powiedzieć nie mógł, a powstrzymywał się tylko dlatego, że nie był moim rodzonym dziadkiem. Mnie jednak jego zdanie wyartykułowane wprost czy też wykiwane głową nic nie obchodziło. Nigdy zbyt wrażliwa, a tym bardziej przewrażliwiona nie byłam. Mimo krzywych min Walerego ochoczo siadałam blisko niego, bezczelnie dopominałam się o dropsy i z rozdziawioną japą słuchałam opowieści o czasach, gdy był młody. Nie muszę chyba dodawać, że Malina po przykrym wstępie, którego zawsze doświadczała, nie siadała z nami na ławce, tylko ryczała przy Śmierdzielu lub w pobliskich krzakach, ale zawsze była wystarczająco blisko, aby mieć nas na oku. Nigdy ani ja, ani Kama nie rozpatrywałyśmy zachowania dziadka jako okrutne ani nie podejrzewałyśmy, że

nie miał serca. Serce mieć musiał, bo przecież tak pięknie opowiadał o swej zmarłej żonie – babci Józi! Umarła, gdy jej wnuczki, Kamila i Malina, miały po pięć lat, i z tego, co się zorientowałam, żadnych różnic między nimi nigdy nie robiła. Walery opowiadał nam również o tym, jak im się mieszkalo w tym starym poniemieckim domu, kiedy to wodę musieli nosić ze studni, a w stajni trzymali świnie, krowę i konia.

– Pewnie z tej stajni śmierdziało na cały dom – nie bez racji zauważyłam kiedyś.

– I co z tego? – prychnął na to dziadek. – Każda chata tak była budowana, że z korytarza od razu do stajni się szło. A smród? Taki był trend. We wszystkich chatach śmierdziało.

Po śmierci babci dziadek sprzedał inwentarz, pole wydzierżawił Rasputinowi, a sam podjął pracę listonosza. O tym etapie swego życia również barwnie nam opowiadał. Dobry był z niego gawędziarz, oj dobry...

– Co tak myślisz? – zapytała Kamila.

– Przypominam sobie stare dzieje.

– Jak ci się teraz tu podoba? Dobra, nic nie mów. Widzę po twojej minie. I właśnie z tego powodu nie mam zamiaru tu siedzieć ani minuty dłużej, niż będzie potrzeba.

– Poczekaj...

Jeszcze raz rozejrzałam się wokół, tym razem nie koncentrując się już tylko i wyłącznie na najbliższej okolicy. Moim celem była obiektywna ocena otaczającego mnie terenu – starej biednej wioski, do której niegdyś tak Ignęłam. Musnęłam wzrokiem nieliczne zabudowania, a potem zagapiłam się na ciągnące się za nimi łąki, lasy i pola. Na niektórych rozpoczęto żniwa, na pozostałych złościło się jeszcze zboże. Powietrze nie miało już takiej przejrzystości jak na początku lata, trąciło nostalgią i przemijaniem. Zieleń łąk kołła oczy, a z lasów, mogłabym przysiąc, wionęło zapachem jagód, poziomek i grzybów. Och, jak doskonale pamiętałam smak poziomek jedzonych prosto z krzaka! Kto się przejmował bąblowicą? Albo kleszczami oraz ich tajną bronią – boreliozą? O nie, na pewno nie my, a przynajmniej jeszcze nie wtedy. Pachniało nadchodzącą jesienią. Zadole było czasoprzestrzenią, w której poznałam smaki i zapachy tak różne od miejskich oraz zostawiłam najlepsze dziecięce lata wraz z marzeniami, które im towarzyszyły. Bo wakacje tam spędzone nie sprowadzały się jedynie do beztroskiego biegania po lasach i ogłacania runa leśnego z jego owoców. Tu, w tej małej wiosce, po raz pierwszy się zakochałam. Ile to już będzie? Ech, nieważne! Tak jak szybko popadłam w nostalgię, tak samo szybko się z niej otrząsnęłam. Wyciąganie z szafy trupów nigdy nikomu nie pomogło. Moim celem była wspaniała, daleka wyprawa – *gap year* – na którą wybierałyśmy się razem z Kamą. A czas po temu był idealny – właśnie obie byłyśmy pokiereszowane przebytymi rozwodami i musiałyśmy

podleczyć odniesione rany. Oczywiście, wzięwszy po uwagę fakt, że lat i naiwności pierwszej nie byłyśmy, większych szaleństw nie brałyśmy pod uwagę. Chciałyśmy obejrzeć kawał egzotycznego świata, zafundować sobie porządną, geograficzną terapię – oderwać się od wszystkiego, co choćby w najmniejszym stopniu kojarzyłoby się nam z przeszłością, obojętnie, dobrą czy złą – wszystko miało być zupełnie nowe. Dlatego w Zadolu, choć wiązały mnie z nim bardzo przyjemne wspomnienia, również nie chciałam zbyt długo siedzieć. Jak zapominać, to od razu i na całego, a ponadto w wieku czterdziestu lat widać już kres życia, a ja przed śmiercią chciałam jeszcze zobaczyć kawałek świata. I najlepiej gdyby to był całkiem spory kawałek.

– I co? – ponagliła mnie Kama.

– Ładnie, ale...

– Tak, tak, wiem. – Uśmiechnęła się. – Podróż naszego życia czeka. Gdy tylko załatwię sprawę z chałupą, popędzimy w świat. – Oczy jej rozbłysły i zapatrzyła się w dal, tam gdzie ja się przed chwilą gapiłam, ale założę się, że nie widziała zadolskiego pejzażu, tylko jakiś zamorski kraj lub choćby i małpę na bananowcu. Zawsze to było lepsze od prozaicznej polskiej wsi. Po chwili jednak jej rozmarzone oczy zwężyły się we wredne szparki, zacisnęła pięści i wycodziła przez zęby:

– Mój Eks pławi się teraz u wybrzeży Florydy!

Machnęłam ręką.

– A ty za tydzień pstrykniesz sobie słit focię... – Szybko przebiegłam myślami co atrakcyjniejsze miejsca na świecie, aby podać jej przykład mogący przebić Florydę Eksa. – O, na tle Wielkiej Piramidy sobie pstrykniesz. A poza tym twój były na tej Florydzie pławi się wraz z twoim jedyakiem. Dziecku żałujesz?

– Oj, coś ty! – zachnęła się. – Nie, dziecku nigdy!

– I tego się trzymaj.

Przymknęłam oczy i zakręciłam się w kółko.

– Czemu się tak kręcisz? Zwariowałaś? – zapytała podejrzliwie.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę na tę podróż!

Nad nami zaczął śpiewać skowronek. Zatrzymałam się i otworzyłam oczy, akurat na wprost zobaczyłam szklarnie. Skądinał bardzo dobrze mi znane.

– Krzysiek nadal tu mieszka? – zapytałam.

Kama plasnęła się w czoło:

– Jak mogłam o tym zapomnieć! On zaginął!

– Kto zaginął? Krzysiek?

– A o kogo pytałaś? Tak, on! Przepadł jak kamień w wodę. O tak! – Pstryknęła palcami jak magik, który za chwilę wyjmie z kapelusza króliczka, rzekomo wcześniej tam nieukrywanego. – Tydzień temu wyszedł z domu i zapadł się pod ziemię.



– Mój Boże! A jeśli ktoś go zamordował?! – pisnęłam cienko i trwożnie rozejrzałam się na boki, szukając wzrokiem rzekomego mordercy lub morderców. Okolice wcale nie musiały być tak niewinne, na jaką wyglądała. Falujące łąki zboża stanowiły świetną kryjówkę dla morderców o łapach po łokcie umazanych krwią, latający skowronek mógł być szpiegowskim gadżetem, a co krył w sobie las, wolałam nawet nie myśleć.

– Też to brałam pod uwagę, ale nie znaleziono ciała czy choćby kawałka ciucha, co by mogło sugerować jakieś tragiczne w skutkach zdarzenie.

– To jeszcze zabójstwa nie wyklucza – zauważyłam. – A jakiś trop, poszlaki? Policja coś ma?

– Nie. Nie ma niczego. Wyszedł z domu bez większej gotówki, więc raczej motyw rabunkowy odpada. Chociaż w dzisiejszych czasach akurat z tego typu motywem nigdy nic nie wiadomo. Morderstwo ze strony zazdrosnego męża też nie wchodzi w grę, bo z nikim się nie spotykał. Tak twierdzą jego rodzice. Ponoć był samotnikiem, a całe jego życie było jedną wielką pracą.

– Może umówił się z kimś przez Internet? Też tak bywa i to wcale nierzadko. Interneć, miłe czatowanko, a potem bach przez łąkę! – Nie mogłam uwierzyć, że dorosły człowiek wyszedł z domu i przepadł bez śladu. Zdrowy facet, w dodatku w sile wieku!

– Wiele rzeczy mogło się wydarzyć – powiedziała Kama – począwszy od nagłej fiksacji umysłowej, poprzez porwanie, na zwykłej ucieczce skończywszy. Przy czym kwestia ewentualnego porwania od razu odpada, bo po okup nikt się nie zgłosił. Pozostają fiksacja i ucieczka. Ja obstawiam ucieczkę.

– Dlaczego miałyby uciekać? Przecież jego rodzina zawsze była okej.

– Jego rodzina może i była okej, ale praca nie.

– Praca? Nie rozumiem.

– Kto jak kto, ale ty dobrze wiesz, czym pachnie robota w szklarniach. Może uciekł od tej harówki? Poza tym obito mi się o uszy, że niedawno zaciągnął duży kredyt. Niby na rozbudowę i dalszą modernizację gospodarstwa. Może się przeliczył i nie pozostało mu nic innego, jak tylko wziąć nogi za pas?

– Nie wierzę, że zostawiłby z tym rodziców. Z długami i niepewnością co do losu jedyne go syna? Poza tym sama mówiłaś, że ogrodnictwo było jego życiem.

– Mógł zmienić zdanie. Przejadła mu się parszywa robota, i tyle. A zresztą – machnęła ręką – sama już nie wiem, co o tym myśleć.

Czy Krzysiek byłby zdolny do porzucenia rodziców i zostawienia ich z niespłaconym kredytem oraz do skazania ich na prowadzenie trudnej i niewdzięcznej uprawy w szklarniach? Czy to możliwe, aby ten jakże sympatyczny niegdyś chłopak wyrósł na zimnokrwistego bydlaka? Nie mogłam za to ręczyć, ale nie pasowało mi, aby uciekł od problemów, zamiast wziąć się z nimi za bary. Tak, tak, wiem, nie zjedliśmy razem beczki soli, powszechnie uznawanej

za miernik lojalności, ale miałam niepodpartą żadnym dowodem pewność, że Krzysiek jednak drapaka nie dał. Na mój osąd mógł wpływać fakt, że kiedyś się w nim kochałam. Dawno to było, ale tak było. I nie tylko ja się w nim durzyłam, bo Kama i Malina również. Nasze pojęcie o relacjach damsko-męskich było takie jak i my wówczas – smarkate i naiwne. Z biegiem lat pogłębiłam znajomość tego typu relacji i nieobce mi były rozmaite ich odcienie, szczególnie te zbliżone do szarości i czerni. Kama również się rozwiodła, a jak ułożyło się Malinie – jeszcze nie wiedziałam. Miłość do Krzyśka wprawdzie dawno ze mnie wyparowała, nadal go jednak miałam w pamięci, choćby z tego względu, że uczucie, którym go niegdyś darzyłam, było pierwsze i bezkrytyczne. No i jak tu zapomnieć o facecie, z którego powodu wybrałam studia zupełnie inne niż te wymarzone? Kama chyba nie kochała się w nim aż tak szaleńczo jak ja i czyniła to raczej z nudów niż z przekonania. Bez względu na wszystko jej, i tylko jej, skłonna byłam wybaczyć tamto uczucie. W końcu była moją przyjaciółką. A Malinie? Nigdy! Byłyśmy z Kamą niemal pewne, że obiekt westchnień zmałpowwała od nas bezrefleksyjnie i odruchowo, bo jako osoba o wrodzonej i (według dziadka Walerego) postępującej gnuśności, sama z siebie nie wpadłaby na to, aby kochać się właśnie w Krzyśku. Obiekt naszych westchnień robił najwspanialsze szalasy, jakie kiedykolwiek dane mi było oglądać, a jego tamy na rzece zapierały dech w piersiach. Dodatkowo potrafił to i owo brzdąknąć na gitarze, nosił przydługie włosy, a gdy się zamyślił, wyglądał tak mądrze, że z zazdrości aż w dołku ścisnęło. Poza niesfornymi, przydługimi włosami w jego wyglądzie nie było niczego z urody amanta filmowego lub choćby wioskowego króla dyskotek. Zapowiadał się na krępego faceta, który jeśli nie będzie zważać na to, co kładzie do paszczy, szybko popadnie w otyłość. Mnie to nie przeszkadzało. W ogóle nic mi w nim nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie – wszystko zachwycało. Jego misiowatość wraz ze szczerym uśmiechem była w moich oczach szczytem męskiej urody. On mnie jednak nie dostrzegał, a nierzadko odnosiłam niemiłe wrażenie, że unikał, co znosiłam nadzwyczaj źle, bo dzień bez spotkania z nim był dla mnie dniem straconym. Pod pretekstem zakupu świeżych warzyw po kilka razy dziennie przybiegałam do jego rodziców, bacznie go wtedy wypatrując. Za każdym razem trzymałam kciuki, aby kręcił się gdzieś po podwórzu, bo wtedy mogłam na niego popatrzeć i zamienić kilka zdań. Najczęściej jednak kończyło się na patrzeniu, jako że do rozmowy skory nie był. Jego małomówność tłumaczyłam sobie w sposób najprostszy z możliwych: coś do mnie czuje, a trawiące go uczucie tak go za gardło ścisnęło, że słowa wydusić nie pozwala. Proste i logiczne. Tego, że z natury mógł być małomówny, nie brałam pod uwagę, bo gdy dołączały do nas Kamila lub Malina, nigdy nie brakowało mu tematów, czyli mówiąc językiem prostym: japa mu się nie zamykała. Cóż więc to mogło być? Nie wiedziałam, ale nie przestawałam trajkotać, chodząc za nim krok w krok, wygadywałam, co ślina na język przyniesie, aż

wreszcie poddawałam się, dawałam mu spokój i w końcu kupowałam (najczęściej jednak dostawałam za darmo) kilka pomidorów i ze dwa ogórki, które po drodze do domu dziadka Walerego wyrzucałam w najbliższe napotkane krzaki. Nie chciałam, aby wyszło na jaw, gdzie znikam popołudniami. Kamila sądziła, że – tak jak ona – zadurzyłam się z nudów i w stosunkowo niewielkim stopniu, prawda wyglądała jednak o wiele poważniej. Tak poważnie, że – jak wspomniałam wyżej – z powodu Krzyśka poszłam studiować – o Boże w niebiesiech! – cholerne ogrodnictwo. Kamila zdziwiła się moim wyborem, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że to nadal we mnie tkwiący młodzieńczy poryw serca jest za to odpowiedzialny. Owszem, wiedziała, że Krzysiek też jest na tym wydziale, ale nigdy nie wpadła na trop powodu mojej decyzji.

Do Zadola przestałam przyjeżdżać krótko przed tym, jak dziadek Walery poznał swą późną miłość – Gertrudę. Po maturze, zasłaniając się nagle odkrytą ogrodniczą pasją, podążyłam za Krzyśkiem na studia do Poznania i tak jak przypuszczałam, decyzja ta okazała się dla mnie porażką. Nie sądziłam jednak, że fiaskiem będzie podwójnym.

Wybór kierunku, to oczywiście, był pudłem. Umęczyłam się na tych studiach straszliwie, a w dodatku, niestety, nie udało mi się podbić serca mojego wybranka. Już na pierwszym roku zorientowałam się, że Krzysiek w najlepszym razie traktuje mnie obojętnie, i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić. Unikał mnie, jak mógł, a kilka razy odniosłam wrażenie, że przede mną uciekał. Zastanawiałam się, co mogło być tego przyczyną. „Cześć” tylko w locie rzucał i już go nie było. Czy coś by się stało, gdyby od czasu do czasu się zatrzymał i zamienił dwa słowa? Świat by się również nie zawalił, gdybyśmy czasem na kawę się wybrali. I z pewnością nie doszłoby do żadnego kataklizmu, gdyby wspólna kawa powtórzyła się jeszcze kilka razy. A na końcu mógłby mnie pocałować... Ale marzenia sobie, a życie sobie. Dlaczego on mnie nie chciał?! Odpowiedź była najprostsza z możliwych: bo nie.

Mimo targających mną wątpliwości duma nie pozwalała mi zrezygnować z wybranego kierunku. Zawsze byłam zdania, że nawarzone piwo należy wypić do ostatniej kropli, a ponadto jak miałam wytłumaczyć rodzicom, że studia, nad którymi piałam z zachwytu ledwie pół roku wcześniej, stały się nagle sennym koszmarem? Toteż cierpiąc piekielne męki, przebrnęłam przez nawozy o zawrotnych nazwach, różnorodne odmianoznawstwa, w osłupienie wprowadził mnie *Dianthus caryophyllus semperflorens flore pleno hybrydum hortorum*, który okazał się zwykłym goździkiem szklarniowym, a na praktykach nabyłam wiele nieprzydatnych mi w późniejszej, związanej z hotelarstwem pracy umiejętności. Po obronie pracy magisterskiej zadałam sobie pytanie, czy dla faceta warto było aż tak się poświęcać. Odpowiedź brzmiała: nie. Kamila w tym czasie studiowała politologię na UW. W dorosłe życie weszła nieco krętą drogą, bo w wieku

dwudziestu lat urodziła Olafka, przy czym o ślubie z jego ojcem nawet słyszeć nie chciała. Co ciekawsze, o sprawcy ciąży nie chciała też powiedzieć ani słowa. Dopiero po pewnym czasie, gdy odwiedziłam ją tuż przed rozwiązaniem, wydusiła z siebie to i owo na temat Dawcy Nasienia, jak go określała. Historia była krótka i trywialna. On (nosił pseudonim Józef) był wokalistą w rockowej kapeli związanej wśród studenckiej braci. Ponoć nie był zbyt przystojny, ale wystarczająco popularny i pewny siebie, aby nieustannie, niczym chmara natrętnych much, krążyła wokół niego grupka zapatrzonych weń studentek. Wśród nich także Kamila, bo ponoć w złym tonie było się w Józefie nie kochać. Któregoś wieczoru zblazowany wokalista wyłowił z grupy wielbicielek moją przyjaciółkę, a że w jeszcze gorszym tonie było Józefowi odmówić, tej nocy stał się Dawcą Nasienia, jak uparcie mówiła o nim Kamila. Oczywiście poinformowała artystę, że będzie ojcem, lecz wieść ta nie wywarła pozytywnego wrażenia. W każdym razie o fakcie, że muzyk zmienił uczelnię i wyjechał do Poznania, Kamila dowiedziała się od osób postronnych. Nie sądziła, aby na jego decyzji zaważyła jedna niechciana ciąża, ale nie wykluczała, że w pewnym stopniu przyszłe swe ojcostwo wziął pod uwagę. Kamila opowieść zakończyła słowami:

– Dawca Nasienia nie jest wart tego, aby o nim wspominać, ale ktoś musi znać prawdę... na wypadek gdybym nie przeżyła.

– Nie przeżyła czego?

– Porodu. Nawet nie wiesz, jak się boję.

Poród, którego tak się bała, na szczęście przebiegł bez komplikacji, a Olafek urodził się dorodny i zdrow jak ryba. Kamila krótko po obronie pracy wyszła za mąż za Pedra – czystej krwi Hiszpana – i wyjechała z Olafkiem do rodzinnej Barcelony świeżo poślubionego wybranka.

Jeśli chodzi o moje sprawy osobisto-sercowe, Krzyśka odpuściłam sobie po dwóch latach studiowania, co oczywiście nie znaczyło, że na jego widok odwracałam głowę. Nie, głowy nie odwracałam, ale również nie starałam się już go zagadywać. Po obronie magisterki pierwszy ukochany definitywnie zniknął z mojego pola widzenia. Studia zakończyłam jak ciężką chorobę i wróciłam do Pucka, gdzie... no właśnie! W moim rodzinnym mieście poznałam mężczyznę mojego życia. Maciej, tak jak Dawca Nasienia, również był wokalistą w zespole – ciągle nim zresztą jest, ale obecnej nazwy zespołu nie jestem w stanie podać, bo zmieniała się szybciej niż następujące po sobie pory roku, i na czym w końcu stanęło, nie wiem do dzisiaj. Zadurzyłam się porządnie w tym czarnowłosym zbuntowanym facecie, na co niebagatelny wpływ miał Billy Idol, bo Maciej brzmiał podobnie. Oczywiście był tego świadomy, ale ani solo, ani w zespole nigdy nie wznosił się na takie wyżyny jak oryginał. Do oryginału starał się również upodobnić wizualnie, ale i to udać mu się nie mogło, bo niby jak skrzyżowanie Clooneya z Banderasem przerobić na blondwłosego i niebieskookiego Billy'ego

Idola? Farbowanie na blond nie przyniosło dobrego wyniku, bo czarne i sztywne włosy Macieja w najlepszym razie przybierały kolor złota. Już ja, ze swymi wiecznie krótkimi, farbowanymi na wszelkie możliwe odcienie włosami byłam bardziej do niego podobna.

Bycie żoną zabójczo przystojnego, szalonego artysty nie ma w sobie zbyt wiele uroku, o czym szybko się przekonałam, bo każdy przeżyty z Maciejem dzień przypominał szybką jazdę bez trzymanki. Kamila od razu zapalała do niego żywą, szczerą niechęcią. Jeszcze go na oczy nie zobaczyła, a już sączyła do słuchawki proroczy jad, że z Maciejem czeka mnie taki sam los, o ile nie gorszy (jeśli w ogóle było to możliwe), jaki zafundował jej Dawca. Miło mi nie było, gdy wyrażała swoje zdanie, liczyłam więc, że po bliższym poznaniu polubi go choć odrobinę albo przynajmniej będzie łaskawie tolerować. Nic z tego, spotkanie oko w oko tylko pogorszyło sprawę. Kamila czuła do niego taką antypatię, że przy wyjeździe z Polski już ani słowem się nie zająknęła, abyśmy odwiedzili ich w Barcelonie, choć takie zaproszenie ponawiała przy każdej możliwej okazji, a ja przy każdej możliwej okazji obiecywałam jej, że przyjadę, ciągle mi jednak jakoś to nie wychodziło. Zaproszona na nasze wesele przyjechała i owszem, ale kwaśną miną tylko mi psuła zabawę.

– Zle się bawisz? – zagałam ją w końcu, bo nie w smak było mi radośnie podrygiwać, gdy moja jedyna przyjaciółka z nosem na kwintę uporczywie trzymała się na uboczu. – Pedro wydaje się całkiem zadowolony – dodałam, patrząc na jej uśmiechniętego męża płasającego z cioteczkami w korowodzie. – Może się do nich dołączysz? Przypilnuję małego.

– Widziałas kiedyś stypę, na której się tańczy?

– Przecież to nie jest...

Przerwała mi:

– Dla mnie jest. Stypa i kropka. Wspomnisz moje słowa.

– Kamila, nie przesadzaj i nie psuj mi najszcześniejszego dnia w życiu – rzuciłam z pretensją.

– Najszcześniejszy? Może i tak, bo później będzie tylko gorzej. Mówiłam ci, że muzyk to zły wybór. Jeszcze będziesz ryczeć. Zobaczysz – powiedziała i przytuliła przysypiającego Olafa.

– Ale ja go kocham – powiedziałam na swoją obronę.

– A czy on kocha ciebie? – zapytała, obserwując go okiem nadal nieprzychylnym.

– Tak. Powiedział, że tak.

Nie dodałam, że do tej pory tylko raz.

Dziecię nam się nie przydarzyło, za co po latach szczerze Bogu dziękowałam. Po moim ślubie przyjaźń z Kamilą podtrzymywałyśmy telefonicznie oraz za pomocą Facebooka, gdzie to mogłam oglądać zdjęcia, na których ze zwykłą

sobie szczerością prezentowała kolejne swego życia. Po kilku latach zamieściła fotorelację z triumfalnego przejścia przez rozwód oraz radośnie ogłosiła wszystkim znajomym (oraz osobom przypadkowo lub nieprzypadkowo oglądającym jej profil) odzyskanie wolności. To rozstanie zarówno dla mnie, jak i dla mojej rodziny, która traktowała Kameę jak swoją, było wielkim zaskoczeniem. Przyjaciółka jednak nie kwapiła się z wyjawieniem, dlaczego rozwiodła się z uwielbianym do tej pory mężem. W mejlach zbywała mnie ogólnikami, a przez telefon w ogóle na ten temat nie chciała rozmawiać. Przez dłuższy czas nie przyjeżdżała również do Polski (ja do Barcelony tym bardziej się nie wybierałam), nie było więc okazji do rozmowy w cztery oczy, podczas której mogłabym z niej wydusić to, co tak uparcie wydawała się ukrywać.

– Przyznaj się, Kama, do innej poleciał – rzuciłam kiedyś nieopatrznie podczas jednej z naszych nocnych rozmów. Kamila naskoczyła na mnie oburzona, że posądzam jej Pedra o niewierność. Ponieważ oberwałam nieadekwatnie do winy, nie poinformowałam jej, że również się rozwodzę, czego przyczyną, a raczej przyczynami, były właśnie liczne skoki w bok mojego przystojnego wokalisty Macieja. O fakcie tym dowiedziała się jednak od mojej mamy, gdy zadzwoniła do niej z życzeniami imieninowymi.

Podczas swojego rozvodu często porównywałam radosną facebookową fotorelację z rozstania Kamili z tym, co ja przechodziłam. Nie ukrywam, że zazdrośnie nad tym wzdychałam, zadając sobie pytanie, dlaczego to mnie przypadł w udziale tak podły facet, który nawet podczas rozvodu (a może właśnie szczególnie wtedy) chciał mi pokazać, gdzie jest moje miejsce? Koniec końców, cały proces przypłaciłam utratą zdrowia oraz zwątpieniem w to, że jeszcze kiedyś mogłabym być szczęśliwa.

Któregoś wieczoru otworzyłam butelkę wina, nalałam sobie szczyrce do szklanki i z zamiarem podzielenia się z przyjaciółką swoją słodko-gorzką nowiną chwyciłam za telefon. Nie dane mi było jednak nawet wybrać numeru, bo Kama mnie wyprzedziła. Musiało między nami zadziałać jakieś telepatyczne porozumienie, nic innego. Odebrałam i nie dałam dojść jej do głosu: gadałam, płakałam, popijałam, dalej gadałam, dolewałam sobie, popijałam, aż w końcu się zakrztusiłam, który to moment wykorzystywała Kamila:

– No i co tam jeszcze robisz? Pakuj się i przybywaj do Barcy!!! – Po tym wstępie przejęła pałeczkę i zaczęła kusić Ramblą, parkiem Güell oraz feerią świateł i dźwięków fontann przy Avenida Maria Cristina. Wierzchem dłoni wytarłam usta, łyknęłam, zastanowiłam się i nagle pod wpływem właśnie tego (chyba setnego) zaproszenia coś mi wpadło do głowy. A gdyby tak...

– *Gap year?* – zdziwiła się Kama.

– Tak! Tak! – gorączkowałam się z telefonem przy uchu. – Terapia geograficzna! Otrzepiemy się z resztek naszych małżeństw! Nabierzemy wiatru



w żagle, wrócimy z nowymi pomysłami, nadzieją, no i ja wiem czym jeszcze...?

Chwyciłam za butelkę, ale świeciła pustką. Przed kolejną rozmową z przyjaciółką będę się musiała lepiej zaopatrzyć.

– Ale Olafek... – niepewnie (i bardzo dobrze, że niepewnie, bo znaczyło to, że pomysł bierze pod rozwagę) rzuciła Kamila.

– Rzeczywiście, zupełnie zapomniałam, że ty dziecię masz pod opieką. Dwudziestoletnie, ale zawsze dziecię. Trudno, sama pojedę. – Bóg mi świadkiem, że byłam gotowa to zrobić. Spalić ostatnie zdjęcie byłego, prochy rozsypać na wietrze, do małego plecaka spakować najpotrzebniejsze rzeczy i w pojedynkę ruszyć w daleki świat, do miejsc, których nie widziałam, i spotkać osoby, których nigdy nie spotkałam. Wszystko nowe. Reset.

– Tak, masz rację, pilnuj dzieciątka, aby cię za wcześnie babcią nie uczyniło. Ja jadę! Z każdego zakątka świata dostaniesz pocztówkę. Żadnych pozdrowień przesyłanych małą pocztą, tylko prawdziwe papierowe kartki ze znaczkami własną śliną przyklejanymi.

Podniosłam butelkę w górę, pod światło lampy, w nadziei, że może gdzieś się przylepiła jakaś resztką wina, ale płonne to były nadzieje. Po pierwsze dawno wszystko wypiałam, po drugie wino ze swej ciekłej natury do niczego się nie przylepia. Szkoda.

– To kończę – powiedziałam ze szczerym zamiarem wprowadzenia w życie świeżo powziętego zamiaru.

– Poczekaj, poczekaj. Daj mi kilka dni, dobrze?

Jak chciała, to dałam. W czasie gdy Kama uzgadniała z Eksem kwestię opieki nad jedynakiem, ja pieczołowicie przerzucałam szafę w poszukiwaniu rzeczy, które miałam zamiar wziąć ze sobą w podróż. Działałam w myśl: lekko i niezbędnie, a mama biadoliła jak stara Solska z filmu *Kogel-mogel*:

– Córcia, córcia... – Załamywała ręce, że słyhać było, jak paliczki strzelają.  
– Gdzie cię tak daleko gna? Przecież nasza Polska też jest niebrzydka. Dlaczego po rodzimym kraju nie chcesz się potulać?

– Mamo, ale to ma być podróż w świat, więc aby ją odbyć, muszę wyjechać dalej niż w polskie góry. Poza tym sama mnie namawiałaś, żebym zmieniła otoczenie.

– Pewnie, że chciałam, żebyś gdzieś sobie wyjechała, ale o żadnej egzotyce ani słowem nie wspomniałam. – Mama chlipnęła.

– Wiesz co, mamo? – Do głowy wpadł mi pomysł. Nie powiem, żebym od razu zapalała chęcią jego zrealizowania, ale dla mamy mogłam to zrobić. Potraktować jako rekompensatę za to, że swoją podróżą narażam ją na tak wielki stres.

– Co znowu?

– Coś ci obiecuję, chcesz?

– Zależy, co to ma być? – Spojrzała na mnie płochliwie, pełna obawy, że rzucę w nią kolejnym zdziwaczalym pomysłem.

– Obiecuję, że wreszcie zapuszczę włosy. Specjalnie dla ciebie!

– Naprawdę? – Mama niczym dziecko klasnęła w dłonie. – Wreszcie będę mieć prawdziwą córkę!

– I za jakiś czas założę sukienkę – dodałam z ciężkim sercem.

– A nie możesz teraz?

– Nie mogę. Przecież żadnej nie mam.

Tak, po latach zemsty nadeszła pora odpuszczenia i zmiany fryzury, bo przyczyna noszenia przeze mnie krótkich włosów sięgała mojego głębokiego dzieciństwa. To było tak: kiedyś w szkole zapanowała wszawica, na mnie wszy również przelazły. Rodzice smarowali mi głowę czymś mocno śmierdzącym i aby spotęgować efekt przeprowadzanej kuracji, obcięli mi również warkocz. Oczywiście nie poddałam się bez walki: wyłam na cały Puck, że umrę z żalu, jak tylko mi je zetną, że dla kobiety (kobietą wtedy byłam dość młodocianą, bo miałam jakieś siedem lat) obcięcie włosów jest jak pozbawienie rąk szwaczki, ale rodzice byli nieugięci. Mama pocieszała mnie blado, że do komunii na pewno odrosną, ale żadna bliższa ani dalsza przyszłość mnie nie interesowała, ważne było tu i teraz – miałam stracić warkocz i to była tragedia! Rodzice jednak zamiar wprowadzili w czyn, nie licząc się z piętnem, którym mnie naznaczają – warkocz został obcięty i spalony, a na mojej głowie pozostało krótkie nie wiadomo co. Mama nie widziała w tym problemu, bo akurat rozpoczynały się wakacje, do szkoły chodzić nie musiałam, można więc było trzymać mnie w domu i do woli te wszy zabijać. Przez pierwsze dni zalewałam się łzami i nie raczyłam nawet spojrzeć w lustro. Zbiłam nawet jedno, gdy mama usilnie podsuwała mi je pod nos, chcąc oswoić z nowym wyglądem. Bracia mnie pocieszali, że moja fryzura jest git, w dechę i sami nie wiedzieli w co, ale grunt, że już bez wstydu mogli brać mnie na lody. Miałam gdzieś ich lusterka, lody i wszystko inne. Ja chciałam mój warkocz! A ponieważ wszy nadal do mojej głowy uparcie lgnęły, walka z nimi się przedłużała, więc i o zapuszczaniu włosów mowy być nie mogło, przez co moja trauma się pogłębiała. W końcu osiągnęła dno, a potem nastąpił przełom. Gdy wreszcie po wszach nie było śladu, oświadczyłam wszystkim, że już nigdy włosów nie zapuszczę. Najpierw nikt mi nie wierzył, jednak uparcie obstawałam przy postanowieniu, a gdy mama odmawiała comiesięcznego zaprowadzenia mnie do fryzjerki, sama chwyciłam nożyczki (bywało, że żyłkę również) i cięłam włosy tak, iż fryzura wymagała gruntownej korekty, która wiązała się z mocnym ich skróceniem. U fryzjera oczywiście. A żeby dopiec mamie, która walkę z wszami ceniła wyżej od uczuć jedynej córki, zapowiedziałam, że już nigdy nie włożę sukienki ani spódnicy. Po chwili namysłu dodałam, że wyjątek zrobię tylko w dzień Komunii Świętej. Nikt mnie wtedy poważnie nie potraktował, ale z czasem

rodzina się przekonała, że nie rzucam słów na wiatr.

A teraz, po latach, obiecałam mamie, że zapuszczę włosy. Właściwie żal mi będzie mojego języka... Naprawdę go lubię. Podobnie jak chodzenie w spodniach.

– Mamo, odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie, dobrze? – zapytałam, gdy rodzicielka przestała manifestować radość z podjętej przeze mnie decyzji.

– Tak?

– Na pewno dacie radę z prowadzeniem pensjonatu?

Wiedziałam, że beze mnie poradzą sobie koncertowo, ale zapewnienie musiałam usłyszeć od niej samej. Twierdząca odpowiedź była jak ciche błogosławieństwo dane na drogę.

– Ależ, córuś, oczywiście!

Pensjonat Na Fali był naszym rodzinnym biznesem, w którym pracowałam razem z braćmi i bratowymi. Takie powiązanie coraz częściej było zarzewiem różnych, nierzadko absurdalnych, konfliktów i odniosłam wrażenie, że wieść o moim rocznym wyjeździe szczególnie ucieszyła bratowe – Izę, Jowitę i Kingę.

Wszystko więc było ustalone i świat stał przede mną otworem, czekałam tylko na wiadomość od Kamili. Po pięciu dniach, kiedy poważnie zaczęłam brać pod uwagę możliwość, że Kamila zrezygnowała z wyjazdu, wreszcie zadzwoniła:

– Jadę, wszystko załatwione – powiedziała, jednak zaskoczyło mnie, że w jej głosie nie było cienia entuzjazmu.

– Wszystko w porządku?

– Tak, czemu pytasz?

– Bo jakoś kwaśno gadasz.

– A jak mam gadać, gdy mój synek tak ochoczo zgodził się na wyjazd z Eksem na Florydę!

– Floryda! – rzuciłam marzycielskim tonem. – W takim miejscu nawet mój Eks by mi nie przeszkadzał.

– W ogóle mnie nie rozumiesz. Olaf za nim przepada! Prze-pa-da! Zamiast znienawidzić, jak mu sugerowałam, on tym bardziej z nim trzyma. I co gorsza, coraz częściej odnoszę wrażenie, że mój własny syn woli jego niż mnie!

– Kamila, nie bądź zazdrosna, tylko się ciesz, że się zżył z facetem, który wychowywał go niemal dwadzieścia lat – rzuciłam sarkastycznie.

– Ale Eks nie jest jego biologicznym ojcem!

– Kama... – Westchnęłam z rezygnacją. – Ty się ciesz, że masz kogoś, kto będzie mieć na niego oko, podczas gdy sama będziesz zażywać świata. A co do tej Florydy, oni tam będą siedzieć przez cały rok?

– Nie, jakieś trzy tygodnie. Później wrócą do Barcelony i Olafek będzie mieszkać u Eksa.

Kamila, od czasu rozwodu, imieniem byłego męża języka sobie nie skalala. Pedro zyskał ksywkę Eks i tylko tak się o nim wyrażała. Nie zdziwiło mnie to

szczególnie, bo już tak miała: jeśli kogoś znienawidziła, to nie chciała wymawiać jego imienia, czego dobitnym przykładem był Dawca Nasienia. Mnie, w przeciwieństwie do niej, wymawianie imienia byłego męża na pewno nie przychodziłoby z trudem, pod warunkiem że byłaby konieczność jego wymawiania. A konieczności nie było i pieczołowicie dbałam, aby się nie pojawiła, bo w mojej rodzinie kategorycznie zabroniłam podejmowania jakichkolwiek tematów z nim związanych. – A jak w pracy? Dali wolne? – Ta kwestia interesowała mnie nie mniej niż to, co Kama zrobiła z pierworodnym. Choć byłam uwikłana w skomplikowane rodzinno-biznesowe koligacje, które nierzadko nazywałam rodzinnym węzłem gordyjskim, paradoksalnie mnie łatwiej było zrobić sobie wolne. Na interesie łapę trzymał każdy i to coraz mocniej.

– Dali... nawet więcej, niżbym się spodziewała.

– To znaczy?

– Zwolnili mnie, nim otworzyłam usta, żeby powiedzieć, z czym przyszłam.

– I chwala Bogu! – wyrwało mi się, więc natychmiast zmieniłam temat. –

Ustaliłaś jakąś trasę?

– Nie, a ty?

– Też nie.

– To dobrze. Gdy się spotkamy, razem wszystko obmyślimy.

W dniu, kiedy miałam zabukować wszelkie możliwe bilety, dzięki którym miałam dotrzeć do Barcelony, ponownie zadzwoniła Kamila:

– Słuchaj, zmiana planów. Jestem w drodze do Zadola.

– Do Zadola? Dlaczego?

– Nie przerywaj mi, bo zaraz wjadę w tunel i stracę zasięg. Umarła Gertruda i muszę coś zrobić z dziadkowym domem. Przyjedź na naszą wieś, a gdy się ze wszystkim uporam, ruszymy na podbój świa... – Zapewne miało być świata, musiałam się tego domyśleć, bo połączenie zostało zerwane.

Po chwili telefon ponownie zadzwonił.

– Już go mam, zasięg cholerny. Oczywiście, ma przyjechać Malina. Nie przeszkadza ci to chyba? – zapytała Kama na koniec, z niejaką nutką obawy w głosie.

– Ależ skąd! – zapewniłam ją i w tamtej chwili było to jeszcze prawdą.

Dziadek Walery wiele lat temu zapisał dom swym dwóm wnuczkom – bystrej Kamili i ślamazarnej Malwinie – stawiając warunek, że najpierw, nim go rozdrapią (tak powiedział – rozdrapią!), do końca swych dni dożyje tam jego ukochana Gertruda.

– W takim razie czekam na ciebie w Zadolu! Pa!

– Pa, pa...

I w taki oto pokrętny sposób znalazłam się na zakurzonej drodze, patrzyłam na chyłą się ku upadkowi wioskę i z sentymentem grzebałam w przeszłości,

której tak dużą część zajmował Krzysiek. Krzysiek będący symbolem miłości pierwszej, niewinnej i bardzo naiwnej.

– Dobrze, że nie miał żony ani dzieci. Zawsze to mniej płaczących po nim osób – zauważyła Kama.

– Co racja, to racja – przytaknęłam, ale mimo to popadłam w gorzką zadumę, będącą kontynuacją tej, która mnie dopadła podczas jazdy pociągiem do Jeleniej Góry (aby dostać się do Zadola, najlepiej było przyjechać do Jeleniej Góry, a stamtąd dopiero przesiąść się do autobusu). Podczas tej męczącej podróży dobrze sobie wszystko przeanalizowałam. I zrobiłam to tak wnikliwie, że łzy pociekły mi z oczu jak woda z uszkodzonego hydrantu. Szlochałam rozpaczliwie, aż ów chudy wyrostek, który wcześniej szydęro podważył możliwość dotarcia z Pucka wprost do wielkiego świata, wyciągnął jednorazową (z wyraźnymi śladami używania) chusteczkę i podsunął mi pod nos.

Ponieważ nie kwapiłam się z jej przyjęciem, wcisnął mi ją do ręki i wspaniałomyślnie odstąpił rozkładane krzeselko w korytarzu.

– Nie wiem, dlaczego tak pani beczy, i wiedzieć nie chcę, ale jeśli z powodu faceta, to przed kolejną falą łez radzę się zastanowić, czy on jest wart takiej rozpacz.

Zrobiłam, jak zasugerował. Przemyślałam wszystko jeszcze raz i znów zalałam się łzami. Poryczałam sobie od serca, budząc popłoch oraz konsternację współtowarzyszy podróży, w końcu zebrałam się w sobie: Dobrze! Trzyście lat diabli wzięli, ale gówniarz ma rację, trzeba przestać chlipać! Też mi mąż! Muzyk erotoman, który przespał się ze wszystkimi moimi koleżankami, oszczędzając jedynie Kamilę. Wolałam sądzić, że odległość nas dzieląca nie miała najmniejszego znaczenia i nic między nimi by się zdarzyło, nawet gdybyśmy mieszkali drzwi w drzwi, oddzieleni jedynie cienką ścianką postawioną przez wyjątkowo oszczędnego dewelopera.

– Chodźmy. – Kamila szturchnęła mnie w bok i poprawiła bluzkę, której materiał oraz fason wskazywały, że była nie tylko ostatnim krzykiem mody, ale i portfela, zważywszy na utratę pracy. Ruszyliśmy przez łąkę w kierunku pola oraz szklarni. Kawałek przed zabudowaniami skręciłyśmy w pełną drogę i dotarłyśmy nią do niewielkiego skupiska drzew. Tam, w ukryciu, w cieniu starych lip i grabów stał dom dziadka Walerego.

Dom, w którym wielokrotnie spędzałam wakacje, wbrew mojemu czarnowidztwu nie prezentował się tak fatalnie jak reszta wioski. Był w miarę porządnie otynkowany, ktoś zadbał, aby dach się nie zawalił, i nawet kilka okien zostało wymienionych na plastikowe. Na podwórzu panował względny porządek, widać było, że ktoś starał się je upiększyć, bo przed wejściem do domu stała donica z okazałym bieluniem dziędzierzawą. Najgorzej prezentował się Śmierdziel, staw, w którym odbywałyśmy późnonocne kąpiele – powoli porastała go wodna

roślinność, a tuż przy brzegu leżało kilka desek przypominających pozostałości po łódce, która kiedyś była naszym statkiem pirackim.

– Ściska za serce, nie? – szepnęła Kamila.

Skinęłam głową.

– Kto o to dbał po śmierci dziadka? Chyba nie Gertruda? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić śmigającej po dachu osiemdziesięciolatki z młotkiem i gwoździami.

Dach był mocnym akcentem w naszych wspomnieniach, ponieważ kiedyś, zainspirowane lekturą *O dwóch takich, co ukradli księżyc*, również za pomocą lasa zapragnęłyśmy na świecące na nocnym niebie oko zapolować. A że na dach dziadka łatwiej było się dostać niż na szczyt najwyższego rosnącego w okolicy drzewa, więc w swej fantazji (nie bez dumy powiem, że ja byłam autorką pomysłu) skorzystałyśmy właśnie z niego.

– Mój ojciec tu przyjeżdżał, Maliny chyba również, ale najbardziej pomagał jej wnuk, ten Czesiek.

Czesiek, jak mi wcześniej powiedziała Kama, pochodził ze Zgorzelca. Do Zadola miał stamtąd jakąś godzinę drogi, więc nie aż tak daleko. Ze Zgorzelca wywodziła się również jego babcia, którą to dziadek Walery poznał dzięki anonsowi zamieszczonemu w telegazecie. Cześka nigdy osobiście nie poznałam, jednak miałam go w znajomych na Facebooku. Sam, zapewne pod wpływem dziadkowych opowiadań, kiedyś mnie tam zaczepił, przedstawił się i po dołączeniu do grona znajomych zakończył się nasz kontakt.

– Czym on się zajmuje? – zapytałam.

– Mówił, że pracuje w Niemczech. Pewnie tak jak większość ludzi mieszkających przy granicy. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem dokładnie, bo krótko ze sobą gadaliśmy. Wczoraj wieczorem nie było okazji, bo musiałam odespać, a dziś ciągle gdzieś go nosi. – Rozejrzała się po podwórzu.

– Gdzie on jest? Nikogo tu nie widać – szepnęłam.

– No właśnie patrzę, musiał gdzieś pojechać, bo nie widzę jego auta, a i jego duznego psa również nie słychać. Chodźmy do środka.

Wnętrze dziadkowego domu praktycznie w ogóle się nie zmieniło. Nie zaszły tam żadne zasadnicze zmiany ani na plus, ani na minus. Gertruda, zapewne wraz z Cześkiem, skrupulatnie dbała o zachowanie pierwotnego stanu poprzez dokonywanie bieżących napraw, ale niczego ponadto nie zrobili. W przestronnym korytarzu nadal ciągnął chłód i panował tak dobrze znany mi półmrok. Po lewej było wejście do pierwszej z dwóch kuchni, obok wiodły schody na piętro, na wprost do łazienki, a po skręceniu w prawo można było przejść do stajni. Tuż za nią, za stertą rupieci, znajdowały się drzwi do drugiej kuchni i schody do piwnicy.

– Czesiek mieszka tu. – Kama wskazała na pierwsze kuchenne drzwi. – Druga kuchnia jest nasza.



Do każdej z dwóch kuchni przynależał pokój, dzięki czemu powstały, co w tak wielkim domu jest nie lada zaletą, dwie przytulne enklawy. Dziadek nie zajmował jednak żadnej z nich, co przecież dla niego byłoby dużym udogodnieniem, lecz zamieszkiwał największy, znajdujący się na piętrze pokój. Upodobanie jego być może wzięło się z tego, że mieszkał tam ze swoją pierwszą żoną, a być może po prostu chodziło o piękny widok roztaczający się z tamtejszych okien.

Tak jak się spodziewałam, Kamila zdążyła wszystko w naszym lokum wyczyścić na wysoki połysk, tak jak tylko ona potrafiła – drobiazgowo i upierdliwie, pastwiąc się nad najdrobniejszymi szczegółami. Aż dziw brał, że nie pokusiła się o malowanie, ale głośno tego nie powiedziałam, aby nieopatrzną uwagą nie podsunąć pomysłu, który by uruchomił lawinę remontu. Podczas lustracji mojej uwagi nie umknął fakt, że do dyspozycji miałyśmy też, wprawdzie starą, ale zawsze, lodówkę.

– Czesiek również z niej korzysta – poinformowała mnie. – Dziś rano trafił na jakąś promocję i kupił dziesięć kilo kiełbasy grillowej, więc wsadził wszystko do nas. Jeśli będziesz mieć ochotę, możesz brać, ile chcesz – dodała, wyciągnęła z szuflady nóż i podeszła do lodówki. – Czesiek mnie do niej zachęcał, więc i tobie by nie pożałował, poza tym po podróży pewnie głodna jesteś.

– Nie chcę! – wyrwało mi się chyba trochę zbyt gwałtownie. Gwałtownie i bardzo szczerze. Dobry Boże! Grillowa z promocji... I do tego aż dziesięć kilo! Trzewia mi zadrzały, żołądek schował się za wątrobę, a jelita okręciły się wokół kręgosłupa. Ile mogła kosztować taka grillowa? 1,99 zł? A jakież bogaty i przerażający mogła mieć skład! Już widziałam niekończące się stosy raciczek oraz kilogramy MOM-ów, czyli wszystkiego tego, co zostaje ze zwierzaka po odjęciu mięsa. Przy tym wszystkim nie można było pominąć szerokiego wachlarza E-ileś tam. Zrobiło mi się słabo.

– A tobie co? Na wegetarianizm przeszłaś? Dobrze pamiętam, że kiedyś jadłaś niemal samo mięso? Buła z kiełbachą była twoim hitem.

– Właśnie, *kiedyś* to słowo klucz. Kiedyś mięso jadłam, teraz nie. Aby zachować równowagę między posiłkami mięsnymi a warzywno-owocowymi, w połowie mojego życia, czyli po czterdziestce, postanowiłam przerzucić się na zieleninę – powiedziałam pewnym siebie, przemądrzałym tonem.

– Sama to wymyśliłaś? – Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Sama.

– Uuuu, jesteś niepoprawną optymistką. W połowie życia powiadasz? Znaczący liczysz, że dożyjesz osiemdziesiątki. – Z uznaniem pokiwała głową. – Daj kurze grzędę, powie: wyżej siędę – dodała złośliwie.

Nie, nie liczyłam na to. Nie wiem, na co jeszcze mogłam w moim życiu liczyć, czego dobrego się spodziewać, ale z całą pewnością wiedziałam, na kogo

liczyć już nie mogłam. Na facetów, na facetów i jeszcze raz na facetów. W tej chwili jednak nie chciałam poruszać tego tematu. Kamila do tej pory ani słowem nie wspomniała o przyczynie swojego rozvodu, nie chciałam więc przy niej roztrząsać zagadnień damsko-męskich, aby przypadkiem nie urazić nieopatrzonym słowem. Najbezpieczniej było zmienić temat:

– Malwina też tu będzie spać?

– Oszalałaś? Jej przygotowałam spanie na górze.

– Na górze? Gdzie? – zapytałam.

– Jak to gdzie? Przecież w tym dziadkowym.

– Mówiłaś, że właśnie tam wyzionął ducha – przypomniałam, a na kark wylazła mi gęsia skórka.

– Wyzionął. I co z tego?

Na piętrze jedynym pokojem, który nadawał się do mieszkania, był ten największy, którego okna wychodziły na Śmierdziela. Na stałe mieszkał tam dziadek, a w czasie wakacji również i nasza trójka. Dziadek zajmował łóżko pod oknem, ja z Kamą spałyśmy na drugim, a Malina miała dostawiony rozkładany fotel.

– Dałam Malinie ładniejszy komplet pościeli – zmieniła temat.

– Ale dziadek... – powiedziałam cicho i nieśmiało wskazałam palcem w sufit, gdzie znajdował się pokój zmarłego.

– Co dziadek, co dziadek?! Już dawno go tam nie ma! A ty co?! Weźmiesz Malinę do swojego pokoju? Nie widzisz, że mamy tylko jedno łóżko? I do tego ciasne?!

Fachowym spojrzeniem omiotłam pokój i przemierzyłam go kilkoma krokami.

– Nie, nie jest aż tak źle. Od biedy można tu coś dostawić. Albo koce położyć i nawet jeszcze trochę miejsca zostanie.

– Niczego nie będziemy dostawiać ani rozkładać. Czy ty naprawdę nie dostrzegasz tej przytłaczającej ciasnoty?

– Skoro się tak upierasz, szafę możemy przesunąć za drzwi i w ten sposób zyskamy więcej miejsca na środku.

– Ja się przy niczym nie upieram, tylko powtarzam, że nie ma tu miejsca. I nie będzie go, nawet gdybyś tę szafę wywaliła przez okno. Ale jeśli tak dbasz o dobre samopoczucie Maliny – piwne tęczówki Kamili błysnęły srebrzyście, złowrogo – odstęp jej swoje miejsce i sama idź do pokoju po dziadku. Chcesz?

Nie chciałam. Bóg jeden wiedział, jak bardzo. Czym innym było przyjęcie Maliny u nas na podłodze, lub nawet przesunięcie się na łóżku, aby również mogła się zmieścić, a zupełnie czym innym odstąpienie swojego pośłania na rzecz spędzenia nocy w wielkim, pustym pokoju, gdzie kiedyś ktoś wyzionął ducha. Z mojej strony to nie wchodziło w grę.

– No jak? Chcesz? – ponowiła pytanie Kamila.

– Wiesz... chyba nie zakocham się w tym twoim pomysłem... Nie mówiłam ci o tym, ale ostatnio coś mi pęcherz szwankuje, a stąd jednak mam bliżej do toalety. Zresztą – dodałam z nagłym ożywieniem – Malina powinna być nam wdzięczna, że odstępujemy jej pokój na piętrze, bo tam jest przestronniej, więc cyrkulacja powietrza jest lepsza i przyjemniej będzie się jej oddychać.

– Otóż to! – skwapliwie poparła mnie Kamila. – Większy pokój, lepsza wentylacja, właśnie tego po krakowskim powietrzu jej trzeba. Poza tym, jeśli nadal jest taką mimozą, jaką była w dzieciństwie, najwyższy czas ją zahartować. A jeśli już taka nie jest, tym bardziej nie mamy się czym przejmować, bo będzie jej obojętne, gdzie śpi.

– Co racja, to racja – przytaknęłam i tymi słowami zamknęłam temat.

Malina miała przyjechać późnym wieczorem. Skłamałabym, gdybym twierdziła, że nie byłam ciekawa, jak się trzyma. Kamila praktycznie nic o niej nie wiedziała, bo mimo że były bliskimi kuzynkami, raczej nie utrzymywały ze sobą kontaktów. Na Facebooku miała swoje konto i nawet miałyśmy ją w znajomych, ale ani razu nie podjęłyśmy próby napisania do niej, a że Malina nie zamieściła swojego zdjęcia, nie było jasności, w jakim stopniu nadgryzł ją zęb czasu. Raz, no, może dwa, przyszło mi do głowy, żeby się do niej odezwać, ale pomysł ten pod naporem trosk dnia codziennego zniknął tak szybko, jak się pojawił. Jeśli chodzi o rodzinne relacje między rodzicami Kamy i Maliny, można by je nazwać arktycznymi, choć pewnie byłoby to i tak delikatne określenie.

Zarzewiem konfliktu był majątek po dziadku – rodzice Maliny uznali, że wszystko powinna odziedziczyć ich córka, a podstawa, na której oparli wysnucie takiego wniosku, pozostawała niezgłębioną tajemnicą. Konfliktogenego zapisu dziadek dokonał dziesięć lat przed zejściem, czyli tak dawno, że wydawałoby się, iż przez ten czas rodzice Maliny (a i ona sama również) ową domniemaną krzywdę zdążą jakoś przetrwać, oswoić się z nią, a nawet doszukać się w niej pozytywnych aspektów. Wszak tylko głupek widzi, że szklanka w połowie jest pusta. Koniec końców, stara chałupa i kawał ugoru poważnie zamieszały w rodzinnej zgodzie. Obaj synowie, owszem, odwiedzali starego ojca i dbali o niego przykładowo, ale osobno i bardzo się pilnowali, aby nigdy razem w Zadolu już się nie spotkać.

– A tak w ogóle, co chcesz z tym zrobić? – zapytałam, układając skromny zapas garderoby w starej szafie. Z obawą, w poszukiwaniu moli, przejrzałam jej wnętrze. Żadnego wygłodniałego insekta tam nie zauważyłam, lecz nędzne to było pocieszenie, bo dobrze wiedziałam, jak sprytnie potrafiły się chować. Tak zadziwiająco i sprytnie, że kilka lat wcześniej, zwiedziona ich domniemaną nieobecnością, nie nabyłam odpowiedniego środka, one zaś urządziły sobie ucztę, poważnie nadżerając płaszcz, który kosztował mnie majątek i był przedmiotem dumy oraz szczególnej troski. Od czasu tamtego wielkiego molego żarcia zawsze

kupowałam odpowiedni środek zaradczy. Jednak pakując się do wyjazdu, nie pomyślałam o zagrożeniu, które mogło czyhać w Zadolu, i nie zabrałam niczego, co mogłoby ochronić moją odzież. A że mój dobytek nie był zbyt okazały, zadrżałam na myśl, że po wielkim świecie mogłabym się przechadzać w dziurawym odzieniu.

– Czego tam szukasz? – Kamila wyłożyła się na łożku i przyglądała mi się z ciekawością.

– Moli.

– Nie ma. Wiem, bo sprawdzałam. A co do chaty, chcę ją sprzedać. Nie zamieszkać tu ani ja, ani Olaf. Nie ma po co tego trzymać.

– Może masz rację? Dom potrzebuje gruntownego remontu, a poza tym co miałabyś tu robić?

– Jasne, żadnych perspektyw. Zresztą, nie ma co gadać, moje życie jest w Hiszpanii.

– Ale żeby go sprzedać, musiałyby tego chcieć również Malina.

– Nie musi. Może kupić moją część i w ten sposób dopadnie całego majątku, a ja zyskam nieco gotówki.

Z podwórza doszedł do nas głos wjeżdżającego samochodu, potem trzaśnięcie drzwiami, a na końcu piskliwe szczekanie.

– Ktoś przyjechał. – Podeszłam do okna i zerknęłam na zewnątrz. Ku drzwiom wejściowym zdążył krępy mężczyzna, niosąc torbę z zakupami. Psa nie dane mi było zobaczyć, bo jako pierwszy dopadł wejścia, mignął mi tylko jego ogon.

– Na pewno Czesiek i jego pies.

– Taa... Ale pies, sądząc po głosiku, zbyt wielki nie jest. Pewnie jakiś kundel?

– Kundel? Chyba żartujesz. On ma czystej krwi pitbula! – zaśmiała się Kamila.

– Czystej krwi?

Gdyby jego krew rzeczywiście była czysta, nie piszczałby niczym gryzak dla niemowląt. Dobrze, że zatrzymałam tę uwagę dla siebie, bo ktoś zapukał do drzwi, i natychmiast delikatnie je uchylił.

– Kamila? Jesteś?

– Wchodź!

Do środka wkroczył przeciętnej urody mężczyzna, a krok za nim jego czworonożny przyjaciel. Obaj w pewien sposób byli do siebie podobni – niscy, przysadziści, o krótkich, krzywych nogach, rozbudowanej klatce piersiowej i małych oczkach. Pies, zapewne na mój widok, warknął piskliwie.

– Spokój, Szczek! – Ryży tupnął nogą.

– Ewa, poznaj Cześka.

– Cześć, Ewka. – Skinął mi głową. – A to jest mój przyjaciel Szczek.

– Szczek? Brzmi jak Szrek.

– Otóż to! – Czesiek dumnie wznosił palec wskazujący i szeroko się uśmiechnął, ukazując wielką diastemę. – Brzmi, ale jednak nie to samo! – Ponownie błysnął diastemą, przy czym tym razem zrobił to z pewną dozą wyższości, i rzekł: – Aby przeciwdziałać zalewającej nas amerykanizacji, mojego psiurka nie nazwałem Szrek, tylko właśnie Szczek. Różnica subtelna, ale od razu czuć polskie korzenie!

– Polskie korzenie... aha... – powiedziałam, pilnując, aby nie drgnąć z miejsca ani na pół milimetra, bo paskudny zwierzak nie spuszczał ze mnie swych świńskich ślepek.

– Nie bój się go – powiedział Czesiek. – W stosunku do ludzi jest tak przyjazny, że czasem aż naiwny.

– Naiwny... – powtórzyłam niepewnie, a Szczek ostrzegawczo warknął. I po co? Przecież się nie ruszałam.

– Słuchaj no, Kama – powiedział Czesiek. – Ja do ciebie z małym romanssem. Chleba w sklepie brakło, a dziś już nigdzie się nie wybieram. Masz odstąpić z pół bochenka?

– Coś się znajdzie. – Kamila podeszła do kredensu.

– Jak to brakło chleba? – zdziwiłam się, a przed oczyma przemknęła mi wizja zbliżającej się trzeciej wojny światowej, potopu albo apokalipsy.

– Normalnie, miejscowi wykupili. Rano jest wszystko, bułki, wiejskie chleby, nawet chałki, a po południu już różnie bywa.

– To później nie ma tam żadnej dostawy?

– Najwidoczniej nie. Ponoć przyjeżdżałaś tu jako dziecko, więc powinnaś pamiętać, że na pieczywo trzeba się dzień wcześniej zapisać. Wtedy masz pewność, że kupisz.

– Tak, ale to było ponad dwadzieścia lat temu i wtedy, owszem, były zapisy. I teraz nadal są? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Oficjalnie nie, ale nie daj Boże podpaść Łucji, niczego nie sprzeda.

– Łucja? To ona jeszcze... – chciałam powiedzieć „żyje”, ale ugryzłam się w język – prowadzi sklepik? Bo mówimy o tej przybudówce, która stała na końcu Zadola? – Chciałam mieć pewność.

– Tak. Sklep nieco podupadł, ale nadal funkcjonuje. Łucja ma się lepiej od swego miejsca pracy, ale mąż nie ma siły już jej pomagać. Całymi dniami w łóżku leży, tak mówią. – Wzruszył ramionami. – A jeśli będziesz mieć ochotę na mleko, pamiętaj, żeby zabrać ze sobą jakiś pojemnik.

– Czyli nic się nie zmieniło. Kiedyś dziadek też tam ze słoikiem lub z bańką chodził. – Pokręciłam głową.

– Tak. Między innymi dlatego się cieszę, że niedługo stąd się zbieram.

Wczesne popołudnie spędziłyśmy w kuchni. Czesiek i jego Szczek również siedzieli u siebie, bo pobliskiej ich bytności dowodziły dochodzące zza ściany dźwięk telewizora i sporadyczne, piskliwe psie poszczekiwanie. Nie drażniło mnie to szczególnie, a nawet powiem, że się cieszyłam z ich bliskości, bo dzięki sąsiedztwu krzepkiego mężczyzny oraz psa czułam się w tym dużym, starym domu pewniej i bezpieczniej.

– To co? Bierzymy coś na ząb? Od dawna burczy mi w brzuchu – zaproponowała Kamila i otworzyła lodówkę, a mnie owionął obrzydliwy zapach kiełbasy z promocji.

– Czeskiej kiełbasy jeść nie będę – powtórzyłam kategorycznie.

– Powinnaś zjeść coś ciepłego, a ona nadaje się do gotowania.

– Na temat jedzenia mięsa już mówiłyśmy – przypomniałam jej i na wypadek gdyby chciała mnie karmić na siłę, wcisnęłam się w kąt między starym piecem a stołem.

– O wiem, zupkę mam. – Kamila zamknęła lodówkę, zachowując w dłoni odłamany kawałek kiełbasy.

– Jaką?

– W proszku. Zaraz sprawdzę. – Sięgnęła do szuflady i wyjęła dwa plastikowe opakowania.

– Grochówka i ogórkowa.

– Sama niczego nie ugotowałaś?

– Oszalałaś? Nie można mieć jednocześnie posprzątanых kątów i domowego obiadu. Albo jedno, albo drugie.

– Wybieram to drugie.

– Za późno, za to smak zupki możesz sobie wybrać. Który chcesz?

Wzruszyłam ramionami.

– Żaden.

Czułam się źle, porządnie piekło mnie za mostkiem i miałam wrażenie, że to pieczenie spotęgowało się na wieść o zupkach w proszku. Wylazłam zza stołu i sięgnęłam do torby, gdzie w kieszonce trzymałam alugastrin. Szybko zmiażdżyłam zębami tabletkę.

– Co tam łyknęłaś? – zapytała.

– Coś na żołądek.

– A widzisz, jesteś taka głodna, że aż niedobrze ci się robi. Gadaj szybko, którą zupkę ci zrobić!

– Odczep się z tymi zupkami! Chleba przegryzę i też przeżyję.

Podeszła bliżej i pracowicie przeżuując kawał Czeskiej kiełbasy, uważnie mi się przyjrzała. Przełknęła i powiedziała:

– Twoja mama mówiła mi, że po rozwodzie popadłaś... – na chwilę zawiesiła głos – w coś w rodzaju przesady. – Zapewne sądziła, że zaczęła

ostrożnie, ale moje odczucie było takie, że zachowała się jak wieśniak na pańskim weselu. Bo w końcu to ja, a nie ona, rozwód przeszłam jak bardzo ciężką chorobę, wręcz zarazę, która swe ślady mocnym piętnem odbiła nie tylko na mojej duszy, ale i ciele.

Uporczywe, dogłębne i nieustające analizowanie erotomańskiego hobby mojego męża najpierw wpędziło mnie w problemy ze snem. Przez długie nocne godziny zachodziłam w głowę, czy seksualne ADHD małżonka było jego cechą osobniczą, czy tego paskudztwa nabawił się na skutek mojej erotycznej miernoty? Tak właśnie do mnie mówił:

– Ty seksualna miernoto.

A jeśli własny mąż tak mówił, w dodatku nieustannie, nie pozostało mi nic innego, tylko w to uwierzyć.

Do zaburzeń snu szybko dołączył brak apetytu. Wyszłam na wiór, ubrania wisiały na mnie gorzej niż na wieszaku, a twarz pokryła siateczka zmarszczek. I trądzik. Doprawdy zabawna konstelacja – zmarszczki i trądzik! Myślałam, że gdy zły czas minie, do formy wrócę szybko i bez problemu, ale bardzo się myliłam.

Po ostatniej rozprawie czułam się nad podziw lekko i rześko – kamień sturlał się z mojego serca. Klamka zapadła, i koniec. Myślałam, że od tej chwili będzie już tylko lepiej. Wyszłam z budynku sądu, a za mną nieśpiesznie, z ironicznym uśmiechem na twarzy, wyłonił się Maciej. Bez słowa założył nieodłączne ciemne okulary, wsiadł na choppera, przygazował, machnął z lekceważeniem ręką i pojechał w dół ulicy. Wiele mnie kosztowało, aby odmachać mu równie lekko i obojętnie, jednak gdy tylko zniknął z mojego pola widzenia, zakręciło mi się w głowie i runęłam na ziemię jak długa.

Wylądowałam w szpitalu, gdzie oczy otworzyły mi się na pewną bardzo gorzką prawdę – wkrótce wybije mi czterdziestka! I nie było to „dopiero” czterdzieści lat, lecz „aż” i „już”. Z tego to powodu, powodu zaawansowanego wieku, żaden lekarz nie załamał rąk nad moją nerwicą, nie uzalił się nad refluksem ani nadkwasotą, a i nie przejął zbyt niskim poziomem żelaza.

– Żelazo uciekło pani przez chory żołądek – wyjaśnił taki jeden w niedopiętym fartuchu, niedopiętym z powodu braku guzików, które nie wytrzymały naporu opony wyhodowanej na brzuchu pana doktora.

– Przez żołądek? – pisnęłam z przerażeniem i wwiерciłam się wzrokiem we własny brzuch, w miejsce, gdzie tkwił ów dziurawy żołądek.

– Chciałem powiedzieć z powodu żołądka. Chorego żołądka. Zapiszę pani odpowiednie lekarstwo plus żelazo na uzupełnienie braków i niedługo powinna pani poczuć poprawę.

Znalazło się jednak coś, co wśród medycznego personelu wzbudziło niejakię ożywienie – moje ciśnienie. Podczas mierzenia za żadne skarby świata żaden z dostępnych tam aparatów nie mógł wpaść na jego trop.

– Ty, spójrz na aparat! Widzisz? – Ten z oponą szturchnął drugiego, który notorycznie dłużył wykałaczką w zębach.

– Nie widzę. – Drugi doktor przełożył wykałaczkę, w zamyśleniu zaczął dłużyć po prawej stronie szczęki, po czym spojrzał, jakby mnie pierwszy raz na oczy zobaczył.

– No co? – zapytałam głupio.

– Nie no, żyje. Przecież gada – mruknął pod nosem Wykałaczka.

– Sport podnosi ciśnienie – podsunął Opona, i tak oto wpadli na to, aby przegonić mnie po korytarzu i po biegu ponownie zmierzyć ciśnienie. Najpierw gwałtownie zaprotestowałam, ale przyparta do muru ruszyłam z miejsca i utyskując na służbę zdrowia, niezdarnie pomknęłam przed siebie.

– Auć! – Zatrzymałam się nagle i złapałam za paluch prawej nogi. Z różnym natężeniem pobolewał mnie od roku, ale nagły ruch spowodował ból, którego nigdy bym się po nim nie spodziewała.

– Dalej, niech biegnie! – wrzasnął Opona.

– Palec mnie rozboleł! – jęknęłam.

– Symulantka – półgłosem powiedział Wykałaczka i zabrał mnie na prześwietlenie.

– To haluks – powiedział, oglądając zdjęcie.

– Czasem boli mnie też kolano – przypomniałam sobie.

– Trzeba było wcześniej mówić – mruknął i ponownie skierował mnie do pracowni RTG.

Na zdjęciu nic nie wyszło, a skoro nic nie wyszło, to i leków nie dostałam.

– A nie mówiłem, że symulantka? – dodał z głupkowskim uśmiechem.

Uwagę puściłam mimo uszu i o zdrowe kolano postanowiłam zawalczyć u innego lekarza.

Pobyt w szpitalu, zamiast podbudować zdrowie, zdołował i sponiewierał moje poczucie wartości. Wszystkie słabości mojego ciała, które można było potwierdzić za pomocą badań, zostały nazwane i spisane. Uświadomiłam sobie, że w najlepszym razie jestem w połowie życia i z biegiem lat mogło być tylko gorzej. Życie zaczęło mi się jawić jako szybka jazda ulicą jednokierunkową, gdzie z każdym pokonywanym kilometrem mijane krajobrazy stają się coraz brzydsze, odstręczające i apokaliptyczne. Te wstrząsające widoki obrazowały zmieniające się wraz z wiekiem ciało. Teoretycznie mogłam na chwilę wysiąść, by to i owo poprawić, ale chirurgia plastyczna nigdy mnie nie pociągała. Wehikuł czasu czekał, szybko trzeba było wsiadać i dać się wieźć ku zupełnej, czekającej na końcu drogi degradacji. Rozpadowi, unicestwieniu i zniknięciu.

Żałowałam, że wtedy, przed sądem, gdy padłam na tej ulicy, nie przejechał mnie jakiś pijany kierowca. Trzeźwym też bym nie pogardziła. A tak co? Trafiłam do szpitala, gdzie w imię fałszywej troski wytknięto mi nie tylko choroby, ale



brutalnie uzmysłowiono, że czas nie oszczędzi nikogo. Mama naciskała na mnie, abym podziękowała starszej pani, która wtedy zadzwoniła po karetkę – ale wybiłam jej to z głowy:

– Za co mam jej dziękować?! Pośrednio przez nią właśnie jak ostatni głupek ganiałam po szpitalnym korytarzu!

Nie mogłam odmówić Oponie i Wykałacze, że na jakiś czas udało im się uwolnić mnie od nękających przypadłości. Jednak gdy skończyły się leki, pomna doznanych upokorzeń, nie poszłam już na kontrolę do żadnego z nich, ani też jakiegokolwiek lekarza medycyny konwencjonalnej, tylko skłoniłam się ku naturze i skierowałam swe kroki do zielarza. Ten nie gadał, nie wgryzał się w PESEL, w milczeniu przeczytał wyniki badań, zapytał o samopoczucie, zajrzał do prawego oka, obejrzał dłonie i kazał się rozebrać, co uczyniłam z niejakim ociąganiem.

– Majtki i stanik również – powiedział, oblizał wargi, a dłonie zaczęły drżeć mu nieznacznie.

– Nie.

– Moja pani... – Zielarz wstał i zaczął krążyć wokół mnie jak sęp nad ofiarą. Oczy mu niezdrowo błyszczały i spoglądał na mnie coraz bardziej pożądliwie. Ponadto zauważyłam, że coraz bardziej spycha mnie ku kanapie. – Żeby postawić właściwą diagnozę, muszę dogłębnie poznać pani ciało. Nie chce chyba pani, abym ją otrui?

– A nie może pan mnie zdiagnozować na podstawie oka i dłoni?

– To za mało. Więcej muszę obejrzeć – powiedział kategorycznym tonem, usilnie starając się zajrzeć mi za stanik. Odsunęłam się.

– Więcej? Ależ proszę bardzo, skórę na głowie mogę panu pokazać. – Szybko przywdziałam bluzkę oraz spodnie i nim się obejrzał, pod nos podstawiłam mu czubek głowy.

– Skoro pani taka uparta, zastosuję leczenie połowiczne, a za skutki uboczne zupełnie nie ręcę – burknął obrażony.

W milczeniu zapisał kilka zestawów ziółek i ze złośliwym błyskiem w oczach skasował ode mnie trzysta złotych, co tak mnie wyprowadziło z równowagi, że zupełnie zapomniałam zapytać o szczegółowy skład mieszanek. Na szczęście po roku nauki botaniki miałam w głowie resztki łacińskiej nomenklatury i doczytałam, że w jednej z torebek były między innymi liść pokrzywy oraz koszyczek rumianku, a w drugiej siemię lniane. Ziółka mi pomogły i wbrew groźbom zielarza nie wykazały żadnego działania ubocznego.

– Kiedy rozmawiałaś z moją mamą? – z pretensją zapytałam Kamilę.

– Kiedyś. Zadzwoniłam, gdy cię nie było, więc z mamą sobie pogadałam.

– Nic mi nie mówiła.

– Najwidoczniej zapomniała. Taki tam szczegół.

– A ty... właściwie dlaczego się rozwiodłaś? – Musiałam zadać jej to

pytanie. To, że z rozvodu się cieszyła, wiedziałam tak samo jak wszyscy użytkownicy Facebooka, ale dokładnej przyczyny rozstania nadal nie znałam. Kiedyś, podczas rozmowy telefonicznej, mgliście i niejasno bąknęła, że wreszcie przejrzała tego podłego kanalię Eksa i bohatercko położyła kres przydługiej fikcji.

– Nie mówiłam ci o tym jeszcze? – Dyndający kosmyk włosów zawinęła za ucho. Nadal, jak przed laty, nosiła fryzurę „na pazia”. Teraz jednak włosy były dłuższe, bo sięgały ramion. Kolor też miały ten sam, złotego blondu, ale dziwnie błyszczący. Podejrzewałam, że było to nie tyle wynikiem pieczołowitej pielęgnacji, ile doskonałej farby. Figurę Kamila również utrzymywała niezłą, może zaokrągliła się tu i ówdzie, ale nie było się czemu dziwić – z wiekiem przecież zmienia się przemiana materii. Biorąc to pod uwagę, przyjaciółka całkiem dobrze się trzymała. No, może sprawiała wrażenie nieco zmęczonej.

– Więc o co poszło? – popędziłam ją, bo wydawała się przede mną otwierać, lecz szło jej to opornie, a nie mogłam i nie chciałam dopuścić, żeby nagle zmieniła zdanie i znów schowała do swej skorupy. Musiałam ją przydusić, aby nie miała czasu na przemyślenia, czy opłaca jej się dzielić ze mną swą tajemnicą.

– Eee... różnica charakterów. Poważna różnica.

Ze zrozumieniem pokiwałam głową. Poważna różnica charakterów bywa dla związku śmiertelną trucizną.

– Dopiero po tylu latach to zauważyłaś?

– Czepiasz się? – Kama, zupełnie nie wiem dlaczego, się nastroszyła.

– Coś ty.

– Powiem ci coś bardzo ważnego...

– Tak? – Ciekawie nadstawiłam ucha, licząc, że wymieni wszystkie grzechy oraz mniejsze i większe wykroczenia byłego, a będzie tego tyle, że przyćmi wybryki mojego Eksa, ale nic z tego.

– Człowiek musi czytać... – westchnęła.

– Słucham? – Albo się przesłyszałam, albo przyjaciółka zwyczajowo zmieniła temat, gdy tylko zahaczył on o sprawy związane z Pedrem.

– Czytać trzeba, moja droga, czytać. Wtedy dopiero oczy się otwierają na całą zgniliznę tego świata, jego podstępność oraz zawoalowaną podłość otaczających cię ludzi!

Tak, słowa zrozumiałam, w końcu po polsku mówiła, ale co chciała przekazać – nie miałam pojęcia. Czyżby z głodu tak bredziła? Cały dzień jak ta wariatka sprzątała chałupę, potem odebrała mnie z dworca, urobiła się, zapomniała porządnie zjeść i plecie od rzeczy, bo ten kawałek pożartej przez nią Cześkowej kiełbasy był zbyt mały, by świeżym paliwem zasilić jej mózg. Mnie z głodu bolał żołądek, a jej w głowie się poprzestawiało.

– Kamila, może coś byś jeszcze zjadła? – zasugerowałam nieśmiało.

– Daj spokój z bzdurami, gdy o książkach mówię!

– Ale, Kamuś... jak się one mają do twojego rozwodu? I konkretnie, o jakich książkach mówisz?

– O poradnikach. O poradnikach mówię! Nie patrz tak głupio, bo nie o byle czym mowa, tylko o światowych bestsellerach.

– Wiesz, ja nadal niczego nie rozumiem. – Wstałam i z rezygnacją nastawiłam czajnik. Czas na zakupkę. Jeśli ja się poświęcę i zacznę jeść, jest szansa, że i Kama coś tknie. Tknie i bredzić przestanie. W imię psychicznego zdrowia przyjaciółki na ołtarzu poświęceń przyszło mi złożyć ofiarę z własnego żołądka.

– Bo widzisz... – Kama, aby lepiej poskładać myśli, najwyraźniej planowała tam i z powrotem przemierzać kuchnię, a że pomieszczenie wielkie nie było, więc zrobiła tylko dwa kroki i już była przy oknie. Obrót. Dwa w drugą stronę. Stała. – Przez wiele lat myślałam, że z Eksem tworzymy związek idealny. No, niemal idealny. Klótnie występowały, ale sporadycznie, seks był okej, poza tym Eks bez mrugnięcia zaakceptował Olafka i sam zaproponował, że go zaadoptuje. Wiesz, do tego jeszcze idealni teściowie, dwa razy w roku wakacje, jedno z Olafkiem, a drugie bez...

– Z kim wtedy zostawiałaś jedynka? – zainteresowałam się, przerywając wgapienie się w instrukcję obsługi chemicznej zakupki.

– Z teściami.

– Tymi idealnymi?

– Przecież innej pary teściów nie miałam.

– Jasne – mruknęłam ku własnemu zdziwieniu dość zazdrośnie. – I co dalej?

– Do tego miałam własny dom z basenem, czego chcieć więcej?

– No właśnie, czego? – mruknęłam, udając obojętność, lecz w głębi duszy tak bardzo jej zazdrościłam!

Kamila, zajęta brodzeniem we wspomnieniach, spojrzała na mnie nieprzytomnie.

– Co mówiłaś?

– Pytałam o wpływ bestsellerów na twoje życie.

– A tak, racja. Zboczyłam z tematu. Otóż zaczęłam czytać.

– Poradniki. Wiem. – Zalałam zakupki wrzątkiem. Po kuchni rozszedł się zapach plastiku.

– Ale nim do nich przeszłam, zaczęło się od psychotestu, który dotyczył związków. Zrobiłam go ot tak, z nudów, i wiesz, wynik dał mi do myślenia.

– A konkretnie, co tam napisali?

– Nie pamiętam szczegółów, ale w skrócie ci powiem, że radzili, abym pobudziła mojego męża do działania, bo w nasz związek dawno wkradła się nuda.

– Nuda? To chyba nie był ten problem. Na pewnym etapie każdemu się wkłada. Na narty trzeba było pojechać, oczywiście podrzucając wcześniej Olafka teściom. – Masz, zjedz. – Postawiłam przed nią plastikową ogórkową. Obie zupy

były tak samo obrzydliwe, więc nawet nie było sensu pytać, którą woli.

– Och nie! Nasze małżeństwo było tak bezpłciowe, że byle narty już by go nie ożywiły.

– Skąd taka pewność?

– Przeczytałam w jednym z poradników. Bestsellerowych oczywiście.

– Och! – wykrzyknęłam, bo poparzyłam sobie usta.

– Tak, i ja również byłam zachwycona! – Źle zinterpretowała mój okrzyk. – Wtedy sięgnęłam po kolejne. – Gorączkowała się, a chorobliwy rumieniec pokrył jej twarz aż po nasadę włosów. – Żebyś ty wiedziała, ile cennych rad się w nich kryło! Jedna ważniejsza od drugiej, a między wierszami ile ciekawych rzeczy wyczytałam!

Patrzyłam na nią oniemiała i zastanawiałam się, do czego mnie mogłaby doprowadzić lektura tego typu? Bo jeśli Kama za pomocą rad zaczerpniętych z książek rozwaliła normalne małżeństwo, to do czego mnie mogły natchnąć? Do zamordowania Macieja ze szczególnym pastwieniem się nad jego organami płciowymi? Teściowie, na tę wieść, najpierw sobie, a potem mnie wyrwaliby włosy z głowy, a moi krewni ze zgrozą wypisaną na twarzach zapadliby się pod ziemię. Otrząsnęłam się z nedorzecznych myśli. Nie było warto – chwila przyjemności, a potem kraty: dożywocie albo dwadzieścia lat najmniej. W sumie dobrze, że nie czytywałam poradników. Literaturę lubiłam niemal każdą, ale ten gatunek jakoś do mnie nie przemawiał. I Bogu za to chwała.

– Może zupki skosztujesz? – Podsunęłam kubek Kamili, ale właśnie robiła dwa kroki w kierunku drugiego końca kuchni, więc na mój ruch nie zwróciła uwagi.

– I wiesz, czego się dowiedziałam? – Odwróciła się tak gwałtownie, że znów poparzyłam sobie usta! – Że panujące w naszym związku chroniczna nuda oraz zabójcza przewidywalność mogły doprowadzić nas nad przepaść! Albo Pedro mnie zdradzi, albo ja jego, albo...

– Wzajemnie się pozabijacie – podsunęłam.

– Skąd wiesz? Czytałaś coś na ten temat? – Łypnęła na mnie z przeblyskiem zainteresowania, które jednak zniknęło szybciej, niż się pojawiło. Nie czekając na moją odpowiedź, kontynuowała. – Tak, tak właśnie pisali, że się w końcu pomordujemy...

Nie, takich bzdur słuchać nie mogłam.

– I napisali tam wszystko dokładnie tak, jak mówisz? Słowo w słowo?

– Och nie, tak na okrągło, te najważniejsze rzeczy między wierszami wyczytałam.

– I jako środek prewencyjny zastosowałaś rozwód.

– Tak! – Oczy jej rozblęły. – Dzięki temu uratowałam życie swoje lub jego, a Olafek z całego zła, które mógł przeżyć, zaznał tylko rozwodu.

– Kamila. – Pomieszałam łyżeczką w kubku. – Czy ty słyszysz, co pleciesz? Jakie bzdury wygadujesz?

– Ja? Bzdury?! Gdyby nie te bzdury, wcale by mnie tu nie było!

– Bo nadal jako mężatka byłabyś w tej chwili na Florydzie.

– O nie, moja droga! – Z wyższością pogroziła mi palcem. – W pierdlu bym siedziała albo gniła pod ziemią.

Chciałam zaooponować, wyprowadzić z błędu, w którym tak uparcie tkwiła, ale nie dała mi dojść do słowa:

– Ewa, ty się lepiej zastanów nad tym, co przeszłaś, a potem uczciwie sobie odpowiedz, czy gdybyś miała możliwość zapobieżeniu temu, co zaszło, dałabyś aż tak wpuścić się w maliny? Nie, nie odpowiadaj. Obie dobrze znamy odpowiedź. Ja natomiast w porę pojęłam, co się święci, podjęłam odpowiednie kroki i zapobiegłam tragedii.

– Tragedii! – Prychnęłam pogardliwie. – A jeśli chodzi o rozwód, również go wzięłam, i to bez poradników. – Podniosłam palec.

– Tak, ale za późno. Gdybyś w porę sięgnęła po literaturę fachową i za jej pomocą swój związek rozłożyła na czynniki pierwsze, rozwiodłabyś się o wiele wcześniej, dzięki czemu na zdrowiu byś nie podupadła, byłabyś o wiele młodsza i może przed czterdziestką miałabyś już drugiego faceta.

– Skończmy ten temat, dobrze?

W kwestii zawierzenia poradnikom Kama racji nie miała, ale jeśli chodzi o to, że dużo wcześniej powinnam była krytycznie przeanalizować moje małżeństwo, to i owszem. I co ona tam jeszcze powiedziała? Coś na temat drugiego faceta? Mnie na pewno nie był potrzebny. No dobrze. Może czasem czułam się samotna, ale będąc w związku z Maciejem, najczęściej również tak się czułam, stąd wniosek, że obecność drugiej osoby nie gwarantowała definitywnego pożegnania się z samotnością. Facet, czterdziestka... Och, że też musiała mi to wypomnieć! Poczulałam, jak w żołądku wszystko mi się wywraca i ponownie sięgnęłam po alugastrin.

– Nie za często to łykasz?

– Nie.

– Ziółek nie próbowałaś? Mam taką fajną książkę...

Ziółek! Przypomniał mi się zielarz uporczywie zagląający za stanik i nakłaniający do zrzucenia garderoby.

– Znam się na ziołach, przecież ogrodnictwo studiowałam – przypomniałam jej, ani słowem nie wspominając o historii z dziadym, który najpierw zmusił mnie do striptizu, a potem kazał za niego zapłacić. – No, może nie na wszystkich, ale na kilku na pewno – dodałam gwoli uzupełnienia, bo jeszcze by mnie zapytała o jakiś szczegół, o którym nie miałabym pojęcia i albo musiałabym powiedzieć coś niezgodnego z prawdą, albo się przyznać, że jednak nie jestem aż taką specjalistką,

za jaką się podawałam.

– I co, pomogły?

– Rumianek i pokrzywa działają całkiem nieźle, ale właśnie mi się skończyły. Jutro idę po nie na łąkę.

– Tylko nie licz, że będę z tobą po krzakach latać. Muszę z Maliną dobytek zinwentaryzować.

– Właściwie to czym ona miała przyjechać? – Dyskusja z Kamilą tak mnie pochłonęła, że zupełnie zapomniałam, gdzie byłam i po co przyjechałam, a Malina wyparowała mi z głowy absolutnie.

– Kto ją tam wie? Mówiła tylko, że będzie pod wieczór.

– Można by po nią wyjść. – Spojrzałam w okno, za którym już porządnie szarzało. Gdy jako dziecko bywałam na wakacjach w Zadolu, nigdy nie słyszałam, aby zdarzyły się tu jakieś burdy, rozboje lub nawet głośniejsze imprezy. Ale czasy się zmieniły, nie ominęły również i tego miejsca, czego dowodem było tajemnicze zniknięcie Krzyśka. Dałby Bóg, aby tego powodem rzeczywiście była tylko spontanicznie powzięta decyzja o chwilowym porzuceniu pomidorów na rzecz szaleństwa i przyjemności, które miałyby odświeżyć umysł i odprężyć utrudzone ciało.

– Daj spokój. Nim dojdziemy do głównej drogi, będzie zupełnie ciemno, a poza tym przecież to tylko Malina.

– Malina czy nie, ale istota ludzka. Może chociaż wyjdźmy przed dom? – Czułam lekkie gryzienie sumienia. – Wystarczy, że ulokowałyśmy ją w pokoju dziadka.

– Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi. Nigdzie nie idę, bo mi się nie chce, za to mogę czekać na nią w oknie.

Otworzyła je i umościła się na parapecie.

– Siadaj. – Usunęła się nieco. Wciągnęła w płuca powietrze: – Ale odlot! Co za zapachy!

Poszłam jej śladem. Miała rację, pachniało cudownie i nawet bliskość Śmierdziela, od którego zwykle dobiegała woń gotowanego kalafiora, nie psuła pachnącej atmosfery. Może wynikało to z tego, że nie było wiatru i cuchnące powietrze nie przemieszczało się znad miejsca, gdzie nabierało woni. Kiedyś mimo odstręczającego zapachu pływałyśmy po tym stawie łódką, a nawet zażywałyśmy w nim kąpieli. Teraz od wody ciągnął lekki chłodek, jakiś ptak śpiewał w pobliskich krzakach, a co najważniejsze – wokół panował sielankowy spokój, o jaki trudno w nadmorskiej, pełnej turystów, miejscowości.

– Tak, jutro pójdę po ziółka – powiedziałam, z przyjemnością oglądając okolicę. – Może również znajdę meliskę, ona też by mi się przydała – dodałam, bo przypomniało mi się, że to zioło także figurowało na spisie cudownej mieszanki od zielarza.

– A idź sobie, idź.

I utknęłyśmy w tym oknie, na parapecie, zadumane, zachwycone piękną prostotą zaniedbanego zakątka. Nie wiem, jak długo trwałybyśmy w tym bezmyślnym gapieniu, gdyby nie zrobiło się ciemno, a chłód stał się bardziej dokuczliwy. Wzdrygnęłam się i otuliłam rękoma.

– Maliny nadal nie ma – powiedziałam.

– Co?

– Mówię, że Maliny nie widać.

Kamila obojętnie wzruszyła ramionami.

– Pamiętasz, dziadek miał taką książkę w czarnej oprawie...

– Pamiętam. Mocno wampiryczno-horrorzasta była, a co?

– Było w niej takie opowiadanie... zaraz, niech sobie przypomnę tytuł... coś z wampirami to chyba było...

– *Rodzina wilkołaka*<sup>1</sup> – podsunęłam.

– O właśnie! Też je pamiętasz!

– No i co z tego? – Nie miała czego wspominać! Pora zrobiła się późna, dom stał na uboczu i nawet świadomość bliskiego sąsiedztwa Cześka nie wydawała mi się tak kojąca jak wcześniej.

– Nie sądzisz, że jesteśmy jak rodzina tego starego...

– Gorczy.

– O właśnie, ale ty masz pamięć! – Spojrzała na mnie z podziwem. – No więc, przyszło mi na myśl, że my, tak jak i krewni tego starucha, w napięciu czekamy na kogoś z rodziny. Oni na dziada wracającego z wojny, a my na Malinę. Tylko że w tej książce dziad, owszem, wraca, ale jako wampir, a potem ich wszystkich... – gadała ze wzrokiem wbitym w bliżej nieokreśloną dal.

– Zamknij się! – syknęłam.

Opowiadanie to po raz pierwszy przeczytałyśmy tu, w Zadolu, na dziadkowym strychu. Bardzo nas wystraszyło, a mnie, do czego się nie przyznawałam, chyba najbardziej. Jednak robiłam dobrą minę do złej gry i przez dłuższy czas wspominałam wątki z tej historii, po to, by je bezlitośnie wyśmiać. Śmiałyśmy się również z Maliny, że bała się sama w nocy chodzić do wychodka, ale ona przynajmniej miała w sobie odwagę, by się do tego przyznać. Ja udawałam bohaterkę i z pełnym pęcherzem wtulona w poduszkę, z kołdrą naciągniętą na głowę, czekałam, aż wszędzie słońce, aby bez duszy na ramieniu pójść wreszcie się załatwić. Za nic w świecie nie poszłabym sama w nocy do wychodka, tym bardziej że była to typowa wiejska latryna z wyciętym w drzwiach serduszkciem i dość drastycznie uszkodzoną deską do siadania. Kamili, aby mi towarzyszyła, wołać nie zamierzałam, bo w ten sposób dowiedziałyby się, że i ja miałam stracha. Za to z pomocy mojej przyjaciółki skwapliwie korzystała krakowska mimoza. Pouczyłam Kamilę, że za te usługi należy jej się opłata i pomogłam ustalić cennik.

Malina chciała się od niej uniezależnić, więc pewnej nocy obudziła dziadka. Wyszedł z nią, owszem, ale drugiego dnia od wczesnego popołudnia nie pozwolił jej pić, a wieczorem obok łóżka postawił wiaderko. Wobec tego Malinie pozostało tylko korzystanie z usług Kamili.

– Chyba się nie boisz? Przecież to tylko fantazja. – Zaśmiała się niepewnie, z lekką obawą, i dyskretnie rozejrzała się po kątach. To, czy ja się bałam, było moją sprawą osobistą. Do strachu na pewno bym się nie przyznała. Nigdy!

– Fantazja czy nie, ale z miłego nastroju zostały zgłiszcza – rzuciłam z pretensją.

– Dobrze, już dobrze. Pamiętasz Dziada Rasputina?

– No pewnie!

Dziad Rasputin był najbliższym sąsiadem dziadka Walerego i zarazem jego najlepszym przyjacielem. Niekiedy przychodził do niego wieczorem, by rznąć w karty i rzucać przy tym mięchem. I to takie kawałki, jakich nigdy wcześniej i nigdy później nie dane mym uszom było usłyszeć. W wyjątkowo ciepłe wieczory siadali na ławce przed domem, popijali tęgo i tak hałasowali, że nie sposób było zmrużyć oka. I mimo że słońce dawno zaszło, chowali się pod dużym rozkładanym parasolem, jakby sądzili, że nie jesteśmy w stanie się domyśleć, co tam wyprawiali. Nierzadko wydawało nam się, że spod parasola dochodził trzeci, męski, równie rozbawiony głos. Gdy po którymś z takich wieczorów zagadnęliśmy o to dziadka, spojrzał na nas zaskoczony, po czym zmarszczył gąbczasty nochał, tryknął paluchem najpierw w Maliny, potem Kamy, a na końcu w moją klatkę piersiową i rzekł ostro:

– Tylko we trzech tam byliśmy... chciałem powiedzieć dwóch! Ale jeśli wam się w uszach troi, to może piwo podprowadziłyście, hę?!

– Ależ dziadku! My żadnego piwa nie piłyśmy! Tylko wydawało nam się, że pod parasolem siedzą trzy osoby – niemal biła się pierś Kamila, zapewne przerażona wizją rodziców grzmiących o negatywnym wpływie alkoholu na wszelkie młode organizmy.

– No właśnie, we trzech... znaczy we trzech nie siedzieliśmy. We dwóch graliśmy. Jak zwykle zresztą. – Dziadek ziewnął szeroko. – A teraz idźcie na podwórze i pozbierajcie butelki po piwie, ja się muszę przespać. Ale najpierw napić. Wody najlepiej...

Mimo że Rasputin był tak blisko z dziadkiem Walerym, my zawsze się go bałyśmy. Budziły w nas lęk jego donośny głos, obcesowy styl bycia i kaprawe spojrzenie, którym ciskał spod demonicznych, krzaczastych brwi. I nie tylko brwi miał demoniczne. Wtedy, jako podłotek, o prawdziwym Rasputinie miałam mgliste pojęcie i nie wnikałam, dlaczego tak właśnie wszyscy wołają na dziadkowego sąsiada. Po latach, dzięki lekcjom historii, a konkretnie zdjęciom, znalazłam na to odpowiedź – obaj byli do siebie uderzająco podobni. Dziad Rasputin nosił również



długą brodę, miał przenikliwe spojrzenie, a gęste, dość długie włosy na czubku głowy rozdzielał równym przedziałkiem i zakładał je za uszy. Jego nieodłącznym strojem były luźna koszula z długim rękawem przepasana w pasie sznurem oraz lniane spodnie. Zdarzało się, że dziadek Walery mówił o nim „ten Rusek”, ale stuprocentowej pewności, że sąsiad faktycznie pochodził z Buga, chyba nie miał. Rasputin oryginalnym wyglądem mógł budzić zainteresowanie, jednak charakter miał wyjątkowo odstręczający – kłótniowość szła pod rękę z jednej strony z podłością, z drugiej z intrygantwem, a za tymi cechami pędziła zła wola. Wprawdzie morderstwa nikt mu nigdy nie udowodnił, ale krążyły plotki, że coś na rzeczy było. Mówiło się, że zatrudnił kiedyś u siebie trzech miejscowych pijaczków i obiboków, takich, co to swe życie najchętniej by utopili w tanim bełcie. Mieli pomagać mu w polu, sprzedaży plonów oraz szeroko pojętych pracach w gospodarstwie. Niestety, nieszczęśni wpadli na pomysł, aby zarobek wzbogacić o ekwiwalent uzyskany ze sprzedaży ukradzionych Rasputinowi warzyw. W nocy szaber, w dzień praca, wieczorkiem upłynnianie towaru, a potem picie późno w noc. Wszystko szło dobrze do czasu, gdy Rasputin poczęstował ich samogonem, co zrobił nie tylko efektownie, ale i efektywnie, bo zapili się na śmierć. Od tamtego czasu nikt nie ważył się podnieść z Rasputinowego pola choćby listka kapusty, a większa kradzież już nikomu do głowy nie przyszła. Kto mógł, go unikał, a w okolicy jego domu raczej się nie zapuszczano. Dziadek Walery jednak nigdy z nami tego wątku nie poruszył, co mnie nie dziwiło, bo byliśmy przecież całkiem smarkate, a taka opowieść mogła źle wpłynąć na nasz szeroko pojęty rozwój psychosomatyczny. Sam dziadek przeszłością sąsiada niewiele się przejmował, bo nadal rżnął z nim w karciochy, popijał piwo i przerzucał się przekleństwami. Ale nigdy nie zauważyłam, aby po ich imprezach zostały jakieś naczynia wskazujące na to, że raczyli się innym trunkiem niż piwo. Bo jeśli Rasputin pędził bimber, od czasu do czasu mógł dziadka poczęstować. Wszystkie przesłanki wskazywały, że dziadek alkoholu jego produkcji do ust nigdy nie wziął. W grę wchodziły dwie możliwości: albo Rasputin nie pędził i dziadek nie pił bimbru, bo siłą rzeczy nie miał co, albo jego kompan pędził, a dziadek nie pił, bo się bał.

Strach, jaki budził we mnie Rasputin, był dla mnie swego rodzaju wyzwaniem. Nie chciałam mu się poddać to raz, a dwa – dziadkowy sąsiad mimo wszystko mnie intrygował. Nie wiem, czy Malinę i Kamę również, ale nie starałam się tego dociekać. Mój charakter i przekorna natura kazały mi działać wbrew wszelkim obawom i zakazom, jeśli więc groźny dziad nie pozwalał przychodzić na swoje podwórze – tym bardziej namawiałam do tego dziewczyny. One jednak do tego typu propozycji nigdy nie zapalały szczerym entuzjazmem. Raz czy dwa Kamila złamała się i towarzyszyła mi na skraj jego pola, ale nigdy nie chciała podejść bliżej. Zresztą i tak by nam się to nie udało, bo za każdym razem Rasputin nas wypatrzył i przepędził, wściekle wymachując rękami. Któregoś dnia wybrałam

się tam sama. Zakradłam się jak najbliżej płotu i wyteżyłam wzrok. Prócz rozciągniętej linki z zawieszonymi na niej męskimi gaciami niczego interesującego nie dostrzegłam. Ale za to usłyszałam dwa męskie głosy. Jeden należał do Rasputina, a drugi wydał mi się dziwnie znajomy, przy czym na pewno nie należał do dziadka Walerego. Rozmawiających nie widziałam, bo znajdowali się z drugiej strony domu. Zgarbiłam się więc i zakradłam na Rasputinowe podwórze. Nie wyszło mi to jednak tak dyskretnie, jak planowałam, bo nieopatrznie potrąciłam wbity w ziemię pałąk, do którego przymocowana była linka z praniem. Wszystko runęło mi na głowę, wrzasnęłam jak dusza potępiona i po zaplanowanej dyskrecji nie pozostało ani śladu. Zza domu natychmiast wyskoczył Rasputin i widząc mnie omotaną męskimi slipami, najpierw zastygł w bezruchu, a potem chwycił za ucho i bez słowa zaprowadził do Walerego. W ten oto sposób zakończyła się moja brawurowa wyprawa na Rasputinowe terytorium.

Podczas ostatnich wakacji w Zadolu strzeliło mi do głowy coś wyjątkowo głupiego. Dziadek na strychu trzymał cebulę; główki leżały rozrzucone po całej podłodze, a zalegać musiały całkiem długo, bo szlag zupełny je trafił, o czym ostrzegał unoszący się podły zapach. Wymyśliłam, że na strychu można by urządzić ciekawe lokum tylko dla nas dwóch, ale ta cebula... Nie, jej sąsiedztwo było nie do zniesienia. Zaproponowałam więc dziadkowi, że uprzątniemy zgniłki, a w zamian strych obejmujemy we władanie. Dziadek zgodził się ochoczo, wykopał spory dół, do którego miałyśmy znieść cebulę, i poszedł się zdrzemnąć (nie inaczej, przecież wieczorem znów był u niego Rasputin). Zabrałyśmy wiadro oraz opierającą się Malinę i poszłyśmy na górę.

– Ja nie chcę mieć tu żadnej bazy! – pisnęła krakowska paniusia, pociągnęła nosem, a następnie ostentacyjnie zatkała go dwoma palcami.

– Czego nie chcesz tu mieć? – Kamila udała przesadne zaskoczenie.

– Bazy, czy jak to nazywacie!

– Kuzynko moja droga, przecież nikt ci niczego nie proponował! No chyba że ty, Ewka! – fuknęła w moją stronę.

– Na głowę upadłaś?

– Właśnie. Gdy już tu posprzątam, będziesz mogła sobie iść, gdzie tylko zechcesz.

– Sprzątanie?! O, niedoczekanie wasze! – I już kierowała się ku wyjściu.

– Jeżeli nam nie pomożesz, nigdy w nocy nie wyjdę z tobą do wychodka! – Kamila pogroziła jej pięścią. Malina puściła nos i wymownie nim pociągnęła.

– Ale ja ci za to płacę.

– Pieniędzy już dość oszczędziłam. Teraz nadszedł czas, abym mogła się wyspać.

– Dobra, dawaj to wiadro.

Oparłyśmy się z Kamą o ścianę.

– Pomóżcie mi, bo do wieczora nie zdążę – nerwowo powiedziała Malina, a my w odpowiedzi wzruszyliśmy tylko ramionami. Trochę mi jej było żal, bo siąkała nosem i chyba nawet sobie popłakiwała. Ale co tam, nie pierwszy to raz i nie ostatni, bo życie do lekkich nie należy.

– No, weźcie się do roboty! – Wytarła nos rękawem i łypnęła na nas z nienawiścią.

– Dobrze ci idzie, zaraz zapełnisz wiadro – pocieszyła ją Kama.

– Kama – powiedziałam – chyba mamy problem.

– Jaki?

– Pełne wiadro jest ciężkie. Niech się z nim mimoza na schodach wywali, to smrodem cały dom zapaskudzi.

– Niech więc nosi po połowie albo po jednej trzeciej.

– Nie ma sensu, za długo to będzie trwać. Mam pomysł. – Podeszłam do okna i otworzyłam je na oścież.

– Co? – zapytała Kama.

– Podejdź, a zobaczysz.

W oddali koła oczy wiejska panorama, nieco bliżej tak dobrze znany nam zagajnik, a całkiem blisko dół wykopany przez dziadka. Tylko że całkiem blisko było określeniem subiektywnym.

– Co tam macie?

Za naszymi plecami odezwała się Malina. Twarz miała napuchniętą, a oczy porządnie, po króliczemu zaczerwienione. Normalny człowiek, żeby uzyskać taki wygląd, musiałby ryczeć bez przerwy trzy dni i trzy noce. Nie mogło być inaczej – krakowska mimoza musiała mieć alergię.

– Kamila, spójrz na nią!

Kamila się odwróciła.

– Zamiast beczeć, mogła szybciej robić, sama sobie jest winna.

– To wygląda na alergię.

– Alergia? – Malina zmarszczyła czoło. – To przez was! Jak umrę, zobaczycie, co wam mój ojciec zrobi!

– Zamknij się, głupia, i przynieś to wiadro! – rozkazała jej Kamila.

Malina posłusznie przyciągnęła pojemnik.

– Chyba nie chcesz wysypać tego przez okno?! – zaprotestowała z przerażeniem.

– Wysypać nie, ale sobie porzucamy. To znaczy ty porzucasz, bo ja nie chcę brudzić rąk. Będziesz trenować celowanie. No dalej, co się tak gapisz? Rzucaj, bo ci się alergja pogłębi.

Malina zajrzała do wiaderka i z ociąganiem sięgnęła po cebulę. Wzięła zamach i rzuciła. Warzywo do dołka nie trafiło, upadło daleko po jego prawej stronie.

- Cienka jesteś – prychnęła Kama.
- Pokaż, że potrafisz lepiej! – syknęła Malina.
- Potrafię, ale rąk sobie brudzić nie będę.
- Kłamiesz. Nie potrafisz i tylko tak gadasz.

Kamila spojrzała na nią z żywą nienawiścią, pomyślała chwilę i starannie wybrała główkę cebuli.

- Odsuńcie się, bo rzucam!

Zrobiła trzy kroki w tył, potem wzięła mały rozbieg (przez chwilę bałam się, że sama przez to okno wyleci) i cisnęła cebulą w kierunku dołka. Niestety, również nie trafiła.

– Zejdźcie na bok! Teraz ja! – Wstrzymując oddech, sięgnęłam do wiadra i bez zbędnych rozbiegów czy zamachów rzuciłam. Ha! I trafiłam!

– Fuksa miałaś! – warknęła Kamila i odepchnęła mnie od okna. Tym razem szczęście jej bardziej sprzyjało, bo ciśnięty przez nią pocisk spadł bliżej, jednak nadal nie trafił w dziesiątkę.

- Teraz moja kolej – odezwała się Malina.

– Żadna twoja. Cebuli zbierać nie chciałaś, alergii na złość dostałaś, to spadaj stąd!

- Nigdzie nie idę!
- To nie idź, ale cebulą już nie rzucasz.

I tak sobie rzucałyśmy, raz po raz trafiając, najczęściej jednak nam się to nie udawało.

– Poczekaj – przed kolejnym, nie wiem którym, rzutem Kama przytrzymała moją rękę – ktoś tu idzie!

- Rasputin! Ale mu pokażę! – Zatarłam brudne ręce.
- Co mu pokażesz?! – zapytała.
- Cebulą w niego rzucę! Niech chociaż raz się kogoś przestraszy!
- Zwariowałaś?

– Absolutnie! Też ci radzę w niego rzucić, bo okazja się nie powtórzy. My do niego chodzić nie możemy, więc on niech też tu nie przyłazi, a poza tym należy mu się, bo wygonił mnie ze swojego podwórza i nakablował do dziadka!

- Dziadek nas za to zleje!

Nie, dziadek nas za to nie złał. Nakrzyczał za to tak głośno, że zapewne cała wieś słyszała, i zagroził, że powie wszystko naszym rodzicom. Ale co tam dzikie wrzaski dziadka i reprimenda rodziców, widok uwalanego zgniłą cebulą Rasputina był bezcenny! Najgorsze jednak było przed nami, bo prawdziwą zemstę dziadek trzymał dla nas do dnia naszego wyjazdu.

- Przyjechałyście tu ostatni raz – powiedział, złośliwie się uśmiechając.

– Ależ dziadku...– Oczy Kamili zaokrągliły się, jakby je ktoś cyrklem narysował.

– Ależ proszę pana...– powiedziałam cicho i z przeraźliwą tęsknotą spjrzałam w kierunku domu Banasiów. Tylko Malina stała jak słup soli, z niewzruszoną miną, że nie można było mieć pewności, jakie na niej wrażenie zrobiły dziadkowe słowa. Ojcowie (Kamy, Maliny oraz mój), którzy przyjechali po nas, zgodnie i triumfalnie pokiwali na to głowami. Uderzyliśmy w ostry ryk.

– No dobrze – dziadek, słysząc nasz lament, zmiękł nieco – możecie tu przyjeżdżać. Ale osobno. Nigdy w pakiecie, nie we trzy, nie we dwie, ale po jednej.

I znów uderzyliśmy w płacz, który już na dziadku nie zrobił żadnego wrażenia. Ja chyba lamentowałam najbardziej, bo dla mnie znaczyło to coś innego niż dla dziewczyn – dla mnie była to ostatnia tam wizyta.

– Same sobie na to zasłużyliście – orzekł ojciec Maliny. – Kto to widział, żeby dziewczynki rzucały cebulą w starego człowieka?

– A gdybym była chłopcem, tobym mogła? – zapytała Kamila.

– Zamilcz! – odpowiedział jej ostro. Był profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim i jego kostyczny profesorski wygląd (był wysoki, bardzo szczupły, z haczykowatym nosem i nienagannie ostrzyżonymi włosami) idealnie się uzupełniał z autokratycznym sposobem bycia.

Osobisty tato Kamy przygarnął tylko córkę do siebie i pogroził jej palcem:

– I na co ci to było?

– Przecież mówiłam, że rzucałyśmy cebulą, aby Malina nie musiała nosić ciężkiego wiadra. Przez okno było szybciej, a że akurat szedł pan Rasputin, jego pech...

– Cóż za hitlerowska metoda! Starego człowieka cebulą obrzucić! – Ojciec Maliny znów zabrał głos i znów przeciwko cudzemu dziecku, ale trzeba było przyznać, że merytorycznie dobrze gadał.

– Ewa, pożegnaj się z koleżankami – powiedział mój tato (chciała po mnie przyjechać mama, ale złapała anginę, więc jej plany spaliły na panewce). – Bardzo panu dziękuję i jeszcze raz przepraszam za zachowanie córki.

Tato pożegnał się ze wszystkimi, ja również (rozmyślnie ominęłam Malinę), i tak oto zakończyły się ostatnie moje spędzone w Zadolu wakacje. Pod koniec roku Kamila do mnie napisała, że dziadek ogłosił swoją (skandaliczną w odczuciu części rodziny) wolę oraz zamieszkał z „dziewczyną”, którą była owa Gertruda, towarzyszka kresu jego życia. Nie wykluczałyśmy, że dziadek, wypraszając nas z Zadola, zadziałał z premedytacją, bo wówczas znał już tę kobietę i chciał użyć z nią życia, a nasz przyjazd mógłby skutecznie ją odstraszyć.

– Ciekawe, czy Rasputin jeszcze żyje?

– Też chciałabym to wiedzieć – powiedziała Kama i dodała: – Wiesz, gdy sprzątałam na górze, ta książka znów wpadła mi w ręce.

– Naprawdę ją znalazłaś?

– Tak. Leży w dziadkowym pokoju.

– Dlaczego tam?

– Może Malina przed snem będzie miała ochotę poczytać. – Uśmiechnęła się złośliwie.

W oddali rozległ się grzmot.

– Koniec na dziś. – Zeskoczyłam z parapetu. – Ścierpłam już wystarczająco, na zmoknięcie się nie piszę.

Kamila też chciała zejść, ale coś ją powstrzymało. Spojrzałam w punkt, w który się wpatrywała.

– Światła... – powiedziała cicho.

– Więc nadjeżdża... – również wyszeptałam.

Po chwili na podwórzu wjechało czarne (nie, nie wjechało, wtoczyło się w całym swym luksusowym majestacie) duże auto, nawróciło i zatrzymało się dokładnie na wprost naszych oczu.

– No, popatrz, popatrz! – syknęła Kama i przyczała się jak kotka polująca na mysz. – Ciekawe, jaką pracą dorobiła się bentleya?

– Skąd wiesz, że to bentley? – odszepnęłam pytająco, ukradkiem zezując zza jej ramienia.

– Mój Eks takim jeździ – odszepnęła.

– I ty słuchałaś poradników?! – Spojrzałam na nią z naganą. Od tego czytania zupełnie jej się w głowie porzuciło.

– Bentley mulsanne... komfort, przepych, prestiż... – ciągnęła zazdrośnie, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że nadinterpretacja słowa pisanego doprowadziła do ruiny nie tylko jej małżeństwo, ale i pozbawiła ją luksusu bycia wożoną wytwornym autem marki Bentley Mulsanne.

Tymczasem nikt z pasażerów zazdrośnie obserwowanego przez nas pojazdu nie raczył wystawić choćby i kawałka nogi. Siedząca bądź siedzące wewnątrz osoby zdawały się zastanawiać, czy miejsce, do którego trafiły, jest właściwym adresem.

– Co z nimi? – zniecierpliwiła się Kamila. – Czy ktoś wreszcie raczy wyleźć na zewnątrz?

Odczekaliśmy jeszcze chwilę i wreszcie się doczekaliśmy: otworzyły się drzwi pasażera i z auta wysiadła piękna kobieta. Po chwili za nią wyłonił się kierowca – mężczyzna efektowny, doskonale komponujący się z autem, które prowadził. Nie przeczę, zrobił na mnie duże wrażenie. Gdybym miała pod ręką papierosa, zapewne nerwowo bym się zaciągnęła, z konieczności ograniczyłam się do zaciągnięcia upojnym wiejskim powietrzem z nieznaczną nutą smrodu dobiegającego od strony Śmierdzia.

– Co tak wzdychasz? Źle się czujesz? – Kama spojrzała na mnie z uwagą, ale zaraz przeniosła wzrok na przybyłych.

– Malina?! – jęknęła zazdrośnie, rozpoznawszy w kobiecie swą kuzynkę.

- Malina, bentley i „Men’s Health” – odszepnęłam rozdzierająco.
- Kto? Jaki mens? – syknęła ze zniecierpliwieniem.
- Health! „Men’s Health” ! Ten facet wygląda, jakby uciekł z okładki „Men’s Health”!

Wszystkie trzy byłyśmy rówieśniczkami i co więcej, urodziłyśmy się w tym samym miesiącu – czerwcu. W tym miejscu jednak kończyły się wszelkie łączące nas podobieństwa, a pojawiła różnica zasadnicza i rzucająca się w oczy – różnica w wyglądzie. Najwyraźniej czas dokonał na nas zemsty za niegodziwe traktowanie Maliny, bo w porównaniu z nią – i ze mną, i z Kamą obszedł się dość podle. Wygląd Maliny nie tylko dla mnie był trudny do przełknięcia, Kamie również humor znacznie się pogorszył. Fizjonomia naszej towarzyszki zabaw w czasach, gdy była jeszcze podlotkiem, w żadnym razie nie zapowiadała tak wielkiego wybuchu urody. Teraz, po nadzwyczaj korzystnej metamorfozie, wyglądała prawie jak Lorde z klipu *Tennis Court* lub ciemnowłosa odsłona Julii Tymoszenko sprzed dwudziestu lat. Kasztanowy warkocz okalał kształtną głowę, oczy miała wyraziste i zielone, a usta wydatne i zmysłowe. Szybko przywołałam w pamięci jej szczenięcy wygląd i nic mi nie pasowało. Włosy mogła zapuścić i ufarbować, owszem, ale oczy? Czy na pewno zawsze były zielone? Albo czy usta tak wydatne? Czyżby więc nie tylko farbą się podpierała, ale również barwnymi soczewkami oraz botoksem? Do tego miała na sobie długą, wręcz powłóczystą spódnicę w kolorze turkusowym i tylko jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że nie był to ciuch za byle stówkę, ale wiele, wiele droższy. Na górę Malwina przywdziała żółtą bluzkę z dekoltem *à la* woda i kwiecisty świetnie skrojony żakiecik. Cóż... nie chodziło nawet o to, że nie tylko jej spódnica sprawiała wrażenie bardzo drogiej, lecz o fakt, że Malina w swej powłóczystości, oryginalności i w kontrastowym zestawieniu kolorów wyglądała tu, przy nas i tym starym domu, jak przez przypadek zabłąkana modelka.

Po tym, jak traktowałyśmy ją w dzieciństwie, nie zdziwiło mnie, że teraz swymi pięknymi oczętami spozierała na nas z wyższością, a usteczka rozciągnęła w szerokim, złośliwym grymasie. Najbardziej dobijająca jednak była obecność mężczyzny, który stał tuż obok i dzierżył elegancki neseser. Pan „Men’s Health” był ładnie zbudowany, wysoki, z ciemnymi, sięgającymi ramion włosami. Jego wiek był trudny do określenia; „MH” z pewnością był od nas starszy, ale ile? Któż to mógł wiedzieć? Wyprostowana sylwetka, gustowny ubiór i nonszalancka fryzura zupełnie uniemożliwiały choćby przybliżone określenie, ile mógł mieć lat. Z powodzeniem mógł być od nas starszy o lat kilka, jak i kilkanaście.

– Cześć... – z rezerwą odezwała się Malina. – To jest Wiktor – dodała i wzięła go pod rękę, jakby chciała w ten sposób zaznaczyć stan posiadania. Złośliwie pomyślałam, że bentleya tak pod łapkę wziąć nie może, bo domniemywałam, że w przeciwieństwie do Wiktora auto chyba raczej do niej nie

należało. Spojrzałam na faceta. Był niesamowicie męsko-męski, taki, co to zjada plastry miodu razem z pszczołami. I miał na imię Wiktor... „Men’s Health” nosił imię, które nigdy nie wydawało mi się szczególnie atrakcyjnie. Powiem więcej, do tej pory uznawałam je za pospolite i nieciekawe, ale teraz, w połączeniu z żywym i do tego tak atrakcyjnym osobnikiem, w jednej chwili zmieniłam zdanie – imię zeszlachetniało, nabrało arystokratycznego brzmienia i stało się niemal tak samo wspaniałe jak ten, który je nosił.

– Kamam – niewyraźnie burknęła Kamila, co zapewne miało być skrótem od „Jestem Kama”. W osłupieniu wytrzeszczała na nich, to na Malinę, to na „MH”, swe duże piwne oczy, a jej drobna sylwetka, jakby pod natłokiem emocji, zmaląła jeszcze bardziej. W końcu Kama westchnęła, gwałtownym ruchem, jakby gotowała się do walki, odrzuciła z czoła grzywkę i wyżej podniosła głowę – jakby chciała zakomunikować, że ona z szoku już się otrząsnęła. Ja natomiast mogłam zdobyć się tylko na ukłon w stylu dziewiętnastowiecznej pensjonarki, co chyba i tak nie wyszło mi, jak należy, bo zamiast elegancko dygnąć, drgnęłam tylko nerwowo. Na wyjawienie imienia sił mi już nie starczyło. I utknęliśmy z Kamilą w zawistnym milczeniu, bo jakim cudem Malina, która przegrywała wszystkie bitwy, wygrała wojnę? Malina i Wiktor też do konwersacji się nie palili. Staliśmy więc w korytarzu, patrząc na siebie z nieufnością i nie wiadomo, jak długo by to jeszcze trwało, gdyby nie Szczek. Musiał wyczuć obcych, bo jego ujadanie wzniosło się na tak piskliwe tony, że nawet dla nas, słuchających zza drzwi, było nie do zniesienia. W końcu właściciel rozwścieczonego piskacza uchylił drzwi i z ciekawością wystawił głowę, wypuszczając przy tym na korytarz zapach smażenia.

– O, ty musisz być tą Malwiną! – Wyszedł na korytarz, w ślad za nim wyskoczył Szczek i radośnie merdając ogonkiem, dopadł jej nóg.

Mnie tak nie witał, pomyślałam zaskoczona. Cześkowi Malina najwyraźniej również przypadła do gustu, bo wlepił w nią zachwycony wzrok i powiedział:

– Czesiek.

– Wiktor – szybko wtrącił „MH” i mocno uściśnął wyciągniętą do Malwiny rękę. Malwina uśmiechnęła się półgębkiem i pogładziła Wiktora po ramieniu.

– Mówiłaś, że nie będzie tu żadnego faceta, tylko same kobiety – mruknął do niej z pretensją. – Że też muszę wracać! Nie mieli kiedy zadzwonić, tylko dzisiaj!

– To tylko kilkanaście godzin – szepnęła uspokajająco. – Załatwisz, co trzeba, i jutro wrócisz.

– Wy się nie znaliście? – zdziwiła się Kama.

– Nie – jednocześnie odpowiedzieli Wiktor i Czesiek.

– Miałam na myśli Malwinę i Cześka – wyjaśniła, patrząc na Wiktora. – Bo Władek...

– Jaki Władek? – zgrzytnął zębami Wiktor.

– Ojciec Malwiny, czasem zdarza mi się mówić o nim po imieniu. – Kamila



wysunęła brodę i wskazała na kuzynkę. Malwina skwitowała to wyęcieniem policzków.

– Ach, rzeczywiście, on tak ma na imię. – Wiktor nieco się uspokoił.

– Wiem, że wuj czasami tu przyjeżdżał – ciągnęła Kamila. – Myślałam, że może ty, Malwina, również z nim się tu pojawiałaś i Czeška poznać zdążyłaś.

Malwina z pogardliwym grymasem na twarzy pokręciła przecząco głową.

– Owszem, gdy z dziadkiem zamieszkała Gertruda, zdarzało mi się tu kilka razy przyjechać, ale Czeška nigdy nie miałam okazji poznać. Później, po śmierci dziadka, ojciec już sam tu wpadał, tak mniej więcej raz na pół roku, by sprawdzić stan domu, ale ja już nigdy z nim do Zadoła się nie wybrałam.

– Bo już mnie miałaś, nie, lalunia? – Wiktor, patrząc wściekle na Czeška, cmoknął Malinę w policzek.

– A ja myślałam... – zaczęła Kamila.

– Źle myślałaś! – uciął Czesiek. – Za to z tobą miałem więcej szczęścia, bo raz się tutaj spotkaliśmy, nie? – Wyszczrzył do Kamy diastemę. – A potem wyjechałaś za granicę i tylko twój ojciec tu wpadał na zmianę z ojcem Malwiny. Oni się umawiali w tym przemiennym odwiedzaniu czy na czuja mijankę robili?

Czesiek musiał wiedzieć, że ojciec Kamili oraz jej wuj – ojciec Maliny – byli poróżnieni o spadek po dziadku i usilnie unikali swego towarzystwa. Nie podobało mi się jednak, że teraz poruszył ten temat. I to przy obcych.

– Po pierwsze mijanka naszych ojców nie twoja rzecz, a po drugie nie wmawiaj mi, że od czasu, gdy wyjechałam do Barcelony, nigdy nie odwiedziłam dziadka! – oburzyła się Kamila. – Kilka razy byliśmy tu z Olafkiem i tym moim Eksem. Wyobrażasz sobie, żebym dziadkowi prawnuka nie pokazała?

– Nie ma się o co pierzyć. Sama widzisz, przyjeżdżałaś tutaj częściej, niż sądziłem, a tylko raz się spotkaliśmy. Tak samo było z Malwiną. Mijanka. U was to rodzinne? – zakończył złośliwie.

Prowadzona przez nich dyskusja była zupełnie pozbawiona sensu. Na ile było istotne to, czy i kiedy oraz kto z kim się tu spotkał lub nie spotkał, poznał lub nie poznał? Malwina również wyglądała na znudzoną, schyliła się i głaskała łaszącego się do jej nóg Szczeka. Patrzyłam na to z zainteresowaniem i zastanawiałam się, czy gdybym również się do niego schyliła, rękę odgryzłby mi od razu czy dopiero po kilku głośnięciach.

– Długo chcecie tu stać? Ciągnie chłodem – przerwał im Wiktor i przygarnął do siebie Malinę.

– Masz rację, chodźmy do nas. – Kamila rzuciła na Czeška ostatnie, gniewne spojrzenie i ruszyła przodem, a Czesiek z głośnym łoskotem zamknął na rygiel drzwi wejściowe, gwizdnął na psa i poszedł do siebie.

Z poczęstunku, który ustawiliśmy na stole, Malina i Wiktor niewiele tknęli. Malina zjadła jedynie trzy biszkopty, które Kama znalazła podczas sprzątania.

Leżały wepchnięte głęboko do szafki i były pozostałościami po zapasach świętej pamięci Gertrudy.

– Damy je Malinie – kilka godzin wcześniej zdecydowała Kamila.

– Pokaż. – Wzięłam do ręki pudełko i odnalazłam datę ważności. Było tak jak przypuszczałam, do spożycia nadawały się dwa lata temu.

– Chcesz ją otruć?

– Zaraz otruć. Nie mam nic do kawy, więc dobrze będzie je położyć, a zawsze jest szansa, że się odchudza i nie weźmie. Bo, powiedz, kto się teraz nie odchudza? – zapytała retorycznie i wywróciła oczami.

– Ja się nie odchudzam – warknęłam. Nie jadłam, bo nie mogłam, bo mi żołądek na wszystko wybrzydzał. Ale Bóg mi świadkiem, że gdybym była zdrowa, folgowałabym sobie, oj folgowała jak należy! A później bym wszystko wybiegała, wypociła na siłowni i nikomu nawet przez myśl by nie przeszło, że moja paszcza do żarcia jest pierwsza.

– Więc, proszę, częstuj się. – Podsunęła mi pudełko, ale zreflektowała się pod wpływem mojego znaczącego spojrzenia. Otworzyła i powąchała zawartość. – Nie pachną, ale pleśnią też nie lecą. Żal je wyrzucić. Położę je na stole, będzie wyglądać na bogatszy.

Zrobiła, jak postanowiła. Na początek kawa i stare biszkopty, a jako danie główne Cześkowa kiełbasa. Gdybym wiedziała, z kim przyjedzie Malina, poświęciłabym się i za cenę rozstroju żołądka zjadła te stare ciastka, aby tylko „MH” ich nie tykał. Nie żebym nagle dostała strzałę Amora i zakochała się w mężczyźnie, którego znałam od nędznych kilku minut. Ależ skąd! Przeżyta czterdziestka zobowiązywała do czerpania nauki z minionych lat i nieulegania nagłym zachciankom bądź też absurdalnym porywom serca. Rozsądek po raz pierwszy, drugi i trzeci. Inną, nie mniej ważną kwestią był wygląd. Urodą mojego atrakcyjnego wizualnie Byłego zachwyciałam się nie tylko ja, ale i wiele innych osób płci żeńskiej, co było dla mnie wyjątkowo przykrym doświadczeniem. I z tego względu męska uroda była ostatnią cechą, która mogłaby wzbudzić we mnie cieplejsze uczucia. Lecz w wypadku Wiktora chodziło o coś innego. O wstyd. Na zapuszczonym podwórku stał wspaniały bentley mulsanne, na starym taborecie w sypiącej się chacie siedział facet jak z okładki „MH”, i jakby tego wszystkiego było mało, na stole leżały stare biszkopty podane do kawy zaparzonej w PRL-owskiej szklance z metalowym uchwytem. Jaki wstyd przed Wiktorem! Na wypadek gdyby czasem przyszło mu do głowy sięgnąć po trefne ciastka, dyskretnie przesunęłam je w kierunku Maliny, a jemu podsunęłam pod nos naprędce skrojoną sałatkę z pomidora, ogórka i odrobiny cebulki (dałam jej tylko odrobinę, aby wydobyć smak potrawy, a nie narazić jedzących na intensywne zionięcie cebulowym chuchem). Wiktor szczęśliwie na biszkopty nawet nie spojrział, skubnął tylko nieco sałatki, zapijając ją dwiema kawami. Zadrżałam, że jednak

przesadziłam z tą cebulą i kawą, i chciał zabić jej odór.

– Masz zamiar to sprzedać? – zapytał Kameę i wielkopańskim gestem machnął w kierunku ściany i okna.

– Jak najbardziej – odpowiedziała i pytająco spojrzała na Malinę, która zajęta jedzeniem trzeciego morderczego biszkopta nie raczyła zaszczyścić jej odrobiną uwagi.

– Malwina, chcemy sprzedać? – zapytała niepewnie.

Malina w końcu łypnęła na Kamilę i wzruszyła ramionami.

– Wydaje się, że to najlepsze wyjście – powiedziała.

– Więc tak! Chcemy, chcemy sprzedać! – Przyjaciółka uśmiechnęła się szeroko, a jej twarz pojaśniała jak świat, który po burzy znów opromieniło słońce. Nie sądziła, że uzgodnienie zamiaru sprzedaży nastąpi w tak przyjemnie szybkim tempie. Malwina jak najbardziej miała prawo upierać się przy tym, że swojej części nie pozbędzie się aż do śmierci, bo ma takie widzimisię, albo na przykład pragnie trzymać majątek tak długo, aż nabierze wartości zabytku. Do uzgodnienia pozostała więc tylko cena.

– Ile za to chcecie? – dociekał Wiktor, z pogardą lustrując wnętrze kuchni.

– Malwina, ile chcemy? – Kama zwróciła się do kuzynki. Ta ponownie wzruszyła ramionami, zebrała palcem okruszki po biszkopcie, włożyła je do ust i spojrzała na Wiktora.

– W zasadzie jest mi to obojętne. Znaczy nie na tyle, by oddać za bezcen, ale nie ukrywam, że dobrze by było, gdyby transakcja odbyła się jak najszybciej.

– Więc ustalcie, za ile to puścicie – powiedział piękniś i wstał od stołu. Malwina również się uniosła. „MH” pocałował ją w usta i podszedł do drzwi. – Przyjadę po ciebie jutro rano albo koło południa. Diabli nadali ten telefon! A gdzie ona będzie spać? – Przyciągnął do siebie Malinę i czujnie spojrzał na Kameę.

– Tu, u nas – wymijająco odpowiedziała Kama.

– A konkretnie? Gdzieś obok was? Bo temu typkowi, Cześkowi, źle z oczu patrzy.

– Pewnie, że będziemy obok siebie – z podejrzaną gorliwością, omijając wzrok rozmówcy, odpowiedziała Kamila.

– To dobrze.

I wyszedł, nie uraczywszy nas niczym: werbalnym pożegnaniem, sympatycznym uśmiechem czy choćby lekceważącym machnięciem ręki. No proszę, a ja ze skóry wyłaziłam, żeby tylko starymi ciastkami się nie poczęstował.

– Więc gdzie będę spać? – zapytała Malwina i podniosła z podłogi neseser.

– W pokoju dziadka – zimno odpowiedziała Kamila i przyczaiła się w oczekiwaniu na gwałtowny protest. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Malina ziewnęła dyskretnie i powiedziała:

– W porządku. Jutro obejrzę dom, a potem zastanowimy się, za ile go

wystawić. No i, oczywiście, chciałabym zatrzymać na pamiątkę jakiś drobiazg. Naturalnie jeśli nie będziesz mieć nic przeciwko temu.

– Jasne. Bierz, co chcesz – powiedziała Kama. – Zaprowadzić cię na górę?

– Myślisz, że sama nie trafię? Dobranoc – powiedziała i już miała wyjść, lecz przystanąła jeszcze w progu i zapytała: – Światło wszędzie działa?

– Wczoraj było okej – rzuciła Kama, nie patrząc jej w oczy.

– To dobrze.

Malina wyszła na korytarz, a po chwili usłyszałyśmy piskliwe ujadanie Szczeka.

– Coś nie tak z tym światłem? – zapytałam, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

– Po co wszędzie żarówki? Kto zapłaci za prąd? Wykręciłam tę ze schodów. Malina tyle razy tu przyjeżdżała, że po omacku wszędzie trafi.

– Ale tę w pokoju zostawiłaś? – To, że nie przepadałam za jej kuzynką, nie oznaczało, że życzyłam jej zejścia na zawał. Nie wyobrażałam sobie, aby miała sama spać w pokoju po dziadku i na dokładkę mieć świadomość, że otacza ją ciemność, której nie można rozproszyć.

– Pewnie, że zostawiłam, może przed snem będzie chciała poczytać wampiryczną książkę.

Do łóżka położyłyśmy się krótko po północy. Czas nam upłynął na sprzątaniu i grzaniu wody do mycia, bo bojler przecież nie działał. Jakoś nie przyszło nam do głowy (a może przyszło, tylko żadna nie chciała tego głośno wyartykułować?), aby zapytać Malinę, czy i jej trochę zagrzać, by mogła się odświeżyć po trudach podróży. Nie zapytałyśmy, ale wyrzuty sumienia nami nie targały, bo Malina – czujnie nasłuchiwałyśmy – w ogóle nie zeszła do łazienki.

– Widziałaś brudasa? – mruknęła Kamila. – Do łazienki się nie pokwapiła!

– Na schodach wykręciłaś żarówkę – przypomniałam jej. – Może boi się wyjść z pokoju?

– Nie broń jej. A jak zachce jej się siusiu, to też na dół nie zejdzie? I posuń się na tym łóżku, nie tylko ty chcesz spać wygodnie.

Zrobiłam jej więcej miejsca i naciągnęłam na siebie kołdrę. Zawsze, bez względu na porę roku, lubiłam być porządnie nakryta, aż po czubek nosa. Nic nie mogłam poradzić na to, że podczas snu zawsze marzłam. Maciej na początku naszego związku starał się mnie rozgrzewać, a że czynił to na wiele różnych (przyjemnych) sposobów, zawsze mu się to udawało. Jednak w miarę upływu lat zaczął na ten temat rzucać złośliwe uwagi, łącznie z tą, która była jego ostatnią:

– Starucha zdechła i stygnie.

Po tym stwierdzeniu zrobiłam mu szach-mat i złożyłam papiery o rozwód. Nie żebym obraziła się tylko o tę zdechłą staruchę. Starucha była małą kroplą, która przepełniła czarę. Czarę, w której pływały młode, roznegliżowane fanki

wokalnego talentu mojego męża. Ech, nie było czego wspominać. Powąchałam kołdrę. Tym razem naciągnięcie jej po nos nie było dobrym pomysłem, bo śmierdziała stęchlizną. Nie chciało mi się jednak wstawać po koc, odpuściłam więc i przykryłam się tylko po pachy.

– Śpisz? – zapytałam cicho i szturchnęłam Kamilę w bok

– Oszalałaś? To boli! – burknęła.

– Spodziewałaś się, że będzie właśnie taka? – szepnęłam najciszej, jak tylko zdołałam. Pokój Maliny znajdował się dokładnie nad naszym; wprawdzie dziur w suficie się nie dopatrzyłam, ale licho wiedziało, w jaki sposób niósł się głos? Nie doczekawszy się odpowiedzi, zadałam kolejne pytanie: – Ten Wiktor... ciekawe, kim dla niej jest? Obrączki nie zauważyłam.

– Czy obrączka jest taka ważna? Może są tak dawno po ślubie, że już im się znudziło ich noszenie.

– Chamski się wydawał, nie?

– Chamski czy nie, ale przystojny.

– Twój Pedro też był przystojny – przypomniałam.

– Masz rację. Twojemu Maciejowi również niczego nie brakowało.

– Malina za to jest... – zaczęłam, ale dokończenie zdania nie mogło mi przejść przez gardło, bo jak tu chwalić Malinę? Tę ryczącą tłustą kluczę, jaką była w dzieciństwie? To nic, że się zmieniała. Tego szczegółu do wiadomości nie przyjmowałam. Nie mogłam pojąć, że ona, moja rówieśnica, wyglądała cudownie, a ja nie. Przy niej wyraźnie odczułam, że jestem żalostną, schorowaną, mocno posuniętą w latach babą.

– Co Malina? – Kama poruszyła się niespokojnie i pociągnęła kołdrę do siebie. Nie miałam nic przeciwko temu. Jeśli chce, niech się w tym stęchłym zapachu pławi.

– Co Malina? – powtórzyła.

– Jest taka... jakby... trochę... zjawiskowa... – wykrztusiłam zawistnie.

– Zjawiskowa! – z nie mniejszym trudem wydusiła z siebie przyjaciółka. – Też wymyśliłaś. Mój Eks nie lubi dziewczyn w jej typie – dodała. – Zawsze mówił, że ciemnowłose urodę mają pospolitą, tak pospolitą, aż wywołują u niego ziewanie.

– Ziewanie? – zdziwiłam się, ale oceny Eksa nie podawałam w wątpliwość. Jak ziewanie, to ziewanie.

Zamilkłyśmy, zgodnie się zastanawiając nad fenomenalną urodą znienawidzonej towarzyszką dziecięcych zabaw. Jak to się stało, że ona kwitła, podczas gdy my, przynajmniej ja młodość traciłam z prędkością zsuwającej się ze stoku lawiny. Ślepa nie byłam – skóra na twarzy straciła dawną elastyczność, cienie pod oczami dodawały dobrych kilku lat, a na udach rozpanoszył się cellulit. Nogi zawsze miałam szczupłe, więc sądziłam, że akurat ten defekt urody mnie nie dotknie, ale czas pokazał, że się myliłam. W dodatku po rozwodzie osłabione

stresem włosy zaczęły mi wypadać. Malinę – niemożliwe, żeby nie – z pewnością również trapiły niedogodności związane ze starzeniem, ale najwidoczniej musiały to być drobne niedogodności, a nie tak jak u mnie – katastrofalne. Ponadto było w niej coś jeszcze – tajemnicza aura, dodająca o wiele więcej uroku niż regularne rysy twarzy, idealna sylwetka i piękne włosy, o paznokciach nie wspominając (swoją drogą ciekawe, jaki suplement na to zażywała). Promieniowała z niej lekkość, którą emanują ludzie zakochani.

– Kama...

– Co?

– Nie boisz się starości?

– Jakiej starości? Ach, wiem, co masz na myśli! Czterdziestka? Przecież my dopiero kończymy po czterdzieści lat! Moja droga, wbij to sobie do głowy, dopiero! Trefnych facetów się pozbyliśmy, ruszamy na podbój świata i to jest najważniejsze. A przed nami kolejne lata, lepsze od minionych, oczywiście.

– Lepsze mówisz?

– A pewnie!

– Ale, Kama, naprawdę nie dostrzegasz, że się starzejemy? Nie zastanawiasz się nad tym? Nie boli cię to? Nie niepokoi? Gdy mam wyjątkowo podły nastrój, śpiewam sobie: Do zakopania jeden krok...

Przełknęłam ślinę, bo zaczęło mnie dusić w przełyku. Ze wzruszenia musiał mi się zacisnąć.

– Zakopania? Jakiego zakopania? – niby ze zdziwieniem zapytała Kamila, ale i tak wychwyciłam subtelną nutę niepewności, która zabrzmiała w jej głosie. Więc ona również wątpiła!

– Posłuchaj, coś ci powiem. Od roku na brodzie mam przebarwienie, na które nie pomagają żadne kremy. – Poczułam, że głos mi się załamał, ale dzielnie przełknęłam ślinę i kontynuowałam: – Kama, na to nic nie działa! Żebyś wiedziała, ile kasy w tę plamę wtopiłam! A co gorsza, jakby nieszczęście było mało, na twarzy coś mi wyrosło.

Złapałam palec Kamy i przycisnęłam w miejsce, gdzie beztrósco rosła szpecąca obrzydliwa bulwa.

– Mam ją tu, przy uchu! Czujesz? To ona! I na dodatek chyba się sieje jak ten chwast zakazany, bo obok robi się druga.

– Sieje?! – Kamila pisnęła cienko, wyrwała rękę, wyskoczyła z łóżka i czym prędzej umyła w kuchni dłonie. Wróciła nieco spokojniejsza, ale położyła się ode mnie najdalej, jak tylko mogła: – Ale tego przebarwienia nie zauważyłam – powiedziała pocieszająco.

– Nie zauważyłaś, bo pudrem kamufluję. Co się da, tuszuję, nie chcę, żeby dzieci przede mną z wrzaskiem uciekały. Ale Malina... Jak to możliwe, że u niej niczego nie zauważyłam?...

– Nie zauważyłaś, bo pewnie też się tapetuje, czym tylko może. Na pewno ma coś do ukrycia – niepewnie pocieszyła mnie Kama. Zamilkła i po chwili cicho powiedziała: – Muszę jednak przyznać, że jest śliczna...

– W kuchni był półmrok – dodałam gwoli obopólnego pocieszenia, co nie było prawdą, bo gdzie jak gdzie, ale w kuchni światło było w porządku.

– Może zrobiła sobie operację? – W Kamę wstąpił duch nadziei, ożywiła się. – Sztuczna uroda, jak wielka by była, nie jest zasługą właściciela, tylko chirurga! Jak nic facjatę sobie zrobiła!

– Nie sędzę – powiedziałam.

– Dlaczego?

– Oczy jej się domykają. Widziałam, jak mrugała. Działały bez zarzutu.

– No tak, na oczy akurat uwagi nie zwróciłam. Ale czoło to już było podejrzenie gładkie.

– Może w czoło coś tam wstrzyknęła, ale ogólnie sprawia wrażenie, jakby w większości była naturalna. Niestety.

– Może miała dobrego chirurga. Dobry chirurg i facet, który płaci za fanaberie. Czego chcieć więcej?

– Chirurg i pieniądze faceta nie są bez znaczenia, ale ja uważam, że ona może mieć dobre geny.

– Geny? Ale my jesteśmy spokrewnione i jak przy niej wyglądam?!

Kamila sięgnęła nosem. Wstała po chusteczkę. Potem zapaliła światło i poszukała czegoś w torebce.

– Coś się stało?

– Lusterka szukałam. Musiałam spojrzeć i się upewnić, że mam rację.

Zgasiła światło i z powrotem wgramoliła się do łóżka.

– Z czym masz rację?

– Z oczami.

– Ślepniesz?! – przeraziłam się.

– Nie. Coś innego. Moje oczy z wiekiem zaczęły robić się coraz bardziej okrągłe, a zawsze przecież miały kształt migdała. A skóra... Na policzku odcisk od poduszki trzyma się prawie do południa... – dodała łamiącym się głosem.

– Biedna Kamuś, moje kondolencje! – W ciemności odszukałam jej dłoni i poklepałam pokrzepiająco.

– Ewa, jest coś jeszcze... – zrobiła pauzę. – Między brwiami coś mi się robi...

– Też masz brodawkę! – zawołałam radośnie, ale zaraz się zreflektowałam, przecież żadnej purchawki na jej czole nie zauważyłam, więc o czym mówiła?

– Faj! Też byś chciała. Żadna narośl, robi mi się lwia zmarszczka.

– Lwia zmarszczka? – Zastanowiłam się. Faktycznie, na rzeczy coś było, bo pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, gdy ujrzałam ją czekającą na mnie na

peronie, była taka, że oblicze przyjaciółki trochę sposepniało. Nie żeby od razu upodobniła się do sępa, ale wyglądała dość niewesoło. Przyczyn jej zmiętego oblicza upatrywałam w długiej podróży, jaką musiała odbyć z Barcelony do Zadoła oraz w panujących ostatnio wysokich temperaturach. Wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że powodem złego wyglądu były starcze zmiany, które teraz przedstawiała.

– Wiesz, jak jej nienawidzę? – zapytała retorycznie i boleśnie. Z pasją ścisnęła moją dłoń, która dopiero co ją tak troskliwie poklepywała. – Tak samo jak Maliny – dodała.

– Oj, to rzeczywiście bardzo.

– Nic nie pomaga. Masuję ją tak często, jak się da: gdy siedzę w toalecie, gdy czytam, gdy czekam, aż się woda zagotuje. Podczas jedzenia też masuję, ale tylko przy zupie, bo wtedy lewą rękę mam wolną... Robię to niemal bez ustanku, oczywiście uważam przy tym, aby mnie ktoś nie zauważył. Czy ty sobie wyobrażasz, jaki ja stres przeżywam?

– Oj, Kama, może ty zrób sobie jakiś botoks, bo nerwowo się wykończysz.

Przyjaciółka westchnęła i puściła moją rękę, zapewne po to, aby pomasować sobie czoło. Nie myliłam się, zaczęła wykonywać palcami energiczne głaszczące ruchy.

– Myślę o Malinie i nie daje mi to spokoju. Ona nie miała ani śladu lwiej zmarszczki – rzuciła z pretensją. – Jak ona się starzeje, że w ogóle tego po niej nie widać?

– Może starość zaczyna ją żreć od środka? Wątroba leci, nerki szwankują, kręgosłup do wymiany. Takich rzeczy nie widać.

– Mówisz? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Jasne. Przecież, do cholery, gdzieś musi się już starzeć! – Pełna bezsilności trzepnęłam pięścią w kołdrę.

– Mimo wszystko wygląda dziesięć lat młodziej od nas. Dobrze tak zacząć próchnieć od nerek...

Chciałabym móc powiedzieć, że i ja niejeden organ wewnętrzny bym poświęciła, aby tylko młodo wyglądać, lecz nie mogłam. Nie mogłam, bo ja już się wewnętrznie sypałam, a w ślad za tą destrukcją szybkim krokiem podążała erozja karoserii. Jednym zdaniem: ja już do wymiany miałam niemal wszystko. Świeżość poranka zastąpiła gęsta zgnilizna bagiennych oparów...

– Pomyśl, jaka ona perfidna! Pokazać się nam w takim stanie! – Kamila zamilkła i jakby intensywniej zaczęła masować zmarszczkę. – Ale co tam Malina! Mam jeszcze jeden problem. Z uszami.

– Mogłaś wcześniej ostrzec, głośniej bym mówiła.

– Tu nie o głuchotę chodzi, ale o wygląd. Ewka, one mi ciągle rosną! Jeszcze dekada, a urosną takie jak u słonia Dumbo. Nie wiedziałaś, że uszy rosną przez całe



życie? Gdy tylko o tym przeczytałam, od razu złapałam stare zdjęcie i poleciałam do lustra. Pół dnia porównywałam, aż przyznałam gazetce rację.

– Że rosną?

– Tak. Pomyśl, jak by było fajnie, gdyby to cycki chciały rosnać przez całe życie... – Westchnęła z nieutuloną tęsknotą. W pierwszej chwili i mnie się oczy zaświeciły. Mieć rozwojowe cycki? To by było coś! Lecz po krótkiej chwili euforii przyszła mi go głowy myśl krytyczna:

– Oj, nie wiem, czy to byłoby takie dobre – odezwałam się ostrożnie.

– Dlaczego?

– Myślałaś o klimakterium? Skąd wiesz, jak by się zachowywały w czasie huśtawki hormonów? A poza tym te duże mają skłonność do obwisania. Nie, ja zdecydowanie rozwojowych cycków mieć nie chcę. Niech sobie zostaną takie, jakie są. Miseczka B to nie powód do wstydu. – Zajrzałam sobie za koszulę.

– Z cyckami możesz mieć rację, ale uszu powinno to samo dotyczyć. Już nigdy nie założę dużych kolczyków, bo dodatkowo je w dół ciągną.

Faktycznie, dzisiaj nie miała ulubionych kolczyków gigantów, ale sądziłam, że zdjęła je, aby nie przeszkadzały w sprzątanu, a potem po prostu zapomniała założyć. Zasepiłyśmy się żalobnie. Młodość uleciała, a jej miejsce zajęły obrzydliwe, starcze dolegliwości. I co gorsza, nie było na nie skutecznej metody. Zapadła cisza przerywana dochodzącym ze Śmierdziała kumkaniem żab i przenikliwym bzyczeniem przelatującego komara.

– Ewka...

– Coś jeszcze?

– Po incydencie z uszami zaczęłam obserwować stopy – ciągnęła. – Wyobraź sobie, że robią się szerokie jak u kaczki. Poczytałam na ten temat w Internecie i ponoć one tak właśnie się starzeją – rozciapciują się. Po kolczykach przyjdzie mi pożegnać się również ze szpilkami.

Jej lewa ręka bardziej zapamiętała zaczęła masować lwią zmarszczkę, przytrzymałam ją więc, aby Kama sobie krzywdy nie zrobiła.

– Puść! – syknęła. – Nie udaremniaj mi dbania o resztki urody! Każda chwila jest dobra, aby stawić czoło starości! A wiesz, kto obudził wszystkie drzemiące we mnie demony? Oczywiście paskuda Malina! Zapowiadał się taki miły wypad, ostatnio praktycznie zapomniałam, że się starzeję, a tu nagle gamoniuwata kuzyneczka pokazała, jak wygląda, i wszystko zepsuła!

– Tak nagle się nie zjawiała, bo byłyście przecież umówione – przypomniałam.

– Pamiętam, sklerozy jeszcze nie mam. Ale ona nie tak miała wyglądać! Ewka, zastanowiłam się, nasz wyjazd jest bardzo forsowny, a to może nas postarzyć o dobre kilka lat. Bez wygod, kiepskie jedzenie, nie wiadomo, jak będzie ze snem. Przestaje mi się to podobać!

– Kama, chyba nie chcesz zrezygnować? – Aż się uniosłam. Żadne niedogodności, te prawdziwe ani te wymyślone, mnie nie przerażały. Moim celem i marzeniem były dalekie kraje, które by na tyle zajęły moje myśli, że nie wracałabym do przeszłości. A kto wie? Może bym się gdzieś zaczepiła na dłużej?

– Nie, ale już nie mam w sobie tyle entuzjazmu co wcześniej. Muszę dokupić jeszcze kilka kremów z blokerami i jakieś witaminy. Tobie też radzę.

Ponownie zatopiłyśmy się we własnych myślach. Żaby kumkały, komar bzyczał, a my gorzko dumaliśmy.

– Ewka...

– No?

– Ale, na pociechę, przynajmniej z nadwagą problemu nie mamy.

– Ano nie... – mruknęłam. – Ile godzin ćwiczysz?

– Co? – Pytanie najwyraźniej ją zaskoczyło.

– Ile godzin dzień-nie ćwiczysz – przesyłabizowałam.

Kamila nadal tkwiła w milczącym bezruchu.

– A ty? – Odbiła piłeczkę.

– Do rozwodu biegałam co drugi dzień przez godzinę, w porywach do półtorej – powiedziałam, aby ją zachęcić do wyjawienia prawdy. Kamila na gimnastycznego ultraortodoksa mi nie wyglądała, ale o figurę jakoś dbać musiała. Sama z siebie takiej by nie miała. No sorry, nie po porodzie i nie w tym wieku.

– A po rozwodzie? – drażyła.

– Liżę rany i w ten sposób wydatkuję nadmiar energii. Więc ile godzin ćwiczysz?

Westchnęła.

– Czy ćwiczę? Nie... nie, od pewnego czasu już nie. Ale kiedyś to i owszem – ożywiła się – basen, siłownia, w domu stepper, rowerek. Ale od niedawna już nic nie robię.

– Dlaczego? Nie mam na myśli tego, że masz się odchudzać, ale dobrze jest się poruszać, aby utrzymać dobrą formę.

– Odechciało mi się wszystkiego.

Szturchnęłam ją pytająco.

– Skoro tak bardzo nalegasz, to proszę. Przez to... te wszystkie... przez ten świat cały w anoreksję wpadłam! Wszędzie reklamy, a na nich żebra, kości, obciążnieta skóra, płaskie brzuchy i te... te chude dupy! Więc tak się za siebie wzięłam, że wpadłam w to cholerstwo! Opamiętałam się dopiero, gdy zaczęła zanikać mi miesiączka! No i masz odpowiedź! Nie ćwiczę i nie trzymam żadnej diety, chcę żyć, być zdrowa i pilnuję się, by jeść normalnie.

Wspomnienie o tym, jak pałaszowała Czeską kiełbasę, kazało mi sądzić, że epizod z anoreksją należy już do demonów przeszłości.

– Wszędzie suche tyłki! Co za świat! – Prychnęła jeszcze z pogardą

i odwróciła się do mnie plecami.

– Ale powiedz – odwróciła się tak nagle w moją stronę, że się wzdrygnęłam – jak to możliwe, że Malina wciąż tak młodo wygląda? Przecież jest w naszym wieku!

Nie wiedziałam, jak Kamę pocieszyć. Ją to bolało bardziej niż mnie. Przecież w dzieciństwie była dumna, że nie wykazuje podobieństwa do swojej fajtłapowatej kuzynki, a teraz, po latach, żałowała, że tak właśnie nie jest.

– Pamiętasz, jaka z niej była łamaga? – ożywiła się nagle.

– Tak! – Z przyjemnością wspomniałam czasy, gdy wszelkimi możliwymi cechami górowaliśmy nad ryczącą grubaską. – Ale mów ciszej. Może nas usłyszeć.

– A niech sobie słyszy! I niech prawda w oczy ją zakole! – Kama podniosła głos. – Na żadne drzewo wleźć nie umiała, na żadne! – krzyknęła w sufit, nad którym według wszelkiego prawdopodobieństwa stało łóżko Malwiny.

– Po kąpeli w rzece zawsze bolało ją gardło, a łódką po Śmierdzielu pływać nie chciała, bo ponoć widziała tam kiedyś strzygę.

– Strzygę? – zainteresowałam się. – Zawsze byłam ciekawa, dlaczego nie chciała z nami wiosłować, a tu proszę, przez strzygę. Jak ona wyglądała? – Zdziwiło mnie, dlaczego dopiero teraz Kamila mi o tym wspomniała. A może kiedyś coś na ten temat napomknęła, a mnie wyleciało z głowy. Minęło już przecież tyle lat.

– Kto?

– Ta strzyga. Chyba powiedziała coś więcej?

Nie żebym uwierzyła w pojawienie się straszdyła, którego istnienie niegdyś nader mocno zakorzenione było w ludowej świadomości, ale zwidy w dzieciństwie mogły zwiastować poważną chorobę psychiczną w późniejszym wieku. Wytężyłam wzrok, wpatrując się w sufit. Czyżby tam na górze, w pokoju, gdzie dziadek wydał swe ostatnie tchnienie, spała teraz niebezpieczna wariatka? Może nie należało zasypiać, tylko, na wypadek ewentualnego ataku, skoczyć do kuchni po nóż i gdzieś się schować? Choćby pod łóżko. – Dalej, mów o tej strzydze! – Trąciłam Kamilę w bok.

– Nie tłucz mnie tak, bo później przez miesiąc będę mieć siniaki – powiedziała i zajęła się pracą nad lwią zmarszczką.

– Kamila! Jak powiedziałaś A, to powiedz B.

– Be! – rzuciła, nie przerywając masowania.

– Kama! – Uniosłam się na łóżku. – Przecież ona może być chora psychicznie, nie pojmujesz grozy sytuacji? Jeszcze tu przylezie i nas wymorduje!

– Psychicznie? Zwariowałaś? W mojej rodzinie nigdy takie choroby się nie zdarzały! – Kamila niemal zawrzała.

– Ale strzygę ponoć widziała, co?!

– Nie było żadnej strzygi i idź już spać, dobrze?  
– Zbywasz mnie.  
– Tak, zbywam.  
– Dlaczego?  
– Bo jej nie było, rozumiesz już? Nigdy nie było żadnej strzygi. To ja ją wymyśliłam, żeby Malina przestała wszędzie za nami łązić!  
– Kręcisz. Przecież zawsze wszystko mi mówiłaś, a tego akurat nie?  
– To był jeden raz, kiedy ci nie powiedziałam. Zbyt często się nad nią litowałam i wszędzie ją z nami ciągnęłam. Przebrałam się za strzygę, gdy ty gdzieś poszłaś z dziadkiem.  
– Straszylaś wizualnie własną kuzynkę?! – Zatrzęsła mną zgroza. Jedną sprawą było przymuszanie mimozy do pracy, karmienie opowieściami wyszany z palca, a inną przebieranie się za ludowe straszidła. Do tak podłego czynu nawet ja bym się nie zniżyła.  
Odsunęłam się od Kamy tak daleko, na ile pozwalała mi szerokość zalatującej stęchlizną kołdry.  
– Litujesz się nad paniusią, która ma gładką gębę, faceta z żurnala, a i zapewne regularny, świetny seks? Kiedy ostatnio się kochałaś? No kiedy, co?!  
Szybko pogrzebałam w pamięci.  
– Może rok przed rozwodem?  
– O widzisz, ja też dość dawno. Założę się, że moja siedemdziesięcioletnia ciotka ma intensywniejsze życie seksualne od nas dwóch razem wziętych. A Malina... ta to na pewno się bzyka!  
– Zazdrościsz jej? Bo mówisz to z pretensją. Na to, by wziąć rozwód, sama wpadłaś, a raczej wyczytałaś w poradnikach. Przepraszam, między wierszami – dorzuciłam z przekazem. – Gdybyś poszła po własny rozum do głowy, miałybyś Pedra, seks i wakacje na Florydzie. O bentleyu mulsanne nie wspominając.  
– Przypominam, że ty też wzięłaś rozwód.  
– Wzięłam, ale miałam podstawy. Maciej mnie notorycznie zdradzał. A i w ostatnim czasie nie był najprzyjemniejszy. Wręcz był nie do zniesienia.  
– Ja do rozwodu z Eksem również miałam podstawy – powiedziała kategorycznie. – Tylko dlaczego Malinie z facetem się udało, a nam nie?  
– Kama, przede wszystkim nie wiemy, kim on dla niej jest. Oczywiście nie podejrzewam, aby był to jakiś jej krewny, ale ona wcale nie musiała mieć łatwiej niż my. Wiktor może być jej kolejnym amantem, na którego natknęła się podczas poszukiwania życiowego partnera. Nie wiesz, czy mają ślub, jak im się układa i czy będą ze sobą do końca swych dni.  
– Oj, Ewka, nie chodzi mi o dramatyczne deklaracje. Ważne jest tu i teraz. Ona ma faceta, a my nie. Jak ciebie to nie wzrusza, mogę mówić za siebie – ona ma faceta, a ja nie! I śpijmy już – mruknęła. – Muszę być jutro przytomna, bo czekają

mnie poważne finansowe ustalenia.

Odwróciła się do mnie tyłem i nadspodziewanie szybko – wzięwszy pod uwagę gwałtowność naszej dyskusji – zasnęła. I tak oto wyglądał pierwszy wieczór w Zadolu. Malina była na górze, za ścianą Czesiek ze Szczekiem, a u mojego boku raz po raz pochrapywała Kama. Zazdrościłam jej tak szybkiego zaśnięcia. W pewnej chwili myślałam, że się obudzi, bo rzuciła się gwałtownie, kopnęła kołdrę i wyszeptała:

– Pedro! Wiktor!

Jednak spała dalej, a ja wierciłam się, słuchałam tego upierdliwego komara (kilka razy się od niego odganiając), żab, a nad ranem pierwszych ptasich śpiewów. W chwili gdy zaczął mnie morzyć sen, do moich uszu doszło piskliwe ujadanie Szczeka. Naciągnęłam kołdrę na głowę i usnęłam.

Obudziłam się po siódmej, stanowczo zbyt wcześnie, jeśli się weźmie pod uwagę nasze nocne pogaduszki oraz fakt, że przecież miałam urlop. Przyczyną takiego stanu rzeczy była mucha. Nie wiem, co ja tym owadom zrobiłam, bo najpierw w nocy gnębił mnie komar, a teraz stwór głośny, zielonkawy i sądząc po sposobie bzyczenia – mocno znerwicowany. Zagięło toto na mnie parol i z takim uporem siadało na twarzy, że z żądzą mordy w oczach wygramoliłam się z pościeli i podniosłam z podłogi but. Nerwus z głośnym bzykiem obleciał cały pokój, na chwilę przycupnął na szafie, po czym poderwał się i za cel obrał policzek Kamy. Przysiadł i złośliwie zatarł krótkie odnóża. Okazja, żeby go rąbnąć, była wspaniała, ale przypomniałam sobie, co przyjaciółka mówiła o siniakach – trzymają się na niej nawet do miesiąca. Nie, uwiecznić śladu buta na policzku Kamy nie zamierzałam. Wspaniałomyślnym gestem odegnałam z jej twarzy wrednego stwora i zaczęłam szykować się do wyjścia. Dzień był typowo letni, ciepły i słoneczny, ale ja byłam przezorna: mając na względzie potencjalne spotkanie z kleszczem, założyłam koszulę z długim rękawem i spodnie, na nogi przywdziałam trapery i wymknęłam się na korytarz. Śniadanie postanowiłam zjeść po powrocie, co zważywszy na mój delikatny żołądek, nie było rozsądnym posunięciem. Miałam jednak ochotę na spacer tu i teraz, i w dodatku w samotności. Zachowywałam się więc cichutko jak myszka, mimo to czujny Szczek nie omieszkał obszczekać mnie zza ściany.

Na podwórzu ostrożnie wciągnęłam w płuca powietrze: było świeże i wonne, czyli wiatr wiał w stronę Śmierdziela, bo niczego od niego nie przyniósł. Z podziwem popatrzyłam na jakże piękną w swym zaniedbaniu okolicę i ruszyłam wprost ku rozciągającej się pod zadolskim lasem łące. Pod nosem nuciłam *When you know* Puggy’ego, a na plecach dyndał mi stary, dziecienny plecak Kamili, który jakimś cudem odnalazł się w schowku na pościel. Miałam gorącą nadzieję, że w drodze powrotnej będzie wypchany cudownymi, wydartymi naturze łupami, które potem spożytkuję w celu podratowania podupadającego zdrowia. Piękna pogoda, dobry nastrój i nadzieja udzieliły się widocznie również i mojemu

zołądkowi, bo – o dziwo – nie czułam z jego strony żadnych typowych dolegliwości, jak odbijanie, zgaga czy pieczenie za mostkiem. Ucieszyło mnie to, nie powiem, ale nie dałam się jednak zwieść tej poprawie, która zapewne była tylko chwilowa, i twardo parłam przed siebie – po zdrowie ukryte w niepozornych roślinkach. Postanowiłam, że nie tylko będę je przyrządzać w naparze, odwarze czy w sałatce, ale również wykorzystam do kąpieli, co wzmocni skórę oraz osłabione włosy. *Odmłodzi?* Natychmiast odrzuciłam tę myśl. Jedna lub nawet kilka ziołowych kąpieli cudów zdziałać nie mogło, a ja nie chciałam nabijać sobie głowy płonnymi nadziejami. Byłam stara i musiałam o tym pamiętać.

Minęłam szklarnie Banasiów i ruszyłam na skróty przez zieleniące się pole ku wołającym mnie leczniczym źdźbłom, listkom i kolorowym kwiatuśkom. Pamiętałam z dzieciństwa łąkę pod lasem, na której bawiłyśmy się w dzieciństwie, i tam też podążałam. Po drodze mijałam dwa niewielkie budynki, w których kiedyś, o ile mnie pamięć nie myli, były magazynowane nawozy czy też sprzęt kółka rolniczego, a możliwe, że jedno i drugie. Ogrodzono je naprawdę solidnie betonowym płotem zakończonym ażurowym wzorem. Podeszłam bliżej i wspierałam się na palce: najwyraźniej prowadzone były tam jakieś prace budowlane, bo na placu leżało sporo cegieł, desek, a obok kupki piasku stała taczka i oparta o nią łopata. Niedługo mogłam się wszystkiemu przyglądać, bo nagle niemal pod samą moją twarz doskoczyło wielkie, kudłate psisko i potężnie na mnie zaszczekało, a potem kłapnęło zębami. Odskoczyłam w tył, a szczekanie przybrało na sile i stało się jeszcze bardziej zajadłe.

– Wściekasz się, mendo, bo nie mogłeś mnie dziabnąć?! – Pogroziłam mu pięścią, czego zapewne i tak nie odczytał, jak należy, bo żywa głupota mu się z tych czarnych ślepiów wprost wylewała. Ruszyłam w kierunku łąki. Obejrzałam się – pies szczekał, ale nie było go widać. Wreszcie dotarłam do celu i wkroczyłam na łąkę. Była tą samą, na której w dzieciństwie zrywałyśmy szczaw i rozkopywałyśmy kretowiska, ale – jak i Zadole – wyglądała inaczej, niż ją zapamiętałam: po prawej pojawił się zagajnik, natomiast po lewej stronie powstała nowa droga – szeroka, dobrze rozjeżdżona i prowadząca wprost ku wznoszącej się kiedyś górcie, która została brutalnie przedziurawiona i wypatroszona. Ryczące ciężarówki w siną dal uwiozły piach, beztriosko zostawiając po sobie brzydkie pobojuwisko. Serce mi się ścisnęło. Dziura zrobiona w górcie, tak jak i owa obrzydliwa droga były symbolami mojego zdemolowanego życia. Minęła mi chęć zbierania ziółek. Przysiadłam na sporej kępce trawy. Ukryłam twarz w dłoniach. Ech... życie...

– Źle się pani czuje? – usłyszałam nagle nad głową i poczułam żelazny uścisk na ramieniu. Poderwałam się na nogi. Przede mną stał niewysoki mężczyzna.

– Nie! – krzyknęłam ostrzegawczo, cofając się kilka kroków.

– Oj, najmocniej przepraszam, jeśli panią wystraszyłem. Ewaryst Pławski – przedstawił się, przybliżył się o te kilka kroków, którymi zwiększyłam dzielącą nas odległość, i wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją z ociąganiem.

– Ewa... ska... – Celowo niewyraźnie wymamrotałam, bo co go obchodzi, jak się nazywam? Jak ochrona danych osobowych, to ochrona – o każdej porze dnia i nocy i bez względu na okoliczności.

Ponieważ stałam pod słońce, przesunęłam się nieco na bok, aby dokładniej mu się przyjrzeć. Lat miał około sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu. Włosy ciemne, upstrzone srebrnymi nitkami, nos orli, czarne oczy i ciemną karnację. Cała jego fizjonomia przywodziła mi na myśl zasuszonego Indianina. Poprawiłam plecak i dyskretnie rozejrzałam się po okolicy. Rozsądek mi podpowiadał, aby jak najszybciej się stamtąd wynieść. Facet pojawił się znikąd, może wylazł z lasu, może z tych magazynów? A wokół, oczywiście poza nami i ujadającym w dali psie, nie było żywej duszy. To nic, że przybysz był mały i drobny. Siły miał dostatecznie dużo, o czym świadczył rzekomo troskliwy uścisk, którym chciał się upewnić, czy jestem przytomna.

– To ja sobie już pójdę – powiedziałam i ruszyłam w kierunku drogi.

– Do wsi pani idzie?

– Tak...

– Proszę poczekać, też tam się wybieram.

Dopiero teraz zauważyłam, że miał ze sobą niewielki wiklinowy koszyk, z którego wystawały jakieś rośliny – czyli jednak wylazł z lasu. Podniósł go i zrównał się ze mną.

– Proszę wybaczyć moją obcesowość, ale nie znam pani. Jest pani krewną któregoś z mieszkańców?

– Niezupełnie – odpowiedziałam wymijająco. Pomna przestróg, którymi karmiono mnie w dzieciństwie, nie paliłam się do zaspokojenia ciekawości przygodnie spotkanego mężczyzny.

– Aha... – Pokiwał głową, jakby uzyskana odpowiedź w pełni go zadowalała i zaczął mówić o sobie: – Bo ja, widzi pani, jestem zielarzem.

Po ostatnim spotkaniu zielarze źle mi się kojarzyli, ale za to zioła całkiem dobrze.

– W tym koszu ma pan ziółka? – Musiałam się upewnić i zazdrośnie przełknęłam ślinę.

– W koszu? – Uśmiechnął się tajemniczo. – Nie tylko w tym koszu mam zioła...

Uniosłam w górę brwi. Nie tylko w koszu? Więc gdzie je jeszcze chował? Po kieszeniach?

– Nie rozumiem.

– Pani patrzy... – A ja wlepiłam oczy w kieszenie jego spodni, najpierw

w lewą, potem w prawą. – Tam pani patrzy! – mruknął niecierpliwie i zatoczył ręką przed siebie, na rozciągające się pola. – Tam są! Na polach! Melisa, rumianek, mięta, dziurawiec i jeszcze kilka innych gatunków również.

– Przed nami? – pisnęłam z niedowierzaniem, bo jak to się stało, że pędząc na łąkę po upragniony surowiec zielarski, przeoczyłam ich całe hektary? A może właśnie dlatego ich nie zauważyłam, bo było ich tak wiele, że moja percepcja została zmylona? Tak czy siak, zrobiło mi się wstyd. Ogrodniczka od siedmiu boleści.

– A tak. Na polach. Część ziemi kupiłem, a część dzierżawię. Dużo tego – dodał z dumą.

– Niezły z pana obszarnik. – Gwizdnęłam z podziwem. – Sam je pan uprawia?

– Nie, z pomocą miejscowych.

– O, i do tego zapewniam pan miejsca pracy. – Wybaczyłam mu, że był zielarzem, zaczęłam go nawet podziwiać. – W Zadolu z robotą pewnie wesoło nie jest?

– Ma pani rację, nie jest. A że jestem urodzonym społecznikiem, więc z radością tu się udzielam. – Spuścił skromnie ciemne oczy. – A te budynki, które tam stoją – wskazał palcem – dzierżawię od gminy na suszarnie. Jeszcze nie są gotowe, ale na szczęście mam odbiorców, którzy kupują świeży surowiec. Gdy już skończymy remont, będę mógł suszyć zioła hurtowo, teraz mogę tylko niewielkie ilości, na własne oraz mieszkańców potrzeby.

– Aha... – Pokiwałam z uznaniem głową. Takiego człowieka tu trzeba było! Żeby na każdej polskiej wsi działał jeden przedsiębiorczy Pławski, mało kto by za granicę do pracy jeździł. Oczywiście nie omieszkałam się tym spostrzeżeniem podzielić.

– Oj tam, oj tam! – Machnął dłonią, że niby taki skromny, ale przecież widziałam, jaką przyjemność sprawiły mu moje słowa.

– Tak, tak. Nie dość, że ludzie mogą na życie zapracować, to jeszcze zioła pan produkuje! – powiedziałam, błędząc oszalałym wzrokiem po polach. Tyle dobra!

– Interesuje się pani ziołami?

– Ostatnio nawet bardzo. – Pomyślałam o moich dolegliwościach. – Właśnie tu przyszedłam, aby ich trochę nazbierać – dodałam, znacząco zerkając na jego uprawy. Liczyłam, że zaproponuje mi coś ze swego szerokiego asortymentu.

– A potrzebuje pani czegoś konkretnego?

– Na pewno coś na żołądek i na uspokojenie.

Z namysłem zmierzył mnie wzrokiem i podrapał się po brodzie.

– Wiem.

– Tak?



– Zrobię pani mieszankę na klimakterium.

– Klimakterium?!

– Oczywiście. Nie tylko reguluje hormony, ale też żołądek i nerwy wyciszy.

I nie należy tak gwałtownie reagować, bo jesteśmy częścią natury i czy tego chcemy, czy też nie, podlegamy jej prawom. Na nasze szczęście mamy cudowne ziołka, których zastosowanie i właściwości lecznicze ludzie poznawali przez długie lata. Oczywiście droga do poznania nie zawsze była prosta, bo często przy okazji wiedza obrastała jakimś zabobonem albo innym dziwacznym wierzeniem. Na przykład mandragora, czy pani kiedyś o niej słyszała?

– Nie... tak... to znaczy co nieco.

– Co nieco? Więc ja pani powiem trochę więcej. Otóż jest ona jednym z najdawniejszych środków leczniczych, a w szeroko pojętej terapii stosuje się jej owoce, liście, ziele, no i oczywiście korzeń. Ten korzeń ze względu na swe antropomorficzne kształty zawsze budził duże, że się tak wyrażę, emocje. Pominę już fakt, że wycinano z niego figurki homunkulusów, które stosowano do czarnoksięskich praktyk, ale najciekawsze są opowieści, które krążyły na temat trudności towarzyszących jego wykopaniu.

– Trudności? – Tak mnie zaciekawił opowieścią, że niemal wybaczyłam mu tę mieszankę na klimakterium.

– Tak, tak. Otóż twierdzono, że mandragora zawsze zaciekle broni się przed wydarciem jej matce ziemi i aby to się udało, uwaga! – Podniósł palec i zrobił pauzę. – Śmiałek musiał polać korzeń moczem kobiety lub jej krwią miesięczną. Potem, gdy udało mu się go trochę obkopać, należało do niego przywiązać ogon psa, uciec jak najdalej i wtedy dopiero zwierzaka do siebie przywołać. Pies, pragnąc przybiec do pana, wyrwał korzeń, a sam zdychał obsypany głośnymi, nie do zniesienia dla człowieka, przekleństwami rośliny!

Opowieść była tak fascynująca, że mieszanka na klimakterium już zupełnie poszła w niepamięć, a ja na twarzy dostałam potężnych wypieków. Zdechły pies? Przekleństwa? Tak, ten człowiek naprawdę znał się na ziołach!

– To była taka mała ciekawostka z przeszłości. – Uśmiechnął się z dumą, widząc mój szczerzy podziw. – Niech pani spojrzy na to i powącha... – Sięgnął ręką do koszyka i wyjął leżący na samym wierzchu przywiedły wiecheć. Przytknęłam do nosa wątlą gałązkę, ale zapach nic mi nie mówił. Jednak miękkie lancetowate liście wydały się jakby znajome.

– *Saponaria officinalis* – oświadczył z dumą.

– Mydlnica! – Triumfalnie plasnęłam się w czoło.

Ewaryst spojrział na mnie zaskoczony.

– Skąd pani wiedziała?

– Studiowałam ogrodnictwo i na pierwszym roku mieliśmy botanikę. Jakimś cudem najbardziej zapadły mi w pamięć łacińskie nazwy roślin wraz z ich polskimi

odpowiednikami, ale z przypomnieniem sobie ich wyglądu mam już coraz większy problem.

– Proszę, proszę, ogrodnictwo. A można wiedzieć, gdzie pani studiowała?

– Wtedy jeszcze na Akademii Rolniczej w Poznaniu, teraz jest to Uniwersytet Przyrodniczy.

– Czyli mam przed sobą poznaniankę.

– Nie, i pochodzę z Pucka. Tam się urodziłam i mieszkam... przynajmniej mieszkałam do tej pory... – Ugryzłam się w język, bo mało brakowało, abym weszła na temat przyczyny, która mnie stamtąd wygoniła. Mimo całej do niego sympatii (która wzrosła jeszcze bardziej po opowieści na temat mandragory) nadal nie chciałam do końca się przed nim odkrywać. Moje życie prywatne było tylko moje.

Ewaryst Pławski wyczuł rezerwę w moim głosie, bo powiedział:

– No dobrze, jeśli chodzi o moje życiowe perypetie, powiem pani, że ja pochodzę z Zielonej Góry.

Tego, że nie był z Zadola, od razu się domyśliłam. Nie mógł pochodzić z tej wioski, bo przyjeżdżając tu w dzieciństwie, na pewno bym się gdzieś na niego natknęła.

– Po zakończeniu zawodowego etapu życia postanowiłem porzucić stare śmieci i zacząłem rozglądać się za jakimś spokojnym miejscem, w którym mógłbym spędzić starość. I mój wybór padł na Zadole.

– Ach, więc wyprowadził się pan z rodzinnego miasta i bez żalu przeniósł w zupełnie nieznaną panu stronę? Ale po co? Dlaczego? – Ja miałam powód, aby szlajać się po świecie, ale on? Stary facet, dość ekscentryczny, jak zdążyłam go ocenić, dlaczego zdecydował się na tak radykalną zmianę stylu życia?

– Przecież powiedziałem, że po to, aby gdzieś spędzić starość. No i oczywiście spełnić się jako społecznik. A teraz kolej na panią. To w końcu co pani tu robi?

– Co ja tu robię? – Westchnęłam ciężko. – No właśnie...

Ewarysta musiało znecierpliwzić moje przydługie myślenie. Sądząc, że pewnie nie doczeka się odpowiedzi, zadał następne pytanie:

– Wracając do pani uczelni, nie jestem pewien, ale czyżby ukończyła pani tę samą co i biedny syn Banasiów?

– Tak, tę samą.

– Zna go pani? Banasiowego syna?

– Owszem. Z dzieciństwa, a i podczas studiowania zdarzało mi się go czasem spotkać. – Oględnie to ujmując, dodałam w myślach.

– Aha... – Pokiwał głową w zamyśleniu.

– Słyszałam, że zaginął.

– Tak, okropny dramat dla tej zacnej rodziny. Zgryzota ich zabija!

– Ciekawe, co się mu przytrafiło? Żeby ot tak zniknąć...  
– Rzeczywiście sprawa bardzo tajemnicza. Ale trzeba być dobrej myśli, że wkrótce znajdzie się zdrow i cały. Jakiż z niego dobry chłopak! A jaki mądry! Dzięki opracowanym przez niego zaleceniom plony wzrosły mi dwukrotnie!

– Jego też pan zatrudniał?

– A gdzie tam! Grosza ode mnie nie wzię! Pobierał próbki gleby, wysyłał do analiz, a potem tak dobierał nawozy, żeby w glebie niczego nie było za dużo ani za mało. I co ja bez niego zrobię? – Dramatycznym spojrzeniem powiódł po polach, na chwilę zatrzymał wzrok na suszarniach, ciężko westchnął i zmienił temat: – No, ale o czym my tu rozprawialiśmy? Ach, o mydlnicy! – Odłożył ją z powrotem do koszyka i sięgnął po kolejne trofeum:

– A to *Artemisia absinthium*, czyli po polsku... – Spojrzał na mnie pytająco.

– Tego, niestety, nie pamiętam – odpowiedziałam nieco zawstydzona. – Jestem raczej kiepską zielarką.

– No tak, no tak... Za kilka dni, gdy już będę mógł zrywać z pól, skompletuję pani odpowiednią mieszankę. Po co ma pani sama pod lasem się włóczyć? Wystarczy, że już nam młodego Banasia porwali.

– Porwali? Skąd pan wie, że to było porwanie? – Przystanąłam zaintrygowana nową informacją. Ewaryst Pławski również przystanął i spojrzał na mnie nieprzytomnie, jakbym dopiero co się przed nim pojawiła:

– O co pani chodzi?

– Powiedział pan, że Krzyśka porwali.

– Tak powiedziałem? – Z zafrasowaniem podrapał się po głowie.

– Oczywiście.

– Niemożliwe!

– Ależ tak!

– Widać musiało mi się to wyrwać zupełnie bez sensu. – Stropił się mocno, jakby zapadł się w sobie i potarł czoło.

Wyrwało się?! I pomyśleć, że przed chwilą oferował mi własnoręcznie sporządzoną mieszankę ziół. Nie ma mowy, nigdy niczego od niego nie wezmę. Jeszcze coś pokręci i mnie otruje zamiast uleczyć. To, że jestem stara, nie znaczyło, że chcę dać się zabić.

– Mam rozumieć, że porwanie Krzyśka wyrwało się panu tak samo jak to moje klimakterium? – zapytałam z nadzieją, że potwierdzi.

– Ale! Moja droga pani, temat owego klimakterium podjąłem całkiem świadomie! W tej kwestii nie było mowy o żadnej pomyłce. Jednak, naprawdę, nie ma się czym przejmować. Zegar tyka każdemu, każdemu też bije dzwon. Doprawdy nie wiem, jaką jeszcze mądrą sentencją mógłbym panią pocieszyć? Może taką: idź na cmentarz, to się opamiętasz.

– Na cmentarz? – Zapewne znów zaczynał bredzić. Jaka szkoda, taki

szlachetny człowiek, a w głowie mu się poprzestawiało. Krótka rozmowa wskazywała na to, że zadowolenie długo się nim nie nacieszą – do reszty mu się w mózgu pomiesza i skończy się era społecznika. Szkoda.

– Przecież wyraźnie powiedziałem, że to słowa pocieszenia, które mogą pani pomóc nabrać dystansu do upływającego czasu. No, niech się pani nie przejmuję! – Poklepał mnie po ramieniu. – Wszyscy się starzejemy. Ja również przeżywam, że wraz z upływającymi latami dosięgają mnie coraz to nowe ograniczenia. I wie pani, co mi na to pomaga?

– Co?

– Pasja! Zielarska pasja! Jestem niczym Orzeszkowa przemierzająca nadniemeńskie łąki w poszukiwaniu coraz to nowych okazów do swych zielników! – Ostatnie zdanie rzucił z patosem. Przymknął oczy i powiódł wokół ręką, jakby chciał coś namacać. Swoje zioła zapewne.

– Orzeszkowa? Zielniki? – zainteresowałam się. Musiałam się upewnić, czy tym razem bredził, czy mówił prawdę.

– Oczywiście! – Przystanął i przełożył koszyk z ręki do ręki. – Nie słyszała pani o słynnej, botanicznej pasji Elizy Orzeszkowej?

Zaprzeczyłam i przybrałam zachęcający wyraz twarzy, mający go nakłonić do kontynuowania wątku. Jeśli mataczył, zapewne po kilku zdaniach się pogubi, a jeśli nie, warto było o tej pisarce dowiedzieć się czegoś nowego. Czujnie nadstawiłam ucha, a Ewaryst zalał mnie potokiem informacji, brzmiących spójnie, sensownie i całkiem ciekawie. Nie omieszkał też dorzucić czegoś na temat swojego życia prywatnego. Dowiedziałam się, że pochował dwie żony, a samotnie wychowany syn po uzyskaniu pełnoletności spakował się w jedną torbę i wyjechał za ocean, skąd tylko od czasu do czasu przysyłał tanią pocztówkę. Wobec niewesołych faktów z jego życiorysu definitywnie odpuściłam mu tę mieszankę na klimakterium, a i machnęłam ręką na to, że wydawał się sklerotyczny oraz nieco zadufany w sobie. Ot, drobne wady starego człowieka. W końcu każdy, bez względu na wiek, ma jakieś przywary, lecz u Ewarysta, na drugiej szali, tej na zasługi i zalety, leżała obszerna zielarska wiedza, która zrobiła na mnie takie wrażenie, że niewiele brakowało, a padłabym przed nim na kolana i zaczęła gorąco wielbić. Tak, tego Ewarysta, lat sześćdziesiąt osiem, metalurga z wykształcenia i zawodu, który z własnej i nieprzymuszonej woli podzielił się ze mną wiedzą na bardzo ciekawe tematy.

– A może przynajmniej słyszała pani o herbarzu Elizabeth Blackwell? – Tuż przy skrzyżowaniu dróg, na którym mieliśmy się rozstać, dobił mnie ostatnim pytaniem.

– Czyim herbarzu?

– Elizabeth Blackwell.

– Nie, nie słyszałam.

– To o czym pani słyszała? – zapytał z rezygnacją w głosie. – Studiować ogrodnictwo i ani o zielnikach Orzeszkowej, ani herbarzu Blackwell nie mieć pojęcia?

Herbarz Blackwell – powtórzyłam w myślach, przykazując sobie przy najbliższej okazji poszukać o niej bliższych informacji.

– Jakoś tak się złożyło... – powiedziałam.

– Powiedziałbym raczej, że nie złożyło. Ale dobrze, już dobrze – rzekł. – Kiedyś pani o nim opowiem, teraz muszę już iść. Do widzenia – powiedział, ale zaraz się poprawił – znaczy do zobaczenia, bo na pewno jeszcze się tu spotkamy.

Po pożegnaniu z Ewarystem Pławskim obejrzałam się za znikającą za zakrętem drobną sylwetką. Trochę dziwak i sklerotyk, ale jaki nietuzinkowy! Tytan pracy! Społecznik! Pola ziół, dwie suszarnie, a jaka wiedza! I, co było widać, do swej pracy podchodził z sercem. Im bardziej zagłębiałam się w rozmyślania o zacnym zielarzu, tym wolniej szłam. Zerwałam z pobocza kilka źdźbeł szczawiu. Smakował dzieciństwem. Dzieciństwo... I znów tu przyjechałyśmy – Kama, Malwina i ja. Tylko Krzyśka brakowało. Zniknął. Strach mnie obleciał, wzdygnęłam się i obejrzałam. Nikt za mną nie szedł ani nie czaił się po rowach, co jednak nie oznaczało, że mogłam się czuć bezpiecznie.

Przed wejściem w rosnący przed dziadkowym podwórzem zagajnik przystanąłam jeszcze i rzuciłam okiem na wioskę – na te z rzadka rozrzucone po okolicy stare, chylące się ku upadkowi domy. Niby stanowiły całość, bo przecież w jednej wsi stały, a jednak każdy wybudowany był w bezpiecznej odległości od kolejnego, jakby w ten sposób mieszkańcy chcieli ustrzec swoje tajemnice.

– Ty! – usłyszałam za moimi plecami. Odwróciłam się gwałtownie. Przede mną stał on, przystojny „Men’s Health”, którego minionego wieczoru uchroniłam przed zjedzeniem toksycznego biszkopta. Czy było warto aż tak się denerwować? Spojrzałam na niego krytycznie – teraz nie prezentował się tak wspaniale jak wczoraj. Światło dzienne bezlitośnie odarło go z tajemniczej aury, uwypukliło zmarszczki oraz wory pod oczami. Czego jak czego, ale takich worów nie mam – pomyślałam z satysfakcją. Tymczasem „MH” zlustrował bacznie moją sylwetkę, a że ciało skryte było pod spodniami i długim rękawem, szybko zakończył oględziny i powiedział:

– To ty! Ta druga!

– Druga?

– Druga przyjaciółka Malwy. Z dzieciństwa – dodał, a ironiczny uśmiech skrzywił jego usta w kształt przypominający żmiję. – Tak o was mówiła.

– Przyjaciółka? – Nadinterpretacja, której dopuściła się Malina, zbiła mnie z pantafelku, na którym zresztą i tak już się kiepsko trzymałam. Ona faktycznie była tak gapowata, jak ją oceniał dziadek. A ponieważ głupio się gapiłam, „MH” powtórzył:

– No tak mówiła: w Zadolu będą na mnie czekać dwie przyjaciółki z dzieciństwa. Dlatego tak się do was paliła. Nie tyle zależało jej na zrobieniu porządku z chałupą, ile na spotkaniu z wami. Ale mniejsza o to. Powiedz, gdzie ona jest, bo musimy wracać.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Pewnie w domu z Kamą.

Wiktor wysoko uniósł brwi, a na jego podstarzałej, ale nadal przystojnej twarzy pojawiło się nieprzyjemne zaskoczenie.

– Ale tamta, Kama, jak ją nazywasz, powiedziała, że Malwa poszła z tobą. Do lasu czy na jakąś łąkę, nie pamiętam.

– Skądże, wybrałam się tam zupełnie sama.

– To gdzie ona jest?!

– Malina? – zapytałam głupio.

– A o kim rozmawiamy?! Malinie, Malwinie czy jak na nią wołacie! – Wiktor spurpurowiał, piękna twarz brzydko mu się zmieniła, a nabrzmiała na szyi żyła zaczęła pulsować z imponującą pracowitością. – Gadaj zaraz, gdzie ona jest?!

– A skąd, do cholery, mam to wiedzieć?! – odwrzasnęłam ośmielona jego wstrętnym obliczem. Jako piękniś z kilkoma zmarszczkami i podkrążonymi oczami mógł mnie jeszcze nieco onieśmielać, bo jego nieco nadgryziona, ale nadal wielka uroda rzucała się w oczy i czy tego, babo, chciałaś, czy nie, musiałaś stać na baczność z gębą, jeśli nie rozdziawioną, to przynajmniej zamkniętą na kłódkę, ale teraz, gdy się tak miotał?! Jak on wyglądał? Wściekła gęba i zacietrzewienie sprawiły, że zupełnie stracił urok, stał się pospolity, brzydki i zły. Zupełnie jak mój Maciej. Ale przecież Wiktor nie krzyczał bez powodu. Niepokoił się o Malinę. Cierpiał męki, targały nim emocje, co przecież nie mogło się brać z niczego innego, jak tylko z uczucia, którym darzył moją „przyjaciółkę” z dzieciństwa. Och, żeby ktoś kiedyś z mojego powodu taką awanturę urządził! Nie, ja na niego krzyczeć nie mogłam. Nie w sytuacji, gdy dyszał żądzą spotkania z ukochaną, a tęsknota uszami mu parowała. Musiałam się uspokoić i mu dopomóc – na tyle, na ile potrafiłam, oczywiście.

– No to gdzie polazła? W domu jej nie ma i z tobą też nie!

– Może jednak po tym domu się szwenda i pamiętek po dziadku szuka? Chata przepastna, rupieci pełno, może zagrzebała się w jakimś kącie i stare czasy wspomina?

– Rupiecie! Stare czasy! Co ty mi tu bredzisz?

Naprawdę, naprawdę starałam się nie brać sobie do serca jego dzikich wrzasków. Tłumaczyłam sobie, że to krzyczały przez niego miłość, szaleńcza tęsknota i niespełniona chęć połączenia się z ukochaną.

– Nie ma jej tam! – wydierał się. – Każdy kąt przeszukaliśmy! – Tupał w miejscu, wściekał się, wkurzał i zaciskał pięści.

– A komórka? – podsunęłam.

– Co komórka?  
– Dzwoniliście do niej na komórkę?  
– Za kogo ty mnie masz? Pewnie, że tak!  
– I?  
– W tej chałupie ją zostawiła, ot co! – Wyjął z kieszeni biały aparat. – Tu ją mam! – Popukał w nią paluchem i z powrotem schował.  
– Ojej! – Zakryłam dłonią usta. No i klops... Co miałam mu powiedzieć, jak pocieszyć? – Mam! Może wybrała się na spacer tak jak ja, w pojedynkę?  
Łypnął na mnie, zamilkł i przez dłuższą chwilę mełł w mózgu nową możliwość.  
– Spacer! – prychnął w końcu. – Pieszko za nią latać nie będę. Wracam po auto!

Miałam nadzieję, że Kama o zniknięciu Krzyśka mu nie powiedziała. Po co raczyć tego oszalałego, wzburzonego, zakochanego samca dodatkowym stresem? Najprawdopodobniej było tak, że Malina wylazła tak jak i ja cichcem z domu, obrała jakiś sentymentalny szlak i przemierzała pieszko krainę dzieciństwa. Wędrowała albo leżała gdzieś na łące, wdychała świeże powietrze i opalała idealnie utrzymane ciało. Może nawet nago to robiła, co mogłoby tłumaczyć dyskretne zniknięcie – nie chciała, żeby ktoś ją gołą przyłapał. Przecież w końcu gdzieś być musiała!

– Gdyby się nie odnalazła... – zaczęłam.  
– To? – zapytał podejrzliwie.  
– Zawiadomimy policję – dokończyłam.  
Wiktor znów się zmienił na twarzy, ale tym razem wstąpiło w niego coś gorszego niż poprzednio. Wyglądał demonicznie i przerażająco. Zrobiłam krok do tyłu, ale mimo to dosięgnął dłonią mojej koszuli (odrywając przy tym jeden z guzików) i przyciągnął ku sobie jak szmacianą lalkę.  
– Spróbuj, kurwa, wmieszać w to policję, a sama przepadniesz bez śladu!

Przed domem, na starej ławce, z piwem w ręce siedziała Kamila. Obok niej, z wyrazem błogości na twarzy i wywalonymi na mały, turystyczny stolik nogami, tkwił Czesiek. Leżący pod ławką Szczek rzucił się ku nam z krótkim warknięciem, po czym leniwym krokiem powrócił na opuszczone miejsce, skąd obserwował mnie złośliwymi ślepiami.

– O, jesteś! – Kama się ożywiła i odstawiła piwo. – A gdzie Malina?

– Nie wiem. Ze mną jej nie było.

– No popatrz. A byłam przekonana, że z tobą polazła. – Z głębokim namysłem znów łyknęła z puszki i powiedziała: – To w takim razie gdzie ona jest?

– Szlag wie, ale niech ja ją dorwę! – zapienił się, w moim mniemaniu z miłości, Wiktor. – Już dawno mieliśmy być w drodze do Krakowa, a ta szlaja się po jakimś zadupiu!

– Cóż, teren jest rozległy i jak jej się zachce porządnie poszłajać, do wieczora nie wróci – powiedział Czesiek. A po chwili uzupełnił: – A i żeby do rana się pojawiła, dobrze by było!

– O właśnie, właśnie! – podchwyciłam. – Też sędzę, że na jakąś przechadzkę się wybrała!

– Przechadzkę! – warknął Wiktor, wyjął z kieszeni telefon i oddalił się tak skutecznie, że żadne z nas nie miało możliwości wychwycenia choćby i pół słówka.

– Gdzie toto polazło? – zapytałam Kamę.

– Nie mam pojęcia – szepnęła. – Około południa obudził mnie ten jej Wiktor, że po nią przyjechał. Kazałam mu iść na górę, bo myślałam, że krakowska mimoza jeszcze śpi. A tu za chwilę on przychodzi z wraskiem, że pokój pusty.

– Pusty? Jak to pusty? – zapytałam równie konspiracyjnym szeptem.

– Normalnie. Nawet jej rzeczy zostały. Ciuchy, torebka, telefon... – Głupia ciapa! – sarknęłam z oburzeniem. – Jak mogła nie wziąć komórki?

– Też tego nie rozumiem.

– A gdzie jest ten telefon?

– Wiktor zabrał. Jeżeli do wieczora się nie znajdzie, trzeba będzie zawiadomić policję – powiedziała Kama.

– Żadnej policji! – Wiktor, który przestał rozmawiać przez telefon, znalazł się błyskawicznie przy Kamie. Z napięciem czekałam, czy ją również, tak jak mnie, złapie morderczo za kołnierz, ale jej nie tknął. Łypnął na Cześka, otrzepał dłonie z domniemanego brudu, a następnie wytarł w spodnie. Świerzbiły go te łapska, oj świerzbiły.

– A bo co?! – Czesiek uniósł się z trzeszczącej ławki. – Niby dlaczego nie możemy zgłosić tego na policję? Zbliżył twarz do wypięlegnowanej buźki Wiktora, a ten natychmiast odsunął się z wypisanym na obliczu najwyższym stopniem odrazy. Przez dłuższą chwilę panowało pełne napięcia milczenie, po czym „MH”



uśmiechnął się (co mu przyszło z wyraźnym trudem) i powiedział:

– Posłuchajcie, żaden normalny policjant tak szybkiego zgłoszenia o zaginięciu odpowiednio poważnie nie potraktuje. A wierzcie, moja dziewczyna zasłużyła na poważne traktowanie! – Znów się uśmiechnął, półgębkiem, jakby przepraszająco, ale w jego oczach nadal brzydko błyskało.

Tak – pomyślałam – łyska wściekle, bo chuć nim targa. Dobrze pamiętałam, jak było ze mną na początku znajomości z Maciejem! Żywioł namiętności, który nas zalał, był nie do okiełznania.

– Dziewczyna? – zainteresowała się Kama i szturchnęła mnie w bok. Więc to tak, niegdysiejszy piękniś nie był mężem naszej gapowatej koleżanki, tylko jej facetem czy jak kto woli – przyjacielem, partnerem, można by go nazwać i kolegą, co mi tam, w żadnym jednak razie nie konkubentem. Dziś tego ostatniego określenia się nie używa, słowo niemodne, źle się kojarzy i tyle.

– O co chodzi? – burknął.

– O nic – odpowiedziałam za Kamilę.

– Poczekajcie z tą policją do jutra – wycedził prosząco. – A ty – zwrócił się do Cześka – gdybyś się tak o nią martwił, sam wziąłbyś się do szukania!

– Słuszna uwaga. – Czesiek wstał z ławki i się przeciągnął. – Ewka, gdzie łąziłaś? Żebym po twoich śladach nie deptał.

– Byłam na łące za Banasiowymi szklarniami. Tam, obok suszarni.

– Ach, w takim razie pójdę na zachód. – Zastanowił się chwilę. – Nie, jednak nie pójdę pieszo. Wezmę auto. Szczek! – zawołał i otworzył drzwi starej białej corsy. – Wsiadaj, dziadu!

Szczek zamerdzał ogonkiem i wskoczył na siedzenie pasażera.

– Bierzesz go ze sobą? – zdziwiłam się. – Patrząc przez okno samochodu, żadnego tropu nie złapie.

– Nawet gdyby laził po drodze, też by mu się to nie udało. Taki z niego leń – powiedział Czesiek.

– Zabrałaś komórkę? – zapytała Kama.

– Ma się rozumieć! – zasalutował radośnie. – Przejadę się też po wsi i popytam po ludziach. – No, to znikamy, Szczekuś! – zawołał, zapuścił silnik i ruszył ku polnej drodze.

– Ja także jej poszukam – odezwał się Wiktor, otworzył drzwiczki samochodu, wsadził tam prawą nogę, ale po chwili się wycofał. – Dam wam mój numer, żebyście zadzwoniły, gdyby się znalazła. Której podyktować? – spojrzał pytająco na Kamilę i na mnie.

– Ja zapiszę – powiedziała Kamila, sięgnęła do kieszeni po telefon, a Wiktor podał jej cyfry.

– I siedźcie tu na tyłkach, na wypadek gdyby w tym czasie wróciła – polecił, wsiadł do samochodu i ruszył za Cześkiem, by po chwili skręcić w przeciwnym

kierunku.

Podczas oczekiwania na Malinę opowiedziałam Kamie o bezowocnej wyprawie na łąkę, spotkaniu z bardzo zacnym, choć nieco sklerotycznym Ewarystem Pławskim, ciskającej przekleństwa mandragorze, napomknęłam również o zielniku Orzeszkowej, a i o herbarzu Elizabeth Blackwell również nie zapomniałam. Chciałam się mojej przyjaciółce pożalić, że tu, na tej zapadłej wsi, odkryłam bezmiar swojej niewiedzy, ale z niecierpliwością machnęła ręką i zmieniła temat.

– Gdzież ona może być?

– Malina?

– A kto inny?

Przymknęłam oczy i wystawiłam twarz do słońca. Chrzanić zmarszczki i starcze plamy! Grzało cudownie, a moja facjata i bez pomocy słońca kiedyś się pomarszczy. Hm... nie, nie kiedyś, ale niedługo, bo cyfry na moim liczniku zaczynały się już od czwórki.

– Pewnie po lesie łązi. Zgubić się nie zgubi, bo ani rezerwat, ani bór to nie jest.

– A jeśli nie?

Otworzyłam oczy i spojrzałam na nią.

– Co jeśli nie?

– Krzysiek też zaginął.

– Nie mów też, bo Maliny za zaginioną uznać nie możemy.

Poruszyłam się niespokojnie. Może jednak ktoś na tej wsi cichcem sfiksował i morduje pod osłoną nocy?!

– Mam pewną teorię – powiedziała ostrożnie Kama.

– Ja też! Teorię o mordercy! – Weszłam jej w słowo. – Też taką mam!

– Oj tam, ja nie myślę o żadnym mordercy.

– A o czym?

– Przypominasz sobie te wakacje, kiedy Krzysiek wyjątkowo mocno działał ci na nerwy?

Jasne, że pamiętałam. Dojrzewał gwałtownie, był nieznośny, zgrywał się przy każdej możliwej okazji, ale mimo to wciąż ślepo go wielbiłam. Westchnęłam. Było – minęło. Pierwsze śliwki robaczywki...

– Pamiętam. Wtedy jeszcze Malina z nami pływała, potem ją nastraszyłaś i pozbyłyśmy się jej. – Spojrzałam na nią z wyrzutem. Każde nielubienie ma swoje granice.

– Nie musisz mi o tym przypominać. Ważne, że miałyśmy ją z głowy. Ale nie o tym chciałam mówić, pamiętasz ten dzień, kiedy pływałyśmy łódką, wywaliłyśmy się na samym środku Śmierdziela i Krzysiek nas wtedy ratował?

– Tak, sam w łódce dziurę zrobił, a potem wcielił się w rolę bohatera –

prychnęłam. Kama zamyśliła się nad czymś. Sprawa musiała być poważna, bo mocno przy tym przygryzła dolną wargę.

– Tak sobie myślę...

– Co?

– Myślę, że... on wtedy popisywał się przed Maliną...

– Słucham?

Spojrzałam na Kamę niemile zaskoczona, wręcz oszołomiona jej daleko brnącym przypuszczeniem. Popisywał przed Maliną?! Nie miał przed kim? Przecież ja obok byłam! Nie mógł nie zauważyć, jakim cielecym wzrokiem go obrzucałam, jakie maślane oczy robiłam! Byłam szczupła, gibka i energiczna, daleko mi było do tłustej, ryczącej po kątach mimozy, jaką była Malina. Czyżby naprawdę to ona mu się podobała? Taka mdła, bez wyrazu, charakteru? Zamiast niej już Kamilę mógł sobie wybrać.

– Tak. Widziałam jak na dłoni.

– Skoro ty widziałaś, dlaczego ja niczego nie zauważyłam? – rzuciłam z pretensją.

– Bo byłaś zaślepiona. Przecież on ją ratował jako pierwszą.

– Ratował pierwszą, bo miał ją pod ręką. Tłustą gapę! Nawinęła mu się w tym stawie pod rękę, więc wyciągnął. Ot, cała filozofia. – Zdenerwowałam się.

– Widziałam, jak na nią patrzył. Cały czas – nie poddawała się Kamila.

– A ja widziałam, jak patrzył na mnie! – Uparcie walczyłam o zachowanie starych dobrych wspomnień. – Przecież wtedy w Malinie nie było niczego wartego podziwiania. Teraz to co innego, mógłby się na nią wytrzeszczać i byłoby to uzasadnione, ale wtedy?! Grube toto było i marudne na dodatek.

– Nie, mnie nic się nie pokręciło, tylko tobie.

– Tak? A dlaczego wtedy mi tego nie uświadomiłaś?

– Nie chciałam narażać cię na cierpienia.

– Cierpienia? – Zaśmiałam się sarkastycznie. – Przecież i tak nie było mi lekko. W końcu kochałam się w nim bez wzajemności! – przypomniałam.

Kama prychnęła:

– Nieprawda. Gdybym ci powiedziała, że on coś ma do Malwiny, jeszcze bardziej byś cierpiała, albo, co gorsza, krzywdę byś jej zrobiła... – Zaśmiała się rehotliwie.

– Krzywdę? Niczego bym jej nie zrobiła – oburzyłam się fałszywie, jakby Kama prawdy nie powiedziała. – To było tyle lat temu. Na pewno coś ci się pomyliło. Wiem swoje, ona na pewno nie była w jego guście.

– Ewka, nie upieraj się jak ten osioł ostatni. Oni się ze sobą całowali. – Ostatnie zdanie rzuciła ot tak sobie, jakby komunikowała, że na jutro deszcz zapowiadają, a mnie wszystkie wspomnienia w proch się obróciły...

– Całowali.... – wyszeptałam. – Jak to całowali?! Malina z Krzyśkiem?!

Kama ponownie zagłębiła się we własne myśli, umilkła i zagryzła dolną wargę. Jeszcze raz tak mocno zagryzie tę wargę, a bez szycia się nie obejdzie.

– Mów! – popędziłam ją.

Usilnie starałam się zebrać myśli. Minęło tyle lat... Przez cały okres mojego małżeństwa Krzyśka wspominałam rzadko, a jeśli już, to zawsze z sentymentalnym uśmiechem na twarzy. I nigdy, przenigdy, nie zdarzyło mi się zapędzać w porównywania z Maciejem. Uczucie, które żywiłam do mojego męża, było diametralnie inne od tego, którym kiedyś darzyłam Krzyśka. Nie znaczyło to, że kochałam go mniej czy też w małżeństwie (oczywiście mam na myśli jego początek) czegoś mi brakowało. Było nieźle, raz gorzej, raz lepiej, dopóki nie wytropiłam licznych zdrad, którymi codzienny żywot urozmaicał sobie mój ślubny. A teraz? Nie dość, że pozornie udane małżeństwo legło w gruzach, to jeszcze się okazało, że i wspomnienia rozsypały się jak domek z kart.

Kamila westchnęła i powiedziała:

– Całowali się w krzakach za Śmierdzielem. Nie kryli się z tym szczególnie. Nie pamiętam już, gdzie byłaś, ale dziękowałam Bogu oraz wszystkim świętym, że tego nie widziałas.

– Tylko raz się całowali?

– Ja widziałam raz – odpowiedziała ostrożnie.

Żołądek zapiekł mnie bolesnie, ale nie przejęłam się tym zbyt. Dość tego! Nie będę reagować na każdą jego panikę łykaniem tabletek. Teraz na głowie miałam ważniejsze sprawy niż chimeryczny organ. W głowie mi się rozjaśniło i pojęłam, co Kamila chciała mi przekazać:

– Najpierw wsiąkł Krzysiek, a teraz zniknęła Malina... – szepnęłam wstrząśnięta. – Sądzisz, że się umówili? Teraz, po latach?!

– Dlaczego nie? Może utrzymywali ze sobą stały kontakt? Albo natknęli się na siebie w Internecie i oszaleli na swoim punkcie?

Może... Może i tak się stało, nic by mnie to nie obeszło, gdyby nie wiązało się bezpośrednio ze zniszczeniem moich najwcześniejszych, związanych z miłością wspomnień, które zarazem były jedynymi pozytywnymi wspomnieniami dotyczącymi tego wzniosłego uczucia. Nie miałam wyjścia – musiałam ruszać w świat, żeby uciec od zdemolowanej przeszłości i naprodukować sobie nowych, pozytywnych wrażeń.

– Nad ranem słyszałam Szczeka – powiedziałam. – Może wtedy się wymknęła?

– Całkiem możliwe. A Krzysiek mógł na nią czekać. Na przykład za stawem. Za tym samym, przy którym tyle razy się całowali... – Spojrzenie Kamili zaszło romantyczną mgłą, a do oczu napłynęły łzy wzruszenia.

– To w końcu ile razy się oni całowali?!

– Przecież mówiłam! Raz!

– Przed chwilą powiedziałaś, że tyle razy, a to znaczy, że musieli więcej niż raz.

– Nie bądź drobiazgową.

– Kamila!

– No co? – Spojrzała na mnie nieprzytomnie. – Przeżyłaś kiedyś romantyczną miłość? Wymykałaś się nocą do faceta, aby potem zniknąć gdzieś bez śladu? Ja nie. I bardzo jej tego zazdroszczę!

– Romantyczność romantycznością, ale coś mi się nie klei.

– Tak?

– Krzysiek zniknął tydzień temu, a ona dopiero teraz, i według ciebie taki manewr ma być sprytny i podyktowany uczuciem?

– Oczywiście, co ci nie pasuje?

– Przecież powiedziałam. Krzysiek zniknął tydzień temu, a Malina teraz, to mi nie pasuje. Niby jak? Przez tydzień w lesie na nią czekał?

– Oj tam, ależ ty niejarząca jesteś. Celowo tak to obmyślili, żeby osoby takie jak ty, czyli wszyscy poza mną, nie powiązali faktów. On robi myk, ona dołącza do niego jakiś czas później i tym sposobem wszyscy są wywiezieni w pole. A gdzie na nią czekał i gdzie się przez ten czas chował? To już jest ich słodką tajemnicą.

Musiałam przyznać, że gadała niegłupio, ale coś mi chodziło po głowie:

– Jednak jest coś jeszcze.

– Co znowu? – zapytała, nie kryjąc zniecierpliwienia, bo najwyraźniej przeszkadzałam jej w snuciu wzniosłych romantycznych wizji.

– Pamiętam Krzyśka ze studiów i powiem ci, że choć ostatnim straszylem nie był, to i do czołówki uczelnianych przystojniaków również nie należał.

– I co z tego?

– To, że nie ma cienia szansy, aby uznać go za przystojniejszego od Wiktora. Nawet gdyby dbał o siebie i zachował szczupłą sylwetkę, po prostu nie ma takiej możliwości. Facjata nie ta.

– I co z tego? – powtórzyła i popatrzyła na mnie z... pogardą?! – Ładna miska jeść nie daje.

– Nie wydaje mi się, aby przy Wiktorze będę klepała. To auto...

– No to może o coś innego w tej sprawie chodzi. Bo ja wiem? – Zamyśliła się i zaczęła pocierać lwią zmarszczkę. – Niczym zew natury wspomnienia się w niej odezwały? Kochał ją w dzieciństwie... no, niech będzie, we wczesnej młodości, więc za nim poleciała, licząc, że wszystko się powtórzy.

– Więc tylko o miłość chodzi?

– Tylko? Aż, moja droga, aż o miłość!

– Stąd wniosek, że Wiktor ją nie dość kocha.

– I ona jego również, w przeciwnym razie drapaka by nie dała. Zuch dziewczucha!

– Zuch dziewczucha?! – prychnęłam. – Taki z niej zuch, że zostawiła cię samą ze spadkiem! Przecież miałyście ustalić szczegóły sprzedaży, a ta zaszyla się w jakimś miłosnym gniazdku. Powinna przecież najpierw ważne sprawy pozałatwiać. A tak załatwiła cię, bo cię uziemiła na tej wsi na amen. Nas uziemiła – poprawiłam się.

Kamila przestała masować czoło, oderwała utkwione w romantycznej dali spojrzenie i uważnie mi się przyjrzała.

– Rzeczywiście! A to menda! Gzi się gdzieś po kątach, a my zamiast jechać w świat, jesteśmy zdane na jej łaskę. Wróci albo nie wróci! A co, jeśli w ogóle się nie odnajdzie? Wiesz, ani żywa, ani martwa? Wtedy z chatą nic nie zrobię! – jęknęła.

– Zrobisz, ale dopiero za jakieś dziesięć lat, kiedy szczęśliwie uzna się ją za zmarłą i w świetle prawa cały dobytek jej krewnym przypadnie. Z nimi będziesz tę sprawę ciągnąć.

– Dziesięć lat! – Szczere przerażenie wykwitło na twarzy Kamy. – Jeśli do wieczora nie wróci, popędzę na policję, a potem osobiście wszelkie okoliczne bajora przeczeszę! Albo najpierw przeczeszę, a potem popędzę! – Coraz bardziej się gorączkowała, co mnie nie dziwiło. Świat na nas czekał, a tu trzymały nas stara chata, bajoro oraz skrawek ugoru. I dzięki komu wszystko się skomplikowało? Oczywiście dzięki Malinie!

– Po pierwsze nie ma tu żadnych zbiorników wodnych oprócz naszego płytkiego Śmierdziela i leniwego strumyka, a po drugie, dlaczego akurat tam chcesz szukać?

– Nie pamiętasz, że ta idiotka pływać nie umiała?

– Pamiętam również, że była brzydka jak noc, a teraz co tu przyjechało? Gwiazda filmowa! Jeśli potrafiła wyładnieć, to przy okazji i pływać się mogła nauczyć.

Kama podumała chwilę.

– Słuchaj, jeśli nie wróci w ciągu godziny, ruszymy jej szukać. Przecież przez dziesięć lat nie będę inwestować w połowicznie odziedziczoną chatę, ale jeśli nie będę jej remontować, to zupełnie w ruinę się obróci. I wiesz, co jeszcze? Nie mówmy niczego Wiktorowi! Ani Cześkowi.

– O tym, że przez dekadę chata może ci się rozsypać?

– Oj, nie! – prychnęła. – O Malinie i Krzyśku im nie mówmy.

Nerwowa dyskusja była dla mnie zbyt wyczerpująca. Do niczego nie doprowadziła, lecz tylko przyprawiła o drżenie rąk.

– Wiesz co? Zamiast beczynnie siedzieć, przeszukajmy jej pokój – zaproponowałam, słusznie mniemając, że lepiej jest robić w tej sprawie cokolwiek, niż siedzieć i żołądkować się nad nierozwiązaną sprawą odziedziczonego majątku.

– Po co? Za późno na zabawę w detektywa, bo my z Wiktozem już go

przetrzęsneliśmy.

Kamili najwyraźniej odpowiadało beczynne siedzenie i biadolenie, lecz ja nie miałam zamiaru tego słuchać. Już jednym zdaniem zabiła moje uczucia, nie chciałam usłyszeć niczego więcej.

– Ty widziałaś, jej facet widział. A ja nie widziałam. Co nowe spojrzenie, to nowe, inna perspektywa, bo inne rzeczy w oczy włożą. Wstawaj, idziemy!

Nim weszliśmy do pokoju Maliny – przeczesałyśmy cały dom. To znaczy niemal cały, bo z wyjątkiem strychu. Stało się tak z prozaicznej przyczyny, że stan schodów wskazywał, iż prędzej dostaniemy się nimi do szpitala albo na cmentarz, niż tam, gdzie mieszkały gołębie i nietoperze. Pozostałe pomieszczenia obejrzałam z ciekawością, którą zakłócała mi niespokojna myśl, że przeszłość okazała się zupełnie odmienna od tak pieczołowicie pielęgnowanych przeze mnie wspomnień. Przejrzałyśmy stare pokoje, nawet zajrzałyśmy do szaf, komódek oraz wnikliwie wpatrywałyśmy się w pokłady kurzu, próbując dostrzec na nim jakieś ślady. Nic. W piwnicy, przy świetle świeczki (żarówka się przepaliła, a Kamila nie miała żadnej w zapasie), też niczego nie znalazłyśmy. Niczego związanego z Maliną, bo przy drgającym płomyku zauważyłyśmy stojący w kącie spory gąsior. Pełny na dodatek.

– Twój dziadek pędził bimber? – zainteresowałam się rzeczowo.

– Zaraz dziadek! – obruszyła się Kamila. – Pewnie to robota Gertrudy. Mój dziadek nigdy nie trudnił się produkcją trunku dla meneli. Też mi coś! Dziadek i bimber! – mrużąc z oburzeniem, podeszła bliżej gąsiora. Podążyłam za nią.

– Coś tam pływa. Jakby owoce, więc nie bimber, ale nalewka – powiedziałam i przełknęłam ślinę. Kto nie lubił domowej nalewki? Ja takiej osoby nie znałam.

– Nalewka, mówisz? – W głosie Kamili wyczułam pożądanie.

– Tak.

– O, to na pewno dziadek robił.

– Ale on umarł wiele lat przed Gertrudą. Myślisz, że tak długo to tu stoi?

– Czemu nie? – rzuciła. – Wszystko jedno, które z nich to zostawiło. Żal, że nie wypili, nim wyruszyli w zaświaty, bo gąsior wygląda na nietknięty.

– Tyle dobra zostawić... – Pokręciłam ze smutkiem głową i dokładniej obejrzałam butlę.

– Co się martwisz? My wypijemy. Martwym paciorek, a żywym nalewkę. Pamiętaj, żebyś przed Maliną się nie wygadała. Tym elementem spadku nie mam zamiaru się z nią dzielić.

– Może od razu gdzieś schowajmy, co? Mimoza się zjawi, po kątach powęszy i nalewkę do masy spadkowej wciągnie albo, co gorsza, uprze się, że właśnie ten gąsior na pamiątkę chce sobie zabrać. Tak! Chowajmy go!

– Masz rację, tylko gdzie? Na górę tego nie wytaszczymy. Może gdzieś

w ką wciśnijmy? – Kamila obejrzała się po tonącym w mroku pomieszczeniu. Na stojącym pod ścianą regale ustawione były słoiki z jakimiś zaprawami. Nie wzbudzały one naszego zainteresowania, bo stare ogórki i kompoty w żadnym wypadku nie były tak wartościowe jak alkohol.

– A tam, w kącie, co leży? – Kamila wskazała ręką na prawo, zrobiła kilka kroków i schyliła się, aby się upewnić, co właściwie zawierała zbita z desek skrzynia. – Węgiel – powiedziała i wytarła rękę o spodenki.

– Chyba nie mamy wyjścia... – powiedziałam ostrożnie i zbliżyłam się do skrzyni. Tuż nad nią znajdowało się małe okienko, które po części zamurowano i zabito deskami. Pozbawienie pomieszczenia dostępu światła dobrze służyło przechowywanym tam zaprawom, ale nie użytkownikom, którzy uzależniali się w ten sposób od sztucznego oświetlenia.

– Bierzmy się do roboty. – Kama w lot podchwyciła, co miałam na myśli, i ostrożnie postawiła na podłodze świeczkę. Niezbyt gwałtownymi ruchami, aby nie zgasić ledwo tłącego się płomienia, odłożyłyśmy na bok sporą górkę węgla, potem w wypracowany dołek przetoczyłyśmy butlę i dokładnie obłożyłyśmy bryłkami. Gąsior zniknął idealnie. Nie zastanawiałam się, jak się przy tym ubrudziłyśmy, bo dobro nalewki było celem nadrzędnym.

– A teraz słuchaj. – Kamila wyprostowała się i wzięła głębszy oddech. – Gdyby pojawiła się Malina, potwierdź, że gdy szukałyśmy jej w piwnicy, tak zachwyciłam się dziadkowym węglem, że na pniu biorę go w całości. W zamian mogę dać jej wszystkie szafy.

Skinęłam głową, ale po chwili zastanowienia powiedziałam:

– Musimy uważać na Cześka.

– Dlaczego?

– Przyjechał tu po rzeczy po Gertrudzie. Węgiel na pewno i do niej należał. Co będzie, jak zechce się nim dzielić i zacznie grzebać?

– Nie dam! Tknać nie pozwolę! Niech po babce słoiki bierze! – zacietrzewiła się, jakby o życie dziecka chodziło. – Idziemy! A o nalewce już cicho sza!

Na górze umyłyśmy się z węglowego pyłu i przebrałyśmy w czyste ubrania.

– No, teraz możemy iść do pokoju Maliny – powiedziała Kamila i ruszyła na schody. Dziadkowy pokój, a zarazem tymczasowe lokum jej kuzynki, było na lewo, na końcu korytarza.

– I tak nic tam nie znajdziesz – powiedziała, trzymając rękę na klamce.

– Znajdę czy nie, otwieraj – zarządziłam. – Gdyby nie ja, o stojącej w piwnicy nalewce nie miałabyś najmniejszego pojęcia – wypomniałam z dumą i wkroczyłam do pomieszczenia. Nim się rzuciłam do porzuconego w kącie neseseru Maliny, z rozrzewnieniem rozejrzałam się po dziadkowej sypialni. Pokój wypucowany był porządnie, po Kamowemu: nigdzie śladu kurzu, a firany, chociaż mocno posunięte w latach, roztaczały świeży zapach proszku. Przyjaciółka, mimo



że nie przepadała za kuzynką, z roli gospodyni wywiązała się na piątkę – wyczyściła wszystkie miejsca i sprzęty, z których miałyśmy korzystać nie tylko my dwie, ale i znenawidzona Malina. Na umeblowanie pokoju składały się: potężna, drewniana, trzydrzwiowa szafa, stół i sześć starych krzeseł. Pod oknem stało drewniane, przykryte bladoniebieską wypłowiałą narzutą, łóżko dziadka, nieco dalej drugie, na którym w dzieciństwie spałam razem z Kamą, a po rozkładanym fotelu Maliny z tamtych czasów nie było ani śladu. Wczoraj tutaj położyła się Malina. Na którym łóżku? Oczywiście na tym, na którym narzuta była zmięta. Powoli przeszłam się po pokoju. Za życia dziadka nigdy nie było tu takiego porządku. Wszędzie rozrzucał swoje rzeczy, na stole zawsze stał talerz z resztkami niedojedzonego posiłku, ale nam, dzieciom, wcale to nie przeszkadzało.

Podeszłam do okna i wyrzałam – widok był ten sam, który z Kamą miałyśmy z pokoju na dole: na podwórze, staw, resztki pomostu, ale z dziadkowego okna widać również było dalszą perspektywę, w tym dach domu Rasputina.

– Ten to miał charakterek – powiedziałam.

– Kto?

– Rasputin. Pamiętasz, jak walczył z Banasiami, że mu z ich komina pył na pola leci?

– On chyba walczył z całą wsią. Pamiętasz, kiedyś na śmierć upił trzech swoich pracowników.

Kama podeszła do okna i spojrzała w kierunku jego domu.

– Jednak nikt mu nigdy niczego nie udowodnił.

– Nigdy.

– Dziadek mimo wszystko się z nim przyjaźnił. A co, jeśli Malina weszła na jego teren i on... – Przejechała dłonią po szyi.

– Coś ty! Jeśli Rasputin żyje, ma dobrze ponad osiemdziesiątkę! Stary jest i rady by jej nie dał.

– Podstępem mógł ją załatwić, tak jak tych wsiowych obiboków – powiedziała Kamila i zmieniła się nieprzyjemnie na twarzy: pozieleniała, a usta nieco jej zbieleły.

– Niby jak miałyby to zrobić? Myślisz, że podrzucił zatruty kąsek, poczekał, aż Malina się połaszczy, a potem capnął i zaciągnął w ustronne miejsce? Aż taka głupia to ona chyba nie jest, żeby się połakomić na znaleziony ochłap...

– Głupia czy nie, głód mógł odebrać jej możliwość racjonalnego rozumowania. Nie wiesz, jak się robi zakupy z pustym żołądkiem? Łapiesz wszystko, co wpadnie pod rękę, a do jedzenia się nadaje.

– Ja tak nie mam! – powiedziałam krótko, wbrew prawdzie, bo coraz bardziej wiało grozą.

– Było nie było, musimy starego o nią zapytać i podwórze wnikliwie

obejrzeć.

– A musimy, musimy... Musimy – powtórzyłam, ale jakoś nie kwapiłam się, aby od razu tam wyruszyć.

Jeszcze raz z nostalgią omiotłam wzrokiem okolicę.

– Byłoby tu fajne gospodarstwo agroturystyczne – zmieniłam temat.

– Co tu będzie, nie moja sprawa. Ten, kto kupi, może chatę i z ziemią zrównać. Ty jesteś skrzywiona na tym punkcie, bo wszędzie byś pensjonaty urzędzała, a teraz agroturystyka ci w głowie. Zajmijmy się lepiej szukaniem Maliny.

– Właśnie – potwierdziłam i zdecydowanie natarłam na neseser zaginionej, bądź potencjalnie zaginionej, bo prawdy jeszcze nie znałyśmy. Wzięłam go w ręce i wytrząsnęłam całą, dość skromną zawartość. Na łóżko wysypało się trochę kosmetyków i parę sztuk ubrań. Pobieźnie przepatrzyłam odzież, ale nic ciekawego nie rzuciło mi się w oczy.

– W lumpeksie lepsze kupuję – mruknęłam.

– Naprawdę ubierasz się w lumpeksach? – z odrazą w głosie zapytała Kamila.

– Oszalałaś? Tylko żartowałam. – Oczywiście, że czasem tam kupowałam, nic jej do tego.

Kamila łypnęła jeszcze na mnie z niepewnością pomieszaną z obrzydzeniem, odrzuciła ciuchy na bok i z zainteresowaniem wpatrzyła się w kosmetyki. Sięgnęłam po pierwszy z brzegu.

– Lancome... – mruknęłam z zazdrością i odkręciłam słoiczek.

– Też miałam ochotę go otworzyć, ale przy Wiktorze jakoś się nie składało.

– Zobacz, niemal pusty!

– Rzeczywiście, zostały tylko marne resztki. Ale daj, niech choć palucha w tych cudnych pozostałościach umoczę. – Wsadziła palec w pozostały na dnie kleks, a potem, delikatnie, z czcią niemal, wklepała w lwią zmarszczkę.

– I jak? – zapytałam.

– Super... – mruknęła z zachwytem. – Zobacz skórę. – Przysunęła się bliżej.

– Nie wygląda już trochę lepiej?

– Oszalałaś? Czego oczekujesz po jednym maźnięciu?

– Cudów! Cudów oczekuję, za tę cenę chyba mam prawo? Masz, spróbuj i ty.

– Nie chcę. – Odebrałam jej słoiczek, zakręciłam i rzuciłam na łóżko.

– Otwórz balsam – poleciła.

– Też prawie pusty. – Potrząsnęłam butelką.

– A puder? – zapytała Kama.

– Również pustawy. – Pokazałam jej nędzne pozostałości. Wzięła go do ręki i obejrzała z ciekawością.

– Helena Rubinstein... – Kamie niespieszno było odłożyć eleganckie pudzderko. Trzymała je mocno i zazdrośnie zgrzytała zębami.

– Swoją drogą, dziwne, że przywiozła ze sobą same resztki – zauważyłam.

– Dlaczego? Nie planowała długiego pobytu, więc niewiele wzięła. Zobacz, co jeszcze ze sobą przywiozła.

– Wcześniej nie widziałas? W końcu byłaś tu z Wiktorem. – Nie spodobało mi się, że nadal chce moimi rękoma grzebać w rzeczach swojej kuzynki.

– Byłam, byłam, ale on był tak wściekły, że nie miałam czelności zagłębiać się w szczegóły.

Kama w końcu się schyliła, odłożyła puder i przejrzała wszystkie wyrzucone z nesesera rzeczy.

– Nic ciekawego. – Z pogardą wydeła usta, jeszcze raz zerknęła na puder, po czym dodała, patrząc na garderobę kuzynki: – Sprane gacie, koszulka na ramiączkach, spódnica i bluzka. Na sobie miała lepsze ciuchy.

– Poczekaj...

– Co?

– A szczoteczka do zębów? Pasta?

– Wiesz, jakoś nie zauważyłam... – Przerzuciła ubrania i potrzepała neseserem. – Faktycznie nie ma! Brudaska pudrowana!

– Masz rację. Do kremów pierwsza, ale z pastą i szczoteczką się nie lubi – dołożyłam swoje trzy grosze.

Kama pośpynym wzrokiem powiodła po sponiewieranych rzeczach kuzynki.

– Nie, to nie tak. Brak szczoteczki i pasty nie jest oznaką tego, że z higieną na bakier stoi, to potwierdza teorię, że fatycznie dała nogę. Złapała torebkę, akcesoria do mycia paszczy, a nam zostawiła komórkę, bo zapewne ma drugą. Wcale mi się to nie podoba.

– A myślisz, że mnie się podoba? – mruknęłam. Przysiadłyśmy na brzegu łóżka.

– Malina wpuściła nas w maliny – smętnie rzuciła Kamila. Czym innym były wymysły na temat romantycznej miłości, a czym innym stanięcie przed faktem dokonanym, bo przecież zostawiła Kamę z nierozwiązaną sprawą spadkową, a mnie ze zdemolowanymi wspomnieniami. Miałyśmy nosa, że już w dzieciństwie jej nie lubiłyśmy. Zupełnie jakbyśmy wyczuwały, jaki spryt i podła przewrotność w niej drzemały. Gdy tak siedziałyśmy zatopione w czarnych myślach, w kieszeni spodni Kamy odezwała się komórka.

– Olafek, kochanie! – Macierzyńska błogość wykwitła na twarzy przyjaciółki. – Jak ci tam jest, dzieciątko?

– Dzieciątko! – prychnęłam pod nosem. Tymczasem Kama przemieściła się na drugie, wolne od rzeczy Maliny łóżko i oddała się miłej pogawędce, która momentami, gdy temat zbaczał na Eksa, przeradzała się w groźne mruknięcia. Nie

chciałam jawnie przysłuchiwać się rozmowie, więc jeszcze raz zerknęłam przez okno, rozejrzałam się po pokoju i przypomniałam sobie wampiryczną książkę, którą Kama miała tu zostawić. Na stole jej nie było, bo od razu rzuciłaby mi się w oczy, ale aby się upewnić, podeszłam bliżej i się rozejrzałam. Nie, były tam jedynie stare gazety (roczniki sprzed kilku lat, być może stanowiłyby gratkę dla jakiejś biblioteki), a książki żadnej. Może Malina, aby na nią nie patrzeć i nie budzić tym samym potworów w niej drzemiących, schowała ją do szafy? Otworzyłam drzwiczki, ale wisiały tam tylko puste wieszaki na ubrania. Podeszłam do wolnego łóżka i je przeszukałam, na wypadek gdyby wetknęła ją gdzieś pod kapę, poduszkę czy może w kołdrę zawinęła. Nadal nic! Na drugim łóżku leżała Kama, więc pozostało mi poczekać, aż skończy rozmawiać.

– Czego szukasz? – zapytała, gdy już skończyła.

– Książki.

– Jakiej książki?

– Wampirycznej. Mówiłaś, że gdzieś tu leży.

– Tak, na stole.

– Na stole nie ma. W ogóle nigdzie jej nie ma.

Kama zerwała się z łóżka i podbiegła do stołu. Przerzuciła gazety, a potem podbiegła z powrotem do łóżka i przewaliła pościel.

– Tutaj też nie...

– Pamiętasz, co powiedziała Malina?

– Co?

– Że chce się rozejrzeć i wybrać jakąś pamiątkę po dziadku – przypomniałam. – Więc już ją ma...

– Cholera! Książkę mi ukradła! – Kama z oburzeniem tupnęła nogą. – Więc ja tym bardziej dziadkowy węgiel biorę!

– Może jednak pójdziemy na policję? – zaproponowałam.

– Na policję mamy czas. Nie wiem, czemu Wiktor tak gwałtownie zareagował na wzmiankę o nich, ale na razie jeszcze ich w to nie mieszajmy. Która godzina?

– To ty masz przy sobie komórkę – przypomniałam jej.

– Faktycznie. – Spojrzała na wyświetlacz. – Piętnaście po pierwszej.

– Cześćka coś długo nie ma – zauważyłam. – Chodźmy w teren, same jej poszukamy.

– Masz rację. Chodźmy jej szukać!

I już ruszyła do drzwi, wściekle mrużąc pod nosem.

– Poczekaj! – zawołałam, a ponieważ moje słowa nie odniosły oczekiwanego skutku, wrzasnęłam głośno i krótko:

– Stop!

Kama stanęła.

- Co znowu?
- Gdzie lecisz?
- Na wieś! Pytać, szukać, znaleźć!
- Na wsi pyta Czesiek – przypomniam. – Jaki jest sens iść jego tropem? Skoro tak bardzo chcesz pytać o nią tutejszych, idźmy najpierw do Rasputina. Mieszka na uboczu, Czesiek do niego raczej jeszcze nie dotarł.
- Dobrze, najpierw Rasputin, potem pójdziemy do Banasiów, a na końcu do całej reszty wsi.
- Zgoda, ale z Banasiami musimy ostrożnie. Przecież oni ciągle przeżywają zaginięcie Krzyśka, nie możemy ich zdenerwować.
- Wiem, wiem. – Machnęła ręką i popędziła przodem.
- Wzniesając tumany kurzu, pędziłyśmy brzegiem pola i zapewne niebawem dotarłybyśmy na miejsce, gdyby nie moja noga.
- Cholera! – Złapałam się za kolano i klapnęłam tyłkiem na ziemię.
- Co jest?
- Chwila. – Mocno je rozmasowałam, a następnie ległam na plecach i zaczęłam robić energiczny rowerek. Ćwiczenie to z reguły mi pomagało, pod warunkiem że robiłam je do chwili usłyszenia głośnego chrupnięcia. Myślę, że coś wtedy przeskakiwało na właściwe miejsce, bo zaraz po nieprzyjemnym odgłosie ból przechodził jak ręką odjął.
- Wstawaj! Zwariowałaś?! Ćwiczeń w polu ci się zachciało? Nie mogłaś rano o tym pomyśleć?
- Cicho bądź! – warknęłam na Kame, bo jej jazgot zagłuszał pracę kolana.
- Przecież musimy...
- Już! – zawołałam triumfalnie, bo wreszcie doszedł mnie tak wyczekiwany suchy trzask. Energicznie wstałam, otrzepałam się z ziemi i jeszcze, dla pewności, raz w prawo i raz w lewo machnęłam nogą. Działała! Trochę tam jeszcze coś przeskakiwało, ale najważniejsze, że odbywało się to już bez bólu.
- Zwariowałaś? – zapytała Kama. – A szpagacika nie zrobisz? Albo pajacyka? Jeśli chcesz odstawić jakieś wygłupy, to zrób to teraz, gdy nikt cię nie widzi oprócz mnie.
- To nie była fanaberia, tylko potrzeba czterdziestoletniego organizmu. Gdy boli mnie kolano, zawsze robię rowerek i pomaga.
- Nie lepiej pójść z tym do lekarza?
- Myślisz, że nie byłam? Ogólny zapisał mi wyciąg z ananasa.
- Kto chodzi z kolanem do ogólnego? – Kama popukała się w czoło. – Do ortopedy trzeba było.
- Poczekaj, gdy ananas nie pomógł, poszłam do ortopedy.
- I?
- Ortopeda wyśmiał ogólnego za wyciąg z ananasa i zapisał wyciąg

z awokado.

– Pomógł?

– A jak sądzisz? Gdyby pomógł, nie musiałabym się rzucać na pole, żeby zrobić rowerek. Do żadnego lekarza już z tym kolanem nie pójdę, kieszeń na bzdurne lekarstwa wydrenują, a potem i tak do piachu poślą. Idziemy! – Dziarsko ruszyłam do przodu. W kolanie jeszcze kilka razy coś mnie zakłuło, ale trzepnęłam nim dwukrotnie i już mogłam iść dalej. Po niecałych trzech minutach stanęliśmy na tyłach domu Rasputina. Budynek, tak jak i jego najbliższe otoczenie, był w opłakanym stanie. W dachu dziura, okna na piętrze zaklejone gazetami, a szyby na parterze tak brudne, że najlepiej by było i je również zakleić. Drewniany płot okalający kiedyś podwórze był w ruinie, a o jego dawnym istnieniu świadczyły tylko leżące gdzieś spróchniałe resztki. Rosnąca wokół roślinność była jeszcze bardziej zapuszczona niż przed laty: chwasty i krzaki rosły gdzie popadło – łopian o dorodnych liściach, perz, pokrzywy oraz obsypany niedojrzałymi jeszcze jagodami dziki bez. Jednak było coś, co mnie zadziwiło: w tym samym miejscu co kiedyś znów tkwiły wbite w ziemię dwa słupki z rozciągniętą między nimi żyłką, na których wisało pranie: eleganckie slipki (o ile w ogóle o tej części bielizny można powiedzieć, że jest elegancka) oraz para zielonych, całkiem nowych męskich skarpet.

– Patrząc na gospodarstwo, można sądzić, że Rasputin nie żyje. Ale to męskie pranie! Prawie nowe i zupełnie na czasie – zauważyła Kamila.

Pomyślałam o mojej brawurowej wyprawie i naciągniętym przez Rasputina uchu.

– Więc żyje... ale te gacie... – Późno, po latach, dotarł do mnie kontrast, który uświadomiły mi słowa Kamili, a w dzieciństwie nie zwróciłam na niego uwagi. Tak jak wtedy, teraz również bielizna była całkiem ładna, i w tym właśnie tkwił problem, bo schnące gacie, jak na Rasputina, były właśnie zbyt nowe i zbyt na czasie.

– Dziwne, tu dom w rozsypce, a tu wyjściowe slipy... I jak widać, jego pole odłogiem nie leży... – Sama nie wiedziałam, co myśleć, bo dopiero teraz wzięłam pod uwagę możliwość, że ta bielizna wcale nie musiała być jego. Jeśli nie jego, to czyja? Nie! Przecież mieszkał sam. Ale jak się miała ta zadbana, niemal zupełnie nowa bielizna do siermiężnego stroju, który zawsze wdziewał? Dopiero teraz nad tym się zastanowiłam. Czyżby Rasputin miał problem z dookreśleniem swego stylu? Przecież jeśli nosił ruskie rubaszki, gacie również powinien mieć ludowe.

– Co się tak gapisz na to pranie? Slipy cię zahipnotyzowały? Słuchaj, ja myślę, że męskie gacie i obsiane pola o niczym nie świadczą. Nogi mógł spokojnie wyciągnąć, a ziemię obsadził ktoś inny. To pranie też do kogoś innego należy.

– Nie gadaj głupot. Kto by tu przychodził tylko gacie suszyć? Przecież ten dom do mieszkania raczej się nie nadaje. Ale lepiej to sprawdźmy. Chodźmy do

drzwi – zaproponowałam cicho i aby być mniej widoczną, zgięłam się i ruszyłam między krzaki. Moimi śladami podążyła Kama.

– Auć! – syknęła. – Cholerne pokrzywy.

– Uważaj, bo ostu też tu pełno. Ale zobacz, przed wejściem jest wydeptana ścieżka, więc jednak ktoś tędy chodzi.

– Idź, zapukaj do drzwi. Ja tu zostanę, bo muszę się podrapać.

– To się podrap. Poczekam.

Kama z ociąganiem zaczęła jeździć paznokciami po łydce, na której pojawiły się już małe bąble.

– Nie możesz szybciej?

– Opaleniznę mam zdrapać? Idź sama, jak ci się tak spieszy.

– Jak mówiłam, że poczekam, to poczekam.

I czekałam, a Kama gładziła nogi i trwożnie zerkała w kierunku drzwi.

– Boisz się? – zapytałam.

Wzruszyła ramionami.

– Jakoś tu nieprzyjemnie. Ciekawe, czy nas pamięta? – szepnęła.

– Powinien.

– Niefajnie – pokręciła głową. – Jeśli pamięta nas, pamięta też tę cebulę.

Takiego smrodu nie sposób zapomnieć.

– I co z tego? Przecież Rasputin zdążył porządnie się zestarzeć. Nie wyleci więc na nas i na pewno nie będzie gonić po polu. Przestań już się drapać i chodźmy.

Jednak zamiast się ruszyć Kamila nagle wytrzeszczyła oczy.

– Tam! – powiedziała dramatycznym szeptem i wskazała na wpół rozwalającą się psią budę. Podążyłam za jej spojrzeniem i zobaczyłam, że wśród trawy coś bieleje. Coś jakby kości.

– Myślisz, że to pies? Zdechł przy budzie? Przywiązany do łańcucha?! Jeśli on psa tak załatwił, pomyśl, co z nami może zrobić! – Kamie na czoło wystąpiły krople potu.

– Przestań, musimy...

– Biedna Malinka! – Skierowała na mnie dzikie oczy. – A jeśli on krew z niej teraz spuszcza?!

Dreszcz wstrząsnął moim ciałem.

– Przestań, powiedziałam. Musimy najpierw się upewnić, czy naprawdę leży tam jakiś szkielet! Jeśli okaże się to prawdą, to gwizdnę na tego Wiktora i jego zakazy! Od razu na policję polecę, do Stowarzyszenia Obrońców Zwierząt zadzwonię, na fejsie focię szybko zamieszczę, podpisem odpowiednim opatrzę i puszczę w eter. Niech wszyscy udostępniają fotę na swoich stronach, niech fota świat obiegnie i do samego Baracka Obamy trafi! Niech wie, co się na polskiej wsi dzieje! Żeby tak zwierzaka zmarnować! – gderałam gniewnie, ciągnąc za sobą

Kamile.

Jednak im bliżej byliśmy, tym większe z wątpienie mnie opadało... Kościec był zbyt masywny i z bliska do psa czy jakiegokolwiek psiego krewniaka podobny nie był. Żeby chociaż do kota, ale nie! Nie, zdecydowanie nie były to szczątki żadnego bożego stworzenia – to był okorowany kawał gałęzi.

– Widzisz? Żaden z tego pies! – Ze złością kopnęłam drewno. Pomyśleć, że Barack Obama był na wyciągnięcie ręki! – I z Maliny też nikt krwi nie spuszcza – dodałam, aby uspokoić i Kamę, i siebie przede wszystkim, bo już dość nerwów się najadłam.

– Chodźmy. – Pociągnęłam ją na podwórze, prosto pod oblażące z farby drzwi.

Wydawało się, że kiedyś były ciemnobrązowe, ale nie ręczyłam za to, bo nie pamiętałam ich poprzedniego koloru, a przez minione lata deski przecież mogły być kilkakrotnie przemalowane. Albo w ogóle były to zupełnie inne drzwi, bo wyglądały na całkiem solidne.

– Uwaga, pukam! – szepnęłam, wzięłam głęboki wdech i kilkakrotnie walnęłam pięścią w drzwi.

– Cisza – szepnęła Kamila.

– Może śpi?

– A może tę krew spuszcza...

– Uspokój się z tą krwią, bo wywołasz wilka z lasu!

– Wywołam? On już dawno został wywołany! A to, że Malina pod ziemię się zapadła, to co?!

– Kto się wam pod ziemię zapadł? – Za plecami usłyszałyśmy chrapliwy głos. Odwróciłyśmy się zgodnie i gwałtownie. To był on, cały i zdrowy, Dziad Rasputin. Wbijał w nas przenikliwe spojrzenie jasnych oczu, których, gdyby nie ich niespotykany niebieski kolor, zupełnie nie można by było dostrzec spod krzaczastych, siwych brwi. Jego wąs był biały, sumiasty, znikający w długiej, gęstej brodzie ruskiego chłopca. Przygarbiony był mocno, cały sękaty i pokrzywiony. Zupełnie jak stare drzewo rosnące nad urwiskiem, pozostawione samo sobie, wystawione na wichry, palące słońce i ulewne deszcze. Nadal nosił ubranie w stylu rosyjskim – koszulę przepasaną sznurem i luźne lniane spodnie. Nie było możliwe, aby były to te same rzeczy, które zakładał przed laty. Gdzie się więc zaopatrywał w to jakże ponadczasowe odzienie? Chyba nie na Allegro? I nie wiem, co było bardziej zaskakujące, jego archaiczny strój czy to, że się podpierał na kosie? Ostrze lśniło nad jego głową niczym skrzywiona złowroga aureola. Rozumiałam, że Rasputin miał swoje lata i żeby w miarę sprawnie chodzić, musiał się czymś podpierać, ale dlaczego akurat wybrał to dwuznaczne narzędzie?! Mógł sobie wyciąć jakiś kijek z krzaków, które tak obficie porastały jego podwórze, ale nie, on wybrał kosę... I do tego całkiem nową, a co się z tym wiązało, całkiem



ostrą... Rzuciłam okiem na Kamilę – ona również nie odrywała zdumionego wzroku od narzędzia, które obrał za łaskę.

– No kto się pod tę ziemię zapadł? – powtórzył niecierpliwie.

– Jej kuzynka... – Wskazałam palcem na kulącą się za moimi plecami Kamilę.

– Obserwuj kosę, czy krwi na niej nie widać... – półgębkiem szepnęła Kama.

– Ile miała lat? – tymczasem zapytał stary.

– Tyle co my – pisnęła Kama.

– Uuuu... – Machnął lekceważąco ręką. – Myślałem, że o dzieciaku mowa i od razu trza będzie szukać. Na taką starą nie ma co sił tracić. A tak w ogóle, co wy za jedne jesteście? – Zmarszczył brwi i zrobił krok w naszym kierunku, a my, gdybyśmy miały taką możliwość, najchętniej uciekłybyśmy stamtąd gdzie pieprz rośnie.

– Naprawdę pan nas nie poznaje, panie...? – Kama zamilkła nagle, bo jak i ja, nie pamiętała jego prawdziwego imienia ani nazwiska. – Jakieś dwadzieścia lat temu, no może trochę więcej, przyjeżdżaliśmy tu na wakacje do pańskiego sąsiada, Walerego. Ja jestem jego wnuczką, a to jest Ewa, moja przyjaciółka...

– Chuda i Dziobata! – Dziad oniemiał na chwilę, a i my poszliśmy w jego ślady. Chuda, Dziobata? A jednak nas pamiętał, bo tak czasem na nas wołał, na Kamę – Chuda, a na mnie – Dziobata. Ksywka ta nigdy nie była dla mnie przyjemna. W pewnym okresie życia miałam dość poważne problemy z cerą, więc stąd wzięło to, dość obrzydliwe, przezwisko.

– Bożesz, Bożesz, jakie wy już stare jesteście! – Z politowaniem pokiwał głową, jakby dla niego wskazówki zegara obracały się w przeciwną stronę.

– Szkoda, że Walery wam wtedy tyłków nie złożył!

W mig pojęłam, do czego pił. Do zgniłej cebuli.

– Był dla was zbyt łagodny, szkoda, że to ja waszym dziadkiem nie jestem! – Pogroził nam kosą. – Albo ten wasz pomysł, żeby księżyc na łące łapać! Prawie z dachu zleciałyście, a Walery mało nie przyplacił tego zawałem. A nocne kąpiele w stawie? Cud boski, żeście się nie potopiły!

Jak na tak starego człowieka, Dziad Rasputin wykazał się wyjątkowo dobrą pamięcią.

– Niedobre dziewczuchy! Znów was tu licho przygnało! Po polach będziecie mi latać, zboże deptać!

– Nie będziemy! Obiecujemy! – Aby wzbudzić w nim ludzkie uczucia, złożyłam dłonie jak do modlitwy. – Cebulą też już w pana nie rzucimy, po dachach skakać nie będziemy ani hałasować w nocy w Śmierdzielu.

– Tak, tak! – nerwowo przytaknęła Kamila.

– Ech! – zagrzmiął, ponownie uniósł dłoń, ale nie pogroził nam jak przed

chwilą, tylko opuścił ją zrezygnowany, jakby nagle się poddał. – Nie ma już o czym gadać – dodał. Kamień spadł mi z serca, a na twarz Kamili wróciły żywe kolory. – Więc mówicie, że zaginęła wam ta trzecia? Jak jej było?

– Malina. To znaczy Malwina. Druga wnuczka Walerego – pośpiesznie wyjaśniła Kamila.

– No i gdzie polazła?

– Właśnie tego nie wiemy i dlatego przyszedliśmy do pana. Może pan ją widział? Wczoraj w nocy, lub nad ranem, wyszła z domu i przepadła.

– Umówiona z kimś była?

– Gdybyśmy to wiedziały, na pewno nas by tu nie było – mruknęłam.

– Może się jeszcze znajdzie – powiedział, nie zwracając na mnie uwagi. – A może nie? – dorzucił po chwili.

– Dlaczego pan sądzi, że może się nie znaleźć? – zapytała Kama.

– Chyba wiecie, że i Banasiów syn zaginał?

– Wiemy.

– No właśnie. Jak i ta wasza, wylazł z domu i przepadł bez wieści, a stało się to dużo wcześniej niż zeszłej nocy. Jak żyję, nikt u nas jeszcze tak nie przepadł – powiedział powoli, z namysłem, głęboko się nad czymś zastanawiając. – A Banasiowego chłopaka szkoda, o pola dbał, dach obiecał zrobić...

– Cóż... jeśli niczego pan nie wie o Malwinie, to my już sobie pójdziemy, nie, Ewa?

– Tak, chodźmy.

– A idźcie, idźcie, odpocząć muszę, a wy drzwi blokujecie.

– Gdyby pan czegoś o niej się dowiedział, bardzo proszę nas poinformować – przymilnie powiedziała Kama, ale jej słodki uśmiech nie zrobił na starym większego wrażenia.

– Nawet gdybym się czego dowiedział, nie powiem wam, bo daleko od chaty nie łążę.

– To może my byśmy wpadły? Na przykład wieczorkiem, o ile się do tego czasu nie znajdzie?

– Nie! Nie życzę sobie żadnego wpadania i wynocha stąd wreszcie!

Wycofałyśmy się więc rakiem ku płotowi.

– Może Banasiowie nam pomogą – mruknęłam.

– Może i pomogą, kto ich tam wie! – zagrzmiał za nami stary. Osiemdziesiątka z hakiem na karku i słuch absolutny. Niepojęte!

Nie. Banasiowie jednak nam nie pomogli. Zastaliśmy ich przy pracy – ważyli w garażu pomidory. Drzwi otwarte były na całą szerokość, a auto, czerwony volkswagen passat, wystawione na zewnątrz. Garaż niemal do połowy zastawiony był skrzynkami, a Banasiowa, odziana w sprany granatowy dres, na wadze ustawiała odważniki. Banaś stał do nas plecami, więc to ona pierwsza nas

zauważyła. Powiedziała coś do męża, a ten odwrócił się w naszym kierunku.

– Czego panie sobie życzą? – Banasiowa wyszła z garażu. – Ależ! – zakrzyknęła nagle zaskoczona. – Przecież to...

– Tak, tak! – Kama weszła jej w słowo. – To my: Ewa i Kamila!

– Niemożliwe, niemożliwe! – Uśmiechnęła się, z otwartymi ramionami ruszyła ku Kamili i po matczynemu serdecznie uściskała. Jeśli chodziło o wylewne powitania, Banasiowa nie zmieniła się ani na jotę, ale już jej wyglądu czas nie oszczędził: przygarbiła się, jeszcze bardziej zaokrągliła, a swoje długie, kasztanowe niegdyś włosy obcięła krótko, po męsku, i pozwoliła im zsiwieć. Po chwili puściła Kamę i mnie również serdecznie przywitała.

– I ja witam panie! – Banaś wyszedł z garażu. – Bo teraz chyba już nie wypada mówić do was na ty? – Mrugnął okiem i uśmiechnął się szeroko. Z nim czas obszedł się łaskawiej niż z żoną, bo nadal trzymał się prosto, wyglądał krzepko i zdrowo, tylko włosy nieznacznie mu się przerzedziły, ale zachowały swój dawny kolor ciemnobłond. Z dzieciństwa pamiętałam go jako mężczyznę szczerego, roześmianego, który zawsze częstował nas tym, co akurat miał pod ręką. W tamtych czasach praktycznie zawsze spotykałyśmy go podczas prac w ogrodnictwie, więc opychałyśmy się wszystkim, co w danym sezonie hodował i co, oczywiście, nadawało się do zjedzenia natychmiast, na miejscu, na surowo i na brudno.

No cóż, Banasiowa pozwoliła, aby upływający czas jej fizjonomię sponiewierał na wszelkie możliwe sposoby, Banaś wynegocjował pewne ustępstwa, ale już ich gospodarstwo zupełnie nie poddało się jego niszczyielskiemu wpływowi, bo rozrosło się i wyglądało kwitnąco. Niewielki, niegdyś klockowaty dom doczekał się czerwonego, spadzistego dachu, a odwieczny baranek został zastąpiony tynkiem w wyblakłym, majtkowym kolorze. Kaskady czerwonych pelargonii i różowych surfinii zwisały z trzech tarasów. Dwie stare szklarnie przeszły gruntowny remont i swym efektownym wyglądem niemal dorównywały czterem nowym, stojącym w sąsiedztwie, foliowym tunelom. Nieco z boku wybudowano budynek, który, jak się domyślałam, zapewne był kotłownią.

– Co was tu sprowadza? – zapytała Banasiowa.

– Przyjechałam uporządkować sprawy spadkowe, a Ewa mi towarzyszy.

– Oj, tak, tak – Banasiowa pokiwała głową – umarło się poczciwej Gertrudzi, świeć Panie nad jej duszą. Ale to ładnie z waszej strony, że zechciałyście nas odwiedzić – dodała. – Gdzie macie Malwinę? – Z zainteresowaniem spojrzała najpierw na Kamę, potem na mnie. – Jeszcze nie przyjechała, co? – zapytała.

– Nie... No, przyjechała... – nerwowo odpowiedziała Kama i zamilkła, szukając wzrokiem pomocy u mnie. Zamiast po drodze zaplanować zarys czekającej nas rozmowy, cały czas rozwodziła się nad podłócią Maliny i nad tym, że kuzynka beztróska poszła w tango, nie oglądając się na nierozwiązaną sprawę

spadkową. Romantycznego aspektu jej zachowania też nie pominęła.

Nie mogła z tymi amatorami jeszcze trochę poczekać? Ustaliłybyśmy, co i jak, bieg sprawie by się nadało i wtedy mogłaby lecieć choćby i na skraj świata! A tak? Co ja biedna pocznę?!

W tej złości nie brała pod uwagę, że Malinie mógł się zdarzyć nieszczęśliwy wypadek, a obecności seryjnego mordercy, skutecznie chowającego zwłoki, jej umysł w ogóle nie uwzględniał.

– Odpoczywa po podróży i nie mogła wpaść? – zapytał Banaś.

– W tym sęk, że gdzieś odpoczywa, a my nie wiemy gdzie – ostrożnie powiedziała Kama.

– Albo szlaja się i włóczy – dorzuciłam.

– No właśnie, albo się szlaja – zakończyła Kamila.

– A może państwo widzieli, czy gdzieś w pobliżu się nie przechadzała?

– Nie, nie widzieliśmy – powoli powiedziała Banasiowa.

– Ani jej tu nie było, oczywiście – zmarszczywszy czoło, dopowiedział jej mąż.

– Och... – z rozpaczą pisnęła Kama.

– A u Zygmunta byliście? Najbliżej was mieszka. Może on ją widział?

– Kto to jest ten Zygmunt? – zapytałam, a i Kamila zmarszczyła czoło, najwyraźniej nie wiedząc, o kim mowa.

– No, Zygmunt Gąsiorek, najbliższy sąsiad świętej pamięci Walerego.

– Dziad Rasputin! – odkrywczo zakrzyknęła Kamila.

– Tak, byliśmy u niego. Niczego nie widział ani nie słyszał – dopowiedziałam.

– Tosiu, nawet gdyby coś zobaczył, po minucie i tak by o tym zapomniał. Sama wiesz, jak jest z jego pamięcią – rzucił Banaś.

– Tak, masz rację, a poza tym zawsze trudny był z niego człowiek. – Westchnęła. – Dobrze, że Adela go dogląda.

– Adela... – z namysłem mruknęła Kamila, a mnie przez głowę przemknął obraz długowłosej trzydziestolatki z pieśnią na ustach wędrującej skrajem lasu.

– Szalona Adela! – Szturchnęłam Kamilę w bok.

– Tak, już sobie przypominam – powiedziała, uśmiechając się niepewnie, bo jak się można poczuć wobec informacji, że, za przeproszeniem, wariat wariatem się opiekuje?

Adela nigdy nie przeszkadzała nam w dziecięcych zabawach ani nie pojawiała się na podwórzu dziadka Walerego. Miałyśmy okazję jedynie widzieć ją w oddali, jak w powłóczystych strojach, z dyndającymi na wietrze jasnymi kosmykami, wędrowała po polach albo pod lasem. Czego tam szukała? Gdy raz zapytałyśmy o to dziadka, popukał się w czoło paluchem i powiedział:

– Miłości.

– Miłości? – Mimo że byliśmy jeszcze dość młode, temat kochania żywo zaczynał nas interesować i chętnie byśmy posłuchały, jak się owej miłości szuka i czy zadolskie lasy są miejscem, które obfituje w to uczucie.

– Żartowałem. Za ziołami i drewnem łązi, ot, czego tam szuka – mruknął na odczepnego, znów puknął się palcem w czoło, a my już nigdy do tematu nie wróciłyśmy.

Raz natknęłyśmy się na nią, gdy objedzone malinami wracałyśmy z zagajnika. Stała przed nami jasna jak zjawą i powiodła nawiedzonym wzrokiem.

– Dzień dobry! – powiedziałam radośnie, bo dzień był piękny, a żołądek pełny. Czego chcieć więcej? Kamila nie odezwała się, tak ją przeraziło nieoczekiwane spotkanie.

– Ach, dobry... dobry... – Adela uśmiechnęła się, ukazując przy tym całkiem niezgorszy garnitur zębów. – Gdzie idziecie, dziewczynki?

– Do domu. Z malin wracamy – odpowiedziałam, widząc, że od Kamili ani słowa nie usłyszy.

– Och, malinki! – Znów się uśmiechnęła, lecz tym razem nie do nas, ale gdzieś w dal i patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem, wyrecytowała z patosem:

*W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem  
Zapodziani po głowy, przez długie godziny*

*Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.*

*Palce miałaś na oślepkę skrwawione ich sokiem<sup>2</sup>...*

– Kamila, spadamy! – wrzasnęłam ile sił w płucach i pociągnęłam za sobą oniemiałą przyjaciółkę. Od tej pory Adela została przez nas ochrzczona mianem Szalonej.

– A może Czeška państwo widzieli? – otrząsnęłam się ze wspomnień i zapytałam Banasiów.

– Chyba tak... zaraz, kiedy to było? Jakoś ze dwa dni temu. Edmund, kiedy on u nas był?

– Dobrze mówisz, to musiało być dwa dni wstecz. Przyszedł po południu i chciał kupić kilo pomidorów.

– Oczywiście daliśmy mu za darmo. Dobry z niego chłopak, czasem nam pomagał, a i świętej pamięci Gertruda też go chwaliła, że taki uczynny i przystojny. Ale dziwne, bo do kobiet jakoś szczęścia nie ma.

Uczynny? Przystojny? Jego chęć poszukania Maliny, owszem, była uprzejmością, ale przystojny? Okrągła, piegowata twarz? Perkaty nos i rude włosy wylazące spod źle dopiętej koszuli? Nie, bez przesady.

– Dzisiaj państwo też go spotkali?  
– A co, on również wam zaginął? – Banaś uśmiechnął się niepewnie.  
– Tak – wyrwało się Kamie.  
– Ależ! – Machnęłam lekceważąco ręką. – Zaraz tam zginął! Nie zaginął ani on, ani Malina!

Nie mogło się stać inaczej – kilkakrotnie wyartykułowane słowo „zaginął” musiało uruchomić lawinę. Banasiowa ukryła twarz w brudnych dłoniach i zalała się łzami.

– Przestań, Tośka! – Banaś nachylił się do niej i czule objął. Banasiowa pochlipała jeszcze krótką chwilę i wytarła oczy w podaną przez męża chusteczkę.

– Bo nam... – Siąknęła nosem.  
– Wszystko wiemy... – szepnęła Kama.  
– Tak... – Banaś zamrugął szybko, jakby coś mu nagle wpadło do oka.  
– Przecież Krzysiek nie był z tych, co to z domu uciekają – powiedziała Banasiowa.

– Uciekają z domu?  
– Tak! Trzy dni po jego zniknięciu dostaliśmy pocztówkę z Zakopanego. Pisaną jego ręką, prawda, ale uważamy, że nie on jest autorem. Bo co z tego, że charakter pisma ten sam, skoro zamieszczone tam słowa nijak do naszego syna nie pasują.

– Pocztówkę? – zainteresowała się Kama.  
– Tak... – z ociąganiem powiedział Banaś. – Było tam napisane, że mamy się o niego nie martwić, bo ma się dobrze i zrobił sobie małe wakacje.

– Dziwne – mruknęłam.  
– Co na to policja? – zapytała Kama.  
– Uczepili się tego tropu jak rzep psiego ogona. – Banaś wzruszył ramionami. – Kartkę przeczytali, fachowiec pismo zbadał, potwierdził, że Krzyśkowe, więc doszli do wniosku, że gdzieś wypoczywa, bo robota go wykończyła. Ponadto za tym przesądzało też to, że wraz z nim dokumenty zginęły. Ech... – Banaś machnął ręką.

– Ale chyba nie zostawili tej sprawy?  
– Oj nie, ale naszym zdaniem zły kierunek obrali. Jeździłem do tego Zakopca, szukałem go tam, ludzi pytałem, ale gdzie tam! – Banaś machnął ręką.

– Zawsze się martwiłam, że Krzysiek starym kawalerem zostanie, teraz się cieszę, że nie miał żony ani dzieci. Zawsze to mniej rozpaczających osób – cicho powiedziała Banasiowa.

– Ale co my tu tak stoimy, chodźmy do środka, napijemy się czegoś, bo dziś gorąco – odezwał się Banaś.

– Nie chcemy państwu przeszkadzać – powiedziałam i spojrzałam na piętrzące się w garażu skrzynki.

– Pracy na dziś niewiele zostało, poza tym zaraz ma przyjść Arek i nam pomoże.

– Arek? – zapytała Kama. – Ten kuzyn Krzyśka?

– Tak.

Musiałam mocno pogłówkować, aż przypomniałam sobie rozczochranego chłopca, młodszego od nas o dobrych kilka lat, którego buzię cherubinka szpeciły wiszące z nosa żółte smarki. Ten mały nigdy się z nami nie bawił, tylko wybierał towarzystwo okolicznych kilkulatek zapewne po to, by móc nimi rządzić tyle, ile jego rogata dusza zapagnęła.

– Bardzo nam pomaga, odkąd... – odezwała się Banasiowa, a oczy ponownie zasły jej łzami.

– Wiecie co? – szybko wtrącił Banaś. – Chodźmy wreszcie do domu. Tośka zrobiła pyszny kompot z rabarbaru.

Kompocik smakował wyśmienicie, tak samo zresztą jak i placek drożdżowy, który, jak zaznaczył Banaś:

– Przed pieczeniem Tośka własnoręcznie wymiesiła na wszelkie możliwe sposoby.

Miłym dopełnieniem niespodziewanego podwieczorku było również to, że usadzono nas na wygodnym hamaku, który stał na najniższym, zadaszonym tarasie, dzięki czemu słońce nie mogło nas dosięgnąć. Banasiom humor się nieco poprawił i już na spokojnie mogli nam opowiedzieć o zaginięciu jedynaka. Nie dowiedziałyśmy się zresztą niczego nowego – ot, wyjechał w nocy na giełdę i przepadł bez wieści, w szczerym polu porzucając samochód. Zapewne spieszył się do bacy na bryndzę – z sarkazmem pomyślałam o drewnianym uporze policji.

– Na giełdę zawsze jeździliśmy razem – ciągnął Banaś – albo, gdy ja nie mogłem, jechał z nim Arek. To był jedyny raz, kiedy wybrał się tam sam...

Banaś zamilkł i zagłębił się we własnych myślach.

– A co tam u was? – Banasiowa zadała pytanie, którego się spodziewałam i na które wolałam nie odpowiadać. – Widzę, że same się na wieś wypuściłyście. Dobrze jest czasem oderwać się od męża i dzieci – kontynuowała, a drożdżówka, a może zbyt sucha kruszonka, zaczęła drapać mnie w gardle.

– No jak tam? – ponagliła nas, bo i Kamie nie spieszyło się z ogłaszaniem rewelacji o swym życiu. W końcu westchnęła i powiedziała:

– Tak... tak się złożyło, że od syna oderwałam się na jakiś czas, a od męża na zawsze.

– Nie rozumiem...

– Olaf, mój jedynak, jest teraz na wakacjach z moim mężem... byłym mężem...

– Och... no tak... Co za szkoda... ale tak się czasem w życiu układa, że lepiej wziąć rozwód, niż w trefnym związku i siebie, i dzieciaka męczyć.

– Ale za to – ciągnęła Kamila – od niemal piętnastu lat mieszkam w przepięknej Barcelonie. – Uśmiechnęła się szeroko.

– W Barcelonie, tak słyszałam. A ty, Ewuniu, masz dzieci? – Banasiowa chyba przezornie, po informacji uzyskanej od Kamy, nie zapytała mnie o męża.

– Nie, nie mam. I również jestem po rozwodzie. – Nerwowo zamachałam nogą założoną na drugą.

– Och... – Banasiowa tym razem ograniczyła się jedynie do cichego westchnięcia. – A gdzie mieszkasz? – zapytała z nadzieją w głosie, jakby oczekiwała, że w ramach rekompensaty za nieudane życie wymienię jakieś egzotyczne miejsce, którego splendor i urok powetują życiową porażkę. Zakaszlałam z zakłopotaniem i wyrzuciłam z siebie:

– A w Pucku. W Pucku sobie mieszkam!

– Och... – Kolejne ochnięcie Banasiowej niosło ze sobą tak tragiczny wydźwięk, że aby przerwać niezręczną rozmowę, Banaś zerwał się z miejsca i zapytał:

– My tu gadu-gadu, a w lodówce chłodzi się piwko. Czy któraś z dziewczyn reflektuje na lwóweckie?

– Lwóweckie? – zainteresowała się Kama. – Takiego jeszcze nie piłam.

– To znaczy, że ty, dziecko, w swoim życiu nie piłaś dobrego piwa. A ty, Ewa? Masz ochotę?

Zasepiłam się nad tą propozycją. Piwo lubiłam, a ciepły dzień wręcz zachęcał do skosztowania tego pysznego napoju, który na dodatek zawsze niezawodnie gasił pragnienie. Ale co z moją nadkwasotą? Alugastrin zostawiłam w domu dziadka.

– Ewka – szturchnęła mnie Kama – co tak myślisz? Pijesz to piwo czy nie?

– Pewnie, że wypije – odpowiedziała za mnie Banasiowa. – Leć no, Mundek, do lodówki i przynieś cały zapas.

Banasiowy zapas akurat wystarczył na tyle, aby każdy dostał po butelce. Ale dobre było i to, bo lwóweckie okazało się mieć szczególnie głęboki i wyrazisty smak, czego nie zauważyłam, pijąc wiele innych marek tego trunku.

– Na długo tu przyjechałyście? – zapytała Banasiowa.

– Raczej nie. Gdy tylko ustalimy z Malwiną szczegóły sprzedaży, wybieramy się z Ewką w taką dłuższą podróż po świecie.

– Och, to musi być kosztowne.

– Niekoniecznie – powiedziałam. – Chcemy połączyć pracę z podróżowaniem. Na pewno będzie bardzo ciekawie...

– Ciekawie... ale czy przy tym bezpiecznie, bo przecież Krzychu...

– Tosiu, daj spokój – wtrącił się Banaś. – Jak ktoś ma zginąć od cegły, to i w drewnianym kościele mu na łeb spadnie. One są dorosłe, nie psuj im radości z wyjazdu. A u Malwiny co słyhać? Jak jej się życie ułożyło? – zmienił temat.



– W zasadzie to nie miałyśmy jeszcze czasu ze sobą porozmawiać. Ale chyba wiecie jej się całkiem nieźle – powiedziałam, krążąc myślami między przystojnym Wiktozem, jego samochodem oraz nowym wyglądem Maliny. – Mieszka w Krakowie – przypomniało mi się.

– A mąż, dzieci? – drażyła Banasiowa.

– Ach to! – lekceważąco machnęłam ręką. – Pewnie się nimi pochwali, gdy się wreszcie odnajdzie. – Westchnęłam. Albo nie odnajdzie...

– No właśnie – odezwała się Kamila. – Poszła do lasu, na łąkę albo gdziekolwiek indziej, a nasz problem polega na tym, że my nie mamy czasu na nią czekać, aż łaskawie raczy wrócić i ustalić, co ze spadkiem, bo z Ewką chcemy jak najszybciej ruszać w podróż.

– Może rzeczywiście gdzieś po łąkach sobie chodzi – nieśmiało powiedziała Banasiowa, ale wyraźnie widziałam, że lekko się zdenerwowała.

– A pewnie, pewnie – podchwycił Banaś. – Na pewno niedługo wróci.

– Albo kogo znajomego odwiedzić poszła, nie Mundek?

– Otóż to. Może siedzi u kogoś we wsi i spokojnie kawkę popija, podczas gdy wszyscy się denerwują? – rzekł bez przekonania, aby pocieszyć nas w jakikolwiek sposób, bo przecież dobrze wiedział, jaką rolę w takich sytuacjach odgrywa nadzieja. Sami czekali na syna, który wyszedł z domu jak wielokrotnie wcześniej, tyle że tym razem jego powrót niemiłosiernie się przeciągał i nikt nie wiedział, czy kiedyś nastąpi. A jeśli nastąpi, to w jakim stanie.

– Wiecie co? Zapraszam do szklarni! Pokażę wam nowoczesną uprawę, wzór dla niejednego ogrodnika!

– Ta uprawa... nowe folie to wszystko dzięki naszemu... – ze wzruszeniem zaczęła mówić Banasiowa, ale mąż jej przerwał.

– Tak, dzięki naszemu synowi. Gdy wróci, będzie dumny, że wszystkiego tak pięknie dopilnowaliśmy!

– O ile wróci... – szepnęła Banasiowa.

– Wróci! – zagrział Banaś. – Oni wszyscy wrócą! Tak myślę... – dodał pod nosem i wstał, a my uczyniłyśmy to samo.

Banaś najpierw oprowadził nas po szklarniach, gdzie w matach kokosowych i wełnie mineralnej uprawiał pomidory. Rośliny były zdrowe i akuratne, jak oceniłam okiem fachowca: ani zbyt generatywne, ani zbyt wegetatywne. Wiszące na krzaczkach owoce były dorodne i godne podziwu: grona równo zawiązane, bez śladów niedoborów lub nadmiarów składników pokarmowych, a i o żerujących szkodnikach również mowy nie było.

– W tej szklarni i tamtej obok – wskazał ręką na prawo – mamy pomidora na kokosie, a w pozostałych rosną na wełnie. W tunelach zaś mamy ogórka, którego w tym roku po raz pierwszy posadziliśmy w torfie z korą, i muszę się pochwalić, że plony są całkiem ładne.

Kama ze znużeniem pokiwała głową, mrużąc przy tym oczy od światła, które odbijało się od białej folii wyścielającej zagony.

– Gorąco tu – mruknęła i powachlowała się dłonią.

– Gorąco? – zaśmiał się Banaś. – Zaraz pójdziemy do ogórków i wtedy się przekonasz, jak może być gorąco.

– Cicho! – powiedziała nagle Kama i przyłożyła palce do ust. – Woda! Chyba coś pękło, szum słyszę!

– Pękło? – Banaś czujnie nadstawił ucha, a po chwili machnął ręką. – Gdzie tam pękło! Dozownik puścił pożywkę. Spójrz na tę matę. – Ogrodnik przykucnął przy pierwszym z brzegu worku. – Tu, przy każdej roślinie wbita jest mała kapilara, a ona przyłączona jest do węża, którym przyplywa pożywka.

– Pożywka? – Kamila przykucnęła przy Banasiu i z zainteresowaniem przyglądała się wypływającej cieczy.

– Tak, pożywka. Woda z nawozami oraz kwasem. – Kamila, która już miała zamiar umoczyć w niej palec, szybko go cofnęła.

– Nic się nie bój, Kamilko, ten kwas jest mocno rozcieńczony – odezwała się milcząca dotąd Banasiowa.

– I państwo wszystko tak sami?... – Kamila wstała i z podziwem zatoczyła wokół dłonią. – Bo z tego, co pamiętam, kiedyś wszystko tu było takie bardziej prymitywne... chciałam powiedzieć proste.

– Och, nie, wszystko zawdzięczamy naszemu Krzychowi – szybko odpowiedziała Banasiowa i zamilkła, zasepiwszy się mocno.

– Tak – mruknął Banaś – Krzychu wszystko obmyślił, obliczył, kupił, wdrożył, dopilnował i sam nie wiem, co jeszcze...

– A kredyt? – weszła mu w słowo Kamila. – Kredyt też zaciągnął? Bo chyba nie za gotówkę inwestował? – Kama łypała na nich ciekawie, a ja dyskretnie kopnęłam ją w kostkę.

Banasiowie, jak na komendę, razem westchnęli i razem skinęli głowami.

– Chodźmy teraz do naszego dozowniczka, bo mamy go po drodze, a potem pokażę wam pozostałe szklarnie i tunele – powiedział Banaś i z powrotem weszliśmy do łącznika. Minęliśmy sortownicę, kilka stosów plastikowych skrzynek, a następnie dwa baseny, które do połowy były napełnione wodą. Zaraz za nimi, obok metalowej, zamkniętej na kłódkę szafy, stał dozownik. Wydawał rytmicznie pykające dźwięki, a zanurzone w niebieskich beczkach wężyki podskakiwały za każdym razem, gdy pompa zasysała pożywkę.

Banaś podszedł bliżej urządzenia i zawile zaczął tłumaczyć, na czym polega jego praca. Miałam na ten temat mgliste pojęcie, bo zetknęłam się z czymś podobnym na praktykach, natomiast Kama, z nie najmądrzejszą miną wodziła wzrokiem za palcem ogrodnika i bezmyślnie przytakiwała jego słowom.

– Nieźle to skomplikowane – przerwała mu w końcu.

– No właśnie... – Banaś z zafrasowaniem podrapał się po głowie. – Nieźle to mało powiedziane, to jest bardzo skomplikowane.

– Ale najważniejsze, że się pan na tym zna, bo gdyby nawaliło, to ja pierniczę... No właśnie, co wtedy?

Banaś znów się podrapał i westchnął ciężko.

– W tym problem, że wcale się nie znam.

– Jak to? A to, co przed chwilą nam pan o nim opowiadał, to są bajki wyssane z palca?

– Ależ skąd! – zachnął się. – Opowiedziałem wam tyle, ile sam wiem. Najlepiej zna się na nim Krzychu, ale przecież go nie ma... Nie wiem, jak sobie poradzę, gdy coś się stanie, bo przepadła instrukcja obsługi.

– Ale przecież na pewno jest jakiś serwis? – wtrąciłam się.

– Owszem. Ale z byle duperelą nie będę po nich dzwonić, a ja, niestety, dupereli od poważnej awarii odróżnić nie potrafię. Ba! Nawet nie wiem, jak porządnie skalibrować elektrody. Wiem tylko, gdzie są i jak wyglądają, ale co dalej, to już nic, zero.

Potał dłonią czoło i westchnął.

– Poszukam jeszcze tej instrukcji. Może leży gdzieś w domu.

– Przecież wiesz, że nie ma. Szukałeś tyle razy – odezwała się Banasiowa. – Ale przecież ty, Ewuniu, również ogrodnictwo skończyłaś, więc jakby co, pomożesz? – Spojrzała na mnie z tak szczerą i bezbrzeżną nadzieją, że poczułam się zobowiązana wziąć na barki zobowiązanie.

– Nie ma sprawy – powiedziałam. – A macie państwo w domu Internet?

– W tej chwili nie – odezwał się Banaś. – Sam miałem tę instrukcję od kogoś ze wsi ściągnąć.

– Mundek, przyznaj się od razu, że o Internecie nie masz bladego pojęcia.

Z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

– No nie mam. Będę musiał kogoś o to poprosić.

– Ja to zrobię – odezwałam się. – Tylko niech pan powie, kto tu ma dostęp do sieci.

– Tosiu, nie wiesz, kto ma? – zwrócił się do żony, ta jednak nie odpowiedziała, odwróciła głowę w kierunku, skąd trzasnęły drzwi i doszły do nas zdecydowane kroki. Łącznikiem, z plastikowym koszem w ręce, powiewając długą spódnicą, kroczyła tęgawa kobieta. Granatowe drewniaki waliły o beton z takim impetem, że wydawało się, iż kroczą trzy osoby, nie jedna. Musiała często tutaj bywać, na co wskazywały pewność jej ruchów oraz fakt, że nadeszła z drugiej strony łącznika, innym wejściem niż to, którym my weszliśmy.

– Adela. Adela ma – powiedziała Banasiowa, patrząc na kobietę.

– Diana, nie Adela – powiedziała przybyła osobniczka i poprawiła zsuwające się z nosa okulary o grubych szklach. Mimo okularów i tuszy od razu ją

rozpoznałam, to była ona – Szalona Adela. Już nie tak zwiewna i lekka jak dawniej, ale na pewno ona. Nie miałam pojęcia, że na drugie miała Diana. A może właśnie tak miała na pierwsze? Źle dobrane okulary nie dodawały jej uroku, podobnie jak długie niemal do pasa, powiewające smętnie, mocno przerzedzone kosmyki. Najwyraźniej dbałość o wygląd zewnętrzny nie była przedmiotem jej zainteresowań.

– I co mam niby mieć? – zapytała, wwiercając w Banasiową ciekawskie spojrzenie małych oczek.

– Internet.

– Mam, mam, a co? Chcecie skorzystać? Nie ma sprawy, nie ma sprawy – powiedziała, poprawiła niesforne okulary i zrobiła dwa kroki do przodu, stając tym samym oko w oko z Kamilą. Podczas gdy ona wpatrywała się w moją przyjaciółkę, ja przyglądałam się jej. A raczej jej koszykowi. Był zielony i plastikowy, taki jakie są w sklepach samoobsługowych. W jego wnętrzu coś leżało. Coś czarnego, futrzastego, częściowo przykrytego cienką torbą foliową. Wyglądało na zwierzę, ale dziwny to był zwierzak, skoro tak długo tkwił w bezruchu.

– Czy my się znamy? – zapytała Adela, nadal studiując twarz Kamili. – Coś mi się widzi, że już się kiedyś spotkałyśmy...

– Ostatnio w lesie, przy malinach, ponad... – Kamila zapewne chciała dodać dwadzieścia lat temu, ale Adela *vel* Diana jej to udaremniła – spojrzenie przeniosła na mnie i wykrzyknęła:

– Ach! To wy! Dziewczynki! – Oderwała dłoń od okularów i zakryła nimi usta, jakby się bała, że nieopatrznie wymkną się z nich słowa, które nigdy nie powinny się zmaterializować. Po chwili wydała z siebie głuche jęknięcie: – Bożesz ty mój! To już tyle lat!

– Co tyle lat? – zainteresowałam się żywo.

W odpowiedzi Adela położyła dłoń na sercu i zaczęła recytować:

– *W malinowym chruśniaku przed ciekawych wzrokiem...*

– Diano, pewnie po pomidorki przyszłaś? Zaraz ci zważę – pośpiesznie, z niejakim zażenowaniem, odezwała się Banasiowa.

Upodobanie do recytowania Leśmiana bardzo mnie zastanowiło. Nie mogło być inaczej, z tutejszym chruśniakiem musiały ją wiązać szczególne wspomnienia. Kiedyś przecież nas spotkała niedaleko tego miejsca, więc na zasadzie skojarzeń: chruśniak – my znów zaczęła deklamację wiersza klucza.

– Pomidory, o tak, faktycznie – ocknęła się wielbicielka poezji miłosnej.

– Więc chodźmy do garażu, mam tam rozważoną skrzynkę, a i wagę również tam przenieśliśmy – powiedziała Banasiowa, i z gorącego łącznika przeszliśmy do ciemnego, w miarę chłodnego garażu. Adela podczas tej krótkiej drogi spoglądała na nas spod oka.

– Diano, masz jakiś woreczek?

– Proszę. – Wyjęła z koszyka leżącą tam foliówkę, odsłaniając przy tym niesionego w nim stwora. Ciekawie łypnęłam okiem: to był kot! Lecz nie byle jaki, o nie! Nie był to popularny wiejski dachowiec, tylko... pluszowa zabawka! Ze zdziwieniem spojrzałam na Adelę, podchwyciła mój wzrok i powiedziała:

– Och, zupełnie zapomniałam was sobie przedstawić. Jadwiniu – wyjęła zabawkę – poznaj dziewczynki – Ewunię oraz Kamusię!

– Jaką Jadwinię mam poznać? – Kamila nie zrozumiała, o co kobiecie chodzi.

– Tę z koszyka Adeli – podpowiedziałam.

– Ale przecież to jest pluszak – zauważyła Kama, przyglądając się wyjętemu przez Adelę kociakowi.

– Mówcie do mnie Diana – powiedziała Adela, pogłaskała Jadwinię po sztucznym futerku i coś szepnęła jej do ucha.

Banasiowie wymienili zażenowane spojrzenia. Antonina odchrząknęła znacząco i powiedziała:

– Diano, twoje pomidory. – Podała jej reklamówkę.

– Oj, zupełnie zapomniałam powiedzieć, że dziś chciałam trochę więcej niż zwykle. Może tak ze trzy kilo?

Oddała Banasiowej reklamówkę i zwróciła się do nas:

– A wy, dziewczynki, przyjechałyście tu zrobić porządek ze spadkiem po Walerym, tak?

Na wsi, jak to na wsi, problem jednostki jest problemem ogółu.

– Tak, ale do tego potrzebuję Maliny, a ta od rana gdzieś się zapodziała. Może widziała pani brunetkę z warkoczem zaplecionym *à la* Tymoszenko? – z nadzieją zapytała Kamila. Po chwili wyraźnego ociągania dodała: – Teraz jest bardzo... ładna i myślę, że z jej rozpoznaniem tak łatwo by już pani nie poszło.

W głosie Kamili dał się wyczuć żal, ja jednak to, że Adela od razu nas skojarzyła, poczytałam za komplement, a nie obrazę. W końcu mogliśmy się tak paskudnie zestarzeć, że w ogóle by nie wiedziała, z kim ma do czynienia, a tu proszę – nie dość, że od razu wiedziała, cośmy za jedne, to do tego „dziewczynki” do nas mówiła!

– Brunetka? Z warkoczem? – zapytała kobieta z namysłem, głaszcząc pod włos Jadwinię. Może właśnie dlatego nosiła ze sobą pluszowego kota, bo żywy zwierzak ani by się nie dał w tym koszyku nosić, ani tym bardziej uporczywie pod włos głaskać? A pluszowa Jadwinia przecież nie protestowała, znosiła wszystko. – Nie, nie widziałam – powiedziała Adela i przerwała głaskanie kota.

– Diano, pomidory. – W głosie Banasiowej wyczułam znużenie. Nie potrzebowałam dłużej prowadzić rozmowy z Adelo-Dianą, by wysnuć wniosek, że jej sposób myślenia mocno odbiegał od normy, przez co zapewne bywała dość męcząca dla otoczenia.

– Diano – odezwał się Banaś – czy Kamila i Ewa mogą do ciebie wpaść na ten Internet? Choćby i zaraz.

Rozumiałam, że chciał się jej pozbyć, ale dlaczego wraz z nami?!

– Instrukcję by ściągnęły – wyjaśnił.

– Ależ oczywiście! – Wielbicielka pluszaków natychmiast się ożywiła. Wcisnęła pomidory do koszyka, na wierzch rzuciła Jadwinię. – Ojej, ojej! – Przebierała w miejscu nogami. – To ja lecę teraz do domu i w nim ogarnę, bo mam taki mały bałaganik. A wy, dziewczynki, przyjdźcie za jakiś czas, ale nie za długi, dobrze? Mój dom ma taki czerwony dach. – Postawiła koszyk na ziemi i złożyła dłonie w stożek, chcąc zapewne pokazać, jaki kształt ma dach jej domu. – Pamiętajcie, czerwony.

Czerwony dach... Zastanowiłam się. Idąc z przystanku do domu dziadka, omiotłam wzrokiem całą wioskę, ale żaden dom z czerwonym dachem w oczy mi się nie rzucił. Chyba że w kwestii dachu Adela (umówmy się, że tak będę o niej mówić, bo Diana mi nie leży) miała tak samo zwichniętą percepcję jak w kwestii głaskania pluszowego kota.

– To my z Jadwinią już lecimy. Papatki! – rzuciła w locie i dyndając koszykiem na tyle, na ile pozwalały jej trzy kilo pomidorów i pluszowa Jadwina, skierowała się ku drodze.

– Diana... – Pokiwałam głową i wcale się nie kryłam z tym, że robię to z politowaniem.

– No właśnie... – Kamila odprowadziła ją wzrokiem. – Chyba jej się pogorszyło. – Na czole palcem zakręciła kółko.

– Adelcia jest nieco... ekscentryczna – ostrożnie odpowiedziała Banasiowa – ale dobry z niej człowiek.

– Nadal lubi wędrować po lesie?

– Tak, ale to dobrze. Dzięki temu, że tak lubi spacerować, kiedyś pomogła Zygmunтови.

– Znaczący Rasputinowi? A co, zasłabł? – zainteresowała się Kamila.

– Och, nie. Do oczu nakapał sobie kropli żołądkowych. Akurat szła z lasu i usłyszała jego dzikie wrzaski. Od tego czasu sama z własnej woli regularnie go dogląda.

– A skąd to imię – Diana?

– Mundek, pamiętasz, jak ona to wyjaśniała?

Banaś pomyślał chwilę i powiedział:

– To było jakieś dwa lata temu. Nagle stwierdziła, że w imieniu Adela nie ma za grosz romantyzmu i kazała mówić na siebie Diana.

– Romantyzmu, bo padnę... – szepnęłam do Kamili.

– Miała na to nawet jakiś wierszyk, zaraz, zaraz... Jestem Diana...

– Z morskiej piany utkana! – dokończyła za niego Banasiowa.

– Rany! – jęknęłam.

– Diana z piany utkana? – zdziwiła się Kamila. – Ewka, z tej piany to była Afrodyta, nie?

– Pewnie.

– Możecie jej to powiedzieć, ale zapewne odpowie, że Afrodyta nie rymuje się tak dobrze jak Diana.

– W ogóle się nie rymuje – zauważyłam. – A Diana utkana piana rymuje się idealnie.

– Idealnie czy nie, ale gdy jej nie ma, zawsze jednak mówię o niej Adela, bo jakoś nie mogę się do tej Diany przyzwyczaić. Ale jakakolwiek by była, dobra z niej kobieta – podkreśliła Banasiowa.

– Może i dobra, ale czy na pewno jest z nią wszystko w porządku? – zapytała Kama. – Imię można jakoś wytłumaczyć, ale ten pluszowy kot? W koszu ponadpięćdziesięcioletniej kobiety?!

– My już bardziej tego kota rozumiemy niż Dianę, prawda Mundeck?

Banaś pokiwał głową.

– Nie boicie się, że ona kiedyś może Rasputina, znaczy pana Zygmunta, na przykład otruć? Powiedzmy, że się jej pogorszy, zawsze tak może być. Najpierw pluszowy kot, potem dziwaczne imię, a w końcu przypadkowe morderstwo...

Banasiowa wzdrygnęła się nieznacznie.

– Eeee... chyba nie... – Z niepokojem spojrzała na męża. Banaś również zdawał się rozważać podsuniętą przeze mnie możliwość.

– Cóż, na siłę leczyć jej nie możemy, a poza tym chyba na razie nie ma z czego. Tak mi się wydaje... – zakończył ze sporą dozą niepewności. Zastanowił się chwilę, a potem zaproponował z uśmiechem: – A może wejdziecie jeszcze na kompocik lub piwko? Niech Adelcia ma czas na ogarnięcie swoich kątów.

Miałam ochotę na kompocik, nie powiem, sądzę, że i Kamila również coś by łyknęła, ale nie było nam dane ponownie wkroczyć do domu, bowiem na podwórko zajechały dwa rowery: jeden prowadził prawie czterdziestoletni mężczyzna, a drugi nastolatka.

– Jest i nasz Arek. – Banaś pozdrowił go machnięciem ręki. – Z Kasią przyjechał. – Uśmiechnął się do młodej. – Kasia to jego córka – wyjaśnił ciszej.

Tymczasem przybysz efektownie zeskoczył z pojazdu, a dziewczyna poszła w jego ślady. Spojrzał na nas ciekawie, nie powiem, my również uważnie mu się przypatrywałyśmy. Po dawnym złotowłosym cherubinku nie pozostało nic – zero jakiegokolwiek śladu. Kręcone loczki zastąpiła pstro opalona głaca, złotą bródkę trzymał w nieładzie, śliczne niegdyś lico mocno się zaokrągliło, czyniąc oczka małymi i dość świńskimi, a spory kabłąg brzucha wylewał się znad paska krótkich dżinsowych spodenek. Z zasady nie zwracałam uwagi na męskie nogi, ale te wprost prosiły się o komentarz, przynajmniej poczyniony w myślach. Otóż kończyny

dolne miał chude i krzywe, co w połączeniu ze sporym brzuchem wzbudzało obawę, że pod naporem ciała albo się kiedyś połamię, albo zapadną w ziemię co najmniej do wysokości kolan. Ubrany był niechlujnie – w krzywo zapiętą koszulę w paski, z której odpruto rękawy, oraz w sprane dżinsy z obciętymi nogawkami, krzywo oczywiście.

– Niech zgadnę! Kamila i Ewka! – Trzepnął rowerem w bok i dziarsko ruszył w naszym kierunku, jak mniemałam, z zamiarem przywitania. Dyskretnie schowałam się za Kama, na wypadek gdyby zechciał się obściskiwać. Wprawdzie nigdy nie był naszym bliskim kompanem, ale Bóg raczył wiedzieć, co mu się w głowie mogło porobić przez te wszystkie lata? Wymownym przykładem świeciła Adela.

– Czesiek mówił, że przyjedziecie. Nic się nie zmieniłyście!

*Nic się nie zmieniłyśmy* – miód nie słowa...

– Widziałeś Cześka? – żywo zainteresowała się Kamila. – Gdzie?

– Na drodze, jak po kielbasę jechał.

– Ale on wczoraj jechał po tę kielbasę – zauważyła Kama.

– Czy ja mówię, że dzisiaj go widziałem? No, buzi, mała, kopę lat się nie widzieliśmy! – I soczyście ucałował Kamilę, mocno ją przy tym przytrzymując, a zaraz potem doskoczył do mnie. Przywitanie było okropne, najgorsze, jakiego do tej pory zaznałam. Arek cmokał, znacząc obficie śliną moje policzki, a chuch miał mocno czosnkowy. Ohyda!

– Tato, kto to jest? – zapytało dziewczę z zastanowieniem, kręcąc przy tym loczka. Identycznego, jakie przed laty nosił jej tatuś. Bo dziewczę, Kasia konkretnie, odziedziczyło urodę niewiniątka. Kasia była prześliczna – niebieskie oczka otoczone gęstą firaną rzęs, wdzięczne dołeczki w policzkach, mały zadarty nosek i burza złotych loczków jak u aniołeczka. Cud młodości. Nic, tylko do rąk dać łuk i strzały, a do łopatek przytwierdzić skrzydełka. I do tego wszystkiego Kasia potrafiła się ubrać – szczupłą i delikatną budowę podkreśliła kusą bluzeczką i krótką spódniczką w kolorze groszkowej zieleni, a na niewielkie stópki przywdziała skórzane sandały z zapięciem tuż pod kostkami, z których prawa ozdobiona była tatuażem w kształcie motylka. Gdy tak z nostalgią i zgrzytem zazdrości uwięzłym w gardle jej się przyglądałam, ona patrzyła na nas z ciekawością i wyższością szczęśliwej posiadaczki fizjonomii nietuzinkowej oraz pożądanej i podziwianej przez mężczyzn w każdym wieku. Widziałam to wyraźnie – obnosiła, gówniara, urodę niczym dane na wieki trofeum. Oj, zdziwi się, zdziwi, jak jej do starości szybko zleci!

– Kasiatko, to są moje koleżanki z dzieciństwa. Kamila i Ewa! – wyjaśnił Arek ze szczerą radością, jakbyśmy nie wiem jak intensywnie w tym dzieciństwie się razem bawili.

– Zaraz, kiedy to było? – W zamyśleniu zaczął gładzić kozią bródkę,



a Kasiątko powróciło do kręcenia loczka. Podobieństwo płynności ruchów, z jakimi sobie tak gładzili i kręcili, w pełni obnażało łączące ich pokrewieństwo.

– Kiedy było co? – zapytała Kama.

– Kiedy ostatnio tu byliście? Który to był rok?

– Wystarczająco dawno, by pamiętać o fakcie, a nie pamiętać daty – odpowiedziałam za nią. Po co wywlekać drastyczne szczegóły, tym bardziej że młodzież (Kasiątko) się temu przysłuchiwała?

– Ech... no tak... jak sobie chcesz. I co? Siedzicie w ruderze po Walerym? – zapytał Arek.

– Tak – odpowiedziała Kamila.

– Długo tu będziecie? – nadal się dopytywał.

– Gdy tylko ustalą z Malwiną, co zrobić z majątkiem, wyjadą i to nie byle gdzie, bo w świat! – wtrąciła Banasiowa.

– W świat? – zainteresowała się Kasia.

– Najpierw wpadniemy do Barcelony, a potem urządzimy wspaniałą wycieczkę po dalekich krajach... – powiedziała Kamila.

– Wpadną do Barcelony? – prychnęło Kasiątko, mocno akcentując pierwszy wyraz. – Jak to wpadną? To zabrzmiało, jakby Barcelona była dla pani tak samo swojskim miastem jak.. jak... – Intensywnie szukała w myślach polskiego, wystarczająco pospolitego odpowiednika. – Jak Puck jakiś na przykład!

Wzdrygnęłam się. O tym Pucku powiedziała świadomie czy nieświadomie? Przyjrzałam jej się podejrzliwie, ale minę miała niewinną, a poza tym skąd niby miała wiedzieć, gdzie tkwią moje korzenie?

– A skąd pani przyjechała? – zapytała.

– Z Barcelony właśnie.

– Och! – Kasiątko pobladło, a oczy roziskrzyły jej się tysiącem gwiazd.

– Naprawdę mieszkasz w Barcelonie? – Arek również się zainteresował.

– Tak.

– A ty, Ewka? – zwrócił się do mnie. – Tylko nie wywal mi tu jakiegoś Losa Andżelesa albo innego Sana Franczeska, bo padnę żywcem, tak jak tu stoję!

– Bez obawy, nie padniesz, niczego takiego nie wywalę – mruknęłam, międląc w myślach mój Puck i spod oka obserwując Kasiątko.

– No to gdzie?

– Aruś, czy ty gdzieś Malwinki nie widziałeś? – Nie wiem, czy Banasiowa celowo przyszła mi z pomocą, ale za zmianę tematu byłam bardzo jej wdzięczna.

– Malwiny? Rzeczywiście, Czesiek wspominał, że ona też ma przyjechać. Nie, żadnej nowej babki we wsi nie widziałem. Czarnego bentleya za to widziałem. Wypas bryka! Nie wiecie czyja?

– Chłopaka Maliny. On też jej szuka.

– Cacko, że mucha nie siada! Musi być z niego dziany gość! – Zakwiczął jak

bracia Golcowie na widok słodczy. – Pewnie dał za niego z dużą bańkę, co? – Spojrzał na nas rozgorączkowanym wzrokiem, ale nie pokwapiłyśmy się z odpowiedzią, przy czym, nie wiem jak Kama, ale ja nie miałam najmniejszego pojęcia, co oznaczało określenie „duża bańka”. Wiktor mógł sobie za auto dać (cokolwiek by to znaczyło) nawet i trzy bańki, mnie się nie podobało, że Arek był kolejną osobą, która Maliny w tej wsi nie spotkała. Czas uciekał, a mimoza pod ziemię się zapadła. Nikt jej nie widział, jakby była duchem, który uleciał przez dziadkowy komin. A do tego wszystkiego obiecałam Banasiowi ściągnąć tę instrukcję. Zamiast szukać zaginionej, stracimy czas u wariatki, która miała hyzia na punkcie malinowego chruśniaka.

– Może z Cześkiem pojechała? – zasugerował.

– Właśnie że nie – powiedziałam. – Czesiek również jej szuka.

– Dawno wam zginęła?

– Od rana jej szukamy.

– To znaczy, że jeszcze wcale nie zginęła.

– Otóż to! – podchwyciła Banasiowa. – Do wieczora się znajdzie. U nas na wsi nic nie ginie... – rzuciła szybciej, niż pomyślała. Zamilkła i poczerwieniała po nasadę włosów.

Widząc konsternację żony, Banaś szybko zabrał głos.

– Tak, tak, z pewnością gdzieś sobie spaceruje. Przecież na co dzień mieszka w dużym mieście, więc teraz chce sobie zakosztować przyrody i świeżego powietrza.

Kasiątko przysłuchiwało się wszystkiemu z zainteresowaniem, intensywnie marszcząc przy tym czoło i z coraz większą werwą kręcąc loczka.

– Mówicie, że z domu wyszła rano? – zapytała z namysłem. – Jak wcześniej to było?

– Nie mamy pewności, ale bardzo wcześniej, być może nawet jeszcze w nocy – powiedziałam.

– A co? Widziałaś jakąś kobietę? – Nie uważałam za zasadne, aby mówić jej na pani. Z powodzeniem mogłam być jej matką i to taką, która bardzo chętnie krótko by ją trzymała.

– Wydaje mi się, że... – zaczęła ostrożnie – właśnie nad ranem widziałam kogoś wychodzącego z domu starego Walerego...

– Nie wiesz, czy była to kobieta, czy mężczyzna? – zapytała Kamila. – Czesiek mógł na przykład psa wyprowadzać.

– Nie, nie. To była jedna osoba, bez zwierzaka. Raczej kobieta, bo ubrana w coś takiego jakby powłóczystego...

– Powłóczystego? Jak nic Malina w swoich szmatach – ucieszyła się Kamila.

– Naprawdę ją widziałaś? – ucieszyłam się.

– Koniec! – Banaś nagle klasnął w dłonie. – My tu gadu-gadu, a opryski

czekają!

Arek rzucił na niego szybkie spojrzenie i powiedział:

– Racja, trzeba brać się do roboty. A z tobą – pogroził paluchem Kasiątku – później sobie pogadam!

– Niby o czym? – prychnęła jak rozwścieczona kotka.

– O wyłażeniu nocą z domu!

– O, to dobre! – przytaknęła Banasiowa. – Ja tam cię, Arku, nie podjudzam, ale jak daleko ta twoja córca zalazła, że aż podwórze Walerego widziała?

– Nie podwórze, tylko pole za jego domem – odezwała się Kasia. – Ta kobieta leciała wprost...

– Dość! Dość! – Banaś drgnął gwałtownie, jakby go ktoś kijem po plecach przetrącił. – Arek, bierzmy się do roboty! Ty, Tośka, miałaś z Kasią myć ogórki, a wy – zwrócił się do nas – idźcie już do Adeli, bo na pewno zdążyła ogarnąć te swoje kąty.

– Ale przecież Kasia najprawdopodobniej widziała naszą Malinę! Kasia... – Kamila zwróciła się do pięknej, ale zaczętego zdania nie dane było jej skończyć.

– Ona nikogo nie widziała! – ostro rzuciła Banasiowa.

– A pani niby skąd to wie? – zapytałam z jadowitą uprzejmością.

– Wiem, bo mgła była! Spać nie mogę i w oknie stoję, na Krzycha czekam, więc bzdur wam nie wymyślam. I gdyby ktoś przez to pole leciał, na pewno bym go zobaczyła!

– Ale nie było żadnej mgły... – cicho powiedziała Kasia, ale ojciec ją zagłuszył.

– Słyszaliście? Nikt nikogo nie widział, a ja młodej łomot dziś spuszczę, bo coś czuję, że znów się z tym łązęgą spotyka! – Pogroził jej pięścią.

– Tylko nie łązęgą! On ma imię! Stefan się nazywa!

– Powiedz mi, co ty w nocy robiłaś z tym swoim Stefanem?! Ile razy ci mówiłem, że w nocy masz leżeć w łóżku?! We własnym łóżku! – Arek, jak na prawdziwie zatroskanego ojca przystało, darł się w niebogłosość.

– Idźcie już, idźcie – powiedziała Banasiowa i gestem gospodyni zaganiającej kurki do kurnika stanowczo przegoniła nas z podwórka. Nawet pytanie, w którą stronę mamy się udać, by szybko trafić do domu Adeli, zbyła wzruszeniem ramion.

– Przecież mówiła, że mieszka w domu z czerwonym dachem.

– Widzisz jakiś dom z czerwonym dachem? – zapytałam.

– Nie.

Kamila wypatrywała domostwa Adeli ze starej, rosnącej przy drodze śliwy, którą zapewne posadził jeszcze przed wojną zapobiegliwy niemiecki gospodarz. Drzewo było stare – miało szerniałą korę, a gałęzie w większości uschły. Nie rwałam się, aby się na nie wdrapać, bo wylądowanie w rowie nie było szczytem

moich marzeń – wypchnęłam więc Kamę. Teraz widząc, że pod nieco grubszą ode mnie osobą nic się nie złamało, powiedziałam:

– Złaż, teraz ja wejdę i się rozejrzę.

Nie chciało nam się krążyć po rozległej wiosce, więc uczepliłyśmy się tej śliwy. Wprawdzie chodząc po Zadolu, mogłybyśmy również popytać i o Malinę, ale pamiętając, co mówiła Kasiénka, uznałyśmy, że zamiast męczyć nogi, najpierw ją musimy dokładnie o wszystko wypytać. Nie miałyśmy wątpliwości, że młoda widziała naszą zgubę, więc powinnyśmy ją dopaść w ustronnym miejscu, gdzie ani Banasiowie, ani jej ojciec nie będą nam przeszkadzać. Bo wyglądało na to, że Banasiom zależało, aby pozbyć się nas z podwórka, nim Kasiénka rozkręci się ze swą opowieścią. Dlaczego? Nie miałyśmy pojęcia i należało to wyjaśnić. Arek też swoimi wrzaskami nie zachęcał dziewczyny do mówienia, ale jego rozgrzeszałyśmy. Targała nim troska o piękną córkę, więc jego zachowanie było zrozumiałe. A Banasiów nie.

– No to właż. – Kamila zeskoczyła ze śliwki, łamiąc przy tym jedną z gałęzi.

– Eee... jakoś się rozmyśliłam. Lepszego wzroku od ciebie nie mam, więc też niczego nie wypatrzę. Idźmy lepiej do pierwszego lepszego domu i tam zapytajmy o Adelę.

– Przy okazji możemy też o Malinę.

– Wierzysz, że ktoś oprócz Kaśki mógł ją jeszcze widzieć?

– Być może ten Stefan, o którego tak się awanturował Arek. A czy ktoś jeszcze? Cholera wie, dokąd ona tym polem leciała. Jeśli Malina miała pecha, a my szczęście, to jeszcze jakiś inny niedosypiający mógł ją przyuważyć.

– Hm... za domem jest staw, potem rzeczka, więc tamtędy nie poszła. Stawiam na to, że wybrała się w stronę domu Rasputina.

– Odpada. Pamiętasz, jak się go bała w dzieciństwie?

Przytaknęłam skinieniem głowy:

– Racja. Druga opcja jest taka, że ruszyła do wsi.

– A jaka trzecia?

– Do Banasiów. A swoją drogą, o co chodzi z tą mgłą? Banasiowa mówi, że była i nic nie było widać, a Kasiénka twierdzi, że nie. Zupełnie jakby Banasiowa chciała podać w wątpliwość słowa młodej.

– Też tak to odebrałam.

– Oboje z Banasiem byli nerwowi. Jednak myślę, że ma to związek z zaginięciem Krzyśka. Wiesz, w domu, gdzie ktoś się powiesił, o sznurze się nie mówi.

– Mnie to nie przekonuje, ale w tej chwili jest to jedyne racjonalne wytłumaczenie.

– Malina mogła iść do lasu, gdzie czekał na nią Krzysiek. O ile nasza romantyczna wersja jest tą słuszną. W ten sposób wszystko trzymałoby się kupy.

– Masz rację. We wsi czy na polach ktoś mógł ich zauważyć, las to wymarzone miejsce na schadzki.

– Romantyzm pełną gębą – prychnęłam, ale w środku poczułam lekkie ukłucie zazdrości. – Późna miłość, nocne wymykanie się do ukochanego... – Prychnęłam jeszcze ze dwa razy na znak, że gardzę taką dziecinadą, ale dało mi to do myślenia. Czy miałam czego zazdrościć? Przez cały okres naszego bycia z sobą Maciej raz tylko wyartykułował miłosną deklarację i z tego względu, że nigdy więcej tego nie powtórzył, bardzo dobrze to sobie zapamiętałam. Można powiedzieć, że jego słowa celebrowałam z całym należnym takim wyznaniom szacunkiem. Kilka razy próbowałam zagadywać go na ten temat. Liczyłam, że powtórzy wyznanie, a może i dorzuci do niego kilka innych ciepłych słów, ale odparł:

– Na początku ci powiedziałem, co do ciebie czuję.

– Ale nigdy więcej tego nie powtórzyłeś... wiesz... – Głos mi się załamał, ale ciągnęłam: – Nie powtórzyłeś więcej tego, że mnie kochasz...

– Wiem, że nie powtórzyłem. Ale zauważ, że również nie odszczeakałem, a jeśli nie odszczeakałem, znaczy, że nadal coś czuję, więc nigdy już do tematu nie wracaj.

Nie wróciłam więc. Akurat w pensjonacie dobudowywaliśmy kilka pokoi, co spowodowało niemałe urwanie głowy, i ostatnią rzeczą, na jaką miałam czas, było czepianie się słówek. W końcu nadal byliśmy razem, a po wielu latach małżeństwa mało kto bawi się w czułości.

– W każdym razie – postanowiłam przywrócić rozmowę na tor dotyczący zaginionej – mimo wszelkiej ostrożności pędząca do gacha Malina i tak została przyważona. Dzięki zakochanej Kaśce.

– Więc jednak miłość na coś się przydaje i niech Bóg błogosławi szaleństwa młodości. Gdyby się ta młoda ze swym Stefkim po nocy nie szlajała, niczego byśmy nie wiedziały.

– Skręćmy w prawo – powiedziałam. – Tam jest jakiś dom. Zapytamy o Adelę.

Ale zamiast zwawo skręcić w porośniętą trawą dróżkę, Kamila nagle zwolniła.

– Co jest? – zapytałam.

– Powiedz mi... – zaczęła i zamilkła jakby zawstydzona.

– Co mam ci powiedzieć?

– Powiedz mi... ty jej zazdrościsz? – Rzuciła na mnie szybkie spojrzenie.

– Niby komu i niby czego? – Ale już się domyślałam, co miała na myśli moja przyjaciółka.

– Nie udawaj, że nie wiesz. O Malinę mi chodzi i ten jej wybryk!

– Ależ! Wcale! – odpowiedziałam szybko, aby nie posądziła mnie

o niezdecydowanie i o to, że mogłabym mimożie czegoś zazdrościć. – A ty? – Uśmiechnęłam się, właściwie nie wiem dlaczego, całkiem jadownicie.

– No wiesz... – Zatrzymała się na chwilę i zapatrzyła na otulone słońcem pola. Początkowo sądziłam, że powiedziała to z pewną nutą oburzenia, ale się myliłam: – Tak! Żebyś wiedziała, że zazdrościsz – dokończyła zdecydowanie i nadal gapiła na te pola, jakby nie wiem jak się nimi zachwyciła, a może po prostu bała się spojrzeć mi w oczy?

Ale Kamila przecież dopiero się rozwiodła. Mało przeszła? Sama mówiła, że Pedro ją wkurzał nawet wtedy, gdy siedział cicho. Brakuje jej tego szarpania nerwów, że za następnym się rozgląda?

– Kamila, co ty mówisz? Myślałam, że od facetów chcesz odpocząć. Przecież jedziemy w świat!

– Co mnie świat obchodzi? – Uśmiechnęła się cierpko. – Od chwili gdy zniknęła Malina, ciągle o niej myślę.

– Tak się o nią martwisz?

– Zaraz tam martwisz! Widziałaś, jaka była kwitnąca? To nie chemia ani mordercze ćwiczenia tak ją konserwowały, tylko miłość. Ja też chcę tak wyglądać! To znaczy chcę być zakochana...

– A! Tu cię boli! Facjaty jej zazdrościsz! – Roześmiałam się z udawaną ulgą, ale lekko mi nie było, wręcz przeciwnie – coraz ciężiej. Dlaczego ktoś inny promieniał, a ja nie? Mnie również zachciało się być zakochaną. Nie miałam jednak zamiaru się do tego przyznać.

– Malina nie tylko namieszała nam w planach, ale i w twojej głowie. Weź się w garść! Cały świat na nas czeka. Na pewno kogoś spotkasz, odstawisz świetny seks i pojedziemy dalej.

– Ale ja nie chcę przygodnego seksu! – Tupnęła nogą. – Choćby i miał być najwspanialszy! Też chcę tak zniknąć w drodze na miłosną schadzkę!

– Skoro tak ci na tym zależy, ostatecznie przede mną możesz gdzieś się schować... Nawet z przyjemnością cię poszukam – dodałam na pociechę.

– Wcale mnie nie rozumiesz! – Poczzerwieniła na twarzy, jej oczy napełniły się łzami i zaczęła przypominać dawną, nastoletnią, rozwścieczoną Kamilę. Westchnęłam. Jak ja ją rozumiałam! Tylko nie miałam zamiaru się z tym ujawniać. Po co? Przynajmniej jedna z nas musiała trzymać fason, żebyśmy wreszcie wybrały się w świat, a nie utknęły na dolnośląskiej wsi z głowami nabitymi niedorzecznymi marzeniami. Och, ta Malina! Krótkie spotkanie z nią w połączeniu z nieprzyzwoicie czystym wiejskim powietrzem wydało niespodziewany, pokraczny owoc. Zamiast radośnie gotować się do podróży naszego życia, wałęsałyśmy się po wsi, z godziny na godzinę tracąc humor. Dwie zdesperowane czterdziestki z gwarancją dobiegającą końca.

– Mało przeszłaś z Pedrem? – Wyciągnęłam z kieszeni, jak sądziłam, słuszny

argument. – Mało ci za skórę zalazł?

– Skończmy ten temat i poszukajmy wreszcie domu Adeli.

– Przecież szukamy. Rozmowa w niczym nie przeszkadza.

– Rozmowa nie, ale twój punkt widzenia i owszem.

– No wiesz?! – oburzyłam się. – Zdecyduj się, o co ci chodzi. Nie dalej jak wczoraj opowiadałaś o wielkiej mądrości zaczerpniętej z poradników, dzięki którym pozbyłaś się z życia nudziarza pierwszej wody, a teraz wzdychasz do następnego?

– Do nikogo konkretnego nie wzdycham, tylko wyrażam ogólną tęsknotę za miłością. A to jest zasadnicza różnica.

– Coś nieprzyzwoicie szybko ta tęsknota się u ciebie ujawniła. A trochę pocierpieć nie łaska?

– Po czym cierpieć? Przecież to ja chciałam rozwodu.

Co racja, to racja. I ona, i ja założyłyśmy sprawy o rozwód. Z tym że ona nie bała się teraz głośno przyznać, co jej na wątrobie leży, a ja się wstydziłam. Bo czy w moim wieku przystoi tak jęczeć za facetem?

– Skończmy ten temat i chodźmy. Takie gadanie tylko nam szkodzi – powiedziałam cicho.

– Masz rację. – Kamila jeszcze raz rzuciła okiem na romantyczną wiejską panoramę i ruszyła przodem wprost ku staremu domostwu. A stare ono było, oj stare, o czym na dzień dobry świadczył płot, który pionowy fason utrzymywał chyba jedynie siłą woli. Furtka miała się dużo gorzej, bo dawno wypadła z zawiasów i leżała kilka metrów dalej. Podwórze było zaniedbane i nie widać było żadnych śladów bytności człowieka; budynek mieszkalny wyglądał na opuszczony, w kilku oknach brakowało szyb, a drzwi zabito grubymi deskami.

– Kicha. Nikogo tu nie ma – stwierdziła Kamila.

– Cicho – syknęłam i położyłam palec na usta.

– Co?

– Tam, w stodole – powiedziałam szeptem i ruszyłam w kierunku budynku.

– Co w stodole? Co w stodole? – dopytywała się skradająca się za mną Kamila.

– Psst! – syknęłam stanowczo i nim zbliżyłyśmy się do drzwi na tyle, aby móc je otworzyć, ktoś z impetem otworzył je od wewnątrz i najpierw zobaczyłyśmy rower, a potem osobnika, który go wyprowadzał.

– Och! – krzyknęłam i odskoczyłam na bok, by uniknąć nabicia solidnego guza lub najechania starym jednośladem. Złodziej! – przemknęło mi przez myśl, ale, jak się później okazało, byłam w błędzie.

– Ki diabeł? – warknął osobnik i rower oparł o ścianę.

Typem był niemal dwumetrowym, patykowatym, o lekko zarysowującym się brzuszku. Jego włosy ze trzy miesiące nie widziały fryzjera i błagały o porządne

strzyżenie, no chyba że osobnik zamierzał je zapuścić, a to zmieniało postać rzeczy i wtedy można by mu tę fatalną fryzurę wybaczyć. Nos miał okazały, mocno odznaczający się od szczupłej twarzy, usta wąskie, a brodę lekko wysuniętą ku przodowi. Wiek chudzielca szacowałam na lat trzydzieści względnie trzydzieści pięć. Kamila już otwierała usta, aby coś powiedzieć, choćby i zwykłe „Dzień dobry” na miły początek, ale osobnik odezwał się pierwszy:

– Czego tu szukacie?

Drgnęłam. Maniery podłe, na ty nie przechodziliśmy. Zaniechałam jednak pouczania tego gburą, jakie są zasady dobrego wychowania, bowiem łaknęłam informacji, które on mógł posiadać, a wszelkie dydaktyczne uwagi mogłyby wytworzyć niesprzyjającą moim zamiarom atmosferę.

– Nie czego, lecz kogo. Adeli szukamy. Ponoć mieszka w domu z czerwonym dachem – powiedziałam i uśmiechnęłam się miło, co było dla mnie niemałym wysiłkiem, bo typ sympatii we mnie nie wzbudził i wcale nie chodziło już o to przedwczesne przejście na ty.

– Chodzi ci o wariatkę?

– O Adelę.

– Czyli o wariatkę. Ale dom z czerwonym dachem? Kto powiedział, że w takim mieszka?

– Ona.

Patykowaty prychnął z niedowierzaniem, siąknął nosem i wytarł go paluchem.

– Tak powiedziała. No nie, Kama?

– Aha.

– A to sobie cwaniara powiedziała. Ze dwie czerwone blachy, owszem, może ma tam przybite, ale żeby od razu gadać o czerwonym dachu? A niech jej będzie. Mieszka trzy domy stąd. O tam! – Wskazał ręką na prawo. – Idźcie ścieżką rowerową, a łatwo traficie.

Łypnął na nas krzywo, przerzucił nogę przez rower i pchał tyłek na siodełko, lecz Kamila go zatrzymała.

– Chwileczkę.

– Co znowu?

– Szukamy jeszcze kogoś. Młodej kobiety. Znaczącej w naszym wieku – dodała z pewną dozą nieśmiałości. – Średniego wzrostu, nosi ciemny warkocz zapleciony wokół głowy, jak Tymoszenko, ubrana była w długą spódnicę. Ewka – szturchnęła mnie – jaki kolor miała ta kiecka?

– Turkusowy.

Tymczasem chudzielec wycofał tyłek oraz postawioną na pedale nogę.

– A tak w ogóle, co wy za jedne jesteście? – zapytał podejrzliwie.

– Jestem wnuczką Walerego – powiedziała Kamila. Widząc, że chudy nadal



pytając na nią łypie, dodała: – Tego Walerego, który miał dom przy Śmierdzielu, znaczy stawie. Ostatnio mieszkała tam Gertruda. O właśnie, a może Czeška, jej wnuka, pan gdzieś spotkał? Jest...

– Nie wiem, o jakim Walerym mówicie, ale tę Gertrudę i Czeška kojarzę. Nie, nie widziałem go ostatnio.

– Od dawna tu mieszkasz? – Nasunęło mi się, że mógł być takim samym przyjezdnym jak Pławski, który przybył w te okolice już po śmierci dziadka. Nie przypominałam sobie, abym w dzieciństwie spotkała w Zadolu podobnego do niego chudzielca.

– Nie jestem stąd. – Potwierdził moje przypuszczenia.

– A skąd?

– Nie za dużo tych pytań? – mruknął.

– Tak sobie pomyślałam...

– Nie obchodzi mnie, co ci się we łbie roi – powiedział i znów wepchnął chudy zadek na siodelko.

– Jeszcze chwila – widząc jego zamiar, szybko wtrąciła Kamila. – Więc podsumujmy: Czeška nie widziałeś, a tę kobietę, której szukamy? Bardzo mi zależy na jakiejś informacji na jej temat, bo to moja kuzynka. Najprawdopodobniej jeszcze nocą wymknęła się z domu. Kasia, córka Arka – gorączkowo wyjaśniła Kamila, nie wiedząc, na ile jej rozmówca zna tutejszych mieszkańców – powiedziała nam, że...

– Kacha? Co powiedziała? – ożywił się.

– Że widziała kogoś, kto nocą wyszedł z domu mojego dziadka – powiedziała. – Chwała Bogu, że młoda po nocy z jakimś gachem się szlajała, bo dzięki temu ją zobaczyła. Na dziewięćdziesiąt procent sędzę, że była to moja Malina. Tylko gdzie ta cholera teraz jest? – Rozejrzała się bezradnie.

– Szlajała?! Z gachem?! – Nieznacznie podniósł głos. Rozumiałam, że nocne łązenie Kasi zdenerwowało jej ojca, ale dlaczego również jego? Co miał do tego chudy przygłup na starym rowerze? Kim był? Bo chyba nie takim samym nawiedzonym chrestnym jak Gwidon. Drugi taki egzemplarz jak mój wujcio po ziemi chodzić nie mógł. Gwidon był i jest nie do podrobienia.

– Tak, z jakimś wioskowym gachem łąziła – potwierdziłam. – Jej ojciec, jak się tego dowiedział, wściekł się, że mało ze skóry nie wyskoczył. Zaraz, jak temu nocnemu ptaszкови było? Aha, mam! Stefek! – Z pogardą wydełam usta. – Oby wyglądnął lepszy od imienia. Dla byle kogo szkoda tak ładnej dziewczyny.

– Nie mam dla was czasu! Wiecie już, gdzie stara mieszka, więc tam idźcie, może ona wam coś powie.

Sądził, że wreszcie będzie mógł odjechać do siebie tylko znanych spraw, bo wyjątkowo stanowczo nasadził tyłek na siodelko, ale znów nie było mu dane się oddalić.

– Moje dziewczynki! – rozległo się od strony ścieżki rowerowej. To była Adela! Tym razem sama, bez koszyka, więc i bez Jadwini. – Czekałam na was i czekałam, aż stwierdziłam, że musiałyście pobłądzić w tym naszym małym Zadolu. No i miałam rację. Tu jesteście! Ale ze mną nie zgniecicie. Chodźcie, zapraszam na kawę.

Chwyciła Kamilę pod pachę i wyciągnęła rękę po mnie.

– Ciebie, Stefcu, również zapraszam. Biedaczku, ty ciągle w robocie. Czy ty kiedykolwiek odpoczywasz? – trajkotała, a Kamila uniosła brwi. Minę miała nietęgą. Stefcio. Stefan. Na tej wsi Burkiem pewnie niejednego psa nazywają, ale stojący obok chudzielec w dziewięćdziesięciu procentach był Stefanem, o którego tak gardłował Arek. Inaczej być nie mogło. O normalnego faceta takiej awantury by nie zrobił. Gdyby moje dziecko z takim typem się zadawało, też bym się wydzieriała, i to o wiele głośniej.

– Chodź, Stefcu, chodź. Zielonej kawki się napijesz, domowego placcka pojesz. – Adela rozwinęła przed nim wachlarz kulinarnych atrakcji, ale zapraszany nie kwapił się w odwiedzinach.

– Zmęczony jestem. Kupa roboty przede mną.

– Oj, do Kasieńki ty pędzisz! – Mrugnęła do niego porozumiewawczo i uśmiechnęła się z tęsknym pobłażaniem. – Też byłam młoda... – Spojrzała na Kamilę, potem na mnie: – W malinowym... – zaczęła, a oczy zasłzy jej łzami.

Ta znowu swoje, pomyślałam.

– Dobra, idziemy na to ciacho i kawkę – przerwałam jej. – Stefan, idziesz z nami?

– Już raz powiedziałem, nie będę się powtarzać.

– Dalej tu zioła suszycie? – zapytała Adela. – Jeszcze się nie przenieśliście do suszarni pod las?

– Jeszcze nie do końca – mruknął.

– Wiecie, dziewczynki, Stefanek z panem Ewarystem współdziała – wyjaśniła.

– Przy uprawie ziół? – domyśliłam się.

– Taaa... – ponownie burknął Stefan. Nie ma co, typ do elokwentnych nie należał.

– Biedny Stefanek aż dwadzieścia kilometrów rowerem dojeżdża, żeby tylko móc u niego pracować. – Przez chwilę patrzyła na niego czule, ale zaraz jej wzrok spochmurniał nieco. – Dobrze, że tak ładnie pracują – powiedziała – i wcale nie mam do nich pretensji, że uprawiając zioła, pozbawili mnie chleba powszedniego. Kiedyś to ja wioskę w ten surowiec zaopatrywałam... – Siąknęła nosem. – No, żadnych pretensji nie mam. Jako praktykująca chrześcijanka muszę mieć wielkie serce. Ale za to wróżeniem dorobić mogę.

– Ty wróżysz? Jako praktykująca chrześcijanka trudnisz się wróżbiarstwem?

– Nie lubię nikogo pouczać ani zwracać bliźnim uwagi, co oraz jak powinni robić, ale tym razem nie mogłam się powstrzymać. Z jednej strony poważna deklaracja, a z drugiej zabobon. Wstyd.

– Właśnie, że tak. – Wzięła się pod boki i rzuciła zaczepne spojrzenie. – Gdy widzę, ile daję ludziom radości i nadziei, serce mi rośnie. A przy niedzieli się spowiadam i zawsze, ale to zawsze dostaję rozgrzeszenie! – Stefanek – zwróciła się do gbura – przyszedłbyś kiedyś na wróżbę. Może wyjdzie ci coś dobrego.

– Nigdzie nie idę. A nie, właśnie że idę! Idę sobie! Do widzenia! – Po raz ostatni, tym razem skutecznie dopinając swego, dosiadł dwukołowego gruchota, migiem przejechał przez podwórze i znalazł się na ścieżce rowerowej.

– Tytan pracy. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Arek go nie lubi? – Adela patrzyła w kierunku, gdzie zniknął nam z oczu. – Cóż, jeśli nie chce, aby mu wróżyć, trudno. Ale kiedyś zmądrzeje, czuję to. Idziemy, dziewczynki! – zarządziła i pociągnęła nas za sobą.

Dach domu Adeli faktycznie czerwony był tylko w niewielkiej części. Może ta półprawda o kolorze dachu była przejawem tęsknoty za niespełnionym marzeniem, podobnym do tego, które kazało Adeli recytować Leśmiana? Tęsknota za nowym dachem to nie fanaberia, tym bardziej że chata waliła się niemal z każdej strony. W takim budynku marzenie o suchej głowie mogło być szczytem ekstrawagancji. Gdy się patrzyło na zapuszczone podwórze, aż dziw brał, że Adela miała w domu Internet. A może wcale nie było to dziwne? Może nie mając środków na remont ani możliwości wyprowadzenia się gdziekolwiek indziej, zapadła się w marzenia, a Internet uczyniła wrotami do innego świata, do którego mogła uciekać, kiedy tylko chciała?

– Proszę do środka. – Przepuściła nas przodem. Weszliśmy do ciemnego, chłodnego wnętrza. – Schodkami na górę.

Były bardzo wąskie, drewniane i trzeszczały złowieszczo, jakby swymi wisielczymi dźwiękami chciały ostrzec, że skorzystanie z nich mogło się okazać naszym ostatnim wejściem gdziekolwiek. Z podejrzliwym powątpiewaniem spojrzałam na Adelę, nie wyglądała na osobę dybiącą na nasze życie, więc jej zachęta, aby podążyć w głąb domu, raczej nie nosiła znamion czynu podstępnego. Jeśli bez złamania kręgosłupa dotrę na górę, schodów w domu dziadka Walerego już się nie przelęknię i na jego strych bez obaw się zapuszczę. Postawiłam jedną nogę, potem drugą, i nic. Drewno zatrzeszczało jakby bardziej przenikliwie, nic się jednak nie stało, nie poleciałam ani w żadną otchłań, ani na prozaiczne klepisko. Obejrzałam się: za mną szły Kamila, a na końcu, postukując drewniakami, Adela.

– Z życiem, z życiem – pogoniła mnie. A gdy już dotarłam na górę, powiedziała: – A teraz w prawo.

Pchnęłam drzwi. W nos uderzył mnie zapach kurzu, a w oczy rzuciły się... a nawet miałam wrażenie, że rzuciły się na mnie... serduszka – cała masa czerwonych, pluszowych serduszek, w których pokój wręcz tonął! Dziwne to było. Po spotkaniu z Jadwinią spodziewałabym się raczej kotów, ale serc? Nigdy w życiu! Były dosłownie wszędzie: na łóżku, komódce, wisiały przytwierdzone do ściany oraz obficie zajmowały niewielki parapet, skutecznie odcinając od światła bodziszka powszechnie zwanego geranium. Zaczęłam szukać wzrokiem Jadwini. W końcu ją ujrzałam – leżała na małym stoliku, tuż obok monitora komputera i sterty bezładnie rzuconych papierów. Nie wiem, czy miejsce to było zaszczytne, czy poślednie, bo w pokoiku stał również całkiem wytworny fotel, który, moim zdaniem, mógł być lepszym dla niej miejscem, ale jak widać, Adela sądziła inaczej. A może jednak nie? Może się myliłam i właśnie miejsce przy monitorze było tym najważniejszym?

– Jak wam się, dziewczynki, u mnie podoba? – zapytała.

– Pokoik całkiem miły – oględnie odrzekła Kamila, która również wydawała się porażona nadmierną liczbą serduszek.

– Ale wystrój, jak wam się podoba wystrój?  
– Dość oryginalny... – powiedziałam. – Ale dlaczego serduszka, a nie koty?  
Po... – zacięłam się – po zapoznaniu się z Jadwinią spodziewałabym się zobaczyć tu kocie pluszaki, a nie serduszka.

– Bardzo rozsądna uwaga. Już wyjaśniam, o chodzi. Podstawę moich zainteresowań stanowią serduszka wszelkiej maści, a Jadwinię tu trzymam po to, aby ich pilnowała.

Ach... pluszowy kot ma pilnować pluszowych serduszek...

– Jednak nie zawsze stoi na ich straży, bo miałaś ją ze sobą u Banasiów – zauważyłam chytrze.

– O tak! Zabieram czasem moją Jadwinię na zakupy albo spacer, bo takie pilnowanie to naprawdę nudna sprawa. Niech ma trochę rozrywki, bo pieniędzy brać za to nie chce.

Ach... Jadwinia nie chce brać pieniędzy za pilnowanie serduszek...

– No, ale czy wam się ten mój pokój podoba? – Patrzyła na nas z napięciem.

Kamila wzruszyła ramionami i bez przekonania przytaknęła głową. Wzięłam z niej przykład i zrobiłam to samo. Niech się Adelka cieszy, że niby zachwycone jesteśmy. Ale jak się okazało, aż tak głupia nie była, powściągliwą mowę ciała odczytała bezbłędnie:

– Cóż... – zaczęła z wymownym westchnieniem – nie będę owijać w bawełnę, bo przecież, dziewczynki, dorosłe jesteście... – Zrobiła pauzę na zebranie myśli i ciągnęła: – Różnie mnie tu nazywają, wiem, ale bez względu na to, co gadają, do miłości mam prawo jak każdy inny... i te serduszka...

Prawo do miłości, owszem, czemu nie, każdy je miał, co rozumiałam oraz w pełni popierałam, ale jak się do tego miały owe serduszka? I do tego w takiej liczbie? Czyżby to szło tak, że co gach, to serduszko bach?! Ale, na Boga! Przecież ich tam było ze sto albo i więcej! Z podziwem spojrzałam na Adelę. Jakim cudem, u licha, na takim bezrybiu tyle chłopa przeleciała?! W mojej głowie zadźwięczała piosenka Kylie Minogue *All The Lovers*...

– Dokładnie to sobie przemyślałam – kontynuowała Adela. – Podobne przyciąga podobne, więc w oczekiwaniu na miłość mego życia postawiłam na serduszka.

A na ich straży Jadwinię.

– Obawiam się, że nie rozumiem – powiedziała Kamila. – A ty, Ewka?

Przecząco pokręciłam głową. Niczego już nie rozumiałam.

– Serce to miłość, ja na miłość czekam, więc zbieram serduszka, aby upragnione uczucie do siebie przyciągnąć. Im więcej serduszek, tym większa siła przyciągania. Rozumiecie już, dziewczynki?

Zgodnie skinęłyśmy głowami. Nie wiem, ile prawdy w to skinienie włożyła Kamila, ale ja niewiele. Kolekcja serduszek, Leśmian w chruśniaku, pluszowa

Jadwinia w koszyku na pomidory. Stefan słusznie miał o niej zdanie, a i my, lata temu, z prawdą się nie minęłyśmy. Wariatka, szalona – na jedno wychodziło.

– To co? – Klasnęła w dłonie, jakby sprawę uznała za wyjaśnioną i zamkniętą. – Po kawkę polecę. Zieloną zrobię, może być? – Spojrzała na nas pytająco. – A może czarną wolicie? Lecz ja polecam tę pierwszą. Mówią, że samo zdrowie. Wcześniej tak samo dobrze o zielonej herbacie trąbili, a teraz polecają zieloną kawę. Jak widać, wszystko co zielone cieszy się powodzeniem. Gdyby naszym rodzimym ziółkom przed nazwą tak dopisywać, na przykład zielona pokrzywa albo zielona melisa, na pewno by rynkiem wstrząsnęły, czasem myślę, że i zielone gówno spore wzięcie by miało... Och! – Pisnęła z zażenowaniem. – Użyłam brzydkiego słowa, a obiecałam księdzu, że tylko ładnie mówić będę! No, ale mniejsza o to. Może ziółek zechcecie skosztować?

– Ewka, ty ziółka lubisz. – Kamila trąciła mnie łokciem, bo zajęta przeliczaniem serduszek nie usłyszałam pytania. Do tej pory doliczyłam się osiemdziesięciu.

– Co lubię?

– Ziółka. Mówiłaś, że ci pomagają.

– Tak, tak – przytaknęła ochoczo Adela. – Powiedz, co ci dolega, a przyrządzę odpowiednią mieszankę.

– Co ma mi niby dolegać, skoro na nic nie choruję? – mruknęłam. Moich bolączek ujawniać nie zamierzałam. Jeszcze by się okazało, że Adela, mimo że starsza, cieszy się lepszym zdrowiem niż ja.

– Ale... – zaczęła Kamila, lecz jej przerwałam.

– Żadne ale, temat ziółek skończony! Kawę poproszę. Mocną – dodałam, by podkreślić własną tężyznę.

– A ja zielonej chętnie spróbuję – powiedziała Kamila.

– Za minutkę będę z powrotem, usiądźcie sobie. – Adela szerokim gestem powiodła po pokoju, a widząc nasze niepewne miny, podeszła do łóżka i sprawnie zrzuciła część serduszek na podłogę.

– Gdy wrócę, chętnie wam powróżę – powiedziała na odchodnym i zniknęła za drzwiami.

– Powróży. O rety! – westchnęłam.

– Nie chcesz? Co ci szkodzi posłuchać?

– Po pierwsze nie wierzę w żadne wróżby, a po drugie nie mamy czasu. Ściągajmy tę instrukcję i lećmy szukać Maliny. I Kasiątko również musimy dorwać.

– Coś czuję, że bez policji się nie obejdzie – westchnęła Kamila.

– Na to, niestety, wygląda.

– Policja źle mi się kojarzy. Z morderstwem lub uprowadzeniem...

– Mnie też źle, ale co zrobić? Jeśli my mimozy nie znajdziemy, może im się

uda. A miało być tak pięknie. Kolorowy świat, codzienność w dupę kopnięta, a tu taki pasztet!

– Ewka, jak właściwie chcesz ściągnąć tę instrukcję dla Banasia? Nie widzę tu żadnej drukarki.

Rozejrzałam się po pokoju, ale nie zdążyłam zajrzeć do żadnego z zakamarków, bo wróciła Adela. W rękach dzierżyła tacę z maciupkami filiżankami i talerzykiem pełnym ciasta. Seromaku, jak się po chwili przekonałam.

– Drukarki potrzebujecie? – zapytała. – Mam drukarkę, mam, a jakże. Pod stolikiem stoi.

Takim samym nonszalanckim gestem jak wcześniej serduszka na podłogę strąciła papiery i na uzyskanym w ten sposób miejscu, tuż obok Jadwini, postawiła tacę, a sama zanurkowała pod stół. Jadwinia niebezpiecznie zachybotowała nad tacą. Szybko sięgnęłam po filiżankę i talerzyk, na który nałożyłam kawałek ciasta.

– Pośpiesz się, nim kot wpadnie na tacę – mruknęłam do Kamy. Nie namyślając się, poszła w moje ślady.

– O, wszystko podłączone. – Adela wygramoliła się spod stolika. – Placuszek smakuje?

– Pyszny – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, plując przy tym wylatującymi z ust okruchami.

– Więc? Najpierw przyjemność czy obowiązek?

Jak się domyśliłam, rzeczoną przyjemnością miało być postawienie wróżby, a obowiązkiem odnalezienie w Internecie instrukcji.

– Wybieram obowiązek – powiedziałam, jednym łykiem dopijając kawę. – Ty, Kama, jak chcesz, to rób sobie przyjemności.

– A wiesz, że zrobię.

Westchnęłam. Jeśli gusła mówiły prawdę, dlaczego Adela nie wywróżyła Banasiom, gdzie jest Krzysiek? Odpowiedź była aż nadto oczywista – bo nie potrafiła! No, chyba że specjalizowała się tylko w miłosnej kabale. Jeśli tak, to przepraszam.

– Proszę, siadaj – powiedziała, wskazując mi miejsce obok komputera, a sama rozsiadła się obok Kamili.

Przycupnęłam na starym, chybotającym się krześle i otworzyłam domyślną wyszukiwarkę – w przypadku komputera Adeli były to Google. Położyłam palce na klawiaturze i zamarłam. Z powodu natłoku wrażeń zupełnie zapomniałam spisać typ dozownika. Pewnie dam radę go rozpoznać, przeglądając zdjęcia, ale wszelkie dodatkowe czynności przedłużą naszą wizytę u Adeli. Spojrzałam na Kamę – lewą ręką upychała w ustach ostatni kęs ciasta, a prawą podała Adeli. Ta z zainteresowaniem studiowała wnętrze dłoni, wodziła palcem po biegnących tam liniach i w zamyśleniu kiwała głową. Wpisałam nazwę firmy, bo ją zapamiętałam, oraz słowo: „dozownik” i otworzyłam zdjęcia. Jednym okiem szukałam

Banasiowego modelu, a drugim łypałam na te dwie. Nie czułam się bezpiecznie. Zdziwaczała Adela z pewnością była osobą nieobliczalną, a z takimi nigdy nie wiadomo. To nic, że Banasiowie i nawet ten Stefan wiedzieli, że do niej poszliśmy. Gdyby nas, założmy, otruła, straconego życia nic by nam nie wróciło. Adela – wariatka, Adela – trucicielka... Zaraz, trucicielka? Przecież Krzychu zaginał, a teraz szukamy Maliny oraz prawdopodobnie Cześka z psem. Rany boskie! Wlepiłam w gospodynię przeszywające spojrzenie. Czy to możliwe, aby osoba potrafiąca upiec tak dobre ciasto mordowała ludzi? Eeee... chyba nie... Zabić to przyszc, ale co potem zrobić z trupem? Z tym przecież są kłopoty – trzeba się go pozbyć, bo zacznie się rozkładać i wonią może zdradzić miejsce przechowywania. Ponadto trup, jako ciało bezwładne, jest dużo cięższy od osobnika żywego i trudno takiego przemieścić. Adela, mimo solidnego wyglądu, wiekowo była dość zaawansowana, więc niewykluczone, że kręgosłup dawał jej się we znaki, czyli sama rady by nie dała. A może miała pomocnika? Nie, nie mogłam tak myśleć. Ponad moje nerwy to było.

– Nic z tego! – Nagły wrzask Adeli przerwał moje ponure dumanie. Wzburzona wróżka poderwała się z tapczanu i potruchtała do okienka. Delikatnie postawiła na podłodze doniczkę z dogorywającym kwiatkiem, zrzuciła leżące tam serduszka, wystawiła na zewnątrz głowę i rozejrzała się po niebie.

– Dziś nie jest dzień na wróżby. Pogoda się zmienia, a to zawsze zakłóca odbiór. Myślałam, że ci chociaż tarota postawię, ale z zachodu wieje i z tego również nic nie wyjdzie. Ale zaraz, zaraz... przecież z kawy mogę ci poczytać.

– Z kawy? – z przejęciem pisnęła Kamila. – Ale ja całą wypiałam!

– Fusy też zjadłaś?

– Och, nie.

– Właśnie o te fusy mi chodzi. Dawaj!

Przyglądałam im się z zainteresowaniem. Miałam już namierzone dwa dozowniki, z których jeden prawdopodobnie był tym, który obsługiwał Banasiowe szklarnie. Aby więcej nie przychodzić do tej ekscentrycznej orędowniczki miłości, na wszelki wypadek postanowiłam wydrukować obie instrukcje. Sprawdziłam, ile jest papieru, wcisnęłam „drukuj” i powiedziałam:

– Z zielonej kawy chcecie wróżyć? Myślałam, że wróży się tylko z czarnej.

Adela spojrzała na mnie z błyskiem w oczach.

– Słuszna uwaga, bardzo słuszna! Też mnie to kiedyś dręczyło, więc przeprowadziłam kilka wróżb z fusów obu rodzajów kaw, i wiecie co? Doświadczenie nie wykazało żadnych różnic. Fusy kawy zielonej, jak i czarnej, pokazują jednakową przyszłość.

Powiedziawszy to, Adela wstała i zmarszczywszy brwi, ruszyła w moim kierunku, bacznie wpatrując się w filiżankę. Domyśliłam się, że zamierzała wejrzeć do jej wnętrza i zarzucić mnie bredniami. O, niedoczekanie jej! Szybko sięgnęłam



po odstawione na tackę naczynko i dłonią przykryłam otwór.

– Ha! – powiedziałam, odważnie patrząc jej w oczy.

– Proszę, proszę wziąć moją! – Kamila się zerwała i wcisnęła w rękę Adeli własną filiżankę, po czym wróciła na miejsce i grzecznie złożyła ręce na podolku. Zazgrzytałam zębami. Złe, oj, źle wpływał na nią pobyt w tym miejscu! Kumulacja serduszek wraz z ich szaloną właścicielką na mojej przyjaciółce odbiły złe piętno.

Adela z wdzięcznością przyjęła podaną filiżankę i z uwagą wlepiała oczy w dno. Mruczała coś, marszczyła brwi, w końcu włożyła do środka paluch wskazujący, energicznie zamieszała, wyjęła i obejrzała brudasa pod światło.

– Widzę... taaaakkk....

– Co widzisz? Co? – Kamila poruszyła się niespokojnie.

– Cicho, bo zniknie! – fuknęła Adela. – Taaakkk... teraz widzę doskonale!

To on!

– Kto?! – niecierpliwie podskoczyła Kamila.

– On! Mężczyzna twojego życia!

– Och! Ach! – Kamila zawierciła tyłkiem, jakby kłębiła jej się tam gromadka wygłodniałych owsików.

– Masz rację, że ochachasz, bo taki jest przystojny! Jak marzenie! – Adela mlasnęła z podziwem.

– Ojej! Ojej! – radośnie pisnęła Kamila, a ja patrzyłam na nią z osłupieniem, jakiego największy słup soli by się nie powstydział. Jej papiery rozwodowe jeszcze dobrze nie ostygły, a już piszczała jak byle siusiumajtka. Czy życie naprawdę niczego jej nie nauczyło?

– Lecz dziwne... – Adela powstrzymała ją gestem dłoni, ponieważ moja zidiociała przyjaciółka poderwała się z miejsca z zamiarem dokładnego obejrzenia utyłanego w fusach palucha lub choćby rzucenia okiem na dno filiżanki, czy aby nie widnieje tam konkretne męskie imię.

– Co? – Kama przystanęła wśród sponiewieranych serduszek, a poważny niepokój wypłynął na jej twarz.

– Kamila... – zaczęłam, ale zbyła mnie machnięciem ręki. Przekaz zrozumiałam jasno: miałam się zamknąć i nie przeszkadzać. Uczyniłam więc zadość jej woli i zamknęłam dziób. Niech słucha tej wariatki, skoro tak łaknie mydlenia oczu.

– Dziwne... baaardzo dziwne... – powtórzyła Adela, a dla mnie stało się jasne: obłąkana straciła kłamliwy wątek i nie wiedziała, co dalej bajdurzyć.

– Tak! – zagrzmiała nagle, aż z przestrawu machnęłam założoną na nogę nogą i kopnęłam w drukarkę. Ta na szczęście nie przerwała pracy.

– Wiem! Ty już go spotkałaś!

– Spotkałam... Jak to? – zdziwiła się Kamila i zmarszczyła czoło, głęboko się nad czymś zastanawiając. Sprawiała wrażenie, jakby robiła inwentaryzację

wszystkich zabójczo przystojnych znanych sobie mężczyzn. – Nie... nie może być... – powiedziała pobladytymi z wrażenia ustami i z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Ależ może! Może! Przecież ja go tu widzę! – Adela machała paluchem, chlapiąc fusami na podłogę.

– Nie może być... – powtórzyła Kamila.

– Kama, zbieramy się! – Miałam dość tych głupot, a że drukarka właśnie skończyła pracę, zebrałam papiery i wstałam z miejsca.

– Do głowy przychodzi mi właściwie tylko jeden mężczyzna... – w cielejącym amoku kontynuowała przyjaciółka.

– Oczywiście, że jeden – ze zniecierpliwieniem weszłam jej w słowo – przecież Adela, znaczy... Diana jednym tylko placem macha! Ciekawe, co byś zrobiła, gdyby ci trzy brudne paluchy pokazała albo jeden, ale za to środkowy? W jaki sposób byście zinterpretowały tę ostatnią wróżbę, co? Niewiarygodnie przystojny wybitny cham?

– O! – Adela wycelowała we mnie dłoń gestem widzmy pragnącej rzucić klątwę.

– Co o? Jakie o? Kama, idziemy do Banasiów, a potem na serio zabieramy się do szukania Maliny! – Sama nie wiedziałam, co miałam na myśli, mówiąc o szukaniu na serio, ale przyjaciółka nie dociekała, bo pod wpływem domorosłej wróżki albo tego, co sama sobie uroiła, oparła się o ścianę i zatopiła w myślach. Nic jej nie interesowało, tylko słowa Adeli i własne myśli; aż strach było przypuszczać, co tam sobie uroiła.

– Ewka, ja wiem... to on, czuję to...

– Co wiesz? O kim ty mówisz?

– O wywróżonym przystojniaku. Wiem, kto to jest!

– Wiesz?

– Tak, to Wiktor! – krzyknęła cienko, radośnie i wstydliwie przysłoniła usta dłonią.

Z wrażenia zakląłam szpetnie i upuściłam papiery na podłogę. Schyliłam się po nie, zaczepiając niefortunnie tyłkiem o tackę z talerzykiem i moją filiżanką. Wszystko poleciało na podłogę, ale na szczęście nic się nie zbiło. Resztką kawy zaczęła wsiąkać między deski, a fusy utworzyły garbate wzorki. Cały bałagan, niczym czarno-białym wzorem, pokryły okruchy po seromaku.

– Przepraszam! – jęknęłam, wydobyłam z kieszeni chusteczkę higieniczną i rzuciłam się do sprzątanania, lecz usłyszałam stanowcze:

– Zostaw!

Spojrzałam w górę. Adela z wyraźnym zaciekawieniem wpatrywała się w uczyniony przeze mnie bałagan. O co jej chodziło?

– Nie niszczyć tej wróżby!

– Czego mam nie niszczyć?

– Wróżby! – Adela z wypiekami na policzkach przycupnęła obok mnie. Kamila również podeszła bliżej, aby dokładniej przyjrzeć się powstałym bohomazom.

– Ewunia, dziecinko, jaka wyraźna przepowiednia ci się ułożyła! U ciebie również widzę miłość. I to jak mocno, dokładnie! Ale... – Nie bacząc, że brudzi sobie rękę, powoli rozgarnęła kawowe błotko. – Taaak... ale twój chłop nie będzie tak przystojny jak Kamilki.

Na twarzy Kamy zagościł triumfujący uśmieszek.

– Co się, głupia, cieszysz? – syknęłam. – Wierzysz w te bzdury?

– Było nie było, posłuchać warto.

– Zbieraj się, idziemy stąd!

– Tak, tak, chodźmy, bo Wiktor na pewno już wrócił. – Przyglądziła włosy i kilkakrotnie nagryzła dolną wargę. Trik z ustami znałam nie od dziś, zawsze tak robiła, gdy się denerwowała lub chciała, aby stały się pełniejsze i bardziej czerwone. Jednym słowem – kuszące.

– Diano – Kamila zwróciła się do szalonej wróżki – jak oceniasz skuteczność swoich przepowiedni?

– Dobrze oceniam.

– Ale na ile procent? Pięćdziesiąt? – zapytała z łapczywą nadzieją. – Trzydzieści? – szepnęła.

– Ani pięćdziesiąt, ani trzydzieści.

Kamila się stropiła.

– Dziesięć? – Była bliska płaczu.

– Dziesięć też nie. Na sto! Na sto procent oceniam moją skuteczność!

Kamila uśmiechnęła się błogo.

– Ewuś, wracamy, wracamy. – Złapała mnie pod rękę i zaczęła ciągnąć w stronę drzwi.

– Chwila. – Otrząsnęłam się z jej uścisku. – Diano, czy ty sama sobie też możesz powróżyc?

– Oczywiście.

– A jak... Jak u ciebie wychodzi kwestia miłości? – zapytałam, z trudem panując nad chęcią pogardliwego spojrzenia na walające się wszędzie serduszka.

– Ooooo... – Adela wstała z podłogi i wytarła ręce w spódnice, robiąc sobie przy tym całkiem sporą plamę. – U mnie ta sprawa jest wielce skomplikowana.

Nie na taką odpowiedź liczyłam. Sądziłam, że rzuci coś w rodzaju:

– Och, moje drogie, jeśli chodzi o mnie, to czymkolwiek bym powróżyla, zawsze mi miłość wychodzi. Opędzić się od niej nie mogę!

Ale niczego takiego nie powiedziała, a szkoda, bo mogłabym ją wtedy przygwoździć i obnażyć kłamstwo do samego rdzenia. Stąd wniosek, że jej guśla

aż takie głupie nie były, bo potwierdzały, co widziałam gołym okiem – poważne trudności w sferze uczuciowej. Patrząc na Adelę, jej przetłuszczzone rzadkie włosy, rozbiegany wzrok i ziemistą cerę, tu i ówdzie znaczoną brodawkami, nie mogłam opędzić się od myśli, że w jej przypadku nie chodziło o drobne, tymczasowe trudności, tylko o czarną otchłań beznadziei.

– Cóż to znaczy? – zainteresowała się Kamila.

– To znaczy, że... – Domorośla wróżka zasepiła się, przyciągnęła bliżej zwolnione przeze mnie krzesło, usiadła ciężko i wzięła na kolana Jadwinię. Pocałowała ją w plastikowy nos, czule pogłaskała po ogonie i przytuliła do policzka.

– Czy ja naprawdę mogę być z wami szczerą? – Spojrzała na nas z uwagą. Kamila skwapliwie przytaknęła, ja wzruszyłam ramionami. Wszystkimi zmysłami wyczuwałam, że Adela nie powie niczego zgodnego z moimi oczekiwaniami, a przecież tak bardzo chciałam przydybać ją na kłamstwie lub jakiejś nieścistości, by zapędzić w kozi róg i tym samym udowodnić naiwnej Kamili, że te wróżby niewarte są funta kłaków.

– Ach, co mi tam! Niedługo pewnie wyjedziecie, więc mogę wam powiedzieć: jestem zakochana!

– O – zdziwiłam się uprzejmie, a Kamila radośnie klasnęła w dłonie. Niech zgadnę – przyklasnęła jej tak radośnie, bo uznała, że skoro taka Adela może się zakochać, to tym bardziej jej, Kamie, lat czterdzieści, włosy koloru blond, duże piwne oczy (o przyzwoitej sylwetce nie wspominając), tym bardziej to wzniosłe uczucie może się przydarzyć.

– Naprawdę nie ma się z czego cieszyć, bo ja nieszczęśliwie kocham! – rzuciła dramatycznie Adela i ciszej dodała: – Ewarysta. – Wstydliwie schowała twarz w futerko Jadwini.

– Ulalala... – mruknęłam przeciągle. Ja, w przeciwieństwie do Kamy, rzeczonoego jegomościa na własne oczy widziałam i szczerze, bez cienia złośliwości, mogłam powiedzieć tyle, że do Adeli pasował jedynie wiekiem. Był tak drobny i chudzieńki, że aż obawa brała, czy ona, przy bliższej konfrontacji, nie zdusi go swym obfitym cycem. Poza tym, cóż, Ewaryst wydawał się schludny i czyściutki oraz w głowie, mimo sklerotycznych wybryków, miał dużo lepiej poukładane. A Adela?...

– Ewaryst? Kto to taki? – zainteresowała się Kamila.

– Ten zielarz. Opowiadałam ci o nim!

– Poznałaś Ewarysta? Kiedy? – Oczy Adeli się zaświeciły, a ja krótko streściłam przebieg porannego spotkania.

– Ale właściwie jak się mają do niego twoje wróżby? – zadałam na koniec pytanie, po czym sama dokończyłam: – Ha, zapewne ty go kochasz, on ciebie nie, a niepomyślne gusła dokładają ci cierpień, bo ciągle potwierdzają, jak bardzo się

mylisz w swoim uporze. Mówię ci, Kama, tak właśnie będzie! – zakończyłam triumfalnie.

– Nie gładź tyle, tylko pozwól Dianie skończyć.

– Och, gdyby było tak, jak mówisz, od razu dałabym sobie z nim spokój, bo w końcu głupia nie jestem, by przy beznadziejnym uczuciu tak się upierać. Tu chodzi o co innego.

– O cóż znowu? – rzuciłam niecierpliwie. Malina gdzieś się szlajała, Czesiek również, a poza tym nagle nabrałam ochoty na ukrytą w węglu nalewkę. Domowy trunek to nie badziewie ze sklepowej półki. Na żołądek z pewnością nie zaszkodzi, a kto wie, może podleczy? Muszę namówić Kamę, abyśmy wieczorkiem poddały ocenie zawartość tego zapomnianego gąsiorka.

– Bo... – podjęła wątek Adela, a ja wszystkie swe siły skierowałam na to, aby nie błądzić myślami we wnętrzu ukrytego pod węglem gąsiorka, lecz skupić uwagę na jej słowach – przepowiednie uporczywie pokazują mi nadciągającą wielką miłość! Za każdym razem, gdy sobie wróżę, a wróżę, z czego tylko się da i kiedy się da...

Rany boskie, toż to wariatka pełną gębą. Wróży sobie od rana do wieczora zamiast wziąć się do jakiejś roboty. Nic dziwnego, że chata się wali, skoro ona świata poza głupotami nie widzi.

– ...i zawsze, ale to zawsze, wychodzi to samo: uczucie ponad życie! I jak to mam rozumieć, skoro Ewaryst jak ten głaz wciąż jest nieczuły?

– Może trzeba go jakoś podejść, zachęcić? – podsunęła Kamila, przejęta tragicznym życiem uczuciowym swej prywatnej wróżki.

– Och, żebyś wiedziała, ile z mojej strony tych zachęt i podejść było. Cała mnogość. Właśnie dla niego gotować i piec się nauczyłam, aby go tylko jakoś zachęcić i aby wróżbie stało się zadość, a on nic i nic.

– Ale gusła mówią o nadciągającym uczuciu, więc może nie o niego chodzi? – zasugerowałam, starając się opanować ziewanie. Adela łypnęła na mnie z błyskiem zainteresowania, otworzyła na chwilę usta i już-już miała coś powiedzieć, ale je zamknęła.

– Co chciałaś powiedzieć? – zainteresowała się Kamila.

– Nic.

– Na pewno? Bo wydawało mi się, że...

– Wydawało ci się. Niczego mówić nie chciałam.

– Jeśli wstydzisz się Ewy, wyproszę ją i wtedy się otworzysz...

– Nie mam się z czym otwierać! – zdenerwowała się Adela.

– A ja nie podlegam wyproszeniu! – Ja również się zdenerwowałam. Pomyślałby kto! Przyjaciółki od trzech minut!

– Dianeczko – słodko zaczęła Kamila – powiedz nam, co cię trapi, a być może będziemy mogły ci pomóc.

Adela przez chwilę skubała włoski z brody, patrząc na nas spode łba.

– Nie! Niczego więcej wam nie powiem – zdecydowała kategorycznie.

– Szkoda – powiedziała Kamila. – Ale skoro tak, ja zabiorę głos. A więc: Ewa może mieć rację, wróżba wcale nie musi dotyczyć tego... Jak mu było?

– Ewarysta – przypomniałam.

– No właśnie, Ewarysta. Tu musi chodzić o kogoś innego... – Zamyśliła się, zabębniła palcami o kolano i dodała: – Co sądzisz o Stefanie?

– Tfu! – Adela wzdrygnęła się z obrzydzeniem. – Gówniarz! I jaki brzydki w dodatku.

– Ale piękne i młode Kasiatko nim nie gardzi – wyrwało mi się.

– No właśnie, jest młoda, więc głupia i ślepa, a skoro ślepa, to z nim łązi. Ja swój rozum mam i takiego nie chcę. Kocham Ewarysta.

– Ale, Diano, sama widzisz, że Ewaryst nie odwzajemnia twojego... afektu. Daj mu więc spokój – że nie powiem, odczep się od niego – i znajdź sobie inny obiekt. Pomyśl, tylko w ten sposób pomożesz ziścić się wróżbie. Nie stawaj okoniem przeznaczeniu! – zachęciłam ją z głupawym uśmiechem. Nigdy w życiu z wariatką nie rozmawiałam, to był mój debiut i było mi nielekkko. Chciałam jak najszybciej od niej uciec, od głupiego gdakania o tej miłości, jakby wierzyła, że w ogóle istnieje. Tam, gdzie się z Kamą wybierałyśmy, w wielkim świecie, ludzie na pewno będą bardziej błyskotliwi. Spojrzałam na Kamilę. Niezwłocznie musiałam ją stamtąd zabrać. Oczy miała maślane, mgłą zaszele, i nie musiałam być wróżką Adelą, aby wiedzieć, co jest grane – marzyła o Wiktorze. Dobrze, że nie brakowało mi zdrowego rozsądku i twardo się trzymałam. Doskonale pamiętałam smak zdrady oraz rozwodowej męki, a skutki rozstania nadal odczuwałam na własnym, chorującym ciele. Miłość i facet może i tak, ale na pewno później. Kiedyś.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego on ciebie nie chce? – użaliła się nad nią Kamila.

Niech jej powie, że jest gładka i powabna, a przymioty jej umysłu stanowiłyby wyzwanie dla niejednego noblisty – pomyślałam.

– Może to gender jakiś lub inne zdziwaczałe nasienie? – podsunęłam.

– O! – podchwyciła Kama – A może on jest gejem albo ciotą?

– Gejem, ciotą? Cóż to za różnica? – zainteresowała się Adela.

– Jest pewna... – powiedziała Kamila.

– Jaka? – Adela, nie doczekawszy się wyjaśnienia, utkwiała we mnie pytające spojrzenie.

Spłoszona zerknęłam na przyjaciółkę, ale unikała mojego wzroku, mnie pozostawiając kwestię objaśnienia, czym różni się gej od cioty.

– Cóż... otóż... chodzi o funkcje, jakie pełnią. Jeden... podejmuje się roli mężczyzny, a drugi kobiety.

- Naprawdę?
- Tak. – Poczułam, że uszy mi zapłonęły. Obrzydliwa sprawa.
- Bardzo mądrze to sobie wymyślili. – Adela pokręciła głową. – Czyli jeden zarabia na dom, a drugi gotuje i pierze, tak?
- Coś w tym rodzaju... – Rany, ten pracuje, tamten gotuje... można to i tak nazwać.
- No proszę, jacy oni mądrzy. I pomyśleć, że nigdy nie miałam o nich dobrego zdania.
- Kamila – rzuciłam stanowczo – idziemy już. Czas leci, a my nadal nic pożytecznego nie zrobiłyśmy!
- Jak to nie zrobiłyśmy? Dianeczkę pocieszyłyśmy. Dianuś – powiedziała miękko moja przyjaciółka i poklepała ją po ramieniu – odpuść temu Ewarystowi, na pewno niedługo spotkasz mężczyznę swego życia.
- Taaaak... a może już kiedyś go spotkałam? A teraz tylko na niego czekam.
- Popatrzyła na nas przeciągle, znacząco, ale na rzucone w powietrze retoryczne pytanie odpowiadać nie zamierzała.
- To znaczy, że w twoim życiu był ktoś więcej? – zapytała Kamila.
- Głupie pytanie. Baba stara i trudno, żeby przez lata nigdy nikogo nie miała. Nawet pomimo jej wyglądu, bo kiedyś przecież aż tak nieapetyczna nie była, a poza tym każdy garnek ma swoją pokrywkę.
- Odprowadzę was do drzwi – tylko tyle powiedziała Adela.
- Odprowadziła nas nie tylko do drzwi, ale daleko za furtkę. Aby nie brać udziału w rozmowie, szłam kilka kroków przed nimi. Teoretycznie mogłam im towarzyszyć i wystarczyłoby, żebym uporczywie milczała, jednak nachalna wróżba odcisnęła się w mojej pamięci zbyt mocno, dlatego wolałam utrzymywać przestrzenny dystans. Szłam, milczałam i nadstawiałam ucha, a było czego słuchać, oj było! Bzdury, jakimi karmiła moją przyjaciółkę, wołały o pomstę do nieba.
- A jeśli chodzi o diabła – usłyszałam – kobietę, która z nim się kuma, bardzo łatwo można rozpoznać – powiedziała Adela.
- Naprawdę? Jak? – zapytała Kamila.
- Dać jej wódki.
- Aha, gdy jest pijana, to się przyznaje?
- Gdzie tam! – Adela prychnęła i machnęła ręką. – Jeden kieliszek wystarczy i wszystko wiadomo.
- Tylko jeden kieliszek? – Wbrew wcześniejszemu postanowieniu o zachowaniu dystansu i milczenia wtrąciłam się z niecierpliwym pytaniem.
- A widzisz, jednak jesteś ciekawa... – z odrobiną jadu w głosie stwierdziła Adela.
- Zaraz tam ciekawa! My musimy...
- Dianuś! – wtrąciła się Kamila. – Mów szybko, bo Ewka znów zacznie

marudzić, że musimy wracać, że Malwina, Czesiek i cholera wie kto i co jeszcze. Więc? Co z tym diabłem?

Adela spojrzała na mnie.

– Dobrze – powiedziała. – Jeżeli dasz babie kieliszek wódki i ona wychyli go duszkiem, znaczy, że z diabłem jest zbratana!

Kamila spojrzała na mnie dumnym wzrokiem. Ostatnio razem piłyśmy wódkę na moim weselu. Nie żebyśmy upiły się w trupa, bo przecież Kamila wtedy była na mnie ciężko obrażona, ale wypiliśmy ze dwa kielonki, robiąc to tak, jak mówiła Adela: duszkiem...

– Co się tak gapisz? – burknęłam.

– Ewka... widziałam, jak pijesz! – Kamila zrobiła wielkie oczy.

– A ja widziałam, jak pijesz ty! I wiesz, co ci powiem? Ile razy w życiu piłam wódkę, zawsze na jeden raz! I więcej ci powiem: połowa bab z mojej rodziny tak pije.

– Dziewczynki! – Adela załamała dłonie. – Nigdy nie mówcie tego głośno!

– Czego mamy nie mówić? Tego, że pijemy kieliszek wódki jednym haustem, czy tego, że rzekomo z diabłem zbratane jesteśmy?

– Nie mówcie niczego i nie pokazujcie, jak pijecie! Dla waszego dobra!

– Bzdury i dyrdymały – prychnęłam, machnęłam ręką i znów poszłam do przodu. Potem one umówiły się na wieczór. Zdziwiło mnie to, że Adela nas się nie boi, dwóch bab, które wódkę jednym haustem wypijają. Ale niewykluczone, że znała jakieś czary lub inne zamawiania, które odprawi, zanim się do nas wybierze. Oczywiście, aby się ochronić. Wiejskie głupoty, cholera jasna!

– Po co ją zaprosiłaś? – burknęłam do Kamili, gdy Adela już się pożegnała, a my oddaliśmy się na odległość gwarantującą, że nas nie usłyszy.

– Nie słyszałaś? Wróżyć przyjdzie.

– Słucham?! – Aż przystanęłam. Kiedy o tym mówiły, że mi umknęło? Gdybym usłyszała, po co chcą się spotkać, na pewno bym zaoponowała.

– No tak. Będzie to robić za pomocą gwiazd i ognia. Dziś ma być bezchmurna noc.

– A ogień niby skąd?

– Rozpalimy ognisko. Tam gdzie kiedyś, obok Śmierdziela.

– Słuchaj, my przede wszystkim mamy poszukać Malwiny, zapomniałaś?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Przecież cały czas szukamy. A w nocy zrobimy sobie przerwę, bo po ciemku niebezpiecznie jest się włóczyć. Będziemy na nią czekać przy ognisku, słuchając wróżb.

– Mnie we wróżenie nie mieszaj.

– Jak sobie chcesz.

– Przez te głupoty zapomnieliśmy ją zapytać, gdzie mieszka Kasiatko –



zauważyłam.

– Zapytamy wieczorem, gdy do nas przyjdzie. – Kamila wzruszyła ramionami.

Obejrzałam się. Adela stała w oddali, w cieniu starego grabu, i nam się przyglądała. Jej sylwetka wyglądała groźnie i demonicznie. Dreszcz mnie przeszedł.

– Wymyśliłaś z tymi wróżbami! I głodna jestem – dodałam.

Było już zdrowo po południu i wzięwszy pod uwagę to, co tego dnia jadłam, miałam prawo do porządnego posiłku. Ale prawo do porządnego posiłku a możliwość jego spożycia to dwie różne sprawy. Przecież w domu dziadka poza suchym chlebem nie było niczego, co ja, gastrycznie schorowana, mogłabym spożyć. Wystarczy już, że plastikową zupką nadwerżyłam żołądek.

– Słuchaj – powiedziałam – do wieczora mamy jeszcze sporo czasu, wstąpmy do sklepu i kupmy coś do jedzenia.

Kamila się skrzywiła.

– Przecież mamy kiełbasę Czeška, a poza tym nie chce mi się tam iść. Gałęzie na ognisko trzeba pozbierać.

– Na temat jego kiełbasy się wypowiadałam. I nie głupiej już tak na punkcie tej Adeli, bo mnie mdłości biorą.

Kama spojrzała na mnie z urazą.

– Nie wiem, czy sklep jeszcze jest czynny. A wzięłaś ze sobą pieniądze?

– Będzie na pewno. O tej porze ruch dopiero się rozkręca. A pieniędzy nie mam, żarcie wezmę na krechę. Dowód zostawię, ale najem się, jak chcę i jak potrzebuję.

Na głowę nie upadłam, aby na wiejskie przechadzki z gotówką się wybierać. Jednak dowód to co innego, ten miałam przy sobie. Taki już miałam odruch, że wszędzie go ze sobą brałam. Może to objaw jakiegoś poważnego schorzenia, ale trudno, nosiłam go przy sobie dwadzieścia cztery godziny na dobę. A gdybym umarła gdzieś na uboczu? Bez dowodu świat nie od razu by się dowiedział, po kim ma rozpaczać. Teraz ważny kawałek plastiku tkwił w prawej kieszonce bluzki. Poklepałam się po niej. Tak, był tam. Uśmiechnęłam się do siebie.

– A ty czemu zęby szczerzysz? I do tego po cycku się klepiesz? – podejrzliwie zapytała Kama.

– Nie po cycku, ale po dowodzie.

– Jak zwał, tak zwał.

I niemal do sklepiku Łucji Kamila – widać miała taką fanaberię lub temat uznała za wyczerpany, co na jedno wychodziło – nie odezwała się już do mnie ani słowem. Nie wtrącała się nawet, gdy wstępowałam na mijane podwórza i pytałam o Malinę, Czeška i Kasiątko. Na temat tej ostatniej informacji uzyskałam już w pierwszym gospodarstwie. Mój ty Boże! Gospodarstwie! Co za szumna nazwa

dla zaniedbanego obejścia, gdzie na podwórzu królowała potężna kałuża, w której z radosnym kwikiem baraszkowało prosię, a znajdujący się obok opustoszały silos wykorzystano do zaparkowania ciągnika Ursus C-355.

– Jak się wjeżdża do wsi, to piąta chałupa. Tam Kaśka mieszka. A uciekająca baba? Nie, takiej nie widziałem – odpowiedział rolnik w gumowcach i tureckim swetrze w czarno-białe wzory. Oczywiście oprócz tych dwóch elementów garderoby posiadał i inne, ale akurat te rzuciły mi się w oczy – wyglancowane na wysoki połysk gumiaki i wyglądający na całkiem czysty, niemodny sweter. Odniosłam wrażenie, że gospodarz gdzieś się wybierał. Zakupy w mieście? Protest jakiś?

– A co do tego ryżego wnuka Gertrudy, dziś go nie widziałem. Wczoraj koło sklepu się kręcił – powiedział i ruszył w kierunku silosu. Niezdarnie wgramolił się na ciągnik, odpalił go i tym sposobem zakomunikował, że rozmowa dobiegła końca.

– Dobrze, że wiemy przynajmniej, gdzie Kasiątko mieszka. – Radośnie zatarłam dłonie. – Piąta chata od wjazdu na wieś. Pamiętaj! – Kama oczywiście się nie odezwała. W kolejnym i następnych gospodarstwach na temat Maliny i Cześka również niczego nam nie powiedziano.

– Nie dziwisz się, że nikt tu Cześka nie widział? Przecież po wsi miał jeździć i jej szukać. Nie jest możliwe, żeby do tej pory nikt go tu nie spotkał.

Kamila nie odpowiedziała, co mnie nie zbiło z tropu, wręcz przeciwnie, zachęciło do kontynuacji monologu. Nie przerywała mi, więc mogłam gadać do woli.

– Dobrze. Załóżmy, że najpierw pojechał do lasu, a jeśli tak było, musiał jechać polną drogą, a ona nie jest jakoś szczególnie zasłonięta, właściwie jest całkowicie odsłonięta, więc jeśli ktokolwiek nią jechał, nie mógł pozostać niezauważony. Albo! – Wyciągnęłam w górę palec wskazujący. – Albo ci ludzie złośliwie milczą, albo faktycznie jakimś cudem Czesiek przemknął niezauważony. Słuchaj... – Przystanęłam, bo wpadł mi do głowy świetny pomysł, ale Kamila parła przed siebie, więc i ja zmuszona byłam iść dalej. – Słuchaj – powtórzyłam – szkoda, że nie mam przy sobie stówki lub dwóch, wcisnęłabym do łapy temu i owemu, choćby i tureckiemu rolnikowi, może pamięć by się komuś poprawiła?

Kama spojrzała na mnie przelotnie i puknęła się palcem w czoło.

– Dobra, zrozumiałam, durny to pomysł. Ale dlaczego nikt nie widział tego Cześka?

Zrezygnowana rozejrzałam się wokół. Za pobliskim płotem cienko ujadał pies. Mały był, z żebrami widocznymi spod wyliniałej sierści, i tak jazgotał, że nie tylko uszy bolały, ale i szczęka.

– Ja ci pokażę! – mruknęłam pod nosem, a że dusiłam w sobie potrzebę odreagowania, więc nie zastanawiając się długo, instrukcje dla Banasiów

wsadziłam pod pachę, schyliłam się po spory patyk i cisnęłam we wściekłą kreaturę z siłą kobiety rozwścieczonej, a przy tym mocno bezsilnej.

– Co pani?!

Cholera, że też go nie zauważyłam!

Zza stojącej obok przyczepy wyłonił się niski nastolatek. Ręce miał wbite w kieszenie podartych dżinsów (żeby było jasne – dżinsy wyglądały, jakby celowo je uszkodzono), włosy w nieładzie, nos zaczerwieniony, a wzrok, oględnie mówiąc, błędny. Sprawiał wrażenie, jakby wybudził się z późnopołudniowej drzemki albo, co bardziej do mnie przemawiało, pod osłoną obory i maszyn rolniczych naćpał się jakiegoś badziewia.

– Czujność sprawdzałam. Ostry pies! – rzuciłam z uznaniem.

– Pewnie, sam od szczeniaka go wychowałem. – Pogłaskał brzydala po kanciastym łbie.

– Słuchaj, kojarzysz może Czeška?

– Tego od starej Gertrudy?

– Tak.

– Kojarzę, a co?

– Nie widziałeś go dzisiaj?

– Pewnie, że widziałem, a co?

– Kamila! On go widział! – Ucieszyłam się jak dziecko i niewiele brakowało, abym z radości psa pobiegła przeproszać.

– A co?

– Potrzebny nam jest. Gdzie i o której go widziałeś?

– Bo ja wiem... może koło południa? Nie pamiętam dobrze. Chyba tak, coś koło południa to musiało być.

– A gdzie?

– Gdzie co?

Niech go licho, faktycznie naćpany być czymś musiał. Żebym każde zdanie ciągnikiem, przeproszam, siłą z niego wyciągać musiała?

– Gdzie go widziałeś?

Przedstawiciel młodzieży polskiej patrzył na mnie tylko tępym wzrokiem. Jak Boga kocham, jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam tak pełnej napięcia chwili.

– No, gdzieś go widział?!

– Chyba myślę, nie? – rzucił z pretensją.

– Nie możesz szybciej?

– Niech mnie pani nie popędza, bo zapomnę.

Miałam tego dość. Głód mi w oczy spojierał, a ten bawił się w myślenie. Gdyby częściej używał mózgu, teraz nie miałby takich problemów. Wymownie popatrzyłam na psa i ostentacyjnie rozejrzałam się za następnym patykiem.

– Zwariowała pani?! – Na tyle, na ile było to możliwe, zasłonił zwierzaka

swym ciałem. – Od Banasiów.

– Co od Banasiów?

– Widziałem, jak wyjeżdżał od Banasiów.

– Od Banasiów? – zdziwiłam się, a i w oczach Kamili zapaliła się iskierka zainteresowania.

– Tak. Pruł autem, aż się za nim kurzyło.

– W którą stronę jechał?

– Chyba do głównej drogi. Nie jestem pewien.

– Kamila, słyszałaś to? A Banasiowie mówili, że go nie widzieli!

Kamila wzruszyła ramionami, iskierka w jej oczach zgasła i moja przyjaciółka zaczęła rozglądać się po niebie. Romantyczka spragniona gwiazdnych wróżb. Czy Adela jakiś urok jej zadała?

– Chłopcze, jesteś pewien, że to był Czesiek?

– Wypraszam sobie. Nie jestem żadnym chłopcem!

– Dobrze, przepraszam. Młodzieńcze, jesteś pewien, że to był on?

– Jestem.

– A widziałeś coś jeszcze?

– Co miałem niby widzieć? Jego corsę widziałem, i tyle.

– Rozumiem, że jego w środku też?

– Nie. Za daleko było. Skoro zobaczyłem jego samochód, to jasne, że to on w środku siedzieć musiał.

– Czy możesz...

– Nie, nie mogę! Ojciec! – krzyknął w głąb podwórka, a w odpowiedzi usłyszałyśmy gromkie:

– Czego, Jasiu, chcesz?!

– Jakaś obca baba nie chce odejść od płotu!

– Kocia wiara pewnie! Już ja ich przegonię!

Nie byłam ciekawa tego, jak wygląda ojciec Jaśka ani tego, jak przegania wyznawców innego odłamu chrześcijaństwa. Kamili również to nie interesowało, bo jakkolwiek milcząca, była na szczęście czujna, złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Nie przypuszczałam, że jeszcze potrafię tak szybko biegać! I nawet dobrze, że rolnik zmobilizował nas do podjęcia tego wysiłku, bo wędrówka do sklepu mogłaby potrwać długo.

– Puść mnie! – krzyknęłam. – Zgubiłam instrukcje!

Podniosłam papiery i skrzywiłam się z odrazą – część wpadła do kałuży zionącej gnojowicą.

– Cholera by to wzięła! – mruczałam pod nosem i wycierałam kartki w trawę. – Czy my za daleko nie zaleciałyśmy? Wygląda na to, że wieś się skończyła. – Dopiero teraz zauważyłam, że ostatnie domy zostawiłyśmy daleko w tyle.

– Na to wygląda – Kamila raczyła wreszcie przemówić. – Co ja z tobą mam! Przecież musimy gałęzi na ognisko nazbierać. – Westchnęła.

– Ty musisz nazbierać – podkreśliłam. – Jednak zanim to zrobisz, czeka cię nie tylko wizyta w sklepie, ale i u Banasiów. Zapomniałaś? Muszę im to jak najszybciej zanieść. – Pomachałam jej przed nosem śmierdzącymi papierami.

– Wsadź papiery do kieszeni i chodźmy. – Skrzywiła się z obrzydzeniem. Oczywiście wsadzenie tyłu kartek do kieszeni możliwe nie było, dzierżyłam je więc w rękę.

– Gdzież jest ten sklep? – zaniepokoiłam się. W Zadolu nie byłam od lat, a moje wizyty u Łucji można było policzyć na palcach jednej ręki, ba, może nawet wystarczyłby jeden palec. Na zakupy zawsze chodził dziadek i nie zabierał nas ze sobą w obawie, że go na coś naciągniemy. Owszem, miałyśmy kieszonkowe, ale nigdy nie brałyśmy pod uwagę tego, żeby jej wydać. Ściubiłyśmy pieniądze, żeby później, w mieście, mieć na lepsze atrakcje niż te, które oferowała Łucja. Od wydawania pieniędzy był dziadek, szkoda tylko, że nie dawał się łatwo namówić, żeby spożytkować je na nasze zachcianki.

– Tam, po prawej. – Kamila kiwnęła głową w kierunku białego parasola, pod którym siedziało kilka osób.

– Jak to możliwe, że wcześniej ich nie zauważyłyśmy? Przecież przy drodze siedzą.

– Obejrzyj się, my wybiegłyśmy stamtąd – wskazała ręką – i poleciałyśmy na lewo, a sklep jest po prawej.

– Tam chyba siedzi Kasiatko! – szepnęłam.

– Na to wygląda...

– Musimy ją wypytać o Malinę. W ogóle wszystkich o wszystko musimy wypytać!

– Nie gorączkuj się, bo na trawienie ci zaszkodzi.

Ponieważ byłyśmy już niebezpiecznie blisko (a tamci ciekawie na nas spojerali), zatrzymałam się i powiedziałam:

– Chwila. Musisz mnie wysłuchać. – Wzięłam głębszy oddech, bo gadanie prawdy w oczy nigdy nie było czynnością, do której się paliłam. – Od wizyty u Adeli nie można z tobą wytrzymać. Zachowujesz się, jakbyś miała gdzieś swoją kuzynkę, która, kto ją wie, może leży sobie poćwiartowana albo zabłądziła w lesie i błąka się o głodzie i smrodzie, znaczy chłodzie, chciałam powiedzieć. – Z nerwów język mi się poplątał. – Myśleć nie chcesz, gadać również, o jakimkolwiek zaangażowaniu w ogóle mowy nie ma, co ty sobie wyobrażasz? Wykaż się jakąś inwencją, bo nasz wyjazd stoi pod znakiem zapytania!

– Pod znakiem zapytania, mówisz... A może wcale nie stoi? Może właśnie odnalezienie Malwiny wszystko nam pokrzyżuje? Jeśli martwą ją znajdziemy, zacznie się śledztwo, a podejrzenie, ze względu na otrzymany spadek, padnie

pewnie na mnie. Może niech sobie gnije tam, gdzie gnije, a chałupa niech się w pierony zawali...

– Nic na ciebie nie padnie, bo przecież po Malinie nie ty dziedziczysz, ale jej rodzice i dzieci, o ile je ma. Gdyby miała rodzeństwo, to im również się by skapnęło. Więc nie wymyślaj głupot, tylko rusz makówką i się zaangażuj!

– Zaangażuj! – Uśmiechnęła się z wyższością. – Po co? Niebawem pewnie wróci Wiktor i będzie się tego miejsca trzymać dopóty, dopóki Malina się nie znajdzie. W naszym więc interesie jest, aby ona się nie znalazła. Siedzmy i czekajmy, po co w szukaniu się angażować? – W jej żrenicach pojawiła się złośliwa iskierka. I to mówiła Kamila, moja wieloletnia przyjaciółka? Toż ona opętana być musiała! Ciarki mnie przeszły, nic już nie powiedziałam i ruszyłam w kierunku sklepu, a ściślej parasola, pod którym siedziało nie tylko Kasiątko, ale i jej Stefek oraz jakaś kobieta. Jak na standardy Zadola wyglądała niczym malowany ptak: miała na sobie kwiecistą spódnicę na gumce i zieloną bawełnianą bluzkę, do tego utlenione, skręcone w pierścionki włosy i makijaż przywodzący na myśl szal sylwestrowej nocy. Jej wiek określiłabym na jakieś sześćdziesiąt–siedemdziesiąt lat.

– Proszę, proszę – powiedziała, a ja do wyżej wymienionej charakterystyki dorzuciłam brak zębów. Nie miałam pewności, czy deficyt w szczęce był całkowity, czy połowiczny, ale z pewnością znaczny. – Gościowy z dalekiego świata!

Domniemałam, że Kasiątko (a może ktoś inny?) już jej o nas opowiadało, przez co szanse równe nie były. Ona o nas coś wiedziała, my o niej nic.

– Dzień dobry! A z kim mamy przyjemność?

– Przecież Łucja jestem! – Obruszyła się i sięgnęła po stojącą na stoliku butelkę z piwem. Upiła niezdarny łyk, a strużka płynu pociekła jej po brodzie. Wytarła ją i oblizwała rękę.

– Nigdy więcej piwa... – szepnęła Kamila, a mnie odechciało się jeść.

– Coś mówiłaś, kochanieńka?

Kamila zaprzeczyła ruchem głowy.

– Może coś podać? Piwko? Winko?

– Nie, dziękujemy – powiedziałam. – My tak na szybko, zadamy tylko kilka pytań.

– Ach, wiem, Kaśka mi już mówiła. Nie widziałam tej waszej Malwiny. To znaczy żadnej obcej kobity nie widziałam, bo Malwiny i tak bym nie rozpoznała.

– Pewnie, że by jej pani nie rozpoznała, bo od dzieciaka cholernie się zmieniała – powiedziałam.

– Nie dziwota, trochę tych lat minęło. Pamiętam, jak Walery przychodził do mnie po bułki dla was.

Uśmiechnęła się szerzej, ukazując wnętrze ust. Jednak jakieś zęby tam

błysnęły. Przy odrobinie szczęścia podczas kolejnego jej uśmiechu może doliczyłabym się ile. Powinnam rozważyć opowiedzenie jakiegoś dowcipu.

– Zdatny był z niego chłop, oj zdatny! – westchnęła. – Krzepki. A włosy jakie miał gęste! Te brwi! Jak krzaki! A dłonie! Jak bochny chleba!

– Pani na pewno o Walerym mówi? – Musiałam się upewnić, bo ani gęstych włosów, ani łap jak bochny chleba u dziadka nie widziałam. Nigdy.

– Pewnie, że o nim! Po opisie nie poznała, co? Oj, szkoda, że mnie nie chciał! Od razu swego starego na bok bym odstawiła, ale Walery nic i nic. I tak przez całe lata, aż tę Gertrudę poznał i dałam sobie spokój.

Proszę, proszę, czego się dowiedziałam. Łucja kochała się w dziadku Walerym. Jak wynikało z jej słów, przez lata, co znaczyło, że chętkę na pewno mieć musiała na niego sporą, ale najwyraźniej dziadkowego gustu w najmniejszym stopniu nie zaspokajała, bo jeśli w ogóle o niej mówił, to nigdy dobrze.

– Bułek wam przyniosłem – mawiał z rana i rzucał na stół bordową nylonową torbę po brzegi wypełnioną świeżym pieczywem. – Mam nadzieję, że ta stara raszpla łapami w nich nie grzebała, ja na wszelki wypadek jeść ich nie będę. Suchara pogryzę, ale wy się nie krępujcie, wszystkie wasze.

Tak o niej mówił – stara raszpla – i najwyraźniej się brzydził. Co oznaczało określenie raszpla, nie wiedziałyśmy tak samo jak tego, dlaczego, mimo jawnej do owej raszpli awersji, chodził tam po bułki? Wystarczyło raz w tygodniu do miasta skoczyć i kupić na zapas, bo żadna z nas (nawet ta mimoza Malina) aż taka wydelikaccona nie była, żeby nie mogła jeść czerstwego pieczywa. Wniosek więc jest taki, że chodząc tam, dziadek poważnie się dla nas poświęcał.

– Co pani tak tępo patrzy? I to na mnie na dodatek. Bo się obrażę! – Tym razem to ja pograżyłam się w odmętach wspomnień, a wyrwała mnie z nich osoba, o której tak intensywnie rozmyślałam – stara raszpla Łucja.

– Ach tak... na czym to skończyłam? Miałam pytać o Cześka. Widziała go pani?

– Wczoraj był tu po kielbasę.

– Może coś do pani mówił? No nie wiem, coś ciekawego...

Pomyślałam, że może wspomniał o chorej matce, siostrze lub o jakiejś sytuacji, która dziś zmusiłaby go do nagłego wyjazdu z Zadoła. Bo w końcu gdzie się podział? Zapadł się pod ziemię jak Malina.

– Czy ja ksiądz jestem, żeby do mnie ciekawe rzeczy gadać? Nic nie mówił. Kupił grillową i pojechał.

Szkoda.

– Kasiu... – zwróciłam się do młodej, która sprawiała wrażenie spiętej. Gdy dostrzegła, że zbaczamy z drogi i idziemy w stronę sklepika, zauważyłam, że się ożywiła, lecz radosny błysk w oczach szybko ustąpił smętnemu zamyśleniu. Cóż, jak świat światem, każdy ma jakieś problemy i nie widziałam powodu, dla którego

piękne Kasiątko miałyby być ich pozbawione. Stwierdziłam, że mimo jej zwarzonego humoru powinnam się nie poddawać i spróbować uzyskać nieco informacji, które zdawała się mieć w posiadaniu. Pomyślałam, że gdy się do niej przysiądę, wytworzę coś w rodzaju intymnego klimatu, dzięki któremu nabierze ochoty do wynurzeń, a i może przypomni sobie więcej faktów. Rzuciłam więc śmierzące instrukcje na stół, tuż przed Stefanem, złapałam stojące obok plastikowe krzeselko i już je ciągnęłam w stronę wioskowej piękności.

– A pani po co to krzesło ciągnie? – podejrzliwie zapytała Łucja.

– Usiąść chcę...

– Tu się siada dopiero wtedy, gdy coś w sklepie się kupi. To dać coś do picia?

Skoro stawiała takie ultimatum, zmuszona byłam z siadania zrezygnować.

– Nie, dziękuję, a poza tym krzesło jest brudne – powiedziałam, zgrzytnąwszy zębami. Kasia tymczasem wlepiła oczy w Kamilę i domyślałam się dlaczego. Moja przyjaciółka stanowiła dla niej wyjątkową atrakcję ze względu na miejsce zamieszkania – Barcelonę.

– Gdzie brudne? – Łucja zerwała się z miejsca, podbiegła do nędznego mebla i pobieżnie obejrzała siedzisko. – Gada, że brudne! Jakie brudne?! – gniewnie mruzczała pod nosem. – Ale jeśli tak gada, to niech jej będzie! – Szybkim truchtem skierowała się do wejścia. Tak jak pamiętałam, sklep mieścił się w przybudówce doklejonej do domu, któremu nigdy nie dane było zostać otynkowanym. W czasach, gdy go budowano, swą nowoczesnością mógł budzić zazdrość, ale teraz, po wielu latach, podupał i odstraszał gołym pustakiem oraz nijak niepasującą do niego przybudówką. Dodatkowo straszło coś, co zapewne miało być elementem dekoracyjnym – tu i ówdzie rozstawione białe, plastikowe pojemniki, z których wystawały kikutki spragnionych wody begonii. Ale jak widać, interes nadal się kręcił, bo w ślad za Łucją do sklepiku weszła jakaś kobieta, a po chwili dwoje dzieci, na oko dziesięcio-, jedenastoletnich. Łucja musiała mieć w swojej ofercie nie tylko piwo, bo klientka nie wyglądała na miłośniczkę alkoholu, a dzieciaków tym bardziej nie posądzałabym o takie zakupy.

– A wy Cześka nie widzieliście? – raczyła zapytać Kamila. Może wreszcie nieco odpuściła sobie wróżby Adeli i się otaczającym światem zainteresowała?

Stefan spojrział na nas spode łba i pokręcił głową.

– Przecież już wam gadałem, że nie.

– Tak, ale to było jakiś czas temu, może do tej pory...

– Nie. Nie widziałem. Ani wcześniej, ani później – uciał.

– Kasiu?

Kasiątko otworzyło usta, ale Stefan był szybszy.

– Ona też nie widziała – odpowiedział za dziewczynę.

– Pana nie pytam.



– Ale ja odpowiadam.  
– Stefek, daj spokój – odezwało się Kasiątko. – A tę dziewczynę w nocy naprawdę widziałam. I na pewno żadnej mgły wtedy nie było – dodała.  
– O jakiej dziewczynie mówisz? – zainteresował się jej kaprawy adorator.  
– O tej, która w nocy z domu Walerego wybiegła. Pamiętasz?  
– Jak mogę pamiętać, skoro jej nie widziałem? Pewnie lałem wtedy w krzakach.  
– Stefan! – karcąco szepnęła Kasia.  
– Powtarzam, ja nikogo i niczego nie widziałem. Zresztą już przy stodole im to mówiłem.

Kasia zmarszczyła brwi.  
– Przy jakiej stodole?  
– Starej suszarni. Tam też węszyły.  
– Nie mówiłeś mi.  
– Nie mówiłeś, nie mówiłeś! A co tu jest do mówienia? Spójrz na nie, chyba nie jesteś zazdrosna?

Uwaga do przyjemnych nie należała, nie miałam jednak czasu, aby wchodzić w dyskusję. Musiałam wykorzystać tę chwilę, kiedy Łucja była w sklepie. Zawsze to mniej o jedną wtrącającą się osobę. Wystarczy, że Banasiowie i Arek skutecznie udaremnili nam pierwszą rozmowę z Kasiątkiem.

– Kasiu, w którą stronę ona pobiegła?  
– Gdzieś w stronę domu Banasiów albo w kierunku suszarni Pławskiego, tych, co pod lasem stoją, bo ich ogrodnictwo i magazyny są w jednej linii.

Stefan poruszył się niespokojnie.  
– Co ty wygadujesz? Że ktoś leciał w kierunku suszarni?  
– Być może tam. – Młoda wzruszyła ramionami.  
– Można by do nich zerknąć. Pan pracuje u Pławskiego, może pan z nami tam pójść? – zapytałam.

– Do suszarni nikt łązić nie będzie! Obcego nie wpuszczę, bo to nie moje mienie. Jak chcecie tam węszyć, z szefem gadajcie! Ale, dobrze wam radzę, najpierw dom Banasiów przepatrzcie, bo on pierwszy na drodze stoi.

– U Banasiów już dziś byliśmy – wtrąciła Kamila. – Nikogo tam nie zauważyliśmy, a niemożliwe, żeby Malinę więzili czy coś w tym rodzaju. Poza tym Banasiowa wyraźnie podkreślała, że nikogo w nocy nie widziała.

– O właśnie! Jeśli ona nie widziała, to pewnie nikt polem nie leciał, a już na pewno nie do suszarni.

Zerknęłam na Kamilę. Przypatrywała się Stefanowi z najwyższym zainteresowaniem.

– A ty, Kacha, tych bab w błąd nie wprowadzaj, że w nocy kogoś widziałaś!  
– Ale ja widziałam! Na pewno widziałam!

– Skoro ja nie widziałem, to ty tym bardziej. A jeśli już kogoś widziałas, to na pewno do Banasiów poleciał, i koniec tego tematu!

Kasia zamilkła stropiona.

– Chcecie jeszcze czegoś? – rzucił Stefan.

Nie chciałyśmy, tym bardziej że Łucja obsłużyła już swoich klientów i szła w naszym kierunku.

– Ścierki pani zapomniała – powiedziałam.

– Czego?

– Ścierki. Do krzesła. I do widzenia.

Jak niepyszne ruszyłyśmy w drogę powrotną.

– Coś mi się tu nie klei – powiedziałam.

– Rzeczywiście chyba coś nie gra – obojętnie odpowiedziała Kamila.

– Chyba? Na pewno, moja droga! Na pewno!

– Halo! – rozległo się za naszymi plecami. Obejrzałam się. To było Kasiątko.

Gnała co sił w nogach, wymachując przy tym jakimiś papierami. Moje instrukcje!

– Zapomniała pani. – Podała mi mocno sponiewierane kartki. – Bardzo dobrze, że pani tego zapomniała, bo ja mam pewną sprawę... – Niby mówiła do mnie, bo przecież to ja wydruku zapomniałam, ale patrzyła na Kamilę. I dodam, jej spojrzenie wyrażało bezbrzeżną nadzieję.

Kamila, na szczęście, chyba znów doznała przebłysku zdrowego rozsądku, bo zapytała:

– Tak?

– Pani z Barcelony pochodzi, prawda?

– Nie pochodzę, ale mieszkam.

– Tak, tak, oczywiście, o to mi chodziło. – Kasiątko nerwowo obejrzało się za siebie. – Bo mam taką sprawę... Czy można załatwić tam jakąś pracę?

– Och... siebie masz na myśli?

– Tak... Nie... To znaczy mnie i Stefana. Ale on o niczym nie wie. – Patrzyła na Kamilę z napięciem, a Kamila na nią jak ciele na malowane wrota.

– Kasiu, muszę przyznać, że bardzo mnie zaskoczyłaś. A czy nie łatwiej i bliżej dla was by było znaleźć coś w Niemczech?

– Nie. Pracować w Niemczech to niemal jak robić na własnym podwórzu. Za blisko.

– Ależ Kasiu, ten kraj naprawdę jest bardzo duży, zawsze możecie znaleźć coś przy ich zachodniej granicy.

– Nie, Barcelona lepsza. Więc jest taka możliwość? – Kasia znów niespokojnie obejrzała się za siebie. – Zaraz muszę wracać...

– A ten twój Stefan na pewno chciałby wyjechać? – z powątpiewaniem zapytała Kamila. – Pytasz o to w takiej konspiracji. No, chyba że chcesz mu zrobić niespodziankę...

– Jeśli coś znajdę, dopiero wtedy mu powiem. Jak go postawię przed twardym faktem, że ja jadę, to on może też za mną ruszy. Teraz niech niczego nie wie, bo się zdenerwuje.

– Dlaczego miałby się zdenerwować? – zainteresowałam się. – Przecież chcesz dla niego dobrze, prawda?

– Tak. – Kasia nie oglądała się już za siebie, tylko stanęła bokiem i mówiła do nas, wykręcając głowę w kierunku sklepu. – Ale on tego nie rozumie. Uparł się na tego Pławskiego, ale ja go nie lubię.

– Nie lubisz Ewarysta? Dlaczego? – zdziwiłam się. Taki społecznik, mądry i prężny, a tu proszę – jednak dla młodzieży wzoru nie stanowi.

– Nie odpowiedziała.

– Muszę już wracać. To co z tą pracą? Jest to możliwe? – Błagalnie spojrzała na Kamilę, a ona, wyraźnie to widziałam, już się zbierała, by odpowiedzieć jej „nie”. Odezwałam się więc pierwsza:

– Przyjdź do nas pod wieczór. Będziesz mogła?

– Pewnie.

– A ojciec?

Lekceważąco machnęła ręką.

– Powiem, że wcześniej idę spać i oknem się wymknę.

– Nie boisz się, że po wczorajszej eskapadzie będzie cię pilnować?

Wzruszyła ramionami.

– Jak chce, niech mnie po tych polach goni. Mam to gdzieś.

– Założę się z tobą, o co tylko chcesz, ale moim zdaniem, coś się tu dzieje – powiedziałam.

– Oczywiście, że się dzieje – z romantyczną mgiełką w oczach odpowiedziała Kama. – Prorocze słowa Adeli, to się dzieje...

– Dobrze wiesz, że nie o tym myślę.

– Tak, wiem. – Machnęła ręką. – Przecież już wałkowaaliśmy ten temat. Malina pobiegła się gzić z ukrywającym się Krzychem. Jaka ona głupia, żeby takiego faceta zostawić! – Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Jeśli ta wersja jest prawdziwa, to co w tej historii robi Stefan?

– A w ogóle coś robi?

– Oczywiście, że robi. Do suszarni nie chce wpuścić. Banasiowa też nie lepsza. Kaśka gada, że mgły nie było, Banasiowa, że była. Wyraźnie wpierają Kaśce, że nikogo nie widziała. Śmierząca sprawa.

– Śmierzące to są instrukcje, które wykapałaś w gnojowicy. Czy ty tę młodą znasz, że tak jej bronisz? Może to znana we wsi konfabulantka i wszyscy dobrze wiedzą, do czego jest zdolna. Dlaczego tak jej wierzysz?

– A ty dlaczego wierzysz Adeli?

Kamila z oburzeniem nabrała w usta powietrza, policzki jej się rozděły

i zrobiła głośne:

– Pffff.... – W ten sposób dała upust komentarzowi, którym wspaniałomyślnie mnie nie uraczyła.

– No dalej, co masz mi do powiedzenia?

– Proszę bardzo: po rozwodzie zamieniłaś się w starą, zgnuśniąłą babę, która uparcie wierzy w... Nie, w tym szkopał, że uparcie w nic nie wierzysz. Sądzisz jedynie, że prawdziwe życie jest jutro i daleko, chcesz gdzieś lecieć, czegoś szukać i sama nie wiesz, o co ci chodzi. W tej chwili żyjesz tu i teraz, a nie jutro i tam. No i życie nie tylko wokół zmarszczek się kręci. Można być szczęśliwym wbrew wiekowi, wbrew temu, co mówią inni, wbrew zdrowemu rozsądkowi!

– Pozwól, przypomnę ci, że pomysłem o naszej wyprawie też byłaś zachwycona. Już ci przeszło?

– Ależ skąd. – Odchrząknęła z zakłopotaniem i spojrzeniem uciekła na bok. Wiktor! Wiadomo, kto chodził jej po głowie.

– A ponadto – ciągnęłam – wywlekasz tylko moje starcze bolączki, zupełnie jakbyś sama nad swoimi nie jęczała.

– Starzenie jest procesem nieuchronnym i starym jak istnienie życia. Czy jest sens z nim walczyć? Rwać włosy z głowy? Po co, pytam? Po co rwać włosy, skoro i tak same wypadną? Wiesz, co warto robić? Warto korzystać z życia! – Pomachała pięścią, jakby groziła wszystkim stojącym jej na drodze do tego korzystania z życia.

– Od kiedy ty taka energiczna i waleczna się zrobiłaś? Poczekaj, nie odpowiadaj, porobiło ci się tak od chwili, gdy ta wioskowa Pytia palucha do kawy ci wetknęła. Przecież tylko i wyłącznie chodzi ci o Wiktora. A czy nie widzisz, jak on w Malinę jest zapatrzony? Jak jej pragnie, szuka, tęskni i się piekli?

– Zazdrośnica! – prychnęła Kamila. – Wieczorem pozwól Dianie sobie powróżyć. Może jakieś szczegóły ci wyjawię?

– A daj ty mi spokój! Szczegóły czego? I skończmy już ten temat, bo na podwórku u Banasiów ktoś stoi.

Kamila wyteżyła wzrok.

– Jakiś facet – powiedziała szeptem.

To był Pławski. Z reklamówką wypełnioną pomidorami prowadził z Banasiem przyjacielską pogawędkę. Stali przed domem, na wprost kuchennych okien.

– Mamy instrukcje – powiedziałam. – Wydrukowałam do dwóch modeli, jeden powinien być właściwy. Tylko, że są takie trochę... niezbyt czyste. Wpadły mi do śmierdzącej kałuży.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. – Banaś się ucieszył, a po chwili, zapewne zwabiona nowymi głosami, z domu wyszła Antonina. Miała na sobie męską koszulę, która zapewne pełniła funkcję fartucha, bo wycierała w nią pobrudzone

mąką dłonie.

– Oj, to wy, jak miło! Schabowe będą smażyć, pan Ewaryst świeże mięso przyniósł, ale jeść z nami nie chce, może chociaż wy się skusicie? Sałatkę dobrą zrobiłam.

Gdy już się oddaliłam od sklepu bezzębnej Łucji, mój głód powrócił na miejsce i nie byłam już jedynie głodną czterdziestolatką, lecz wygłodniałą czterdziestoletnią desperatką. Pierwotny instynkt wziął nade mną górę i nie dbałam o to, że ociekający tłuszczem kotlet mógłby mi zaszkodzić. Musiałam jeść, żeby przetrwać. Chciałam żyć!

– Zjesz u nas – stanowczo oznajmiła Kama.

– Nie wytrzymam – jęknęłam, wciągając przez nos cudowny zapach smażeniny.

– Dlaczego? – zdziwiła się Banasiowa.

– Ona chce... – Chciałam jej się uzalić, że Adela na Kamę urok rzuciła i teraz moja przyjaciółka pokazuje wariackie oblicze. Każe mi urządzać ognisko i pewnie przez ten ogień jak w noc świętojańską będę musiała skakać albo jak Bułgarzy po rozżarzonych drewniakach dreptać....

Kamila mi to jednak udaremniła.

– Spieszmy się. – Zrobiła obrót, jakby chciała już iść, zatrzymała się jednak i powiedziała: – Ewka, ty chciałaś jeszcze o coś zapytać? Coś ci się nie zgadzało.

Banasiowa popatrzyła na mnie z ciekawym wzrokiem, z równym zaciekawieniem łypali na nas Ewaryst i Banaś. Po chwili wszyscy gapili się na mnie jak sroka w gnat, a ja już nie wiedziałam, czy większą ochotę miałam na schabowego, czy na to, by gołymi rękami udusić wieloletnią przyjaciółkę.

– Tak, mam takie szybkie pytania. – Skoro nie mogłam się u nich posilić, pytania naprawdę musiały być szybkie. – Chodzi o Malinę i Cześka.

– Och, kochana, nie widzieliśmy ich, niestety – szybko odparła Banasiowa.

Oblizalam spierzchnięte wargi. I pić mi się również chciało, cholera, a przede mną takie niewdzięczne zadanie – dłużyć w ich pamięci, wbrew ciągłym zapewnieniom, że na ten temat nic do powiedzenia nie mają.

– Ale taki Jasiak, z włosami jak strzecha, mówił, że widział Cześka, jak koło południa wyjeżdżał z państwa podwórka.

Banasiowa rzuciła na męża przerażone spojrzenie i z jeszcze większą zaciekłością zaczęła wycierać ręce w koszulę. Mnie by było szkoda tej koszuli. Całkiem niezła była.

– Jasiak wam to mówił? – z ociąganiem zapytał Banaś.

– Tak.

– Przewidziało się gówniarzowi. – Banaś wzruszył ramionami. – Ten mały to taka wiejska zakała. Ani się nie uczy, ani w polu nie robi, tylko znika gdzieś na całe dni. Ludzie gadają, że ćpa po krzakach, a potem śpi na sianie.

– Ćpa? – Ewaryst zaśmiał się nerwowo. – A gdzie na tej wsi narkotyki by dostał?

– Bo ja wiem? Może co wacha? Kleju w markecie nakupi, a potem buja w obłokach. Takiemu wierzyć nie warto.

– Właśnie, właśnie, takiemu wierzyć nie warto – z ulgą powtórzyła Banasiowa.

– Ale on był pewien, że go widział, tego Cześka, jak od państwa wyjeżdżał!  
– Było, jak mówiłam wcześniej Kamie: Banasiowie coś kręcą i ten zielarz również. A może ja z głodu w paranoję popadałam? Do tego wszystkiego nagle odczułam wielką potrzebę fizjologiczną i zaczęłam przestępować z nogi na nogę, a że niezbyt to skutkowało, coraz szybciej przytupywać.

– Zostaw, Ewka, ten temat i zapytaj o Malinę. Co ci ta Kaśka gadała?

– O Malwinie już mówiliśmy – zdenerwowała się Banasiowa.

– Czemu tak tupiesz, zimno ci? – zainteresowała się Kamila.

– Siku, siku... – jęknęłam konspiracyjnym szeptem.

– Najpierw jeść, teraz siku, co za dzidzia. Dzidzia piernik w dodatku. – Ton Kamili przybrał najwyższy poziom zniecierpliwienia.

– Oj, to proszę do toalety – ożywiła się Banasiowa i odsunęła, abym mogła wejść do domu.

– W garażu chyba państwo mieli WC, więc z niego skorzystam.

– Oj, nie, leć do środka, ten w garażu jest dla pracowników, w domu eleganciej. Zaraz na prawo masz wejście.

Upierała się w swej uprzejmości, więc skinęłam głową i wyczekałam stosowny moment, w którym mogłam ruszyć z miejsca bez obawy, że zmoczę gacie. Banaś usunął mi się z drogi, a ja w kilku susach wpadłam do domu, zgodnie ze wskazówką skręciłam w prawo i złapałam za klamkę drzwi do łazienki. Gdy było po wszystkim, z ciekawością rozejrzałam się po wnętrzu. Ładnie tam mieli. Kafelki raczej nie były najnowszym krzykiem mody, ale współgrały z całym wystrojem. Ręczniki były dobrane pod ich kolor – w odcieniu morskiej zieleni. W oknie wisiała fikuśna zasłodka, a na parapecie stały kolorowe doniczki z kaktusami. Jak na mój gust, trochę ich było za dużo, sprawiały wrażenie zagracenia i psuły idealne utrzymanie łazienki. Jeden kaktus kwitł, więc aby bliżej mu się przyjrzeć, wyjęłam doniczkę, strącając na podłogę jakiś czarny, upchnięty między nimi przedmiot. Uważniejszy rzut oka sprawił, że oniemiałam. Wampiryczna książka! Podniosłam ją. Malina... ona zawsze była miłośniczką czytania w WC i pamiętam, jak utyskiwała, że w wiejskim wychodku dziadka, ze względu na smród tam panujący, musiała sobie odmawiać przyjemności płynącej ze zgłębiania lektury. Przekartkowałam książkę. Nie wiedziałam, jakie było wydanie dziadkowego egzemplarza, znaków szczególnych też nie zapamiętałam, nie mogłam się więc upierać, że trzymany przeze mnie wolumin był tym, który

należał do dziadka Walerego. Jednak dziwny mi się wydał ten zbieg okoliczności. Książka o takim samym tytule zaginęła wraz z Maliną, a teraz znajduję ją w toalecie Banasiów. Niewykluczone, że i oni podczas czynności fizjologicznych lubili sobie poczytać. Zapewne tak właśnie było, bo jak inaczej? Malina miała być u nich i zapomnieć książki? Ale z jakiej racji? Odłożyłam książkę na miejsce i wyszłam na korytarz. Szybko jednak zawróciłam i zabrałam ją ze sobą. Pławski jeszcze nie poszedł, najwyraźniej zainteresowany, jak się potoczy dalsza rozmowa.

– O! – Wyciągnęłam przed siebie książkę.

– Co? – zdziwiła się Banasiowa.

– Książka jakaś – odezwał się Ewaryst.

– Taką samą miał dziadek. Pokaż! – Kamila wzięła ją do ręki. – Pewności mieć nie mogę... ale co ona tu robi?

– Nie rozumiem. Skąd ta książka się tu wzięła i o czym ona jest? – Banasiowa podeszła bliżej i przyjrzała się egzemplarzowi.

– W państwa toalecie znalazłam – wyjaśniłam. – Taka sama zniknęła wraz z Maliną.

Banasiowa zbladła, Banaś niemal wyrwał książkę z rąk Kamili i powiedział:

– Antosiu, jak możesz tego nie pamiętać?! Sam ją kupiłem, gdy Krzysiek jeszcze był mały. Przeleżała tyle lat w piwnicy, wczoraj ją przyniosłem i w łazience z kurzu oczyszczałem. Zapomniałem ją stamtąd zabrać. – Odchrząknął kilkakrotnie i zakaszłał.

– Ach tak, rzeczywiście mówiłeś mi o tym. Zupełnie z pamięci mi to wyleciało!

– Coś mi się jeszcze nasunęło... – powiedziałam po chwili. – Kasia mówiła, że kobieta, która wybiegła z domu dziadka, wybrała się gdzieś w kierunku waszego domu... ale przecież to niemożliwe, żeby u państwa się schowała? Gdzieś w szklarniach na przykład. Tak z własnej inicjatywy oczywiście.

– Niemożliwe, bo w szklarniach nie ma gdzie się schować. Nawet gdyby ktoś wlaźł między rośliny, my dziś tam pracowaliśmy i nikogo nie widzieliśmy. Po kotłowni mąż również chodził. Oj, ta Kasia, Kasia...

– Następna, co po krzakach wacha – z pogardą rzucił Ewaryst.

– Tylko Kasia się upiera, że jednak kogoś widziała. Istnieje też inna możliwość. – Zwróciłam się w stronę Ewarysta. Że też mu ta reklamówka nie ciążyła! Słuchał tak łapczywie, że zapomniał ją postawić na ziemi. – Ona mogła pobiec do pana suszarni, tych w dawnych magazynach, i gdzieś tam się ukryć.

Pławski zmienił się na twarzy, jakby mu ktoś wymierzył policzek.

– Nie! Nie ma żadnej możliwości, aby ktokolwiek tam się dostał! Bo... A! Pies tego pilnuje!

– Ale może by na wszelki wypadek sprawdzić? – nie dawałam za wygraną.

– Tam nie ma czego sprawdzać! Do lasu sobie idźcie i szukajcie do woli!

Dobranoc! – Odwrócił się gwałtownie i poszedł w kierunku drogi.

– Co mu się stało? Nigdy nie widziałam go takiego wzburzonego – zdziwiła się Banasiowa.

– Ewka, chodźmy już – powiedziała Kama.

– No właśnie... – stwierdziła Banasiowa. – Skoro nie chcecie z nami zjeść... a kotlety mi się już przypalają...

– Tak, tak, już idziemy. Dziękujemy i przepraszamy. – Kamila spojrzała na mnie karcąco. Przy wyjściu z podwórka obejrzałam się za siebie. – Banasiowa popędziła do swoich kotletów, a Banaś stał na progu i z zainteresowaniem wertował książkę.

Kamila szła szybko, a ja wlokłam się trzy kroki za nią.

– Pośpiesz się! Zaraz przyjdzie Adela, a my jeszcze niczego nie przygotowałyśmy!

– Nic mnie to nie obchodzi. – Podbiegłam, aby się z nią zrównać. – Miałam rację, Banasiowie coś ukrywają. I ten Pławski również coś ma na sumieniu.

Ostatnie zdanie powiedziałam z pewnym ociąganiem, bo stosunkowo niedawno zachłystywałam się wiedzą i szeroką działalnością społeczną Pławskiego. Czy rzeczywiście coś ukrywał?? Czy naprawdę każdy poznany przeze mnie zielarz musi być typem spod ciemnej gwiazdy? Czy oni wszyscy tacy byli, a może to ja miałam szczęście do wyrodných typów?

– O co ci znowu chodzi?

O co mi chodzi? Dobrze sobie! Ślepa była? Głucha?

– Już tyle razy na ten temat gadałaś, co masz jeszcze do powiedzenia?

– Jasiek mówił, że widział Czeška wyjeżdżającego z podwórka Banasiów. Oni temu zaprzeczyli. Kasia widziała kobietę biegnącą w stronę ich domu, to również zanegowali. A jak zasugerowałam, że biegła do suszarni Ewarysta, to z kolei on się zdenerwował.

– Jasiek to narkoman, sama słyszałaś, a co do Kaśki, w nocy mgła była, o tym również słyszałaś.

– Jak łatwo wcisnąć ci głupoty! Najpierw uwierzyłaś Adelce, a teraz tym, których słowa najbardziej ci odpowiadają i nie zmuszają do jakiegokolwiek wysiłku czy podjęcia akcji.

– Jaką akcję chcesz podejmować? Co robić? Szukałaś ich przecież, przepytałaś niemal całą wioskę, czego jeszcze chcesz?

– Zajrzeć do Ewarystowych suszarni.

– Oszalałaś? Po co? Równie dobrze po lesie mogłabyś pobiegać.

– Nie, Pławski coś ukrywa.

– Twoim zdaniem Banasiowie również czyści nie są.

– A są? Dziadkową książkę u nich znalazłam! I powiedz, skąd się tam wzięła?



– Oj, moja droga, bo się pogniewamy. Banaś przecież ci powiedział. Obsesji dostałaś!

– Niczego nie dostałam! A do suszarni Ewarysta i tak zajrzę. Ten jego Stefek też był nerwowy, więc muszę zobaczyć, co tam chowają.

– Pewno Malinę – parsknęła śmiechem.

– Na to właśnie liczę. I wiesz, co ci jeszcze...

– O, zobacz! – Kamila nagle się ożywiła. – Tam idzie Adalcia. Diana! Dianuś! – zaczęła głośno krzyczeć i machać do niej ręką. Droga przybliżyła się korpulentna postać – Adela we własnej osobie. Znów miała ze sobą plastikowy koszyk, ale niosła go z pewnym wysiłkiem, jakby był czymś mocno obciążony. Podeszła bliżej i zauważyłam, że swoje smętne kosmyki spięła w całkiem ładny kok.

– O, dziewczynki! – Obdarzyła nas szczerym, szerokim uśmiechem, którym – zważywszy, co mówiłam na jej temat – wzbudziła we mnie wyrzuty sumienia.

– Idziesz do nas, Dianuś? – Kamila była w siódmym niebie. – Ale my takie nieprzygotowane jesteśmy! To wszystko przez... – Spojrzała na mnie złym wzrokiem. – Przez tę Malinę i Cześka oczywiście, bo szukałyśmy ich po całej wsi i nie zdążyłyśmy przygotować ogniska.

– Oj, nie szkodzi, nie szkodzi. Teraz niosę Zygmunтови kolację, trochę mi u niego zejdzie, więc na pewno w tym czasie wszystko naszykujecie, tak jak należy. A jeśli nie, chętnie wam pomogę.

– Dianuś, ty nawet nie wiesz, jaka jesteś kochana! – Moja orientacja seksualna była jak najbardziej tradycyjna, ale mimo to zabolął mnie nieco fakt, że Kamila właśnie do Adeli, nie do mnie zwracała się „kochana”.

Do zagajnika, za którym krył się dom dziadka Walerego, szłyśmy razem, ale tuż przed końcem zadrzewienia Adela się zatrzymała.

– To ja, dziewczuszki, pędzę do Zygmunta. Gdy tylko go oporządzę, od razu do was przylecę. Pa, pa! – Pomachała nam przyjaźnie, Kamila odmachwała jej czule, a ja na żaden przyjacielski gest zdobyć się nie mogłam. Cóż, już tak miałam – jeśli kogoś nie lubiłam, to nie lubiłam, i kropka.

– Jaka z niej ciepła kobieta – westchnęła Kamila. – Że też wcześniej się na niej nie poznałam.

– Nie pamiętasz, jak ją nazywałyśmy?

– Nie bądź wredna. Wcześniej jej nie znałyśmy.

– A teraz znasz?

Kamila obdarzyła mnie zimnym spojrzeniem.

– Obawiam się, że możesz zepsuć nam wieczór.

– Że niby co?

– Właśnie to, co powiedziałam. Będziesz nam przeszkadzać i głupio komentować. Znam cię jak swoje dziesięć palców.

– Niczego wam nie popsuję. – Nie powiem, znów mnie uraziła. Traktowała mnie jak piąte koło u wozu, na dodatek felerne. – Będę siedzieć cicho. Obiecuję.

– Obyś dotrzymała słowa.

Gdy wychodziłyśmy z zagajnika, z pewnym utęsknieniem wyciągnęłam szyję w kierunku dziadkowego podwórza, by sprawdzić, czy stoi tam Cześkowa corsa, a może nawet Malina się szwenda. Niestety. Niczego i nikogo wyczekiwanego przeze mnie tam nie było. Stały tam za to dwa samochody: zjawiskowy bentley Wiktora oraz czarne bmw z przyciemnionymi szybami. Znałam ten ostatni model, bo wuj Gwidon swego czasu jeździł identycznym. Wiktor opierał się o bentleya i nerwowo palił papierosa. Nie, on go nerwowo nie palił. On go wściekle pochłaniał. Na nasz widok ożywił się, rzucił niedopałek w piach, przydeptał i zagrzmiał:

– Gdzieście łąziły?! – Podeszedł do bmw i wałnął dłonią w dach. Dochodząca z wnętrza głośna muzyka natychmiast ucichła. – Bogdan!

Z auta wyskoczył drobny mężczyzna. Miał na sobie hawajską koszulę i czerwone krótkie spodenki. Powolnym ruchem przesunął przeciwsłoneczne okulary tuż pod linię jasnych, uczesanych w kaczy kuper włosów i wnikliwie nas otaksował. Jego spojrzenie odarło mnie nie tylko z odzieży, ale i z lichego ciała oblekającego równie lichy kościec. Gówniarz przypatrywał mi się oblesnie i bezczelnie. Nie pozostałam dłużna i wymownym spojrzeniem dałam mu odczuć, że dla mnie był nieatrakcyjny jak morze bez wody, pustynia bez piasku czy biblioteka bez książek. Dla mnie był jedynie bladym wypierdkiem z krzaczastymi, żółtawymi brwiami i chytrym, lisim spojrzeniem. Kamila, widząc Wiktora, ożywiła się, szybko poprawiła włosy i pokąsała dolną wargę. Nie z nerwów to oczywiście uczyniła, a dla uzyskania seksownego efektu pełnych ust.

– Ewka! – szepnęła, tłumiąc kretyński chichot. – Ten młody!

– Co młody?!

– Wróżba Adeli! Twoja miłość! – Przyjaciółka zanosła się głupkowatym, szaleńczym śmiechem.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – odrzekłam lodowato. Tymczasem Wiktor, gnany niepokojem o ukochaną Malinę (że też Kamila wciąż nie przyjmowała tego do wiadomości!), zrobił w naszym kierunku dwa kroki i zaryczał rozpaczliwie:

– I co?! Nie ma jej!

– Niestety – odpowiedziałam, zerkając na wypierdka.

Nie mogło być inaczej, guśta Adeli musiały być stekiem bzdur! – pomyślałam z rozpaczą. – A co, jeśli tym razem trafiła w dziesiątkę? Eeeee... niemożliwe, do tanga trzeba dwojga, a ja z tym gówniarzem z pewnością nie zatańczę. Nigdy!

– Ja pierdołę, tej... – rzucił z podziwem młody. – Czirliderki... – Cmoknął,

uśmiechnął się i ponownie nas obejrzał, przy czym odniosłam wrażenie, że znów jakby bardziej skupił się na mnie. Cholera jasna, odpukać w niemalowane!

– Kurwa mać, gdzie jest ta Malwina?! – ryczał tymczasem piękny Wiktor, a jego grzywa falowała intensywnie, to zasłaniając, to odsłaniając lewe oko.

Kamila wzruszyła ramionami, ponownie pokąsała wargę i ponownie poprawiła włosy. Tym razem bardziej się postarała i dopracowała gest, z jakim to uczyniła – włożenie kosmyków za uszy wykonała powoli, kusząco i zmysłowo. Po chwili jednak szybkim ruchem przywróciła je na poprzednie miejsce. Ha! Ja wiedziałam dlaczego – z powodu starczych uszu!

– Nie wiemy – odpowiedziałam.

Wiktor wściekle wypuścił powietrze przez nos i bezsilnie rozejrzał się po okolicy, jakby się spodziewał, że poszukiwana zamajaczy na horyzoncie lub choćby wychynie zza pobliskiego krzaczka.

– Co teraz? – zapytał wypierdek i podszedł bliżej, aby lepiej nam się przyjrzeć. Jeszcze się nie nagapił? Krótkowidzem był czy jak?

– Po ile one mają lat? – Skinął na nas głową.

– Czego tam chcesz? – fuknął na niego Wiktor.

– Ile mają lat, szefie?

– Pewnie jak Malwina, ze czterdzieści.

– Ja pierdołę, tej, niezłe suczki! Szczególnie ta jedna. – Uśmiechnął się do mnie uwodzicielsko, co tak jak i komplement nie zrobiło na mnie wrażenia. Za to wrażenie zrobiło na mnie jego kolejne wyartykułowanie przerywnika „tej”, który był niczym zdradliwy odcisk palca odkrywający pochodzenie – nie mogło być inaczej, pochodził z Wielkopolski.

– Bodzio do mnie mówcie – powiedział i wyciągnął do mnie łapę. Czy miałam wybór, czy miałam inne wyjście? Musiałam ją uścisnąć i się przedstawić. Do Kamili z łapą już się nie pokwapił, a ta, choć ją jawnie zignorował, wydawała się wniebowzięta, jakby świeżo usłyszana wróżba już zaczęła działać. Tylko że ja tego działania w ogóle nie dostrzegałam. Czy Wiktor jakimkolwiek gestem dał jej odczuć, że wpadła mu w oko? Nie zauważyłam. A ona nie zauważyła tego, jak szaleńczo pieklił się o Malinę. Oślepla ta moja Kamila, po prostu oślepla.

– Ewa... Ewunia ci na imię... pierwsza kusicielka! Pięknie! Pięknie! – zapiął z zachwytu Bodzio. Rany boskie, kusicielka! Cóż to dziecko plecie? Żołądek chory, kolano trzeszczy, nerwy zszargane, a twarz jeśli nie pod skalpel, to przynajmniej do gruntownego ostrzyknięcia się nadaje. Jakiż on miał spaczony gust, jak bardzo zwyrodniałe preferencje!

– Więc mówicie, że piękna przepadła? – Bodzio wreszcie (z niechęcią!) puścił moją dłoń i palcami przeczesał kaczy kuper.

– Właśnie! Nigdzie jej nie ma! – Kamila zakrzyknęła tak dramatycznie, że spojrzałam na nią z osłupieniem. – Nigdzie jej nie ma i mam tego dość! I nie

chodzi mi wcale o to, że do spadku jest mi potrzebna, bo ja za moją kuzynką po prostu tęsknię!

Dech mi zapało. Dopiero bez cienia zaangażowania snuła się ze mną po wsi, głowę w chmurach nosiła, o pięknym Wiktorze marzyła, a teraz teatr odstawia. Ale po co? W jakim celu? A może grała tak przed Wiktorem właśnie? O zaginioną kuzynkę troszczyć się wypada, więc na pokaz cyrk urządziła, żeby przystojniak miał dobre o niej zdanie i choćby przez krótką chwilę przychylnym okiem popatrzył.

– Jeśli w ciągu godziny się nie znajdzie, zawiadomię policję! – lamentowała jak zawodowa płaczka. Za godzinę to ona chce przez ogień skakać, gusła czynić, a nie na policję jeździć... To dopiero kłamczucha!

– Ani mi się waź! – Wiktor podskoczył, jakby piorun w niego strzelił, co wcale mnie nie zdziwiło, bo pamiętałam jego wcześniejsze reakcje na wzmianki o policji.

Kamila skuliła się w odruchu obrony na nagły atak. Nie wiem, czy naprawdę się wystraszyła, czy tylko udała, że się boi, w każdym razie wyszło jej to wybornie realistycznie.

– A jeśli jej się coś złego stało? – pisnęła rozpaczliwie, kąsając przy tym dyskretnie wargę.

– Coś złego to się jej dopiero stanie, gdy wreszcie ją dorwę. – Wiktor pogroził pięścią w wiejską przestrzeń. – A o policji więcej słyszeć nie chcę! Zrozumiano? – Z jego oczu powiało cmentarną grozą i mogłabym przysiąc, że śpiew ptaków przycichł, a wiaterek, który do tej pory przyjemnie nas owiewał, stał się kilka stopni chłodniejszy. Krótko mówiąc: powiało horrorem.

– Uspokój się, Kama! – syknęłam, ale w porę zdążyła odczytać ostrzeżenie przyrody, bo już spokojniej powiedziała:

– Ale mnie ona też jest potrzebna. Do spadku. Że o wielkiej tęsknocie nie wspomnę...

– Mnie bardziej – mruknął Wiktor i zaczął postukiwać butem. Nerwy puszczały mu ewidentnie. – A ten wasz koleżka, gdzie jest? Też nie wrócił?

Bezsensownie zadał to pytanie, bo przecież jak wzrokiem nie sięgnąć, Cześka widać nie było. Jego auto pod domem nie stało, Szczek po podwórzu nie łąził, więc, do cholery, po co facet głupio pytał?

– Jak widać, nie – powiedziała Kamila i poprawiła włosy. – Wejdz do domu i sprawdź, ale nie sądzę, aby tam siedział.

– Boguś! Skocz do chaty i zobacz, czy kogoś tam nie ma.

Bodzio w kilku susach znalazł się przy drzwiach i szarpnął za klamkę.

– Szefie, zamknięte.

– Aha – odparł Wiktor. – Chodź ze mną! – Skinął na niego, a gdy ten znalazł się odpowiednio blisko, złapał go za ramię i pociągnął ku przekwitłej forsycji. Po

chwili, jako przerywniki między kolejnymi zdaniami Wiktora, doszło do nas raz po raz rzucane przez Bodzia:

– Ja pierdolę, tej!

– I co teraz?! – zapytałam Kamilę.

– Nie wiem... Zupełnie nie mam pojęcia... – odpowiedziała, tęsknie łypiąc na Wiktora. – On wcale mnie nie zauważa... – Zrobiła płaczliwą minę.

– Ogarnij się! Nie o to mi chodzi. Co dalej z Maliną?

– Ach, z nią? Nie wiem, przecież jej nie ma. – Wzruszyła ramionami. – Poproszę Adelę o wróżbę na jej temat, na pewno coś się wyjaśni.

– Przestań z tymi cholernymi wróżbami! Banasiom pomogła? – zapytałam chytrze.

Spojrzała na mnie jakby nieco bardziej przytomnie. – Właściwie to nie wiem. Muszę ją o to zapytać...

– Mam nadzieję, że niedługo stąd się wyniosą – powiedziałam, patrząc na intruzów. Drażniła mnie ich obecność. Kamila była pod wrażeniem Wiktora, co guzik mnie obchodziło, ja nie byłam pod niczym wrażeniem, za to zaczynałam czuć obawę, czy kiedyś wyjedziemy stąd w dalszą podróż.

– Przeszkadzają ci? – zapytała. – Bo mnie wcale.

– Kama... – Nie zdążyłam rozwinąć moralizatorskiego zdania, bo Wiktor i Bodzio wyłonili się zza krzaka i podążali ku nam zamaszystym krokiem.

– Słuchajcie, właśnie podjąłem decyzję – oznajmił Wiktor. – Ja jadę, Bodzio zostaje.

– Po co? – syknęłam ze złością.

– Dlaczego on?! – pisnęła Kamila.

Wypierdek uśmiechnął się szeroko.

– Też się cieszę, że zostaję. Czirliderki wy moje...

– Tej! – dokończyłam złośliwie.

– Otóż to, tej! – zakrzyknął, co zabrzmiało niczym góralskie „hej”.

– I żeby nie było żadnych niedomówień – ciągnął Wiktor. – Bodzio będzie z wami do czasu, aż Malwina się odnajdzie. Ponadto będzie was pilnować, żebyście nie poleciały z jęzorami do glin albo żebyście nie wpadły na pomysł, aby dać stąd nogę. Jakies pytania?

– Chyba żartujesz! Przecież to więzienie! – zaoponowałam.

– Gadaj, co chcesz. Dopiero gdy Malwina się odnajdzie, puszcze was wolno – powiedział. – Trzeba było uważniej przyjaciółki dobierać.

– Przyjaciółki? Jakie przyjaciółki? – zdziwiła się Kamila. – Że co niby? Że my się przyjaźniłyśmy?!

Kama była zaskoczona.

– Nie tylko przyjaźniłyście, ale ponoć nadal przyjaźnicie – potwierdził Wiktor.

– My z Maliną? Ale to bzdura! – Kama rzuciła z rozpaczą w głosie. – Ona sama z własnej inicjatywy za nami się włóczyła i bezczelnie psuła wakacje! Gdybym wiedziała, że w przyszłości tak nas wrobi, z przyjemnością utopiłabym ją wtedy w Śmierdzielu! Malina nigdy nie była naszą przyjaciółką. *Never!* – rzekła z mocą w głosie i plasnęła dłonią w mostek. – Powiedz coś, Ewka!

Wzruszyłam ramionami, co tu gadać?

– Wcześniej mówiłaś, że za nią tęsknisz – odezwał się Wiktor. – Więc kiedy kłamałaś? Wtedy czy teraz? Ja ci odpowiem – teraz!

– Ale ja właśnie teraz nie kłamię!

– Kłamiesz! Nie wstyd ci? W twoim wieku?

– No właśnie, tej! – Bodzio skwapliwie poparł szefa.

– Gdzieście ją ukryły, co?!

– Nie ukryłyśmy Maliny! – zaoponowałam. – I naprawdę ona nigdy nie była naszą przyjaciółką. Nie mam pojęcia, dlaczego ona wymyśliła taką bzdurę. A Kamila wcale za nią nie tęskni, proszę mi wierzyć!

– Gówno ci wierzę. Gadasz tak, żebyś się odczepił, ale ja nie odpuszczę i ją dopadnę! Ode mnie uciec nie można!

– A na marginesie, dlaczego miałyby od ciebie uciekać? – zainteresowałam się.

– Właśnie, ty przecież taki przystojny jesteś... – Kamila zatrzepotała rzęsami, no i oczywiście przygryzła wargę.

– Pewnie jej coś zrobiłeś – zasugerowałam, nie kryjąc złośliwości. – Lałeś ją? – Złożyłam ręce na piersi i złowieszczo zmrużyłam oczy. – Bzykałeś się, z kim popadnie, a potem nad ranem wracałeś pijany, co?

– Nic ci do tego! – Wiktor był wściekły.

– Czy od razu musiał jej coś zrobić? – ofuknęła mnie przyjaciółka. – Była głupia i taka została. Głupie zawsze działają nieracjonalnie.

– Otóż to! Malwina jest wyjątkowo głupia – przytaknął Wiktor, a jego policzki poróżwiały mocno. – Ale was, moje drogie, przetrzymam! Albo ją gdzieś ukryłyście, albo pomogłyście w ucieczce. Wszystkie trzy mnie popamiętacie!

– Szefie! Izi, izi! – Bodzio uspokajająco poklepał go po ramieniu.

Wiktor strącił jego rękę.

– Niech szef już jedzie, czas ucieka. Zajmę się tymi babami. – Uśmiechnął się oblesnie. Wiktor łypnął na niego i na nas po raz ostatni, z pewną dozą bezsilności, rozejrzał się po okolicy i wszedł do auta.

– Będziemy w kontakcie – rzucił do Bodzia, zabuksował oponami w piachu i wyjechał z podwórza, a Kamila (jakże przykro było na nią patrzeć!) do końca, aż zniknęła jej z oczu, wiodła za nim rozmarzonym spojrzeniem i przygryzała dolną wargę.

Zostaliśmy sami.

– Dawać telefony! – Bodzio wyciągnął do nas rękę. Zauważyłam, że na kciuku miał srebrny sygnet, a nadgarstek przyozdobiony był tatuażem oraz złotą bransoletką.

– Słucham?

– Ty nie słuchaj, tylko dawaj. Na razie telefon... – Uśmiechnął się lubieżnie. Lubieżnie! Popatrzyłam na niego z politowaniem. Mogłam być jego matką, czy tego nie widział? Czego się dziecku zachciewało? Co mu się w głowie roiło?

– Mowy nie ma! I ty też mu nie dawaj – na wszelki wypadek mruknęłam do Kamili.

– Oszalałaś?! – odpowiedziała, tępo gapiąc się na drogę. Wzniesiony autem Wiktora kurz dawno osiadł, a samochód zniknął na horyzoncie. Nie wiadomo gdzie kochaś Maliny pojechał, a taką samą niewiadomą było, kiedy powróci i raczy uwolnić nas od wielkopolskiego erotomana. Tak, Wiktor odjechał, a Kamie znów na głowę padło.

– Dawać, dawać, nie zwlekać! – ponaglił nas Bodzio. Szybko kombinowałam, co dalej. Mogłybyśmy mu na przykład dołożyć, sprawić takie manto, jakiego nigdy od rodzonej mamusi (ani tatusia) nie dostał, ale do tego potrzebowałam pomocy, a wszelkie objawy wskazywały, że na Kamilę liczyć nie mogłam. Ciągle, jak ten osioł ostatni, gapiła się na opustoszałą drogę. I jak jej ufać? Gdybym się na niego rzuciła, ona, nie wiedząc, o co mi chodzi, o co walczę, mogłaby jeszcze wystąpić w jego obronie. Kolejną szansę niosła ze sobą ucieczka. Było gdzie uciec – w krzaki, do lasu, pełno tego było wkoło, ale na przeszkodzie znów stała Kamila. Czy gdybym zerwała się do biegu, wykazałaby się należytych refleksem i podążyła za mną? Bzdury, którymi nakarmiła ją Adela, spowodowały, że zachowywała się, jakby naćpana była nie mniej niż wioskowy Jasiek. A przecież bez niej uciec nie mogłam! Nie mogłam jej zostawić samej. Narada też odpadała, bo po pierwsze obok tkwił wielkopolski wypierdek, a po drugie kretyński stan Kamili wskazywał, że przeprowadzenie jakiegokolwiek rozmowy, nie mówiąc już o strategicznej, nie było możliwe do wykonania. Dodatkowo sprawiała wrażenie, jakby nie zależało jej na jakimkolwiek stawianiu oporu, i wbrew wcześniejszej deklaracji już sięgała do kieszeni po komórkę.

– Kamila! – rzuciłam ostrzegawczo, lecz ona nie zwróciła na mnie uwagi i podała Bodziowi telefon.

– Teraz twój – powiedział.

Przecież nie mogłam mu dać ostatniego pozostałego aparatu!

– Muszę?

– Musisz!

– Mam ją w domu. W bocznej kieszeni plecaka. – Podzieliłam się z nim tylko częścią prawdy, bo moja babcia zawsze przestrzegała, żeby całej dupy nigdy nie pokazywać.

– Okej. Chodźmy więc do środka.

Ruszyliśmy przodem, a za nami niechciany strażnik. W głowie roił mi się plan. Dobrze by było go w tej chacie zamknąć. Tylko gdzie? Każdy pokój miał jeśli nie jedno, to kilka okien, więc żaden się nie nadawał na więzienie, nawet te na piętrze, bo taki gówniarz bez problemu i z pierwszego piętra ucieknie. Przypomniała mi się piwnica. Tak, to było dobre miejsce!

– Kamila, słuchaj – nachyliłam się do ucha przyjaciółki i nim szepnęłam jej słowo – piwnica – poczułam na plecach ucisk czegoś metalowego. Brzydal miał żelazny palec?

– A weź mi to z pleców! – Machnęłam za siebie ręką i się odwróciłam. Nie, to nie był żelazny palec, to był pistolet, giwera, czy jak to nazywają. Niewykluczone, że tylko atrapa, ale na wszelki wypadek wolałam być grzeczna.

– I co, lala? Ze mną nie przelewki.

– Kamila, on ma pistolet – powiedziałam, na wypadek gdyby nie zauważyła.

– Widzę. Ładny.

– Ty nie bądź taka dowcipna – powiedział do niej – a ty – to już było do mnie – prowadź po tę komórkę, tej!

– Okej, okej – powiedziałam. Weszliśmy do domu i poprowadziłam w głąb korytarza, tuż przed wejściem do naszej kuchni skręciłam w prawo, na schody do piwnicy. Modliłam się tylko w duchu, aby Kamila nie zapytała, po co tam idziemy, ale na szczęście jej zdawało się to nie obchodzić. Uporczywie tkwiła w swoim świecie i nic nie wskazywało na to, że miała szybko z niego powrócić. Zeszliśmy po schodkach w dół, pchnęłam drzwi do komórki.

– Tej, lala! Ty w jajco mnie nie rób! W takiej norze plecak trzymasz?!

– Masz jakieś obiekcje?! – rzuciłam do niego tak kategorycznym tonem, że więcej nie powiedział ani słowa.

– Włącz tam, a ja poczekam. O, i światła tu nie macie. – Kilkakrotnie pstryknął przełącznikiem. – Zaraz – chwycił za ramię Kamilę – ona zostanie ze mną. Na wypadek gdybyś wpadła na jakiś głupi pomysł. Zobacz! – Machnął giwerą. – Raz naciśnę spust i psiapsiółka do aniołów polecą.

Ostrożnie przekroczyłam próg, gorączkowo przy tym kombinując, jak wypierdka zwabić do środka? Teraz, kiedy trzymał przy sobie ogłupiałą Kamilę, było to szczególnie trudne. Wkroczyłam w ciemność.

– Tej! Gdzie tam jesteś?! Z oczu mi zniknąłeś! – Kaczy kuper wyraził swe zaniepokojenie. Ponieważ nie miałam pomysłu, jak dalej postąpić, postanowiłam milczeć. Bardziej wcisnęłam się w kąt i zastygłam w bezruchu.

– Odezwij się, bo do psiapsiółki strzelę!

I proszę, nawet ten plan, prymitywny jak świński ogon, spalił na panewce.

– Jestem, jestem, szukam plecaka!

– To głośno szukaj, żebym wiedział, że tam jesteś, a nie spieprzyłaś jakimś



tajemnym wyjściem!

Na oślep kopnęłam przed siebie, trafiając, o czym się dowiedziałam dopiero po chwili, w kawał węgla, który poleciał wprost na stojącego w wejściu wypierdka. Dostał w ramię, podskoczył i strzelił na oślep. Kula na szczęście dziabnęła gdzieś z tyłu, najprawdopodobniej w deski, którymi zabite było okno.

– Ożeż ty! Wyłaż stamtąd, bo zaraz ją trafię!

– Au! – krzyknęła Kamila. – On mnie ściska! Miażdży mi ramię!

Proszę, proszę, kto by się spodziewał tyle siły w marnym cie!e!

– Puść ją! – warknęłam wściekle i ruszyłam z powrotem. Co za głupi pomysł z tą piwnicą! Wymyślić, żeby go zamknąć, to wymyśliłam, ale na to, jak to zrobić, już mi konceptu brakło. Mózg po czterdziestce nie taki sprawny.

– Idę! – powtórzyłam, żeby nie sądził, że tyle to trwa, bo znów kombinuję. Za ciemno było, żeby poruszać się szybciej.

– Nie, chwila! Stój tam, gdzie jesteś! Ty! – Szturchnął Kamilę. – Jest tam jakieś przejście, wyjście czy dziura jakaś, którą byście spieprzyły? Tylko prawdę gadaj, bo jak was tam zamknę i bokiem wyleziecie, to zastrzelę bez mrugnięcia okiem.

– Nie. Nie ma tam żadnego przejścia.

– Świetnie. Więc włącz! – Pchnął Kamilę, lecz ona, zapewne z powodu wróżebnego otumanienia, zamiast wpaść wprost w czarną czeluść, gdzie ja już siedziałam, wydawała się przytwierdzona do podłoża.

– Co z tobą?! – Bodzio szarpnął ją, co przyniosło lepszy skutek, i gdyby ponowił wysiłek, zapewne po chwili by ją w tym pomieszczeniu ulokował, ale z góry doszedł nas jakiś głos.

– Cicho! – powiedział Bodzio. – Kto to?

Zamieniłam się w słuch, a po chwili usłyszałam wyraźne:

– Dziewczynki! Gdzie jesteście?!

W tym miejscu zrodziło się pytanie retoryczne: któż to mógł tak słodko do nas wołać? Oczywiście tylko ona, wiejska, domorośla wróżka.

– Dianusia! Dianuś! Ratuj! – W członki Kamili wstąpiło życie. Poruszyła się sprężyście i już znalazła się przy ścianie z dala od wejścia do komórki. Ja również nie zwlekałam, potykając się o jakieś rupiecie, rzuciłam się do przodu i w miarę sprawnie wylazłam na próg.

– Nie rozłazić się, nie rozłazić! – Bodzio wymachiwał giwerą, ale na nasze szczęście nie przyszło mu do głowy, aby jej użyć. Najwidoczniej nie uznał zaistniałej sytuacji za tak podbramkową, że należałoby to zrobić. W tym czasie, gdy starał się zagnać nas w jedno miejsce, Adela, zwabiona krzykiem, już zbiegała po schodach.

– Dziewczynki wy moje, co tu robicie?!

Albo miała zbyt długą spódnicę, albo zbyt szybko biegła, bo nagle potknęła

się i poleciała wprost na Bodzia. Nim doszczętnie przywalila go ciałem, usłyszałyśmy jego:

– Oż kurwa!

Bodzio legł na podłogę, trzasnął głową o próg, a giwera poleciała wprost pod moje nogi. Schyliłam się szybko i już ją miałam. Ja i pistolet! Władza należała do mnie!

– Też! – Trąciłam go nogą. Żył i nawet był przytomny, bo jęknął przeciągle i otworzył najpierw prawe, a po chwili lewe oko.

– Moja głowa...

– Oddawaj komórki!

– Nigdy!

– Kto to jest, dziewczynki? – zapytała Adela i zgramoliwszy się z Bodzia, opuściła zadartą spódnicę, która jeszcze przed chwilą w całej krasie odsłaniała sekrety jej bielizny: błękitne barchanowe gacie na szerokiej gumie. Zmarszczyłam czoło: takie gacie w środku lata?

– Zły pan – odpowiedziałam, uznając, że wdawanie się w jakiegokolwiek szczegóły jest bezzasadne.

– Ale tobie niczego złego nie zrobił? – z troską zwróciła się do Kamili.

– Nie. Ewce też nie – odpowiedziała.

– To dobrze. Ale co teraz? Jeśli on jest zły, a ty w ręczce masz pistolet, to go bach, bach!

– Za to się siedzi! – Bodzio, z panicznym przestachem w oczach, słabo pogroził mi palcem.

– Najpierw odda telefony, które ma przy sobie, a potem zamkniemy go w komórce.

Bodzio rozszerzonej wersji mojego pomysłu nie przyklasnął i z niemałym oporem, który przełamała wykręcona przez Adelę ręka, oddał wreszcie to, o co mi chodziło: telefon swój oraz Kamili. Potem Adela bez cienia wysiłku wrzuciła go do komórki i z upiornym chrzęstem przekręciła tkwiący w zamku klucz.

– No i mamy go z głowy! – Otrzeпаła dłonie. – A teraz idziemy wróżyć, bo dobry czas minie i niczego się nie dowiemy.

– Otworzyć! – Bodzio załomotał w drzwi.

– Puszczą – zawyrokowałam, patrząc na przeżarte rdzą zawiasy.

Kamila wykazała pewne zainteresowanie i przez chwilę przyglądała się, jak rdza sypie się na podłogę.

– Chyba masz rację.

– Za jakieś pięć minut wylezie – stwierdziłam z kwaśną miną. – Poświęcę się i tu postoję. Jak wystawi choćby pół palca, zastrzelę jak psa.

– Do ciupy cię wsadzą i z wyjazdu nici – stwierdziła Kama. – A może ty, Dianuś, byś go? – Wykrzywiła się szpetnie i przejechała dłonią po szyi.

- Jeśli to ma pomóc... – I już lazała do drzwi, ręce przy tym zacierając.
  - Szkoda, żeby za tego parszywego szczura zgniła w więzieniu – szepnęłam do Kamy, a Bodziowy łomot przybrał na sile. Skąd ten wypierdek tyle jej w sobie miał?
  - Dianusiu, poczekaj, odsuń się, kochanie – rzekła Kamila i podeszła do drzwi, Bodzio tymczasem wykrzyknął:
  - Czirliderko! Jak mogłaś mi to zrobić?!
  - Ewka, to chyba do ciebie – powiedziała Kama. – Ty tam! – zawołała, a walenie na chwilę ucichło.
  - Poszłyście po rozum do głowy? Otwieracie? – zapytał.
  - Słuchaj, co ci powiem.
  - Już zamieniam się w słuch! – rzucił sarkastycznie i energicznie kopnął w drzwi.
  - Cicho ty będziesz?! – Kamila z całej siły trzepnęła pięścią w deski, aż echo po piwnicy się poniosło. Z drugiej strony zaległa cisza. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że była to głucha cisza.
  - Nie waż się włączyć na węgiel! – krzyknęła.
  - Na jaki węgiel?! Co mnie obchodzi jakiś węgiel!
  - Nie włącz na niego, bo rozwalisz butlę z nalewką, a jak wrócimy i zobaczymy, że ją stłukłeś, to Ewka najpierw strzeli ci między nogi, a potem między oczy!
  - Czirliderko! Nie zrobisz mi tego! – zawył.
  - Żebyś się nie zdziwił!
- Spojrzałam na Kamilę z dumą i podziwem. Nigdy, nawet w czasach, gdy jeszcze racjonalnie myślała i postępowała, nie spodziewałabym się po niej takiego sprytu, a co dopiero teraz, w chwili gdy jej umysł był tak mocno oczadziały. I tak jak moja przyjaciółka sądziła, Bodzio ucichł i nie musiałyśmy głośno tego mówić, bo wiedziałyśmy, co teraz robił: szukał butli z nalewką.
- Nie żal ci? Wyżłopie ci spadek po dziadku – powiedziałam smętnie, bo i ja miałam chętkę na nalewkę.
  - Przynajmniej nie będzie nam przeszkadzał. Chodźmy już. – Ruszyła korytarzykiem wprost ku schodom. Za nią poszła Adela z nieodłącznym koszykiem, a na końcu ja – z telefonami w ręku i Bodziową giwerą w kieszeni.
  - Skąd wiedziałaś, że jesteśmy w piwnicy? – zapytałam Adelę.
  - Tak się darliście, że na podwórzu było was słyhać. Ale co to za typek? Co on chciał wam zrobić, dziewczynki?
  - Przyjaciół przyjaciele Maliny – wyjaśniłam, co zabrzmiało może nieco zawile, ale Adela nie zabiegała o bliższe wyjaśnienia.
  - Wyglądał na nerwowego. Dobrze, że go zamknęłyśmy, bo wróżby by zepsuł. Gdzie będzie ognisko? Zmieniła temat i rozejrzała się po podwórzu. –

Niczego jeszcze nie przygotowałyście? – zapytała z naganą w głosie.

– Dianusiu, sama widziałaś, co nam się przydarzyło – powiedziała Kamila. – Ewka, chodź, nabieramy gałęzi.

– Gałęzi? Jakich gałęzi?! Tobie się chyba w głowie pomieszało? Na policję trzeba dzwonić, a nie głupotami się zajmować! – Na pierwszym telefonie (jak się okazało Bodziowym) zaczęłam wystukiwać dobrze znany wszystkim numer.

– A właśnie że nigdzie nie zadzwonisz! – Kamila wyrwała mi aparat i wrzuciła wprost do Śmierdziela.

– Nie szkodzi, mam drugi – powiedziałam i znów wycelowałam palec w klawiaturę. Kamila, nie zważając na to, że zniszczy własny telefon, również i nim cisnęła do wody.

– Zwariowałaś?! Telefony potopiłaś, a w piwnicy draba trzymasz. Jego miejsce jest w pierdlu! Policja musi się nim zająć! I do tego musimy wreszcie zgłosić zaginięcie Maliny, i Czeška również! Coś tu porządnie śmierdzi!

– Śmierdziel śmierdzi – powiedziała Kamila.

– Gdzie tajemnica, tam smród się unosi – sentencjonalnie dodała Adela. – A teraz bierzcie się do szykowania ogniska. Jak wszystko ładnie przygotujecie, wtedy coś wam powiem. Jak tu stoję, na pewno mi nie uwierzycie!

Oczywiście, że nie miałam zamiaru ani jej słuchać, ani tym bardziej wierzyć. Byłam jedyną osobą, na której ciążył obowiązek wykazania się zdrowym rozsądkiem, do mnie należało podjęcie racjonalnego działania. Nie zdradzając się, co mam zamiar zrobić, wróciłam do domu po mój telefon, który trzymałam nie w kieszeni plecaka, jak to powiedziałam Bodziowi, ale w szufladzie komody. Nim weszłam do kuchni, przystanęłam przy wejściu do piwnicy i nasłuchiwałam chwilę. Z dołu nie dochodziły żadne dźwięki – wypierdek albo żłopał cudzy alkohol, albo kombinował, jak uciec. Weszłam do kuchni, dopadłam mebla i wydobyłam aparat. Rozładowany! Rzuciłam się na poszukiwania ładowarki. Kilkanaście minut przetrząsałam wszystkie moje rzeczy, następnie rzeczy Kamili oraz pomieszczenie, i niestety jej nie znalazłam. Przecież nikt jej nie ukradł. Po co komu ładowarka bez telefonu? Czytnik e-booków był na swoim miejscu, a po ładowarce ani śladu. Gdyby rupieć normalnie funkcjonował, bez problemu teraz mogłabym zadzwonić, ale od jakiegoś czasu coś mu dolegało, bo bateria krótko trzymała, a ja zupełnie zapomniałam, aby przed wyjazdem kupić albo nową baterię, albo choćby aparat. Cholera by to wzięła! Zrobiłam kilka głębszych wdechów, rozejrzałam po pobjowisku i zastanowiłam się. Ukradli? Zgubiłam? Nie! Ja jej ze sobą nie zabrałam! To musiał być ten moment, gdy mama pomagała mi się pakować. Swetry i bluzki leżały na łóżku, a obok nich podłączony do ładowarki wpiętej do gniazdka za łóżkiem telefon. Mama niechcący go strąciła, a gdy podniosła, powiedziała, że już się naładował. Położyła go na stole.

– Tu, na widoku, ci go kładę, żebyś nie zapomniała zabrać.

Jak powiedziała, tak zrobiła, ale ładowarki z kontaktu już nie wyjęła, niechcący strąciła kabelek, ten wpadł za łóżko i tak oto ładowarka, w przeciwieństwie do telefonu, przestała rzucać mi się w oczy. A że byłam zaaferowana wyjazdem, pakowaniem i rodziną, zupełnie o niej zapomniałam. Na domiar złego Kamila miała inny model telefonu, więc jej ładowarkę mogłam sobie jedynie do... (że nie skończę) wsadzić. Koniec. Cholera jasna! Ale przecież na wsi musieli mieć telefony. Pójdę do pierwszej z brzegu chałupy, powiem, o co chodzi, i zadzwonię na policję. Niech przyjadą i chociaż tego Bodzia zabiorą. Jak im powiem, że gnatem nam groził, w mig tu się zjawią! Poklepałam się po tyłku. Tak, giwera była tam, gdzie ją wsadziłam. Wychodząc z kuchni, rzuciłam okiem na lodówkę. W brzuchu boleśnie mi zaburczało i przypomniał mi się schabowy Banasiowej. Tam, w tej zimnej, białej czeluści spoczywały pęta Czeskiej kiełbasy. W brzuchu ponownie mi zaburczało, a w głowie tak porządnie się zakręciło, że musiałam usiąść. Usiadłam więc naprzeciw lodówki, zapatrzyłam się w nią i zabębniłam palcami o stół. Tak... czekała mnie poważna misja. Wyzwanie wymagające nakładu energii nie tylko na czynności związane z ruchem, ale również z myśleniem, a ja byłam bardzo wygłodniała. Jeśli wygłodzona na wieś ruszę – mogę gdzieś zaśląbnąć i będzie nowy problem. Aby do tego nie doszło, koniecznie musiałam coś zjeść. Kamila miała jeszcze jakieś przegryzki, ale była to drobnica bez znaczenia, jak słone paluszki czy popcorn z Biedronki. Suchy chleb też był, ale na pewno nie dałby mi takiego energetycznego kopa jak kiełbasa. Tylko że kiełbasa kiełbasie równa nie jest. Ta Czeska była z tak zwanej promocji, czyli mówiąc przejrzyście językiem – przeceniona; rodziło się więc pytanie: dlaczego? Była przeterminowana? Zjeść albo nie zjeść, oto jest pytanie! Jakiego wyboru dokonać? Bębniłam paluchami, aż opuszki zaczęły mnie boleć, a mdłości coraz większymi falami nawiedzały żołądek. Podjęłam decyzję – najpierw muszę zaspokoić głód, potem zadzwonić, a później niech się dzieje, co chce. Wstałam i otworzyłam lodówkę – kiełbasa leżała zawinięta w szary papier i obrzydliwie zionęła czosnkiem. Zamknęłam oczy, sięgnęłam, ucałowałam zimny kawał, oderwałam go i zatrzasnęłam lodówkę. Nie otwierając oczu, ugryzłam kęs, potem drugi, trzeci i tak dalej, przeżuwając z grubsza, żeby się tylko nie udławić. Po wszystkim sięgnęłam po szklankę i nalałam z czajnika wody. Wypiłam duszkiem, splukując w głąb trzewi słono-tłusto-czosnkowy smak. Głodu już nie czułam i powoli wracały mi siły. A ponieważ czekała mnie ostra i zapewne długa akcja, ponownie otworzyłam lodówkę, oderwałam jeszcze jedno pęto i wsadziłam do tylnej kieszeni spodni (dobrze, że portki miały tak przepastne kieszenie!). Wróciłam na podwórze. Kamila uwijała się jak w ukropie i rzucała nad brzeg Śmierdziela mniejsze i większe gałęzie. Musiałam przyznać, że uzbierała ich całkiem pokaźny stosik. Nieco dalej Adela przykucnęła przy koszyczku i z pietyzmem coś z niego wyjmowała.

– Pomóż mi! – zawołała do mnie Kamila, ale zbyłam ją wzruszeniem ramion. Niedoczekanie! Głupoty się ich trzymały, podczas gdy we wsi działo się samo nie wiadomo co! Kamila podeszła bliżej.

– Pomóż, a ona ci powróży. A poza tym... – Pociągnęła nosem. – Co tak czosnkiem śmierdzisz?

– Pierwsza sprawa: nie pomogę, a druga: śmierdę nie czosnkiem, lecz Cześkową kiełbasą.

– Zjadłaś tę jego kiełbasę?! – krzyknęła z wyrzutem. – Po wróżbach chciałyśmy na ogniu ją upiec! Poza tym mówiłaś, że jej nie tkniesz.

– Głód mnie do tego zmusił. Ale nic się nie bój, całej nie zjadłam. Zajmij się lepiej swoimi wróżbami, bo wiatr się zmieni albo przybierze na sile, chmur nagna i gwiazdy zobaczysz jak świnia niebo – powiedziałam.

Kamila popatrzyła w górę.

– Nie zapeszaj!

– Nie zapeszam. Samo życie. Czasem coś się uda, czasem nie.

– Szybko, szybko, bierzmy się do zbierania gałęzi!

– Bierzmy? Sama się bierz. Nic mnie te wróżby nie obchodzą. Nie dotarło to jeszcze do ciebie? Poza tym przypominam ci po raz kolejny, że Malina zniknęła! Na dokładkę w piwnicy jakiś bandzior śpi w najlepsze, a ty...

– Śpi? Skąd wiesz, że on śpi?

– Nasłuchiwałam. Cicho było, więc pewnie spał. Albo cichcem coś kombinował, ale chyba żadnego podkopu nie robił.

– Jeśli wylezie, we trzy damy mu radę.

– Na mnie nie licz. Idę na wieś zadzwonić na policję.

– Co ci szkodzi poczekać jeszcze ten jeden wieczór? Nawet nie wiesz, jakie te wróżby Adeli są trafione. Nie uwierzysz, co mi przed chwilą powiedziała! Pamiętasz, co mówiła o nadciągającej miłości?

– Coś bredziła, ale nie rozwijaj tego wątku, bo mnie nie interesuje.

– Daj mi skończyć, to jest bardzo ciekawe.

– Niczego ci nie dam. Idę na wieś.

– Zostań. Noc się robi. Zanim wrócisz, będzie całkiem ciemno, a sama wiesz, że okolica niepewna.

Sprawnym, podpatrzonym w westernach ruchem wyciągnęłam giwerę z kieszeni i machnęłam Kamie przed oczami. Odsunęła się z przestraszeniem.

– Widzisz? Boisz się. I o to chodzi. Od tej chwili to mnie należy się bać!

– Dokąd się wybierasz, Ewuniu? – Niepostrzeżenie podeszła do nas Adela. W ręce trzymała jakieś czarne, cienkie badyłki. Patyczki? W każdym razie elementy wyglądały dziwnie.

– Na wieś. A co to jest? – Wskazałam palcem badyłki i wsadziłam giwerę z powrotem do kieszeni.

– Wronie nóżki. Idealne do stawiania kabały w taką noc jak ta.  
– Wronie nóżki?! Skąd je wzięłaś?! – Cześkowa kiełbasa podeszła mi do gardła.

– Mam swoje sposoby – odpowiedziała enigmatycznie, a ja postanowiłam nie wnikać głębiej. W jakikolwiek sposób je zdobyła, każdy był obrzydliwy.

– Jak się z tego wróży? – zapytałam, nie kryjąc złośliwego uśmiešku.

– Zaraz wszystkiego się dowiesz.

– Otóż właśnie to. – Kamila uśmiechnęła się z wyższością. – Ale najpierw wróży mi.

– Pewnie, że tobie. Ciekawe, jaką zrobisz minę, gdy Adela każe ci zjeść to plugastwo?

Kamila z paniką w oczach spojrzała na Adelę, ta pocieszająco poklepała ją po ramieniu.

– Nic się nie martw. Smakują lepiej, niż wyglądają.

– Naprawdę będę musiała to jeść?! – Jak żyję, aż tak wielkich oczu u Kamili nie widziałam. I dobrze jej tak, może wreszcie na nie przejrzy.

– Nie jeść, ale wypić. Z wodą lub ze spirytusem.

– To co? – szepnęłam do Kamy i, jak sądziłam, dyskretnym ruchem wskazałam na Adelę. – Zamykamy ją?

– Co?

– Czy ją zamykamy? Z dziadkowego pokoju na pewno nie ucieknie. – Nie traciłam nadziei, że przyjaciółka wreszcie wróciła do normalności. Jednym wystarczy pstryknąć przed nosem, a innym pokazać wronie nóżki, a ściślej powiedzieć, że mają je spożyć.

– Zwariowałaś?! – Kamila, niczym rozjuszona lwica chroniąca młode przed wygłodniałym drapieżnikiem, własną piersią zasłoniła Adelę. – Nie! Pierwsza wypijesz ten napój, a ja zobaczę, jak działa.

Adela tymczasem oddaliła się w stronę swojego koszyczka, przykucnęła przy nim i zdawała się czegoś szukać.

– Niczego pić nie będę – syknęłam stanowczo. – Idę na wieś, bo w końcu chcę zadzwonić na tę cholerną policję. – Szybkim ruchem wyjęłam z kieszeni giwerę i potrząsnęłam nią groźnie. – I nikogo się nie boję!

– Po co tam idziesz? – Adela wróciła do nas. W jednej ręce trzymała moździerz, a w drugiej obrzydliwe wronie nóżki.

– Przed chwilą mówiłam. Trupem mi tu śmierdzi.

– Ja żadnego trupa nie wyczuwam, a znam się na nich dobrze.

– Dianeczko, jaka ty wszechstronna jesteś! – z podziwem zapiła Kamila. – Wróżby, trupy, wszystko masz w małym paluszku!

– Ja jej nie wierzę, idę! – upierałam się przy swoim.

– Właśnie że nie idziesz – spokojnie rzekła Adela i zwinnym kopniakiem

wytrąciła mi z ręki gnata. Pistolet poleciał w jedną, a jej granatowy drewniak w drugą stronę, więc aby równo stać na ziemi, zdjęła drugiego i stanęła boso. – W noc bez broni chyba się nie ruszysz? – zapytała i zasłoniła leżący za jej plecami pistolet.

– A jeśli chodzi o trupy, żadnego w okolicy nie ma, bo z pewnością bym wyczuła, więc po co ciągnąć tu policję? Nerwowi są, hałasu narobią i powróżyć spokojnie nie dadzą, a dzisiejszy wieczór jest na to wyborny. – Przymknęła oczy i niuchała, ruszając przy tym nosem. – Cudowny wieczór, cudowny...

– Mówisz, że trupa potrafisz wyczuć? Ale niby jak? – zapytałam, tęsknie łypiąc w kierunku utraconej giwery.

– Po ludzku. Nosem.

– Jak się rozkłada, to każdy go wyczuje, tym bardziej gdy w pobliżu leży, filozofia to więc żadna – zauważyłam.

– Świeżego też wyczuję. I nie pytaj jak, bo sama nie wiem, jak to się dzieje. Czuję go nie tylko nosem, ale również pozostałymi zmysłami. Więc mówię ci, że trupa w okolicy nie ma i żadnych władz zawiadamiać nie należy.

– Może Malinę zatłukli gdzie indziej? Tak samo Krzycha i Cześka, o psie już nie wspomnę – podsunęłam całkiem sensowną konkluzję.

– Jeśli gdzie indziej, to tym bardziej nie ma po co kogokolwiek na pomoc wołać. Siedź tu cicho i nie psuj wieczoru.

– Słyszałaś, co powiedziała Dianeczka? Masz nigdzie nie chodzić, bo wieczór nam popsujesz. Dianuś, a ten móździerz to po co? – wtrąciła się Kamila.

– Wronie nóżki kruszę. Trzeba się brać do roboty, bo czas leci. Zaraz wiatr chmur nagna, gwiazdy znikną i nic z wróżb nie wyjdzie.

Wiatr rzeczywiście się wzmógł, spojrzałam na niebo – na horyzoncie pojawiła się ciemna chmura, a od stawu powiało nieprzyjemnym zapachem, coś jakby skwaśniałą zupą kalafiorową.

– A po co kruszysz? – podejrzliwie dociekała Kamila.

– Kruszone łatwiej wypić. Aby wróżba była pełna, teraz powinno się palić ognisko. – Z wyrzutem spojrzała na moją przyjaciółkę. – Ale trudno, zrobimy ją bez ognia.

– Pierwsza pije Ewka! – zdradziecko zawołała Kama.

– Nigdy w życiu!

– Nie ma mowy, ona nie dostanie – powiedziała Adela, patrząc na mnie z niesmakiem. – We wróżbach przede wszystkim trzeba mieć wiarę, a ona jej nie ma. Wypije nóżki, strawi, wydali i żaden pożytek z tego nie wyniknie. Za to ty, Kamilko, idealnie mi pasujesz.

– Dać jej podwójną porcję – szepnęłam i uniosłam kciuk, w odpowiedzi Kamila pokazała mi język. Owszem, niewerbalna komunikacja, którą właśnie się posłużyliśmy, nie była godna czterdziestoletnich kobiet, ale kto powiedział, że



baby w tym wieku muszą być poważne?

– Dasz mi do tego wody z jeziora? – Kamila zmarszczyła nos, bo Śmierdziel wyjątkowo się postarał i rozwinął szeroki wachlarz odcieni nieprzyjemnych smrodów.

– Nie, tym razem podam je ze spirytusem.

– Diano, Kama ma słabą głowę – zaoponowałam. Co by jej przyszło z upragnionej kabały, gdyby wróżka w sztok ją upiła?

– Kieliszek jej dam. Tyle wystarczy.

– Kama, pamiętaj, wypij przynajmniej na dwa razy, bo diabeł zobaczy i zaszkodzi wam gorzej niż cała komenda policji – powiedziałam, mając ubaw po pachy.

– Takich rzeczy nie można wyśmiewać! – ostro fuknęła Adela i podeszła do swojego koszyka, skąd wydobyla butelkę (zapewne tego spirytusu) oraz mały kieliszek. Wsypała do niego trochę proszku z mózdzierza, odkręciła butelkę i przelała nieco jej zawartości.

– Masz, pij! Na trzy razy bierz! Ale na dnie trochę zostaw, bo resztkę wylejesz prawą ręką przez lewe ramię.

– Chwila, chwila – wtrąciłam się – przecież miało być ognisko.

Żal mi było Kamy. Bezkrytycznie dawała sobie wcisnąć wszystkie kretynizmy i do tego jeszcze gotowa była wypić jakieś nie wiadomo co.

– Przecież mówiłam, że nie ma na to czasu. Chmury idą. Pij! – rozkazała Adela i wcisnęła w rękę Kamili kieliszeczek.

Przyjaciółce do oczu napłynęły łzy. Zmarszczyła nos i przecząco pokręciła głową.

– Jak mówię pij, to pij! – Adela nerwowo tupiała stopami w piachu.

Musiałam Kamę ratować, i to natychmiast.

– O, o! Zobaczcie! – krzyknęłam, pokazując palcem na drogę. Adela i Kama spojrzały w tę stronę, a ja szybko wyrwałam kieliszek z ręki przyjaciółki, wylałam i z powrotem wcisnęłam jej w dłoń. Manewr był spontaniczny i dość karkołomny, ale na szczęście udał mi się w stu procentach.

– Nikogo tam nie ma... – podejrzliwie rzekła Adela – A ty... – zwróciła się w stronę Kamili, ale nie dałam jej skończyć.

– O, jak szybko wypiła! – Znów, tym razem ostentacyjnie, wyrwałam jej z dłoni kieliszek i pokazałam Adeli dno. – Wszystko wyżłopałaś! – rzuciłam z pretensją do Kamy. – I czym teraz będziesz za ramię lać?!

– Aż do dna wypiła? – Adela była niezadowolona. – Trzeba powtórzyć, bo za ramię musowo trzeba chlupnąć.

Kamila zrobiła płaczliwą minę.

– Ale przecież... – zaczęła.

– Żadne ale, żadne przecież – kategorycznie powiedziała wróżka. – Wypijesz

jeszcze jeden.

– A nie można nalać trochę na dno i bez powtórnego picia za siebie chlusnąć? – podsunęłam.

– Nie można. Wystarczy, że ogniska na czas nie zrobiłyście. Jeszcze bardziej chcecie tę wróżbę zepsuć?

– Może więcej zmian dobrze by jej zrobiło? Wronie nóżki, choćby i na spirytusie, to rzecz dość obrzydliwa, pełny kieliszek można by od razu za ramię wylewać. Na przykład na trzy razy albo na cztery. Dwa chluśnięcia przez lewe i dwa przez prawe albo...

– I dlatego właśnie mierzi mnie wszelki postęp! – Adela wcale nie była ciekawa moich kolejnych pomysłów. – Musimy wszystko powtórzyć – sapnęła i ruszyła ku koszykowi skrywającemu butelkę ze spirytusem.

– O, zobaczcie! – zawołałam znowu i pokazałam na drogę.

– Daj spokój – z rezygnacją szepnęła Kamila. – Teraz już nic mnie nie uratuje.

– Ale tam naprawdę ktoś idzie! Jakby baba jakaś! Rany! Malina! Może to Malina wraca?! – Wydzierałam się wniebogłosy, bo w końcu co? Na wsi byłam. Wolno mi było.

– Malwinka, mówisz? – Adela wyprostowała się znad swego koszyka. – Nieee... przecież że to nie ona!

Niestety, miała rację. Dziewoja zbliżyła się na tyle, że mogłam ją bez trudu rozpoznać. To było Kasiątko. Tylko czego chciała? Czego tu szukała? Ach, rzeczywiście, przecież sama jej powiedziałam, żeby pod wieczór do nas wpadła. Czas na omawianie kwestii podjęcia pracy w Barcelonie dobry nie był, ale jej pojawienie się chwilowo odwlekło wypicie przez Kamę porcji wronich nówek.

– Kasiu, jak dobrze, że jesteś! – Uśmiechnęłam się szeroko. – Właśnie spieszymy się ze zrobieniem ogniska. Pomożesz nam, prawda? – zapytałam.

– Dobrze – odparła zaskoczona, że tak natychmiast wdrożono ją do roboty, a przecież w innym celu do nas przyszła. Cóż, w imię tego wyższego celu Kasiątko musiało zabrudzić swoje nowe džinsy (które idealnie podkreślały dolną część jej sylwetki) oraz wielobarwny T-shirt, który wyglądał na modny i drogi. Wystudiowany nieład włosów również mógł ulec niekontrolowanej destrukcji, ale wcale mnie to nie interesowało. Niech się uczy, że życie to nie bajka składająca się z ciuchów otrzymanych od kochanka, ale przede wszystkim ciężka robota. Niech się wprawia zatem. Cóż sobie myślała? Że w tej Barcelonie na wystawie ją ulokują?

– Szybko, szybko! – Klasnęłam w dłonie. – Musimy zdążyć, zanim się zachmurzy, bo Adeli sabat nie wyjdzie.

Adela szaleńczo błysnęła okiem, schowała do koszyka butelkę, moździerz, na końcu delikatnie włożyła Jadwinię, a całość przykryła dziecięcym kocykiem.

– Ewunia ma rację. Dodatkowa para rąk nam się przyda, zrobimy wreszcie to ognisko, a nóżki Kamusia później wypije i wszystko będzie, jak należy. Do roboty!

– I rzuciła się zbierać gałęzie spod drzew.

– Kamila – zwróciłam się do przyjaciółki, gdy wróżka była już na tyle daleko, że nie mogła mnie usłyszeć – uciekamy!

– Ale gdzie i po co? – zdziwiła się.

– Od wariatki i tych jej nówek! Na wsi się schowamy, a ona niech sama to ognisko rozpala.

– Zwariowałaś? Samą mam ją z ogniem zostawić? A jak chatę z dymem puści?

– Nie tak dawno o swojej części spadku wypowiadałaś się dość pogardliwie – przypomniałam.

– Przecież w piwnicy jest ten Bodzio! – Tę kwestię z kolei ona mi przypomniała.

– O rany, rzeczywiście. Nie chcę myśleć, co by było, gdyby go tam uwędziła.

– Więc widzisz. Bierz się do zbierania gałęzi i nie szafuj tak durnymi pomysłami.

– Durnymi? A to, że wybawiłam cię od wypicia wronich nówek na spirytusie, też było durnym pomysłem? Naprawdę bawi cię robienie sabatu? Kiedyś rozsądniejsza byłaś. Ba, nie kiedyś, wczoraj nawet.

– Nie przypominam sobie, abym prosiła cię o jakąkolwiek pomoc – rzuciła wyniosłe i oddaliła się na prawo, gdzie było mnóstwo spalonej słońcem trawy. Przykucnęła i z pasją zaczęła ją wrywać. Kasiątko przysłuchiwało nam się z wielkim zdumieniem wypisanym na pięknej twarzyczce.

– Wronie nóżki! – szepnęła z obrzydzeniem. – I pani Kamila zgodziła się na tę wróżbę?

– Zanim przyszłaś, nawet się wzbraniała, ale teraz najwidoczniej zmieniła zdanie.

Niestabilna praca umysłu mojej przyjaciółki doprowadzała mnie do szewskiej pasji.

– Mnie również Adela zaprosiła kiedyś do siebie na wróżby, ale gdy zorientowałam się, czym chce mnie napoić, uciekłam.

Ciekawe, czy też przez okno, jak przed swoim ojcem?

– Och, kochana, nie widzieliśmy ich, niestety – szybko odparła Banasiowa.

Oblizalam spierzchnięte wargi. I pić mi się również chciało, cholera, a przede mną takie niewdzięczne zadanie – dłużyć w ich pamięci, wbrew ciągłym zapewnieniom, że na ten temat nic do powiedzenia nie mają.

– Ale taki Jasiak, z włosami jak strzecha, mówił, że widział Czeška, jak koło południa wyjeżdżał z państwa podwórka.

Banasiowa rzuciła na męża przerażone spojrzenie i z jeszcze większą zaciekłością zaczęła wycierać ręce w koszulę. Mnie by było szkoda tej koszuli. Całkiem niezła była.

– Jasiak wam to mówił? – z ociąganiem zapytał Banaś.

– Tak.

– Przewidziało się gówniarzowi. – Banaś wzruszył ramionami. – Ten mały to taka wiejska zakąła. Ani się nie uczy, ani w polu nie robi, tylko znika gdzieś na całe dni. Ludzie gadają, że ćpa po krzakach, a potem śpi na sianie.

– Ćpa? – Ewaryst zaśmiał się nerwowo. – A gdzie na tej wsi narkotyki by dostał?

– Bo ja wiem? Może co wacha? Kleju w markecie nakupi, a potem buja w obłokach. Takiemu wierzyć nie warto.

– Właśnie, właśnie, takiemu wierzyć nie warto – z ulgą powtórzyła Banasiowa.

– Ale on był pewien, że go widział, tego Cześka, jak od państwa wyjeżdżał!  
– Było, jak mówiłam wcześniej Kamie: Banasiowie coś kręcą i ten zielarz również. A może ja z głodu w paranoję popadałam? Do tego wszystkiego nagle odczułam wielką potrzebę fizjologiczną i zaczęłam przestępować z nogi na nogę, a że niezbyt to skutkowało, coraz szybciej przytupywać.

– Zostaw, Ewka, ten temat i zapytaj o Malinę. Co ci ta Kaśka gadała?

– O Malwinie już mówiliśmy – zdenerwowała się Banasiowa.

– Czemu tak tupiesz, zimno ci? – zainteresowała się Kamila.

– Siku, siku... – jęknęłam konspiracyjnym szeptem.

– Najpierw jeść, teraz siku, co za dzidzia. Dzidzia piernik w dodatku. – Ton Kamili przybrał najwyższy poziom zniecierpliwienia.

– Oj, to proszę do toalety – ożywiła się Banasiowa i odsunęła, abym mogła wejść do domu.

– W garażu chyba państwo mieli WC, więc z niego skorzystam.

– Oj, nie, leć do środka, ten w garażu jest dla pracowników, w domu eleganciej. Zaraz na prawo masz wejście.

Upierała się w swej uprzejmości, więc skinęłam głową i wyczekałam stosowny moment, w którym mogłam ruszyć z miejsca bez obawy, że zmoczę gacie. Banaś usunął mi się z drogi, a ja w kilku susach wpadłam do domu, zgodnie ze wskazówką skręciłam w prawo i złapałam za klamkę drzwi do łazienki. Gdy było po wszystkim, z ciekawością rozejrzałam się po wnętrzu. Ładnie tam mieli. Kafelki raczej nie były najnowszym krzykiem mody, ale współgrały z całym wystrojem. Ręczniki były dobrane pod ich kolor – w odcieniu morskiej zieleni. W oknie wisiała fikuśna zasłodka, a na parapecie stały kolorowe doniczki z kaktusami. Jak na mój gust, trochę ich było za dużo, sprawiały wrażenie zagracenia i psuły idealne utrzymanie łazienki. Jeden kaktus kwitł, więc aby bliżej

mu się przyjrzeć, wyjęłam doniczkę, strącając na podłogę jakiś czarny, upchnięty między nimi przedmiot. Uważniejszy rzut oka sprawił, że oniemiałam. Wampiryczna książka! Podniosłam ją. Malina... ona zawsze była miłośniczką czytania w WC i pamiętam, jak utyskiwała, że w wiejskim wychodku dziadka, ze względu na smród tam panujący, musiała sobie odmawiać przyjemności płynącej ze zgłębiania lektury. Przekartkowałam książkę. Nie wiedziałam, jakie było wydanie dziadkowego egzemplarza, znaków szczególnych też nie zapamiętałam, nie mogłam się więc upierać, że trzymany przeze mnie wolumin był tym, który należał do dziadka Walerego. Jednak dziwny mi się wydał ten zbieg okoliczności. Książka o takim samym tytule zaginęła wraz z Maliną, a teraz znajduję ją w toalecie Banasiów. Niewykluczone, że i oni podczas czynności fizjologicznych lubili sobie poczytać. Zapewne tak właśnie było, bo jak inaczej? Malina miała być u nich i zapomnieć książki? Ale z jakiej racji? Odłożyłam książkę na miejsce i wyszłam na korytarz. Szybko jednak zawróciłam i zabrałam ją ze sobą. Pławski jeszcze nie poszedł, najwyraźniej zainteresowany, jak się potoczy dalsza rozmowa.

– O! – Wyciągnęłam przed siebie książkę.

– Co? – zdziwiła się Banasiowa.

– Książka jakaś – odezwał się Ewaryst.

– Taką samą miał dziadek. Pokaż! – Kamila wzięła ją do ręki. – Pewności mieć nie mogę... ale co ona tu robi?

– Nie rozumiem. Skąd ta książka się tu wzięła i o czym ona jest? – Banasiowa podeszła bliżej i przyjrzała się egzemplarzowi.

– W państwa toalecie znalazłam – wyjaśniłam. – Taka sama zniknęła wraz z Maliną.

Banasiowa zbladła, Banaś niemal wyrwał książkę z rąk Kamili i powiedział:

– Antosiu, jak możesz tego nie pamiętać?! Sam ją kupiłem, gdy Krzysiek jeszcze był mały. Przeleżała tyle lat w piwnicy, wczoraj ją przyniosłem i w łazience z kurzu oczyszczałem. Zapomniałem ją stamtąd zabrać. – Odchrząknął kilkakrotnie i zakaszłał.

– Ach tak, rzeczywiście mówiliście mi o tym. Zupełnie z pamięci mi to wyleciało!

– Coś mi się jeszcze nasunęło... – powiedziałam po chwili. – Kasia mówiła, że kobieta, która wybiegła z domu dziadka, wybrała się gdzieś w kierunku waszego domu... ale przecież to niemożliwe, żeby u państwa się schowała? Gdzieś w szklarniach na przykład. Tak z własnej inicjatywy oczywiście.

– Niemożliwe, bo w szklarniach nie ma gdzie się schować. Nawet gdyby ktoś wlaźł między rośliny, my dziś tam pracowaliśmy i nikogo nie widzieliśmy. Po kotłowni mąż również chodził. Oj, ta Kasia, Kasia...

– Następna, co po krzakach wacha – z pogardą rzucił Ewaryst.

– Tylko Kasia się upiera, że jednak kogoś widziała. Istnieje też inna

możliwość. – Zwróciłam się w stronę Ewarysta. Że też mu ta reklamówka nie ciążyła! Słuchał tak łapczywie, że zapomniał ją postawić na ziemi. – Ona mogła pobiec do pana suszarni, tych w dawnych magazynach, i gdzieś tam się ukryć.

Pławski zmienił się na twarzy, jakby mu ktoś wymierzył policzek.

– Nie! Nie ma żadnej możliwości, aby ktokolwiek tam się dostał! Bo... A! Pies tego pilnuje!

– Ale może by na wszelki wypadek sprawdzić? – nie dawałam za wygraną.

– Tam nie ma czego sprawdzać! Do lasu sobie idźcie i szukajcie do woli! Dobranoc! – Odwrócił się gwałtownie i poszedł w kierunku drogi.

– Co mu się stało? Nigdy nie widziałam go takiego wzburzonego – zdziwiła się Banasiowa.

– Ewka, chodźmy już – powiedziała Kama.

– No właśnie... – stwierdziła Banasiowa. – Skoro nie chcecie z nami zjeść... a kotlety mi się już przypalają...

– Tak, tak, już idziemy. Dziękujemy i przepraszamy. – Kamila spojrzała na mnie karcąco. Przy wyjściu z podwórka obejrzałam się za siebie. – Banasiowa popędziła do swoich kotletów, a Banaś stał na progu i z zainteresowaniem wertował książkę.

Kamila szła szybko, a ja wlokłam się trzy kroki za nią.

– Pośpiesz się! Zaraz przyjdzie Adela, a my jeszcze niczego nie przygotowałyśmy!

– Nic mnie to nie obchodzi. – Podbiegłam, aby się z nią zrównać. – Miałam rację, Banasiowie coś ukrywają. I ten Pławski również coś ma na sumieniu.

Ostatnie zdanie powiedziałam z pewnym ociąganiem, bo stosunkowo niedawno zachłystywałam się wiedzą i szeroką działalnością społeczną Pławskiego. Czy rzeczywiście coś ukrywał?? Czy naprawdę każdy poznany przeze mnie zielarz musi być typem spod ciemnej gwiazdy? Czy oni wszyscy tacy byli, a może to ja miałam szczęście do wyrodnych typów?

– O co ci znowu chodzi?

O co mi chodzi? Dobre sobie! Ślepa była? Głucha?

– Już tyle razy na ten temat gadałaś, co masz jeszcze do powiedzenia?

– Jasiek mówił, że widział Cześka wyjeżdżającego z podwórka Banasiów. Oni temu zaprzeczyli. Kasia widziała kobietę biegnącą w stronę ich domu, to również zanegowali. A jak zasugerowałam, że biegła do suszarni Ewarysta, to z kolei on się zdenerwował.

– Jasiek to narkoman, sama słyszałaś, a co do Kaśki, w nocy mgła była, o tym również słyszałaś.

– Jak łatwo wcisnąć ci głupoty! Najpierw uwierzyłaś Adelce, a teraz tym, których słowa najbardziej ci odpowiadają i nie zmuszają do jakiegokolwiek wysiłku czy podjęcia akcji.

– Jaka akcję chcesz podejmować? Co robić? Szukałaś ich przecież, przepętałaś niemal całą wioskę, czego jeszcze chcesz?

– Zajrzeć do Ewarystowych suszarni.

– Oszalałaś? Po co? Równie dobrze po lesie mogłabyś pobiegać.

– Nie, Pławski coś ukrywa.

– Twoim zdaniem Banasiowie również czyści nie są.

– A są? Dziadkową książkę u nich znalazłam! I powiedz, skąd się tam wzięła?

– Oj, moja droga, bo się pogniewamy. Banaś przecież ci powiedział. Obsesji dostałaś!

– Niczego nie dostałam! A do suszarni Ewarysta i tak zajrzę. Ten jego Stefek też był nerwowy, więc muszę zobaczyć, co tam chowają.

– Pewno Malinę – parsknęła śmiechem.

– Na to właśnie liczę. I wiesz, co ci jeszcze...

– O, zobacz! – Kamila nagle się ożywiła. – Tam idzie Adelia. Diana! Dianuś! – zaczęła głośno krzyżeć i machać do niej ręką. Drogą przybliżała się korpulentna postać – Adela we własnej osobie. Znów miała ze sobą plastikowy koszyk, ale niosła go z pewnym wysiłkiem, jakby był czymś mocno obciążony. Podeszła bliżej i zauważyłam, że swoje smętne kosmyki spięła w całkiem ładny kok.

– O, dziewczynki! – Obdarzyła nas szczerym, szerokim uśmiechem, którym – zważywszy, co mówiłam na jej temat – wzbudziła we mnie wyrzuty sumienia.

– Idziesz do nas, Dianuś? – Kamila była w siódmym niebie. – Ale my takie nieprzygotowane jesteśmy! To wszystko przez... – Spojrzała na mnie złym wzrokiem. – Przez tę Malinę i Cześka oczywiście, bo szukałyśmy ich po całej wsi i nie zdążyłyśmy przygotować ogniska.

– Oj, nie szkodzi, nie szkodzi. Teraz niosę Zygmuntowi kolację, trochę mi u niego zjeździe, więc na pewno w tym czasie wszystko naszykujecie, tak jak należy. A jeśli nie, chętnie wam pomogę.

– Dianuś, ty nawet nie wiesz, jaka jesteś kochana! – Moja orientacja seksualna była jak najbardziej tradycyjna, ale mimo to zabolął mnie nieco fakt, że Kamila właśnie do Adeli, nie do mnie zwracała się „kochana”.

Do zagajnika, za którym krył się dom dziadka Walerego, szłyśmy razem, ale tuż przed końcem zadrzewienia Adela się zatrzymała.

– To ja, dziewczynki, pędzę do Zygmunta. Gdy tylko go oporządę, od razu do was przylecę. Pa, pa! – Pomachała nam przyjaźnie, Kamila odmachwała jej czule, a ja na żaden przyjacielski gest zdobyć się nie mogłam. Cóż, już tak miałam – jeśli kogoś nie lubiłam, to nie lubiłam, i kropka.

– Jaka z niej ciepła kobieta – westchnęła Kamila. – Że też wcześniej się na niej nie poznałam.

- Nie pamiętasz, jak ją nazywałyśmy?
- Nie bądź wredna. Wcześniej jej nie znałyśmy.
- A teraz znasz?

Kamila obdarzyła mnie zimnym spojrzeniem.

- Obawiam się, że możesz zepsuć nam wieczór.
- Że niby co?

– Właśnie to, co powiedziałam. Będiesz nam przeszkadzać i głupio komentować. Znam cię jak swoje dziesięć palców.

– Niczego wam nie popsuję. – Nie powiem, znów mnie uraziła. Traktowała mnie jak piąte koło u wozu, na dodatek felerne. – Będę siedzieć cicho. Obiecuję.

– Obyś dotrzymała słowa.

Gdy wychodziłyśmy z zagajnika, z pewnym utęsknieniem wyciągnęłam szyję w kierunku dziadkowego podwórza, by sprawdzić, czy stoi tam Cześkowa corsa, a może nawet Malina się szwenda. Niestety. Niczego i nikogo wyczekiwanego przeze mnie tam nie było. Stały tam za to dwa samochody: zjawiskowy bentley Wiktora oraz czarne bmw z przyciemnionymi szybami. Znałam ten ostatni model, bo wuj Gwidon swego czasu jeździł identycznym. Wiktor opierał się o bentleya i nerwowo palił papierosa. Nie, on go nerwowo nie palił. On go wściekle pochłaniał. Na nasz widok ożywił się, rzucił niedopałek w piach, przydeptał i zagrzmiął:

– Gdzieście łaziły?! – Podeszedł do bmw i walnął dłonią w dach. Dochodząca z wnętrza głośna muzyka natychmiast ucichła. – Bogdan!

Z auta wyskoczył drobny mężczyzna. Miał na sobie hawajską koszulę i czerwone krótkie spodenki. Powolnym ruchem przesunął przeciwsłoneczne okulary tuż pod linię jasnych, uczesanych w kaczki kuper włosów i wnikliwie nas otaksował. Jego spojrzenie odarło mnie nie tylko z odzieży, ale i z lichego ciała oblekającego równie lichy kościec. Gówniarz przypatrywał mi się obleśnie i bezczelnie. Nie pozostałam dłużna i wymownym spojrzeniem dałam mu odczuć, że dla mnie był nieatrakcyjny jak morze bez wody, pustynia bez piasku czy biblioteka bez książek. Dla mnie był jedynie bladym wypierdkiem z krzaczastymi, żółtawymi brwiami i chytrym, lisim spojrzeniem. Kamila, widząc Wiktora, ożywiła się, szybko poprawiła włosy i pokąsała dolną wargę. Nie z nerwów to oczywiście uczyniła, a dla uzyskania seksownego efektu pełnych ust.

– Ewka! – szepnęła, tłumiąc kretyński chichot. – Ten młody!

– Co młody?!

– Wróżba Adeli! Twoja miłość! – Przyjaciółka zaniósła się głupkowatym, szaleńczym śmiechem.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – odrzekłam lodowato. Tymczasem Wiktor, gnany niepokojem o ukochaną Malinę (że też Kamila wciąż nie przyjmowała tego do wiadomości!), zrobił w naszym kierunku dwa kroki i zaryczał



rozpaczliwie:

– I co?! Nie ma jej!

– Niestety – odpowiedziałam, zerkając na wypierdka.

Nie mogło być inaczej, gusła Adeli musiały być stekiem bzdur! – pomyślałam z rozpaczą. – A co, jeśli tym razem trafiła w dziesiątkę? Eeeee... niemożliwe, do tanga trzeba dwojga, a ja z tym gówniarzem z pewnością nie zatańczę. Nigdy!

– Ja pierdołę, tej... – rzucił z podziwem młody. – Czirliderki... – Cmoknął, uśmiechnął się i ponownie nas obejrzał, przy czym odniosłam wrażenie, że znów jakby bardziej skupił się na mnie. Cholera jasna, odpukać w niemalowane!

– Kurwa mać, gdzie jest ta Malwina?! – ryczał tymczasem piękny Wiktor, a jego grzywa falowała intensywnie, to zasłaniając, to odsłaniając lewe oko.

Kamila wzruszyła ramionami, ponownie pokąsała wargę i ponownie poprawiła włosy. Tym razem bardziej się postarała i dopracowała gest, z jakim to uczyniła – włożenie kosmyków za uszy wykonała powoli, kusząco i zmysłowo. Po chwili jednak szybkim ruchem przywróciła je na poprzednie miejsce. Ha! Ja wiedziałam dlaczego – z powodu starczych uszu!

– Nie wiemy – odpowiedziałam.

Wiktor wściekle wypuścił powietrze przez nos i bezsilnie rozejrzał się po okolicy, jakby się spodziewał, że poszukiwana zamajaczy na horyzoncie lub choćby wychynie zza pobliskiego krzaczka.

– Co teraz? – zapytał wypierdek i podszedł bliżej, aby lepiej nam się przyjrzeć. Jeszcze się nie nagapił? Krótkowidzem był czy jak?

– Po ile one mają lat? – Skinął na nas głową.

– Czego tam chcesz? – fuknął na niego Wiktor.

– Ile mają lat, szefie?

– Pewnie jak Malwina, ze czterdzieści.

– Ja pierdołę, tej, niezłe suczki! Szczególnie ta jedna. – Uśmiechnął się do mnie uwodzicielsko, co tak jak i komplement nie zrobiło na mnie wrażenia. Za to wrażenie zrobiło na mnie jego kolejne wyartykułowanie przerywnika „tej”, który był niczym zdradliwy odcisk palca odkrywający pochodzenie – nie mogło być inaczej, pochodził z Wielkopolski.

– Bodzio do mnie mówcie – powiedział i wyciągnął do mnie łapę. Czy miałam wybór, czy miałam inne wyjście? Musiałam ją ucisnąć i się przedstawić. Do Kamili z łapą już się nie pokwapił, a ta, choć ją jawnie zignorował, wydawała się wniebowzięta, jakby świeżo usłyszana wróżba już zaczęła działać. Tylko że ja tego działania w ogóle nie dostrzegałam. Czy Wiktor jakimkolwiek gestem dał jej odczuć, że wpadła mu w oko? Nie zauważyłam. A ona nie zauważyła tego, jak szaleńczo pieklił się o Malinę. Oślepla ta moja Kamila, po prostu oślepla.

– Ewa... Ewunia ci na imię... pierwsza kusicielka! Pięknie! Pięknie! – zapiął

z zachwytu Bodzio. Rany boskie, kusicielka! Cóż to dziecko plecie? Żołądek chory, kolano trzeszczy, nerwy zszargane, a twarz jeśli nie pod skalpel, to przynajmniej do gruntownego ostrzyknięcia się nadaje. Jakiż on miał spaczony gust, jak bardzo zwyrodniałe preferencje!

– Więc mówicie, że piękna przepadła? – Bodzio wreszcie (z niechęcią!) puścił moją dłoń i palcami przeczesał kaczy kuper.

– Właśnie! Nigdzie jej nie ma! – Kamila zakrzyknęła tak dramatycznie, że spojrzałam na nią z osłupieniem. – Nigdzie jej nie ma i mam tego dość! I nie chodzi mi wcale o to, że do spadku jest mi potrzebna, bo ja za moją kuzynką po prostu tęsknię!

Dech mi zapało. Dopiero bez cienia zaangażowania snuła się ze mną po wsi, głowę w chmurach nosiła, o pięknym Wiktorze marzyła, a teraz teatr odstawia. Ale po co? W jakim celu? A może grała tak przed Wiktorem właśnie? O zaginioną kuzynkę troszczyć się wypada, więc na pokaz cyrk urządziła, żeby przystojniak miał dobre o niej zdanie i choćby przez krótką chwilę przychylnym okiem popatrzył.

– Jeśli w ciągu godziny się nie znajdzie, zawiadomię policję! – lamentowała jak zawodowa płaczka. Za godzinę to ona chce przez ogień skakać, gusła czynić, a nie na policję jeździć... To dopiero kłamczucha!

– Ani mi się waż! – Wiktor podskoczył, jakby piorun w niego strzelił, co wcale mnie nie zdziwiło, bo pamiętałam jego wcześniejsze reakcje na wzmianki o policji.

Kamila skuliła się w odruchu obrony na nagły atak. Nie wiem, czy naprawdę się wystraszyła, czy tylko udała, że się boi, w każdym razie wyszło jej to wybornie realistycznie.

– A jeśli jej się coś złego stało? – pisnęła rozpaczliwie, kąsając przy tym dyskretnie wargę.

– Coś złego to się jej dopiero stanie, gdy wreszcie ją dorwę. – Wiktor pogroził pięścią w wiejską przestrzeń. – A o policji więcej słyszeć nie chcę! Zrozumiano? – Z jego oczu powiało cmentarną grozą i mogłabym przysiąc, że śpiew ptaków przycichł, a wiaterek, który do tej pory przyjemnie nas owiewał, stał się kilka stopni chłodniejszy. Krótko mówiąc: powiało horrorem.

– Uspokój się, Kama! – syknęłam, ale w porę zdążyła odczytać ostrzeżenie przyrody, bo już spokojniej powiedziała:

– Ale mnie ona też jest potrzebna. Do spadku. Że o wielkiej tęsknocie nie wspomnę...

– Mnie bardziej – mruknął Wiktor i zaczął postukiwać butem. Nerwy puszczały mu ewidentnie. – A ten wasz koleżka, gdzie jest? Też nie wrócił?

Bezsensownie zadał to pytanie, bo przecież jak wzrokiem nie sięgnąć, Cześka widać nie było. Jego auto pod domem nie stało, Szczek po podwórzu nie

łaził, więc, do cholery, po co facet głupio pytał?

– Jak widać, nie – powiedziała Kamila i poprawiła włosy. – Wejdz do domu i sprawdź, ale nie sądzę, aby tam siedział.

– Boguś! Skocz do chaty i zobacz, czy kogoś tam nie ma.

Bodzio w kilku susach znalazł się przy drzwiach i szarpnął za klamkę.

– Szefie, zamknięte.

– Aha – odparł Wiktor. – Chodź ze mną! – Skinął na niego, a gdy ten znalazł się odpowiednio blisko, złapał go za ramię i pociągnął ku przekwitłej forsycji. Po chwili, jako przerywniki między kolejnymi zdaniami Wiktora, doszło do nas raz po raz rzucane przez Bodzia:

– Ja pierdolę, tej!

– I co teraz?! – zapytałam Kamilę.

– Nie wiem... Zupełnie nie mam pojęcia... – odpowiedziała, tęsknie łypiąc na Wiktora. – On wcale mnie nie zauważa... – Zrobiła płaczliwą minę.

– Ogarnij się! Nie o to mi chodzi. Co dalej z Maliną?

– Ach, z nią? Nie wiem, przecież jej nie ma. – Wzruszyła ramionami. – Poproszę Adelę o wróżbę na jej temat, na pewno coś się wyjaśni.

– Przestań z tymi cholernymi wróżbami! Banasiom pomogła? – zapytałam chytrze.

Spojrzała na mnie jakby nieco bardziej przytomnie. – Właściwie to nie wiem. Muszę ją o to zapytać...

– Mam nadzieję, że niedługo stąd się wyniosą – powiedziałam, patrząc na intruzów. Drażniła mnie ich obecność. Kamila była pod wrażeniem Wiktora, co guzik mnie obchodziło, ja nie byłam pod niczym wrażeniem, za to zaczynałam czuć obawę, czy kiedyś wyjedziemy stąd w dalszą podróż.

– Przeszkadzają ci? – zapytała. – Bo mnie wcale.

– Kama... – Nie zdążyłam rozwinąć moralizatorskiego zdania, bo Wiktor i Bodzio wyłonili się zza krzaka i podążali ku nam zamaszystym krokiem.

– Słuchajcie, właśnie podjąłem decyzję – oznajmił Wiktor. – Ja jadę, Bodzio zostaje.

– Po co? – syknęłam ze złością.

– Dlaczego on?! – pisnęła Kamila.

Wypierdek uśmiechnął się szeroko.

– Też się cieszę, że zostaję. Czirliderki wy moje...

– Tej! – dokończyłam złośliwie.

– Otóż to, tej! – zakrzyknął, co zabrzmiało niczym góralskie „hej”.

– I żeby nie było żadnych niedomówień – ciągnął Wiktor. – Bodzio będzie z wami do czasu, aż Malwina się odnajdzie. Ponadto będzie was pilnować, żebyście nie poleciały z jezorami do glin albo żebyście nie wpadły na pomysł, aby dać stąd nogę. Jakieś pytania?

- Chyba żartujesz! Przecież to więzienie! – zaproponowałam.
- Gadaj, co chcesz. Dopiero gdy Malwina się odnajdzie, puszczę was wolno
- powiedział. – Trzeba było uważniej przyjaciółki dobierać.
- Przyjaciółki? Jakie przyjaciółki? – zdziwiła się Kamila. – Że co niby? Że my się przyjaźniłyśmy?!
- Kama była zaskoczona.
- Nie tylko przyjaźniłyście, ale ponoć nadal przyjaźnicie – potwierdził Wiktor.
- My z Maliną? Ale to bzdura! – Kama rzuciła z rozpaczą w głosie. – Ona sama z własnej inicjatywy za nami się włóczyła i bezczelnie psuła wakacje! Gdybym wiedziała, że w przyszłości tak nas wrobi, z przyjemnością utopiłabym ją wtedy w Śmierdzielu! Malina nigdy nie była naszą przyjaciółką. *Never!* – rzekła z mocą w głosie i plasnęła dłonią w mostek. – Powiedz coś, Ewka!
- Wzruszyłam ramionami, co tu gadać?
- Wcześniej mówiłaś, że za nią tęsknisz – odezwał się Wiktor. – Więc kiedy kłamałaś? Wtedy czy teraz? Ja ci odpowiem – teraz!
- Ale ja właśnie teraz nie kłamię!
- Kłamiesz! Nie wstyd ci? W twoim wieku?
- No właśnie, tej! – Bodzio skwapliwie poparł szefa.
- Gdzieście ją ukryły, co?!
- Nie ukryłyśmy Maliny! – zaproponowałam. – I naprawdę ona nigdy nie była naszą przyjaciółką. Nie mam pojęcia, dlaczego ona wymyśliła taką bzdurę. A Kamila wcale za nią nie tęskni, proszę mi wierzyć!
- Gównu ci wierzę. Gadasz tak, żebym się odczepił, ale ja nie odpuszczę i ją dopadnę! Ode mnie uciec nie można!
- A na marginesie, dlaczego miałyby od ciebie uciekać? – zainteresowałam się.
- Właśnie, ty przecież taki przystojny jesteś... – Kamila zatrzepotała rzęsami, no i oczywiście przygryzła wargę.
- Pewnie jej coś zrobiłeś – zasugerowałam, nie kryjąc złośliwości. – Lależ ją? – Złożyłam ręce na piersi i złowieszczo zmrużyłam oczy. – Bzykałeś się, z kim popadnie, a potem nad ranem wracałeś pijany, co?
- Nic ci do tego! – Wiktor był wściekły.
- Czy od razu musiał jej coś zrobić? – ofuknęła mnie przyjaciółka. – Była głupia i taka została. Głupie zawsze działają nieracjonalnie.
- Otóż to! Malwina jest wyjątkowo głupia – przytaknął Wiktor, a jego policzki poróżowiały mocno. – Ale was, moje drogie, przetrzymam! Albo ją gdzieś ukryłyście, albo pomogłyście w ucieczce. Wszystkie trzy mnie popamiętacie!
- Szefie! Izi, izi! – Bodzio uspokajająco poklepał go po ramieniu.
- Wiktor strącił jego rękę.

– Niech szef już jedzie, czas ucieka. Zajmę się tymi babami. – Uśmiechnął się obleśnie. Wiktor łypnął na niego i na nas po raz ostatni, z pewną dozą bezsilności, rozejrzał się po okolicy i wsiadł do auta.

– Będziemy w kontakcie – rzucił do Bodzia, zabuksował oponami w piachu i wyjechał z podwórza, a Kamila (jakże przykro było na nią patrzeć!) do końca, aż zniknął jej z oczu, wiodła za nim rozmarzonym spojrzeniem i przygryzała dolną wargę.

Zostaliśmy sami.

– Dawać telefony! – Bodzio wyciągnął do nas rękę. Zauważyłam, że na kciuku miał srebrny sygnet, a nadgarstek przyozdobiony był tatuażem oraz złotą bransoletką.

– Słucham?

– Ty nie słuchaj, tylko dawaj. Na razie telefon... – Uśmiechnął się lubieżnie. Lubieżnie! Popatrzyłam na niego z politowaniem. Mogłam być jego matką, czy tego nie widział? Czego się dziecku zachciewało? Co mu się w głowie roiło?

– Mowy nie ma! I ty też mu nie dawaj – na wszelki wypadek mruknęłam do Kamili.

– Oszalałaś?! – odpowiedziała, tępo gapiąc się na drogę. Wzniesiony autem Wiktora kurz dawno osiadł, a samochód zniknął na horyzoncie. Nie wiadomo gdzie kochaś Maliny pojechał, a taką samą niewiadomą było, kiedy powróci i raczy uwolnić nas od wielkopolskiego erotomana. Tak, Wiktor odjechał, a Kamie znów na głowę padło.

– Dawać, dawać, nie zwlekać! – ponaglił nas Bodzio. Szybko kombinowałam, co dalej. Mogłybyśmy mu na przykład dołożyć, sprawić takie manto, jakiego nigdy od rodzonej mamusi (ani tatusia) nie dostał, ale do tego potrzebowałam pomocy, a wszelkie objawy wskazywały, że na Kamilę liczyć nie mogłam. Ciągle, jak ten osioł ostatni, gapiła się na opustoszałą drogę. I jak jej ufać? Gdybym się na niego rzuciła, ona, nie wiedząc, o co mi chodzi, o co walczę, mogłaby jeszcze wystąpić w jego obronie. Kolejną szansę niosła ze sobą ucieczka. Było gdzie uciec – w krzaki, do lasu, pełno tego było wkoło, ale na przeszkodzie znów stała Kamila. Czy gdybym zerwała się do biegu, wykazałaby się należyty m refleksem i podążyła za mną? Bzdury, którymi nakarmiła ją Adela, spowodowały, że zachowywała się, jakby naćpana była nie mniej niż wioskowy Jasiek. A przecież bez niej uciec nie mogłam! Nie mogłam jej zostawić samej. Narada też odpadała, bo po pierwsze obok tkwił wielkopolski wypierdek, a po drugie kretyński stan Kamili wskazywał, że przeprowadzenie jakiegokolwiek rozmowy, nie mówiąc już o strategicznej, nie było możliwe do wykonania. Dodatkowo sprawiała wrażenie, jakby nie zależało jej na jakimkolwiek stawianiu oporu, i wbrew wcześniejszej deklaracji już sięgała do kieszeni po komórkę.

– Kamila! – rzuciłam ostrzegawczo, lecz ona nie zwróciła na mnie uwagi i podała Bodziowi telefon.

– Teraz twój – powiedział.

Przecież nie mogłam mu dać ostatniego pozostałego aparatu!

– Muszę?

– Musisz!

– Mam ją w domu. W bocznej kieszeni plecaka. – Podzieliłam się z nim tylko częścią prawdy, bo moja babcia zawsze przestrzegała, żeby całej dupy nigdy nie pokazywać.

– Okej. Chodźmy więc do środka.

Ruszyliśmy przodem, a za nami niechciany strażnik. W głowie roił mi się plan. Dobrze by było go w tej chacie zamknąć. Tylko gdzie? Każdy pokój miał jeśli nie jedno, to kilka okien, więc żaden się nie nadawał na więzienie, nawet te na piętrze, bo taki gówniarz bez problemu i z pierwszego piętra ucieknie. Przypomniała mi się piwnica. Tak, to było dobre miejsce!

– Kamila, słuchaj – nachyliłam się do ucha przyjaciółki i nim szepnęłam jej słowo – piwnica – poczułam na plecach ucisk czegoś metalowego. Brzydal miał żelazny palec?

– A weź mi to z pleców! – Machnęłam za siebie ręką i się odwróciłam. Nie, to nie był żelazny palec, to był pistolet, giwera, czy jak to nazywają. Niewykluczone, że tylko atrapa, ale na wszelki wypadek wolałam być grzeczna.

– I co, lala? Ze mną nie przelewki.

– Kamila, on ma pistolet – powiedziałam, na wypadek gdyby nie zauważyła.

– Widzę. Ładny.

– Ty nie bądź taka dowcipna – powiedział do niej – a ty – to już było do mnie – prowadź po tę komórkę, tej!

– Okej, okej – powiedziałam. Weszliśmy do domu i poprowadziłam w głąb korytarza, tuż przed wejściem do naszej kuchni skręciłam w prawo, na schody do piwnicy. Modliłam się tylko w duchu, aby Kamila nie zapytała, po co tam idziemy, ale na szczęście jej zdawało się to nie obchodzić. Uporczywie tkwiła w swoim świecie i nic nie wskazywało na to, że miała szybko z niego powrócić. Zeszliśmy po schodkach w dół, pchnęłam drzwi do komórki.

– Tej, lala! Ty w jajco mnie nie rób! W takiej norze plecak trzymasz?!

– Masz jakieś obiekcje?! – rzuciłam do niego tak kategorycznym tonem, że więcej nie powiedział ani słowa.

– Włóż tam, a ja poczekam. O, i światła tu nie macie. – Kilkakrotnie pstryknął przełącznikiem. – Zaraz – chwycił za ramię Kamilę – ona zostanie ze mną. Na wypadek gdybyś wpadła na jakiś głupi pomysł. Zobacz! – Machnął giwerą. – Raz naciśnę spust i psiapsiółka do aniołów polecą.

Ostrożnie przekroczyłam próg, gorączkowo przy tym kombinując, jak wypierdka zwabić do środka? Teraz, kiedy trzymał przy sobie ogłupiałą Kamilę, było to szczególnie trudne. Wkroczyłam w ciemność.

– Tej! Gdzie tam jesteś?! Z oczu mi zniknąłeś! – Kaczy kuper wyraził swe zaniepokojenie. Ponieważ nie miałam pomysłu, jak dalej postąpić, postanowiłam milczeć. Bardziej wcisnęłam się w kąt i zastygłam w bezruchu.

– Odezwij się, bo do psiapsiółki strzelę!

I proszę, nawet ten plan, prymitywny jak świński ogon, spalił na panewce.

– Jestem, jestem, szukam plecaka!

– To głośno szukaj, żebym wiedział, że tam jesteś, a nie spieprzyłaś jakimś

tajemnym wyjściem!

Na oślep kopnęłam przed siebie, trafiając, o czym się dowiedziałam dopiero po chwili, w kawał węgla, który poleciał wprost na stojącego w wejściu wypierdka. Dostał w ramię, podskoczył i strzelił na oślep. Kula na szczęście dziabnęła gdzieś z tyłu, najprawdopodobniej w deski, którymi zabite było okno.

– Ożeż ty! Wyłaż stamtąd, bo zaraz ją trafię!

– Au! – krzyknęła Kamila. – On mnie ściska! Miażdży mi ramię!

Proszę, proszę, kto by się spodziewał tyle siły w marnym cie!e!

– Puść ją! – warknęłam wściekle i ruszyłam z powrotem. Co za głupi pomysł z tą piwnicą! Wymyślić, żeby go zamknąć, to wymyśliłam, ale na to, jak to zrobić, już mi konceptu brakło. Mózg po czterdziestce nie taki sprawny.

– Idę! – powtórzyłam, żeby nie sądził, że tyle to trwa, bo znów kombinuję. Za ciemno było, żeby poruszać się szybciej.

– Nie, chwila! Stój tam, gdzie jesteś! Ty! – Szturchnął Kamilę. – Jest tam jakieś przejście, wyjście czy dziura jakaś, którą byście spieprzyły? Tylko prawdę gadaj, bo jak was tam zamknę i bokiem wyleziecie, to zastrzelę bez mrugnięcia okiem.

– Nie. Nie ma tam żadnego przejścia.

– Świetnie. Więc włącz! – Pchnął Kamilę, lecz ona, zapewne z powodu wróżebnego otumanienia, zamiast wpaść wprost w czarną czeluść, gdzie ja już siedziałam, wydawała się przytwierdzona do podłoża.

– Co z tobą?! – Bodzio szarpnął ją, co przyniosło lepszy skutek, i gdyby ponowił wysiłek, zapewne po chwili by ją w tym pomieszczeniu ulokował, ale z góry doszedł nas jakiś głos.

– Cicho! – powiedział Bodzio. – Kto to?

Zamieniłam się w słuch, a po chwili usłyszałam wyraźne:

– Dziewczynki! Gdzie jesteście?!

W tym miejscu zrodziło się pytanie retoryczne: któż to mógł tak słodko do nas wołać? Oczywiście tylko ona, wiejska, domorośla wróżka.

– Dianusia! Dianuś! Ratuj! – W członki Kamili wstąpiło życie. Poruszyła się sprężyste i już znalazła się przy ścianie z dala od wejścia do komórki. Ja również nie zwlekałam, potykając się o jakieś rupiecie, rzuciłam się do przodu i w miarę sprawnie wylazłam na próg.

– Nie rozłazić się, nie rozłazić! – Bodzio wymachiwał giwerą, ale na nasze szczęście nie przyszło mu do głowy, aby jej użyć. Najwidoczniej nie uznał zaistniałej sytuacji za tak podbramkową, że należałoby to zrobić. W tym czasie, gdy starał się zagnać nas w jedno miejsce, Adela, zwabiona krzykiem, już zbiegała po schodach.

– Dziewczynki wy moje, co tu robicie?!

Albo miała zbyt długą spódnicę, albo zbyt szybko biegła, bo nagle potknęła



się i poleciała wprost na Bodzia. Nim doszczętnie przywalila go ciałem, usłyszałyśmy jego:

– Oż kurwa!

Bodzio legł na podłogę, trzasnął głową o próg, a giwera poleciała wprost pod moje nogi. Schyliłam się szybko i już ją miałam. Ja i pistolet! Władza należała do mnie!

– Też! – Trąciłam go nogą. Żył i nawet był przytomny, bo jęknął przeciągle i otworzył najpierw prawe, a po chwili lewe oko.

– Moja głowa...

– Oddawaj komórki!

– Nigdy!

– Kto to jest, dziewczynki? – zapytała Adela i zgramoliwszy się z Bodzia, opuściła zadartą spódnicę, która jeszcze przed chwilą w całej krasie odsłaniała sekrety jej bielizny: błękitne barchanowe gacie na szerokiej gumie. Zmarszczyłam czoło: takie gacie w środku lata?

– Zły pan – odpowiedziałam, uznając, że wdawanie się w jakiegokolwiek szczegóły jest bezzasadne.

– Ale tobie niczego złego nie zrobił? – z troską zwróciła się do Kamili.

– Nie. Ewce też nie – odpowiedziała.

– To dobrze. Ale co teraz? Jeśli on jest zły, a ty w rączce masz pistolet, to go bach, bach!

– Za to się siedzi! – Bodzio, z panicznym przestraczem w oczach, słabo pogroził mi palcem.

– Najpierw odda telefony, które ma przy sobie, a potem zamkniemy go w komórce.

Bodzio rozszerzonej wersji mojego pomysłu nie przyklasnął i z niemałym oporem, który przełamała wykręcona przez Adelę ręka, oddał wreszcie to, o co mi chodziło: telefon swój oraz Kamili. Potem Adela bez cienia wysiłku wrzuciła go do komórki i z upiornym chrzęstem przekręciła tkwiący w zamku klucz.

– No i mamy go z głowy! – Otrzeпаła dłonie. – A teraz idziemy wróżyć, bo dobry czas minie i niczego się nie dowiemy.

– Otworzyć! – Bodzio załomotał w drzwi.

– Puszczą – zawyrokowałam, patrząc na przeżarte rdzą zawiasy.

Kamila wykazała pewne zainteresowanie i przez chwilę przyglądała się, jak rdza sypie się na podłogę.

– Chyba masz rację.

– Za jakieś pięć minut wylezie – stwierdziłam z kwaśną miną. – Poświęcę się i tu postoję. Jak wystawi choćby pół palca, zastrzelę jak psa.

– Do ciupy cię wsadzą i z wyjazdu nici – stwierdziła Kama. – A może ty, Dianuś, byś go? – Wykrzywiła się szpetnie i przejechała dłonią po szyi.

- Jeśli to ma pomóc... – I już lazała do drzwi, ręce przy tym zacierając.
  - Szkoda, żeby za tego parszywego szczura zgniła w więzieniu – szepnęłam do Kamy, a Bodziowy łomot przybrał na sile. Skąd ten wypierdek tyle jej w sobie miał?
  - Dianusiu, poczekaj, odsuń się, kochanie – rzekła Kamila i podeszła do drzwi, Bodzio tymczasem wykrzyknął:
  - Czirliderko! Jak mogłaś mi to zrobić?!
  - Ewka, to chyba do ciebie – powiedziała Kama. – Ty tam! – zawołała, a walenie na chwilę ucichło.
  - Poszłyście po rozum do głowy? Otwieracie? – zapytał.
  - Słuchaj, co ci powiem.
  - Już zamieniam się w słuch! – rzucił sarkastycznie i energicznie kopnął w drzwi.
  - Cicho ty będziesz?! – Kamila z całej siły trzepnęła pięścią w deski, aż echo po piwnicy się poniosło. Z drugiej strony zaległa cisza. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że była to głucha cisza.
  - Nie waż się włączyć na węgiel! – krzyknęła.
  - Na jaki węgiel?! Co mnie obchodzi jakiś węgiel!
  - Nie włącz na niego, bo rozwalisz butlę z nalewką, a jak wrócimy i zobaczymy, że ją stłukłeś, to Ewka najpierw strzeli ci między nogi, a potem między oczy!
  - Czirliderko! Nie zrobisz mi tego! – zawył.
  - Żebyś się nie zdziwił!
- Spojrzałam na Kamilę z dumą i podziwem. Nigdy, nawet w czasach, gdy jeszcze racjonalnie myślała i postępowała, nie spodziewałabym się po niej takiego sprytu, a co dopiero teraz, w chwili gdy jej umysł był tak mocno oczadziały. I tak jak moja przyjaciółka sądziła, Bodzio ucichł i nie musiałyśmy głośno tego mówić, bo wiedziałyśmy, co teraz robił: szukał butli z nalewką.
- Nie żal ci? Wyżłopie ci spadek po dziadku – powiedziałam smętnie, bo i ja miałam chętkę na nalewkę.
  - Przynajmniej nie będzie nam przeszkadzał. Chodźmy już. – Ruszyła korytarzykiem wprost ku schodom. Za nią poszła Adela z nieodłącznym koszykiem, a na końcu ja – z telefonami w ręku i Bodziową giwerą w kieszeni.
  - Skąd wiedziałaś, że jesteśmy w piwnicy? – zapytałam Adelę.
  - Tak się darliście, że na podwórzu było was słyhać. Ale co to za typek? Co on chciał wam zrobić, dziewczynki?
  - Przyjaciół przyjaciele Maliny – wyjaśniłam, co zabrzmiało może nieco zawile, ale Adela nie zabiegała o bliższe wyjaśnienia.
  - Wyglądał na nerwowego. Dobrze, że go zamknęłyśmy, bo wróżby by zepsuł. Gdzie będzie ognisko? Zmieniła temat i rozejrzała się po podwórzu. –

Niczego jeszcze nie przygotowałyście? – zapytała z naganą w głosie.

– Dianusiu, sama widziałaś, co nam się przydarzyło – powiedziała Kamila. – Ewka, chodź, nabieramy gałęzi.

– Gałęzi? Jakich gałęzi?! Tobie się chyba w głowie pomieszało? Na policję trzeba dzwonić, a nie głupotami się zajmować! – Na pierwszym telefonie (jak się okazało Bodziowym) zaczęłam wystukiwać dobrze znany wszystkim numer.

– A właśnie że nigdzie nie zadzwonisz! – Kamila wyrwała mi aparat i wrzuciła wprost do Śmierdziela.

– Nie szkodzi, mam drugi – powiedziałam i znów wycelowałam palec w klawiaturę. Kamila, nie zważając na to, że zniszczy własny telefon, również i nim cisnęła do wody.

– Zwariowałaś?! Telefony potopiłaś, a w piwnicy draba trzymasz. Jego miejsce jest w pierdlu! Policja musi się nim zająć! I do tego musimy wreszcie zgłosić zaginięcie Maliny, i Czeška również! Coś tu porządnie śmierdzi!

– Śmierdziel śmierdzi – powiedziała Kamila.

– Gdzie tajemnica, tam smród się unosi – sentencjonalnie dodała Adela. – A teraz bierzcie się do szykowania ogniska. Jak wszystko ładnie przygotujecie, wtedy coś wam powiem. Jak tu stoję, na pewno mi nie uwierzycie!

Oczywiście, że nie miałam zamiaru ani jej słuchać, ani tym bardziej wierzyć. Byłam jedyną osobą, na której ciążył obowiązek wykazania się zdrowym rozsądkiem, do mnie należało podjęcie racjonalnego działania. Nie zdradzając się, co mam zamiar zrobić, wróciłam do domu po mój telefon, który trzymałam nie w kieszeni plecaka, jak to powiedziałam Bodziowi, ale w szufladzie komody. Nim weszłam do kuchni, przystanęłam przy wejściu do piwnicy i nasłuchiwałam chwilę. Z dołu nie dochodziły żadne dźwięki – wypierdek albo żłopał cudzy alkohol, albo kombinował, jak uciec. Weszłam do kuchni, dopadłam mebla i wydobyłam aparat. Rozładowany! Rzuciłam się na poszukiwania ładowarki. Kilkanaście minut przetrząsałam wszystkie moje rzeczy, następnie rzeczy Kamili oraz pomieszczenie, i niestety jej nie znalazłam. Przecież nikt jej nie ukraść. Po co komu ładowarka bez telefonu? Czytnik e-booków był na swoim miejscu, a po ładowarce ani śladu. Gdyby rupieć normalnie funkcjonował, bez problemu teraz mogłabym zadzwonić, ale od jakiegoś czasu coś mu dolegało, bo bateria krótko trzymała, a ja zupełnie zapomniałam, aby przed wyjazdem kupić albo nową baterię, albo choćby aparat. Cholera by to wzięła! Zrobiłam kilka głębszych wdechów, rozejrzałam po pobjowisku i zastanowiłam się. Ukradli? Zgubiłam? Nie! Ja jej ze sobą nie zabrałam! To musiał być ten moment, gdy mama pomagała mi się pakować. Swetry i bluzki leżały na łóżku, a obok nich podłączony do ładowarki wpiętej do gniazdka za łóżkiem telefon. Mama niechcący go strąciła, a gdy podniosła, powiedziała, że już się naładował. Położyła go na stole.

– Tu, na widoku, ci go kładę, żebyś nie zapomniała zabrać.

Jak powiedziała, tak zrobiła, ale ładowarki z kontaktu już nie wyjęła, niechcący straciła kabelek, ten wpadł za łóżko i tak oto ładowarka, w przeciwieństwie do telefonu, przestała rzucać mi się w oczy. A że byłam zaaferowana wyjazdem, pakowaniem i rodziną, zupełnie o niej zapomniałam. Na domiar złego Kamila miała inny model telefonu, więc jej ładowarkę mogłam sobie jedynie do... (że nie skończę) wsadzić. Koniec. Cholera jasna! Ale przecież na wsi musieli mieć telefony. Pójdę do pierwszej z brzegu chałupy, powiem, o co chodzi, i zadzwonię na policję. Niech przyjadą i chociaż tego Bodzia zabiorą. Jak im powiem, że gnatem nam groził, w mig tu się zjawia! Poklepałam się po tyłku. Tak, giwera była tam, gdzie ją wsadziłam. Wychodząc z kuchni, rzuciłam okiem na lodówkę. W brzuchu boleśnie mi zaburczało i przypomniał mi się schabowy Banasiowej. Tam, w tej zimnej, białej czeluści spoczywały pęta Czeskiej kielbasy. W brzuchu ponownie mi zaburczało, a w głowie tak porządnie się zakręciło, że musiałam usiąść. Usiadłam więc naprzeciw lodówki, zapatrzyłam się w nią i zabębniłam palcami o stół. Tak... czekała mnie poważna misja. Wyzwanie wymagające nakładu energii nie tylko na czynności związane z ruchem, ale również z myśleniem, a ja byłam bardzo wygłodniała. Jeśli wygłodzona na wieś ruszę – mogę gdzieś zaśląbnąć i będzie nowy problem. Aby do tego nie doszło, koniecznie musiałam coś zjeść. Kamila miała jeszcze jakieś przegryzki, ale była to drobnica bez znaczenia, jak słone paluszki czy popcorn z Biedronki. Suchy chleb też był, ale na pewno nie dałby mi takiego energetycznego kopa jak kielbasa. Tylko że kielbasa kielbasie równa nie jest. Ta Czeska była z tak zwanej promocji, czyli mówiąc przejrzyście językiem – przeceniona; rodziło się więc pytanie: dlaczego? Była przeterminowana? Zjeść albo nie zjeść, oto jest pytanie! Jakiego wyboru dokonać? Bębniłam paluchami, aż opuszki zaczęły mnie boleć, a mdłości coraz większymi falami nawiedzały żołądek. Podjęłam decyzję – najpierw muszę zaspokoić głód, potem zadzwonić, a później niech się dzieje, co chce. Wstałam i otworzyłam lodówkę – kielbasa leżała zawinięta w szary papier i obrzydliwie zionęła czosnkiem. Zamknęłam oczy, sięgnęłam, ucapiłam zimny kawał, oderwałam go i zatrzasnęłam lodówkę. Nie otwierając oczu, ugryzłam kęs, potem drugi, trzeci i tak dalej, przeżuwając z grubsza, żeby się tylko nie udławić. Po wszystkim sięgnęłam po szklankę i nalałam z czajnika wody. Wypiłam duszkiem, splukując w głąb trzewi słono-tłusto-czosnkowy smak. Głodu już nie czułam i powoli wracały mi siły. A ponieważ czekała mnie ostra i zapewne długa akcja, ponownie otworzyłam lodówkę, oderwałam jeszcze jedno pęto i wsadziłam do tylnej kieszeni spodni (dobrze, że portki miały tak przepastne kieszenie!). Wróciłam na podwórze. Kamila uwijała się jak w ukropie i rzucała nad brzeg Śmierdziela mniejsze i większe gałęzie. Musiałam przyznać, że uzbierała ich całkiem pokaźny stosik. Nieco dalej Adela przykucnęła przy koszyczku i z pietyzmem coś z niego wyjmowała.

– Pomóż mi! – zawołała do mnie Kamila, ale zbyłam ją wzruszeniem ramion. Niedoczekanie! Głupoty się ich trzymały, podczas gdy we wsi działo się samo nie wiadomo co! Kamila podeszła bliżej.

– Pomóż, a ona ci powróży. A poza tym... – Pociągnęła nosem. – Co tak czosnkiem śmierdzisz?

– Pierwsza sprawa: nie pomogę, a druga: śmierdę nie czosnkiem, lecz Cześkową kielbasą.

– Zjadłaś tę jego kielbasę?! – krzyknęła z wyrzutem. – Po wróżbach chciałyśmy na ogniu ją upiec! Poza tym mówiłaś, że jej nie tkniesz.

– Głód mnie do tego zmusił. Ale nic się nie bój, całej nie zjadłam. Zajmij się lepiej swoimi wróżbami, bo wiatr się zmieni albo przybierze na sile, chmur nagna i gwiazdy zobaczysz jak świnia niebo – powiedziałam.

Kamila popatrzyła w górę.

– Nie zapeszaj!

– Nie zapeszam. Samo życie. Czasem coś się uda, czasem nie.

– Szybko, szybko, bierzmy się do zbierania gałęzi!

– Bierzmy? Sama się bierz. Nic mnie te wróżby nie obchodzą. Nie dotarło to jeszcze do ciebie? Poza tym przypominam ci po raz kolejny, że Malina zniknęła! Na dokładkę w piwnicy jakiś bandzior śpi w najlepsze, a ty...

– Śpi? Skąd wiesz, że on śpi?

– Nasłuchiwałam. Cicho było, więc pewnie spał. Albo cichcem coś kombinował, ale chyba żadnego podkopu nie robił.

– Jeśli wylezie, we trzy damy mu radę.

– Na mnie nie licz. Idę na wieś zadzwonić na policję.

– Co ci szkodzi poczekać jeszcze ten jeden wieczór? Nawet nie wiesz, jakie te wróżby Adeli są trafione. Nie uwierzysz, co mi przed chwilą powiedziała! Pamiętasz, co mówiła o nadciągającej miłości?

– Coś bredziła, ale nie rozwijaj tego wątku, bo mnie nie interesuje.

– Daj mi skończyć, to jest bardzo ciekawe.

– Niczego ci nie dam. Idę na wieś.

– Zostań. Noc się robi. Zanim wrócisz, będzie całkiem ciemno, a sama wiesz, że okolica niepewna.

Sprawnym, podpatrzonym w westernach ruchem wyciągnęłam giwerę z kieszeni i machnęłam Kamie przed oczami. Odsunęła się z przestraszeniem.

– Widzisz? Boisz się. I o to chodzi. Od tej chwili to mnie należy się bać!

– Dokąd się wybierasz, Ewuniu? – Niepostrzeżenie podeszła do nas Adela. W ręce trzymała jakieś czarne, cienkie badyłki. Patyczki? W każdym razie elementy wyglądały dziwnie.

– Na wieś. A co to jest? – Wskazałam palcem badyłki i wsadziłam giwerę z powrotem do kieszeni.

– Wronie nóżki. Idealne do stawiania kabały w taką noc jak ta.  
– Wronie nóżki?! Skąd je wzięłaś?! – Cześkowa kiełbasa podeszła mi do gardła.

– Mam swoje sposoby – odpowiedziała enigmatycznie, a ja postanowiłam nie wnikać głębiej. W jakikolwiek sposób je zdobyła, każdy był obrzydliwy.

– Jak się z tego wróży? – zapytałam, nie kryjąc złośliwego uśmiešku.

– Zaraz wszystkiego się dowiesz.

– Otóż właśnie to. – Kamila uśmiechnęła się z wyższością. – Ale najpierw wróży mi.

– Pewnie, że tobie. Ciekawe, jaką zrobisz minę, gdy Adela każe ci zjeść to plugastwo?

Kamila z paniką w oczach spojrzała na Adelę, ta pocieszająco poklepała ją po ramieniu.

– Nic się nie martw. Smakują lepiej, niż wyglądają.

– Naprawdę będę musiała to jeść?! – Jak żyję, aż tak wielkich oczu u Kamili nie widziałam. I dobrze jej tak, może wreszcie na nie przejrzy.

– Nie jeść, ale wypić. Z wodą lub ze spirytusem.

– To co? – szepnęłam do Kamy i, jak sądziłam, dyskretnym ruchem wskazałam na Adelę. – Zamykamy ją?

– Co?

– Czy ją zamykamy? Z dziadkowego pokoju na pewno nie ucieknie. – Nie traciłam nadziei, że przyjaciółka wreszcie wróciła do normalności. Jednym wystarczy pstryknąć przed nosem, a innym pokazać wronie nóżki, a ściślej powiedzieć, że mają je spożyć.

– Zwariowałaś?! – Kamila, niczym rozjuszona lwica chroniąca młode przed wygłodniałym drapieżnikiem, własną piersią zasłoniła Adelę. – Nie! Pierwsza wypijesz ten napój, a ja zobaczę, jak działa.

Adela tymczasem oddaliła się w stronę swojego koszyczka, przykucnęła przy nim i zdawała się czegoś szukać.

– Niczego pić nie będę – syknęłam stanowczo. – Idę na wieś, bo w końcu chcę zadzwonić na tę cholerną policję. – Szybkim ruchem wyjęłam z kieszeni giwerę i potrząsnęłam nią groźnie. – I nikogo się nie boję!

– Po co tam idziesz? – Adela wróciła do nas. W jednej ręce trzymała moździerz, a w drugiej obrzydliwe wronie nóżki.

– Przed chwilą mówiłam. Trupem mi tu śmierdzi.

– Ja żadnego trupa nie wyczuwam, a znam się na nich dobrze.

– Dianeczko, jaka ty wszechstronna jesteś! – z podziwem zapięła Kamila. – Wróżby, trupy, wszystko masz w małym paluszku!

– Ja jej nie wierzę, idę! – upierałam się przy swoim.

– Właśnie że nie idziesz – spokojnie rzekła Adela i zwinnym kopniakiem

wytrąciła mi z ręki gnata. Pistolet poleciał w jedną, a jej granatowy drewniak w drugą stronę, więc aby równo stać na ziemi, zdjęła drugiego i stanęła boso. – W noc bez broni chyba się nie ruszysz? – zapytała i zasłoniła leżący za jej plecami pistolet.

– A jeśli chodzi o trupy, żadnego w okolicy nie ma, bo z pewnością bym wyczuła, więc po co ciągnąć tu policję? Nerwowi są, hałasu narobią i powróżyć spokojnie nie dadzą, a dzisiejszy wieczór jest na to wyborny. – Przymknęła oczy i niuchała, ruszając przy tym nosem. – Cudowny wieczór, cudowny...

– Mówisz, że trupa potrafisz wyczuć? Ale niby jak? – zapytałam, tęsknie łypiąc w kierunku utraconej giwery.

– Po ludzku. Nosem.

– Jak się rozkłada, to każdy go wyczuje, tym bardziej gdy w pobliżu leży, filozofia to więc żadna – zauważyłam.

– Świeżego też wyczuję. I nie pytaj jak, bo sama nie wiem, jak to się dzieje. Czuję go nie tylko nosem, ale również pozostałymi zmysłami. Więc mówię ci, że trupa w okolicy nie ma i żadnych władz zawiadamiać nie należy.

– Może Malinę zatłukli gdzie indziej? Tak samo Krzycha i Cześka, o psie już nie wspomnę – podsunęłam całkiem sensowną konkluzję.

– Jeśli gdzie indziej, to tym bardziej nie ma po co kogokolwiek na pomoc wołać. Siedź tu cicho i nie psuj wieczoru.

– Słyszałaś, co powiedziała Dianeczka? Masz nigdzie nie chodzić, bo wieczór nam popsujesz. Dianuś, a ten móździerz to po co? – wtrąciła się Kamila.

– Wronie nóżki kruszę. Trzeba się brać do roboty, bo czas leci. Zaraz wiatr chmur nagna, gwiazdy znikną i nic z wróżb nie wyjdzie.

Wiatr rzeczywiście się wzmógł, spojrzałam na niebo – na horyzoncie pojawiła się ciemna chmura, a od stawu powiało nieprzyjemnym zapachem, coś jakby skwaśniałą zupą kalafiorową.

– A po co kruszysz? – podejrzliwie dociekała Kamila.

– Kruszone łatwiej wypić. Aby wróżba była pełna, teraz powinno się palić ognisko. – Z wyrzutem spojrzała na moją przyjaciółkę. – Ale trudno, zrobimy ją bez ognia.

– Pierwsza pije Ewka! – zdradziecko zawołała Kama.

– Nigdy w życiu!

– Nie ma mowy, ona nie dostanie – powiedziała Adela, patrząc na mnie z niesmakiem. – We wróżbach przede wszystkim trzeba mieć wiarę, a ona jej nie ma. Wypije nóżki, strawi, wydali i żaden pożytek z tego nie wyniknie. Za to ty, Kamilko, idealnie mi pasujesz.

– Dać jej podwójną porcję – szepnęłam i uniosłam kciuk, w odpowiedzi Kamila pokazała mi język. Owszem, niewerbalna komunikacja, którą właśnie się posłużyliśmy, nie była godna czterdziestoletnich kobiet, ale kto powiedział, że

baby w tym wieku muszą być poważne?

– Dasz mi do tego wody z jeziora? – Kamila zmarszczyła nos, bo Śmierdziel wyjątkowo się postarał i rozwinął szeroki wachlarz odcieni nieprzyjemnych smrodów.

– Nie, tym razem podam je ze spirytusem.

– Diano, Kama ma słabą głowę – zaoponowałam. Co by jej przyszło z upragnionej kabały, gdyby wróżka w sztuk ją upiła?

– Kieliszek jej dam. Tyle wystarczy.

– Kama, pamiętaj, wypij przynajmniej na dwa razy, bo diabeł zobaczy i zaszkodzi wam gorzej niż cała komenda policji – powiedziałam, mając ubaw po pachy.

– Takich rzeczy nie można wyśmiewać! – ostro fuknęła Adela i podeszła do swojego koszyka, skąd wydobyła butelkę (zapewne tego spirytusu) oraz mały kieliszek. Wsypała do niego trochę proszku z mózdzierza, odkręciła butelkę i przelała nieco jej zawartości.

– Masz, pij! Na trzy razy bierz! Ale na dnie trochę zostaw, bo resztkę wylejesz prawą ręką przez lewe ramię.

– Chwila, chwila – wtrąciłam się – przecież miało być ognisko.

Żal mi było Kamy. Bezkrytycznie dawała sobie wcisnąć wszystkie kretynizmy i do tego jeszcze gotowa była wypić jakieś nie wiadomo co.

– Przecież mówiłam, że nie ma na to czasu. Chmury idą. Pij! – rozkazała Adela i wcisnęła w rękę Kamili kieliszeczek.

Przyjaciółce do oczu napłynęły łzy. Zmarszczyła nos i przecząco pokręciła głową.

– Jak mówię pij, to pij! – Adela nerwowo tupnęła stopami w piachu.

Musiałam Kamę ratować, i to natychmiast.

– O, o! Zobaczcie! – krzyknęłam, pokazując palcem na drogę. Adela i Kama spojrzały w tę stronę, a ja szybko wyrwałam kieliszek z ręki przyjaciółki, wylałam i z powrotem wcisnęłam jej w dłoń. Manewr był spontaniczny i dość karkołomny, ale na szczęście udał mi się w stu procentach.

– Nikogo tam nie ma... – podejrzliwie rzekła Adela – A ty... – zwróciła się w stronę Kamili, ale nie dałam jej skończyć.

– O, jak szybko wypiła! – Znów, tym razem ostentacyjnie, wyrwałam jej z dłoni kieliszek i pokazałam Adeli dno. – Wszystko wyżłopałaś! – rzuciłam z pretensją do Kamy. – I czym teraz będziesz za ramię lać?!

– Aż do dna wypiła? – Adela była niezadowolona. – Trzeba powtórzyć, bo za ramię musowo trzeba chlupnąć.

Kamila zrobiła płaczliwą minę.

– Ale przecież... – zaczęła.

– Żadne ale, żadne przecież – kategorycznie powiedziała wróżka. – Wypijesz



jeszcze jeden.

– A nie można nalać trochę na dno i bez powtórnego picia za siebie chlusnąć? – podsunęłam.

– Nie można. Wystarczy, że ogniska na czas nie zrobiłyście. Jeszcze bardziej chcecie tę wróżbę zepsuć?

– Może więcej zmian dobrze by jej zrobiło? Wronie nóżki, choćby i na spirytusie, to rzecz dość obrzydliwa, pełny kieliszek można by od razu za ramię wylewać. Na przykład na trzy razy albo na cztery. Dwa chluśnięcia przez lewe i dwa przez prawe albo...

– I dlatego właśnie mierzi mnie wszelki postęp! – Adela wcale nie była ciekawa moich kolejnych pomysłów. – Musimy wszystko powtórzyć – sapnęła i ruszyła ku koszykowi skrywającemu butelkę ze spirytusem.

– O, zobaczcie! – zawołałam znowu i pokazałam na drogę.

– Daj spokój – z rezygnacją szepnęła Kamila. – Teraz już nic mnie nie uratuje.

– Ale tam naprawdę ktoś idzie! Jakby baba jakaś! Rany! Malina! Może to Malina wraca?! – Wydzierałam się wniebogłosy, bo w końcu co? Na wsi byłam. Wolno mi było.

– Malwinka, mówisz? – Adela wyprostowała się znad swego koszyka. – Nieee... przecież że to nie ona!

Niestety, miała rację. Dziewoja zbliżyła się na tyle, że mogłam ją bez trudu rozpoznać. To było Kasiątko. Tylko czego chciała? Czego tu szukała? Ach, rzeczywiście, przecież sama jej powiedziałam, żeby pod wieczór do nas wpadła. Czas na omawianie kwestii podjęcia pracy w Barcelonie dobry nie był, ale jej pojawienie się chwilowo odwlekło wypicie przez Kamę porcji wronich nówek.

– Kasiu, jak dobrze, że jesteś! – Uśmiechnęłam się szeroko. – Właśnie spieszymy się ze zrobieniem ogniska. Pomożesz nam, prawda? – zapytałam.

– Dobrze – odparła zaskoczona, że tak natychmiast wdrożono ją do roboty, a przecież w innym celu do nas przyszła. Cóż, w imię tego wyższego celu Kasiątko musiało zabrudzić swoje nowe džinsy (które idealnie podkreślały dolną część jej sylwetki) oraz wielobarwny T-shirt, który wyglądał na modny i drogi. Wystudiowany nieład włosów również mógł ulec niekontrolowanej destrukcji, ale wcale mnie to nie interesowało. Niech się uczy, że życie to nie bajka składająca się z ciuchów otrzymanych od kochanka, ale przede wszystkim ciężka robota. Niech się wprawia zatem. Cóż sobie myślała? Że w tej Barcelonie na wystawie ją ulokują?

– Szybko, szybko! – Klasnęłam w dłonie. – Musimy zdążyć, zanim się zachmurzy, bo Adeli sabat nie wyjdzie.

Adela szaleńczo błysnęła okiem, schowała do koszyka butelkę, moździerz, na końcu delikatnie włożyła Jadwinię, a całość przykryła dziecięcym kocykiem.

– Ewunia ma rację. Dodatkowa para rąk nam się przyda, zrobimy wreszcie to ognisko, a nóżki Kamusia później wypije i wszystko będzie, jak należy. Do roboty!

– I rzuciła się zbierać gałęzie spod drzew.

– Kamila – zwróciłam się do przyjaciółki, gdy wróżka była już na tyle daleko, że nie mogła mnie usłyszeć – uciekamy!

– Ale gdzie i po co? – zdziwiła się.

– Od wariatki i tych jej nówek! Na wsi się schowamy, a ona niech sama to ognisko rozpala.

– Zwariowałaś? Samą mam ją z ogniem zostawić? A jak chatę z dymem puści?

– Nie tak dawno o swojej części spadku wypowiadałaś się dość pogardliwie – przypomniałam.

– Przecież w piwnicy jest ten Bodzio! – Tę kwestię z kolei ona mi przypomniała.

– O rany, rzeczywiście. Nie chcę myśleć, co by było, gdyby go tam uwędziła.

– Więc widzisz. Bierz się do zbierania gałęzi i nie szafuj tak durnymi pomysłami.

– Durnymi? A to, że wybawiłam cię od wypicia wronich nówek na spirytusie, też było durnym pomysłem? Naprawdę bawi cię robienie sabatu? Kiedyś rozsądniejsza byłaś. Ba, nie kiedyś, wczoraj nawet.

– Nie przypominam sobie, abym prosiła cię o jakąkolwiek pomoc – rzuciła wyniośle i oddaliła się na prawo, gdzie było mnóstwo spalonej słońcem trawy. Przykucnęła i z pasją zaczęła ją wrywać. Kasiatko przysłuchiwało nam się z wielkim zdumieniem wypisanym na pięknej twarzyczce.

– Wronie nóżki! – szepnęła z obrzydzeniem. – I pani Kamila zgodziła się na tę wróżbę?

– Zanim przysłaś, nawet się wzbraniała, ale teraz najwidoczniej zmieniła zdanie.

Niestabilna praca umysłu mojej przyjaciółki doprowadzała mnie do szewskiej pasji.

– Mnie również Adela zaprosiła kiedyś do siebie na wróżby, ale gdy zorientowałam się, czym chce mnie napoić, uciekłam.

Ciekawe, czy też przez okno, jak przed swoim ojcem?

– Boję się tu zostać, aby znów nie kazała mi tego pić – westchnęła. – Myślałam, że będzie spokój i pani Kamila znajdzie dla mnie czas. – Smutno patrzyła, gdy moja przyjaciółka opętana szałem zrywania trawy niszczyła swój nienaganny manikiur.

– Musimy się stąd ulotnić – szepnęłam, obserwując na przemian Kamilę, Adelę i leżącą w oddali giwerę. Tym, czego pragnęłam tak samo jak ucieczki, było

ponowne przechwycenie Bodziowego gnata.

– Ej! – krzyknęła do nas Adela. – Bierzecie się do zbierania!

– Już! – odkrzyknęłam i zdecydowanie ruszyłam ku broni. Podniosłam ją oraz leżącą obok małą gałązkę. Pistolet dyskretnie włożyłam do tylnej kieszeni, a gałązką, na znak, że pracuję, pomachałam w kierunku Adeli.

– Mam, mam! – zawołałam triumfalnie i dorzuciłam ją na stos innych.

– Szybko! Teraz! W nogi! – syknęłam do Kasiątka, złapałam ją za rękę i pociągnęłam w kierunku drogi. Po chwili doszły do naszych uszu oburzone krzyki, ale ani Adela, ani Kama w pogoń za nami się nie rzuciła – pewnie, sabat był ważniejszy.

– Masz przy sobie telefon? – zapytałam Kasię, gdy oddech już mi się uspokoił i mogłam normalnie artykułować słowa.

– Nie. Ojciec mi zabrał za karę, że po południu spotkałam się ze Stefanem.

– Dobrze, że cię nie obłożył jakimś szczerniejszym dozorem, bo nie przyszlabyś do nas.

Kasia wzruszyła ramionami.

– Uciekanie czy chowanie się przed ojcem to mały pikuś, gorzej jest z ludźmi ze wsi. Ci zawsze na mnie doniosą.

– Dlaczego?

– Uwzięli się na Stefana, bo kiedyś siedział w więzieniu. Ale tego, że teraz uczciwie pracuje, już nikt nie widzi. Nie chcą go we wsi, więc nas tropią, potem donoszą mojemu ojcu, a ten robi mi karczemne awantury. We wsi sądzą, że w końcu będę miała tego dosyć, rzucę Stefka, a on wtedy się stąd wyprowadzi, bo nic go już tu nie będzie trzymać – powiedziała z żalem.

– Ja tutejszych odebrałam jako dość sympatycznych, ale wyjątkowo mało rozmownych.

– Pozory. Mnie wcale się tu nie podoba, mam gdzieś to Zadole i jego mieszkańców. Najchętniej uciekłabym na koniec świata.

– A Stefan?

– No właśnie. Mówi, że tak dobrej roboty jak u Pławskiego nigdzie nie znajdzie. Nieźle zarabia, to fakt, ile nie wiem, ale ostatnio dużo fajnych ciuchów mi kupił. O, pani popatrz na te levisy – wypięła na mnie tyłek. – Dobrze leżą, nie? No, ale ja nie o ciuchach chciałam. Mówię mu, że z powodu kasy nie można się na tej obrzydliwej wsi zaszyć i do tego robić od rana do wieczora. Bo co to za robota? Facet mi siedzi albo w polu, albo suszarni. Ostatnio to już w ogóle tylko tam. Jeśli tak bardzo chce całymi dniami tyrać, niechby to robił w Barcelonie! Przynajmniej trochę świata bym zwiedziła, a tak...?

– Może i masz rację. – Pstro w głowie miała, a nie rację! Chłopa chciała do innej roboty przeflancować, aby zbijać baki w lepszej scenerii.

– Ech, Barcelona, Barcelona... – tęsknie westchnęła Kasia. – Ach,

zapomniałam, pani przecież chciała zadzwonić. Możemy pójść do mojego domu, ale nie mogę jawnie przez drzwi wejść, bo ojciec myśli, że się uczę... Wie pani, jakoś mi ta zawodówka nie leży i znów muszę rok powtarzać... Więc? Idziemy do mnie? Mogę pani telefon przez okno rzucić.

Pomysł dobry nie był. Bez względu na to, ile razy Kasi udało się niezauważenie uciec i niezauważenie powrócić, ten raz mógł być ostatnim, a ja wzięciem na barki dodatkowych problemów zainteresowana nie byłam.

– Do kogoś innego pójść nie możemy? Choćby do Łucji.

– Do niej jest za daleko, ale zaraz... – Kasia spojrzała w kierunku pola. – Gdy jeszcze byłam ze Stefkiem pod sklepem, zadzwonił Pławski i powiedział, że zdarzyła się pilna robota, i Stefek natychmiast ma iść do suszarni. Pewnie teraz tam siedzi, z jego telefonu może pani przekreślić, chociaż nie lubi, gdy tam przychodzę, bo ten pies, jak mu tam, Barry chyba, jest bardzo ostry. Ale jak staniemy przy furtce, krzyknę na Stefka i do nas wyjdzie. Zaraz – zastanowiła się – po drodze przecież mamy Banasiów, do nich możemy wpaść, zawsze to bliżej i do Stefka iść nie będziemy musiały. Schowałabym się gdzieś, żeby mnie nie zobaczyli, a pani załatwiłaby swoją sprawę.

Okazja, aby rzucić okiem do suszarni Pławskiego, zdarzyła się wyborna!

– Nie, do Banasiów nie idźmy. Pewnie odpoczywają po pracy, takie mają urwanie głowy z tym ogrodnictwem – powiedziałam. – Chodźmy do Stefana.

– Dobrze, tędy będzie szybciej. – Poprowadziła mnie wprost na pokryte rżyskiem pole, za którym majaczył las. – W ten sposób dom Banasiów weźmiemy bokiem, ale przez pole musimy przejść szybko, żeby któreś z nich mnie nie zobaczyło. Nie chcę znów od ojca się nasłuchać.

Posłusznie ruszyłam jej śladem, krokiem dziarskim i energicznym, na mój gust i zdrowie aż nazbyt dziarskim i nazbyt energicznym, bo zaczęłam odczuwać kolano. Ale przecież nie mogłam tu i teraz paść na rżysko, żeby zrobić zbawienny rowerek. Przed młodą i piękną Kasią nie miałam zamiaru odkrywać swych słabości. W dodatku odbijała mi się kielbasa.

– Poczekaj, nie tak szybko. – Sapnęłam.

– Jeszcze parę metrów i schowamy się w lesie.

Parę metrów?! Dla mnie przepaść, a nie parę metrów. Zacisnęłam jednak zęby i starając się nie myśleć o nasilającym się bólu, dotrzymałam młodej kroku. Stwierdziłam, że aby ją spowolnić, trzeba jakoś zagadać.

– Nie myślałaś o tym, aby samej wyjechać za granicę?

– Co? – Wydała się bardzo zaskoczona.

– Pytam, czy nie lepiej, żebyś sama wybrała się do Barcelony?

Przyznam, że zapytałam ją o to nie tylko dlatego, aby zwolnić i nieco odpocząć, ale również aby zaspokoić własną ciekawość – co powodowało ładną i młodą dziewczyną, mającą przed sobą całe życie, że związała się z takim...

osobnikiem jak Stefan? Jego pieniądze i szeroki gest? Mało.

– Przecież ja go kocham! – Spojrzała na mnie z wyrzutem, jakby miłość wszystko tłumaczyła i za wszystko wystarczyła.

– Ale... – Chciałam jej powiedzieć, że kochać sobie owszem może, ale dlaczego od razu tak kategorycznie? Ona, Kasia, też jest ważna, jej życie i przyszłość, bo z facetami różnie bywa. Czy kiedykolwiek brała pod uwagę pójście na studia? A co, jeśli Stefkowi się odwidzi i wymieni ją na lepszy model albo choćby w kalendarz kopnie? Co wtedy? Znów się na kimś uwiesi?

– Nikt mnie nie rozumie, pani również! – powiedziała płaczącym tonem. – Pani jest taka sama jak cała wieś! – I lży obfitą fontanną potoczyły się po jej policzkach.

Wobec tak rzęskiego płaczu nie było możliwości, aby nadal drażnić temat, poza tym i tak by mnie nie posłuchała, o ile w ogóle pozwoliłaby dojść do głosu.

– Jak się poznaliście? – zapytałam, aby załagodzić sprawę i rozmowę skierować na przyjemniejsze tory.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Taka piękna miłość... ciekawość mnie pali – zełgałam.

– Normalnie. – Wzruszyła ramionami.

– Aha. – Zadziwiające! Czyżby naprawdę nie chciała się ze mną podzielić opowieścią o dniu, w którym spotkała miłość swego życia? Do tej pory nie spotkałam się z kobietą, która takie wydarzenie wstydliwie chowałaby przed światem.

– Pani uważa, rów przed nami – powiedziała. Ostrożnie przekroczyłam przeszkodę. Kochana dziewczucha, nie chcę myśleć, co by się stało, gdybym obolałą nogą w tę dziurę wpadła.

– Jak nie chcesz, nie mów. Ja pierwsze spotkanie z moim byłym doskonale pamiętam.

– Pani jest rozwódką?

Skinęłam głową.

– Zdradzał panią, co?

Dlaczego zadała właśnie takie pytanie? Na twarzy szczegółów mojego małżeńskiego dramatu wypisanego przecież nie miałam. Tak, już wiedziałam. Gdybym była młoda i piękna, Kasiątko pytanie postawiłoby inaczej:

– Na zdradzie panią złapał?

Ale nic pięknego już we mnie nie było. Kasia to widziała i dlatego zapytała mnie w sposób taki, a nie inny.

– Ja się nigdy nie rozwiodę.

Taka jesteś pewna? – pomyślałam.

– Nie rozwiodę się, bo ślubu nie wezmę.

– Jak chcesz. Nie wiem tylko, czy Stefanowi to się spodoba. Może on chce

mieć dzieci?

– Dzieci i bez ślubu mieć można.

– Pewnie, ale co legalnie, to legalnie.

– Phi tam.

– Przystojny jest ten twój Stefek. – Znow skłamałam, aby pociągnąć temat.

Byłam ciekawa genezy tego związku i wcale nie dziwiła mnie furia, w jaką wpadał jej ojciec na dźwięk imienia jej wybranka. Takiego zięcia również bym pognała. Choćby i za sam wygląd.

– Jasne, że przystojny.

– Długo się znacie?

– Cztery lata, od kiedy zaczął pracować u Pławskiego. Mieszka dwie wioski stąd.

– A gdzie wcześniej mieszkał? – Przecież musiał gdzieś mieszkać, nie może być, żeby od kołyski w pierdlu siedział.

– Gdzieś w centralnej Polsce. Po wyjściu z więzienia zamieszkał w naszych stronach. Zaraz po nim do Zadola sprowadził się Pławski, Stefek u niego się najął i już nie myśli się wyprowadzać. – Spochmurniała. – No właśnie. Nigdzie ruszyć się nie chce, a przecież za granicą praca lepsza.

– A w tym więzieniu, jeśli mogę spytać, za co siedział?

Jeśli mi powie za co, będę mogła oszacować, ile mniej więcej go tam trzymali.

– Mówił, że za pobicie. Szczegółów nie opowiadał, ale one mnie nie obchodzą.

Szkoda, mała, że cię nie obchodzą. Gdyby mój facet za pobicie siedział, właśnie ze szczególną wnikliwością bym w tym grzebała, aby czasem nie być następną na liście do spuszczenia manta. I co ona o tym swoim Stefku wiedziała? Pochodził „gdzieś z centralnej Polski” i „siedział za pobicie”.

– A tutejsi skąd wiedzieli, że w pierdlu siedział?

– Nie mam pojęcia. Gdyby nie wiedzieli, nie byłoby problemu albo byłby mniejszy.

– Taka informacja o więzieniu to nie byle co.

– Mnie pani tego gadać nie musi. Sama wiem dobrze! Na początku, gdy Stefek się sprowadził, rzeczywiście ojciec tylko trochę na niego zębami zgrzytał, ale po pewnym czasie dosłownie szlag go trafił. Przeciek jakiś czy co?

Wzruszyła ramionami.

– Ale nie gadajmy już tyle i się pospieszmy, bo Stefek do domu pójdzie i pani nie zadzwoni.

I wyrwała z miejsca, a ja, żeby nie zostać w tyle, nie bacząc na skrzypiące kolano, ruszyłam jej śladem.

– O! O! Już jest las! – zawołałam, gdy pierwszy krzak znalazł się na

wyciągnięcie ręki.

– Jeszcze trochę. – Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, jakby chciała zapytać, czy my w mieście mamy pojęcie, jak wygląda prawdziwy las.

Zębów bardziej zacisnąć nie mogłam, przyspieszyć również, na pewno jednak mogłam zwolnić, ale Kasiątko uparcie ciągnęło mnie w ciemną czeluść. O młodości moja, o kondycjo, gdzie się podziałyście?

– Dobra, tu możemy zwolnić – powiedziała Kasia, gdy wpadłyśmy między brzoźki i krzaki głogu.

– Nie, nie, musimy się zatrzymać – zaprotestowałam gorączkowo i kategorycznie stanęłam w miejscu.

– Jeśli się nie pospieszymy, Stefan pojedzie do domu i będzie problem z telefonem – powtórzyła.

– Muszę tu się zatrzymać, bo... – Bo co? Tak! Do głowy wpadł mi świetny pomysł. – Bo muszę sprawdzić, czy po drodze nie zgubiłam mojego gnata.

– O rany, naprawdę ma pani przy sobie broń?!

– Ma się rozumieć. – Poklepałam się po tylnej kieszeni spodni i z udawaną ulgą powiedziałam: – Jest na miejscu.

– I umie się nim pani posługiwać?

– Jasne. Przez lata pracowałam w... – Znacząco zawiesiłam głos, jakbym i tak już zbyt wiele powiedziała.

– Tajemnica?

– Jesteś nadzwyczajnie bystra. – Poklepałam ją po ramieniu.

Krótką wymianę zdań i przerwa, która się z tym wiązała, dobrze mi zrobiły. Serce nadal waliło mocno, ale już nie tak panicznie.

– No, mała, ruszamy? – rzuciłam nonszalancko, ponownie klepiąc się po tyłku, czym powtórnie i jakby zupełnie mimochodem wskazałam jej miejsce przechowywania giwery. Albo kielbasy, bo już nie byłam pewna, co w której kieszeni trzymałam.

Miałyśmy ruszyć dalej, gdy Kasiątko szepnęło:

– Cicho! – powiedziała, jakbym cicho nie była.

– Co? – odszepnęłam pytająco.

– Trzask gałązek... ktoś tam chodzi...

– Dzik nas zeżre! – pisnęłam panicznie, a Kasiątko zwinnym ruchem zatkało dłonią moje usta.

– Mówiłam: cicho!

Odciągnęłam jej rękę.

– Mam być cicho w ostatniej minucie życia? Ostatniego słowa powiedzieć nie mogę? Nawet testamentu spisanego nie mam!

– Dzik to małe piwo, gorzej, gdy to człowiek.

Gdyby to był ktoś z naszego gatunku, na dwoje babka wróżyła. Albo łąził,

bo miał niecne zamiary, albo łąził, bo miał takie widzimisię, i tylko druga opcja była dla nas korzystna. Ale jaka była na to szansa, zważywszy, że w tej okolicy zaginęła co najmniej jedna osoba?

– Może wieś cię śledzi? – zapytałam z nadzieją.

– Może... O, tam! – Wskazała palcem. Podążyłam za nim wzrokiem – jakaś zgarbiona postać w kilku susach przemknęła od jednej kępki krzaków do drugiej.

– Wiejemy! – wrzasnęłam co sił w płucach. Nie oglądając się na Kasiątko i zapominając, że przed chwilą umierałam ze zmęczenia, wyprułam przed siebie. Gnałam między krzakami, małymi brzózkami, dużymi brzozami, świerkami i dębami. Na smagające mnie po twarzy gałęzie nie zwracałam uwagi, wielkiej urody nie byłam nigdy, a teraz i najmłodsza również, więc nie miałam niczego do stracenia. Tylko to kolano! Trzaskało w nim, a ból wgryzał mi się w mózg, chwycił go żelaznymi obcęgami i ścisnął tak mocno, że po policzkach ciekły mi łzy, ale wciąż pędziłam i ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że przecież mogłam użyć swojej (Bodziowej właściwie) giwery, aby strzelić do intruza – choćby i po to, by pokazać, kto tu kogo ma się bać. Ale strach podyktował pierwotne rozwiązanie – ucieczkę. Nie patrzyłam pod nogi, tylko biegłam, z nadzieją wlepiając oczy w zbliżające się światło. Suszarnie były coraz bliżej, a z każdym metrem moje serce puchło od pęczniejącej tam nadziei.

– Aaaaa! – wrzasnęłam nagle. Moją nogą, tą schorowaną, trafiłam w dołek. Przy mniejszej prędkości nic by mi się nie stało, ale teraz, gdy gnałam niczym skrzyżowanie gazeli z gepardem, noga wygięła mi się na prawo, w kolanie chrupnęło coś z suchym trzaskiem, i padłam na trawę.

– Umarłam... – szepnęłam z rezygnacją, bo ból z kolana ulotnił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Pomogę pani wstać – usłyszałam nad głową.

Kasiątko? Ono również umarło?

– Mam skrzydła, pofrunę sobie – powiedziałam pewna swego.

Kasiątko patrzyło na mnie z osłupieniem w pięknych oczach. Boże jedyny, jakie te jej niebieskie oczy były piękne!

– Uderzyła się pani w głowę? – z niepokojem zapytała Kasia.

– Chyba tylko w nogę... – odpowiedziałam niepewnie. Upadku na głowę sobie nie przypominałam, pewne było tylko to, że kolano mi się wygięło, więc... Czyżbym jednak żyła? Odbiło mi się kielbasą. Tak, żyłam!

– Przepraszam – mruknęłam z zażenowaniem. Podniosłam się ostrożnie, ale nadal czułam się podejrzenie idealnie. Kolano ozdrowiało niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

– Cicho... – szepnęła Kasia, przyłożyła palec do ust i zapatrzyła się w pobliską kępę krzaków.

– Żadne cicho! Lecimy! – Wola ucieczki znów we mnie wstąpiła i zerwałam



się ku światłu magazynów. Kasi do tego zachęcać nie musiałam, bo od razu poczułam za sobą jej przyspieszony oddech i usłyszałam tupot nóg. Zatrzymałam się dopiero przy płocie, a groźne szczekanie Barry'ego, które po chwili do mnie doszło, wydało mi się cudowne jak śpiew anioła.

– Je... je... steśmy... – wysapałam i oparłam się o płot. Za plecami czułam złowrogą obecność rozwścieczonego psa. Dobrze by było w las go puścić, na tego, chowającego się tam, obcego.

– Wspaniale pani biega! – Z podziwem, między kolejnymi głębokimi wdechami, skomplementowało mnie Kasiątko. – Dobrze, że już jesteśmy na miejscu. Krzyknę na Stefka, bo pies szczeka, jakby chciał nas zjeść z butami. – Pani Ewo... – Podeszła do mnie i z troską przyjrzała się mojej twarzy. – Nic pani nie jest? Nic pani nie boli?

– Boli? – Zaśmiałam się triumfalnie i demonstracyjnie oraz dynamicznie potrzepałam chorą nogą. Upadek zrobił jej tak dobrze, jak nigdy dotąd żaden rowerek.

– Widzisz? Wcale mnie nie boli! Na twoim weselu będę hulać jak dwudziestka!

– Słucham? – Kasiątko patrzyło na mnie z osłupieniem. – Jednak w głowę też musiała się pani uderzyć...

– Nie, w głowę się nie uderzyłam – powiedziałam stanowczo. – Więc co? Wołasz tego Stefana czy nie?

Wymownie popatrzyłam w stronę lasu, w którego czeluści czaił się tajemniczy KTOS. Kasiątko wzdrygnęło się z przestraczem.

– Jasne.

Podeszła bliżej furtki, a pies podbiegł w jej stronę.

– Stefaaaaaan! – co sił w płucach krzyknęła Kasia.

Przed wejściem do większego z magazynów świeciła się żarówka. Przy drzwiach, oparty o ścianę, stał rower, zapewne Stefana. Pies zapienił się i tak zapamiętał w swym szczekaniu, że z zainteresowaniem czekałam, aż dostanie czkawki. Mimo jego głośnego zachowania z wnętrza żadnego z magazynów nikt się nie wyłonił.

– Przecież to jest rower Stefana, więc powinien tam być. Stefaaaaaan! – krzyknęła jeszcze głośniejsze.

– Może na piechotę do domu poszedł? Popił z Ewarystem i nie chciał prowadzić pod wpływem? – podsunęłam.

– Nie, Stefan rzadko pije, a już na pewno nie robi tego w pracy. Ale możliwe, że z jakiegoś powodu Ewaryst odwiózł go do domu autem.

– To Ewaryst ma samochód? – Nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się usłyszeć, że nie. Posiadanie auta jakoś mi do niego nie pasowało. Uprawy ziół i wiedza owszem, tak, ale auto? Chociaż patrząc zdroworozsądkowo, ktoś, kto

prowadził taką działalność, jakiś samochód mieć musiał. A jeśli nie on, to przynajmniej jego pomocnik – Stefan.

– Pewnie, że tak. Marki nie znam, ale ma kolor czerwony. Stefaaaan! – znów krzyknęła, nic sobie nie robiąc z szalejącej za płotem bestii.

– Chyba jednak nikogo tam nie ma – zauważyłam po chwili z rezygnacją. Pies tymczasem wściekł się jeszcze bardziej i z głośnym jazgotem rzucił się w stronę płotu graniczącego z lasem, gdzie szczekał równie złowrogo.

– Tam ktoś jest... – szepnęła Kasia.

– Tak... – odszepnęłam jej. – O, zobacz, jedzie tu jakiś samochód. – Wskazałam na światła, które pojawiły się na prowadzącej ku nam polnej drodze.

– Chwała Bogu! – ucieszyło się Kasiątko. – To na pewno Ewaryst!

Auto jednak nie przyjechało pod furtkę, przy której stałyśmy, ale skierowało się gdzieś na tyły.

– Może to nie oni?

– A kto inny? Główna brama jest z tyłu.

– Głupio jakoś. – Wzruszyłam ramionami. – Tu furtka, tam brama.

– Z tamtej strony magazyny mają duże drzwi, przez które można wjechać na plac albo nawet do środka. Byłam tam kiedyś, kawał powierzchni. Pewnie coś przywieźli i chcą od razu do wnętrza wyładować.

– Tak późno?

– Mnie to nie dziwi – powiedziała Kasia – mojemu ojcu, gdy robi remont, zawsze czegoś brakuje i musi jechać albo dokupić, albo od sąsiadów pożycza. Wstyd mi za niego.

A ojcu za ciebie – pomyślałam.

– Chodźmy już do nich – powiedziałam z nadzieją, że samochód rzeczywiście prowadził Pławski lub Stefan, jak dla mnie mogli i obaj razem, byleby to właśnie byli oni. Więcej podejrzanych typów ani jakichkolwiek niespodzianek sobie nie życzyłam. Barry tymczasem z pewnym opóźnieniem i niechęcią porzucił miejsce przy płocie i z zupełnie innym, bo pełnym radości szczekaniem pobiegł w kierunku, gdzie pojechał samochód.

– Idźmy polem. Nie od strony lasu – zaproponowałam, a Kasia nie protestowała.

Szybko okrążyłyśmy betonowy płot i znalazłyśmy się przed bramą, w chwili gdy z auta, fiata dobło, wysiadł Stefan.

– Stefciu! – radośnie krzyknęła Kasia, bo jeszcze nas nie zauważył i wyciągał łapę, aby otworzyć bramę. Z drugiej strony wjazdu podskakiwał Barry. Pies wydawał się rozdarty między radosnym witaniem Stefana a złowrogim szczekaniem na nas. Stefan drgnął.

– Co ty tu robisz?! Miałaś siedzieć w domu! – Wściekłość zalała go błyskawicznie. Łypał to na mnie, to na Kasiątko, rytmicznie przy tym zaciskając

pięści.

– Jak się dowiesz, co ci chcę załatwić, na pewno się ucieszysz.

– Z niczego cieszyć się nie będę. I... – Na dłużej zatrzymał na mnie wzrok. – A tobie, co się z twarzą porobiło?

– Mnie? – Dotknęłam policzków, trochę mnie piekły i wydało mi się, że lekko napuchły. – Nic.

– Ty też dobrze nie wyglądasz. – Podeszedł do Kasiątka. – A ty co robiłaś? Też nic?

Kasia spojrzała na mnie z pytaniem w oczach, jakby chciała uzyskać odpowiedź, czy drażnić i tak wystarczająco rozdrażnionego Stefana opowieścią o domniemanym leśnym złoczyńcy? Uznałam, że nie byłoby to dobrym pomysłem. Jeszcze by nas, szczególnie mnie, uznał za wariatkę. Dopiero co szukałam po wsi Malwiny i Cześka z psem, a teraz człowiek w lesie mi przeszkadzał. Nie. Mrugnęłam do niej i dyskretnie pokręciłam głową. Milcz, mała, lwa nie drażnij!

– Takie tam... Po lesie trochę biegałyśmy.

– Tak późno?

– Jakie późno?! Pięć lat dawno skończyłam!

– Ale osiemnastu jeszcze nie.

– Stefan! Bo się pogrywamy! – rzuciła obrażonym tonem, i jak na mój gust zrobiła to zbyt teatralnie.

– Niech ci będzie. Wsiadajcie, odwiozę was.

– Dobrze, zaraz, ale pożycz na chwilę telefon. Pani Ewa musi zadzwonić.

Zmierzył mnie lodowatym spojrzeniem.

– Żeby zadzwonić, aż tutaj przyleciałyście? – Patrzył na nas podejrzliwie.

– To jest dość skomplikowane...

– Dobra, jak skomplikowane, to nie mów... Gdzie chce dzwonić? – zwrócił się do mnie. – Na karcie zostały mi nędzne grosze.

– Oj tam! Na karcie możesz nic nie mieć, na policję na pewno się dodzwonię. – Uśmiechnęłam się szeroko, żeby wreszcie dał mi ten telefon. Chciałam załatwić swoją sprawę i wrócić do Kamili, bo ujadanie psa doprowadzało mnie do szału.

– Na po... – zaciął się. – Zapomniałem! Przed chwilą mi się wyładował!

– Pani Ewo, tak mi przykro! – Kasiątka spojrzało na mnie z bezradnością w oczach.

Tymczasem podwoje magazynu uchyliły się i stanęła w nich drobna postać. Ewaryst Pławski. A jednak ktoś w tych suszarniach był. Dlaczego nie wyszedł, kiedy Kasia wydzierała się pod płótnem, a pies ujadał, jakby go osy pożądlify? Barry wreszcie zamknął rozszalałą jadaczkę i podleciał do pana, radośnie merdając ogonem.

– Co się dzieje? – zapytał Ewaryst i ruszył w naszą stronę. – Dlaczego nie

wjeżdżasz? – zapytał Stefana.

– Ten... Mamy problem, chciałem powiedzieć, gości.

Ewaryst zbliżył się do bramy i popatrzył na nas w milczeniu; złowrogim milczeniu.

– Odwieź panie do domów – odezwał się wreszcie.

– A może pan ma telefon? – zapytałam, starając się, aby uśmiech, którym go obdarzyłam, mimo strasznej twarzy wyszedł mi pięknie.

– Na policję chce dzwonić! – sarkastycznie rzucił Stefan i zaśmiał się upiornie.

– Nie mam telefonu. W domu zostawiłem – powoli powiedział Ewaryst i z namysłem zaczął gmerać przy bramie.

W tym czasie Stefan otworzył drzwi fiata.

– Wsiadać – powiedział.

– Barry! – wrzasnął nagle Ewaryst. – Do nogi, psie!

Zimny prąd zmroził mnie od stóp do głowy. Czy on naprawdę nie przewidział, że przy otwieraniu bramy pies mógł się na nas rzucić? Albo inaczej: dlaczego ja tego nie przewidziałam i zawczasu nie wlażłam do tego fiata?! Bo teraz na to było już dla mnie za późno – wskoczyło tam Kasiątko i zatrzasnęło za sobą drzwi. Młodociana egoistka!

– Barry! Stój! Stój! – wrzeszczał Stefan, a psisko, kłapiąc uzębioną paszczą, leciało wprost na mnie, jakby diable skrzydła go niosły. W jednej sekundzie podjęłam decyzję: żadnej ucieczki! Szans nie miałam, a rzucając się do biegu, mogłam jedynie pogorszyć sytuację. Decyzja była szybka: psa musiałam zastrzelić! Aby zyskać na czasie, postanowiłam najpierw rzucić mu kiełbasę, potem wyciągnąć giwerę i, podczas gdy będzie żarł, palnąć mu w kudłaty łeb. Ale działać musiałam sprawnie i zdecydowanie! Już! Natychmiast! Sięgnęłam do kieszeni, wzięłam rozmach i rzuciłam, drąc się przy tym na całe gardło:

– Aport! Durniu, aport!

Pies przystanął, łypnął okiem na lecący obiekt i z radosnym szczekaniem poleciał w kierunku, gdzie spodziewał się go dopaść. Patrzyłam na niego z niechęcią – ten pies miał tak samo zmienne nastroje jak moja Kamila. Czy był to przypadek, czy wina tutejszego powietrza? Barry tymczasem obwąchał przedmiot, który odnalazł w trawie i z wściekłym kłapaniem rzucił się ponownie w moją stronę.

– I czego nie żresz, durniu?! Dobra, sam tego chciałeś! – Szybkim ruchem, z zamiarem wykonania śmiertelnego wyroku, sięgnęłam do drugiej kieszeni i prosto w jego ślepią wycelowałam... kiełbasą!

– Aaaa! – wrzasnęłam przeraźliwie i niczym wijącą się żmiję odrzuciłam ją na bok, po czym ruszyłam z miejsca, za kierunek obierając otwartą bramę, a następnie drzwi suszarni, z której wcześniej wyszedł Pławski. Błyskawicznie

minęłam Stefana i Ewarysta, przemknęłam przez podwórze, wpadłam do pomieszczenia i z ulgą zatrzasnęłam za sobą drzwi. Jak mogłam pomylić się tak paskudnie?! Jak mogłam nie poczuć, że zamiast kielbasą, rzucam Bodziową giwerą? Czyżbym ze starości w rękach czucie straciła? Ale nie to teraz było najważniejsze. Wreszcie znalazłam się w jednej z owych tajemniczych suszarni, miejscu, do którego być może wybierała się Malina. Tak, ale jeśli nawet, to co z tego? Zupełnie zapomniałam o obecności psa. Mimoza do środka z pewnością by się nie dostała, prędzej zwierz by jej cały zadek odgryzł! Chyba że Barry zapalał do niej taką samą miłością jak Cześkowy Szczek? Nie, szans, że tu mogła się ukryć, jednak nie było.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu i przypomniało mi się, z jaką dumą Ewaryst mówił: „Moje suszarnie”. Aby stały się nimi w pełnym tego określenia znaczeniu, Pławski musiałby wziąć się do pracy nie tylko osobiście, ale i Stefana oraz dodatkowo kilku roślących chłopów porządnie do tego pogonić. Po sufitem wisały pęczki ziół i były one jedynym świadectwem przeznaczenia tego miejsca. Od ścian odpadał tynk, stelaże mające służyć do suszenia zamontowane były tylko częściowo, wszędzie porozrzucane były deski, pod ścianą leżały zwinięte węże ogrodowe, obok nich pojemniki na rośliny, konewka, tyśiąclitrowy zbiornik na ciecz, kilka worków z nawozami, worki z torfem oraz... Maty z wełny mineralnej? I kokosowe również? Musiałam się upewnić, że dobrze widzę – podeszłam bliżej. Tak, miałam rację. Jeżeli Ewaryst miał tylko uprawy polowe, to po co mu te maty? Pozazdrościł Banasiom i też sobie kupił? A może im ukradł? A tam na końcu, za drewnianym przepierzeniem, to co wystaje? Chyba jakieś sadzonki. Z niedowierzaniem pokręciłam głową. Tego po Ewarystcie się nie spodziewałam, na zewnątrz pole idealnie utrzymane, a w magazynie rozgardiasz, który sugerował, że owszem, coś się tu robiło, ale bardzo chaotycznie i w sumie nie wiadomo, do czego cały ten chaos zmierzał. I te sadzonki. Dlaczego je trzymał w zamkniętym pomieszczeniu? Przecież na zewnątrz mrozu nie było, żadnych pogodowych anomalii nie zapowiadano, więc jeśli chciał je wysadzić na pole (a na pewno chciał, bo cóż innego miałby z nimi zrobić?), mógł pozostawić na podwórzu. Bał się kradzieży? Barry na pewno dobrze by ich przypilnował. Podeszłam do drewnianej ścianki i schyliłam się, aby zobaczyć, co też za gatunek chował tak przed światem.

– Ożeż kurwa! – wrzasnęłam z przerażeniem i odskoczyłam, jakby rośliny wydzielały śmiertelne opary.

Zacny społecznik, Ewaryst, parał się uprawą marihuany!

Już po mnie – pomyślałam i rozejrzałam się, gdzie by się schować, bo ucieczka zupełnie nie wchodziła w rachubę – okienka były małe, umieszczone wysoko i dodatkowo okratowane. Kraty w suszarni! Teraz nic mnie nie dziwiło. Usłyszałam zgrzyt otwieranych drzwi. To on! Idzie po mnie! Przez głowę, lotem błyskawicy, przemknęły mi twarze Krzycha, Maliny, Cześka, a na końcu wredny

pysk Szczeka. Wszystko jasne – zaginęli, bo za dużo wiedzieli! Nie miałam już czasu, aby dochodzić, w jaki sposób Ewarystowe tajemnice mogła posiadać na przykład taka Malina, musiałam się ukryć, choćby po to, by oddalić od siebie widmo śmierci, bo nie ulegało wątpliwości, że fałszywy społecznik szedł, by mnie zamordować.

Może jednak ucieczka? Z nadzieją popatrzyłam na stojący przy ścianie stół, na którym stały otwarta puszka z konserwą i niedopita herbata oraz leżały: nagryziona bułka, kawał drutu, kombinerki, taśma izolacyjna... Gdybym na nim stanęła, sięgnęłabym tego cholernego, zakratowanego okna, ale co dalej? Nic. Zaraz... W podłodze pod stołem była jakaś kłapa. Rzuciłam się i ponieważ nie miała uchwyty, wpiłam się pazurami w szczelinę między nią a podłogą. Pociągnęłam z całej siły, ale wskórałam tylko tyle, że złamałam sobie trzy paznokcie. Spróbowałam jeszcze raz i zdołałam nieco ją podnieść, tak by móc całą dłońią złapać za brzeg i całkowicie podnieść. Udało się! W oczy uderzyło mnie mocne światło, a na twarzy poczułam wilgotne powietrze. Wytrzeszczyłam wzrok: zobaczyłam trochę zieleni, wydawało mi się, że na dole ktoś się poruszył.

– I co? – usłyszałam tuż za plecami. – Ta uprawa też się podoba?

Podniosłam wzrok. Ewaryst w prawicy trzymał żelazny pręt i miarowo uderzał nim w otwartą lewą rękę. Chyba nieco zbyt głośno przełknęłam ślinę.

– To tam również pan coś hoduje? – zapytałam z głupia frant.

Ewaryst uśmiechnął się z politowaniem.

– Wejdz, a się przekonasz.

Teraz, gdy osobiście mnie zachęcał, wejście tam przestało być dla mnie taką atrakcją, jaką wydawało się jeszcze minutę temu. Czym innym było dobrowolne schowanie się, a czym innym skorzystanie z Ewarystowego zaproszenia. Każda interpretacja wypowiedzi prowadziła do tego samego skutku.

– Może innym razem? – Chciałam delikatnie i powoli opuścić kłapę, ale wymusnęła mi się z rąk i zamknęła z hukiem. Po chwili na zewnątrz rozległ się wystrzał i niemal natychmiast dał się słyszeć paniczny skowyt psa. Cichł coraz bardziej, jakby się oddalał, aż zapanowała zupełna cisza. Nie mogło być inaczej: Barry po pożarciu kiełbasy chciał zeżreć giwerę i w pysk sobie wystrzelił.

– Kto strzelił?! – zdenerwował się Pławski.

– No kto? Przecież, że pański pies! Z mojej giwery na dodatek – dodałam z dumą.

– Pies?... – Ewaryst popatrzył na mnie nieprzytomnie. – Ty miałaś broń? – W jego głosie wyczułam coś na kształt respektu. – Ręce go góry! – wrzasnął nagle. – Bo prętem przywalę! – dodał i pogroził mi żelastwem.

Posłusznie uniosłam ręce, a Pławski szybko mnie przeszukał. Odetchnął z ulgą.

– Niech mnie pan wypuści – powiedziałam. – Kamila na pewno będzie mnie

szukać i na pewno również tu zajrzy.

– Nie zajrzy, bo nie zdąży, wcześniej znajdzie cię na polu. Zimną i martwą – ostatnie dwa wyrazy powiedział z wyraźną przyjemnością.

– Mogę opuścić ręce? – Ścierpły stosunkowo szybko, co mnie nie zdziwiło, bo wiadomo, lata nie te.

– Możesz. A teraz... – Zamierzył się na mnie prętem.

– Chwila! – zakrzyknęłam, aby mu przerwać, bo celował w moją głowę.

– Co znowu?

– Pan mnie posłucha. Kto jak kto, ale policja na pewno będzie tu szperać! Na okoliczność mojej śmierci i tego, że pana suszarnie są ostatnimi miejscami, w których widziano mnie żywą. – Chciałam powiedzieć to twardo, z zimną krwią, jak na heroiczną bohaterkę przystało, ale drżący głos zdradził, jak bardzo się bałam. Może i byłam stara, ale nie na tyle, aby umierać.

Zrobił krok w moją stronę i podniósł wyżej pręt:

– Policja nieraz tu grzebała, bo przecież Krzyśka szukali. Ślepi idioci! Myślisz, że teraz by coś znaleźli? Na przykład ludzkie truchło?

Znów zbliżył się o krok. Przy tak niskim wzroście i łapki bywają niedłgie, więc aby porządnie mi przydzwonić, musiał się znajdować naprawdę blisko. Jeśli podejdzie jeszcze bliżej, to... zaczęłam gorączkowo myśleć, co też mogłabym mu zrobić? Zgrabnym kopem pręt wytrącić? A może prościej celować między nogi? W klejnoty z pewnością trafię i bolesny efekt bankowo wywołam. Już-już robił zamach, aby mnie uderzyć, gdy usłyszeliśmy odgłos otwierających się drzwi i rozmowę:

– Jak to nie ma? Przecież widziałem, że leciała w tę stronę – powiedział męski głos. Zakołatało mi w głowie, że jest mi skądś znany. Ale skąd go znałam, do kogo należał? Nie mogłam sobie przypomnieć! Ewaryst doskoczył do mnie i zatkał mi usta dłonią. Uścisk miał mocny, żeby nie powiedzieć – żelazny jak pręt, który nadal trzymał w drugiej ręce.

– Cicho, bo w łeb przywalę! – zagroził i musiałam przyznać, że zabrzmiało to wyjątkowo serio.

Pchnięciem wskazał mi, w którą stronę mam się przesunąć – bliżej stołu. Odłożył żelastwo na blat, a wolną ręką, z zamiarem zaklejenia mi japy, sięgnął po taśmę izolacyjną. Ponieważ nie miał możliwości odcięcia kawałka, a pozostawienie dyndającej rolki groziło tym, że natychmiast zechcę się odetkać, aby mi to utrudnić, porządnie, kilkakrotnie okręcił taśmą wokół mojej głowy, nie bacząc (a może właśnie specjalnie tak robiąc?) na przyklejające się do niej włosy.

– Pan patrzy, nie ma jej – odezwał się drugi męski głos. Również znajomy, ale dla odmiany możliwy do zidentyfikowania – tę frazę wypowiedział Stefan.

– Ale jak to możliwe? – tym razem odezwał się głosik Kasiątka. – Przecież ja też widziałam, że pani Ewa tu wbiegła.

– Ty, Kacha, siedź cicho! – ostro powiedział Stefek.  
– Mogę się rozejrzeć? – zapytał drugi mężczyzna.  
– Po co? – szybko rzucił Stefan i zaraz dodał: – Dobrze, już dobrze! Po co od razu bronią grozić?!

Obcy miał broń?! Kim był?! Policjantem? Jeśli tak, to skąd się tu wziął? Zaraz... Tak, leśny oprych! Może to był tajniak, który zza krzaków śledził wiejskie machloje? A że głos znajomy? Mało to ludzi jest do siebie podobnych nie tylko z wyglądu, ale również z głosu? Tajniak! Tak właśnie musiało być! Tymczasem ten ktoś wyraźnie podążał w kierunku przepierzenia, za którym trzymał mnie Ewaryst.

– Co to jest? – zapytał obcy i przystanął.  
– Maty kokosowe – odpowiedział Stefan. – A te drugie z wełny. Mineralnej oczywiście.

– Ma pan szklarnie?  
W odpowiedzi Stefan bąknął coś niezrozumiale.  
– Stefan i szklarnie! – Po magazynie poniósł się perlisty śmiech Kasiątka.  
– W okolicy szklarnie mają tylko Banasiowie. Pan też chce stawiać? – ciągnął znajomy głos, a mnie szlag trafiał. Dociekliwy audytor od siedmiu boleści. Zamiast od razu leżeć do drewnianej ścianki i mnie ratować, Ewarystowy burdel kontempluje.

– Co pan za jeden, że zna Banasiów? – Kasiątko wyraziło zainteresowanie.

Obcy z odpowiedzią się nie pokwapił. Tymczasem Pławski nie próżnował – kombinował, aby za pomocą pręta otworzyć klapę w podłodze, zapewne z zamiarem wepchnięcia mnie do środka. Chwila, kiedy Ewaryst się schylił, aby ją unieść, dawała szansę, której grzech było nie wykorzystać. Ponieważ, aby mnie obserwować, wszystko robił ustawiony przodem, musiałam celować w czaszkę.

Przepraszam! Przed atakiem przeprosiłam go w myślach, po czym z całej siły kopnęłam go w czoło. Pławski błysnął zaskoczonym spojrzeniem, wpadł plecami na roślinki, przetoczył się przez nie i walnął w przepierzenie. Ścianka skrzypnęła i rąbnęła w tył, ukazując Kasiątka, Stefana oraz... wuja Gwidona?!

Gwidon! Ucieszyłam się w duchu. Gdybym mogła gadać, natychmiast bym swą radość wyartykułowała, a była to radość szczególna, bo nigdy dotąd obecność wuja tak mnie nie ucieszyła. Stefan wykorzystał zamieszanie i rzucił się na niego. Z dumą patrzyłam, jak Gwidon, niczym pluskwę, nonszalanckim ruchem strząsnął go z pleców, a na koniec (równie nonszalancko i jakby od niechcenia) zdzielił go przez łeb ręką wyciągniętą z dłoni pistoletu. Tajemnica jego dziarskich i silnych ruchów tkwiła w tym, że Gwidon od lat brylował na wszelkich dostępnych mu siłowniach. Stefan padł na podłogę i znieruchomiał. Nie sądziłam, aby stało mu się coś więcej niż utrata przytomności, bo Gwidon mimo grozy sytuacji na pewno w cios nie włożył całej siły; w gruncie rzeczy zawsze cechowało go miękkie serduszko. Nagle poczułam, że ktoś mnie chwyta za kostki i ciągnie



gwałtownym ruchem. Straciłam równowagę i poleciałam na marihuanę, bezlitośnie tratując idealnie utrzymane roślinki – tak załatwił mnie Ewaryst.

– Coś ty jej zrobił?! – zagrział Gwidon i kopiąc na boki leżące mu na drodze rupiecie, już biegł ku nam krokiem szybkim, groźnym, zapowiadającym, że osobnik tak pędzący jest zdolny do wszystkiego.

– Nic! – pisnął cienko Pławski i zaczął gramolić się z podłogi.

– Leżeć! – tonem jak do psa rozkazał mu Gwidon.

– A właśnie! Gdzie Barry? Zastrzelił pan mojego psa?! – Ton wuja przypomniał mu o czworonożnym przyjacielu.

– Zgłupiał pan? – Gwidon podał mi rękę i pomógł wstać. – Zwierzakom krzywdy nie robię. Strzeliłem, aby go nastraszyć. Do lasu uciekł. Ewka! – Wuj przyjrzał mi się z troską: – Kto ci tak twarz załatwił?! On?! – Wskazał głową Ewarysta, a ten zmartwiał. Tylko od mojej prawdomówności zależało, czy dostanie między oczy. Uśmiechnęłam się złośliwie.

– Mów! Bo od razu draniowi przywalę, gdy jeszcze na ziemi leży. Dzięki temu zaoszczędzę mu bólu upadku.

Nie byłam jednak taka wredna, przecząco pokręciłam głową i wskazałam na taśmę.

– Nie? A kto? Tamten? – Wskazał na Stefana.

Ponownie pokręciłam głową. Gwidon, znałam go aż nazbyt dobrze, kipiał wściekłością. Skoro nie mógł uzyskać odpowiedzi, nie licząc się z bólem, jaki mi zadaje, zdecydowanymi ruchami oswobodził mnie z taśmy. Całe szczęście, że włosy zapuszczałam dopiero od kilku dni. Wolałam nie myśleć, co bym przeszła, gdyby były długie. Teraz, po tak brutalnym odkneblowaniu, z pewnością na głowie miałam niejednego łysy placek, ale to oszpecenie nie martwiło mnie szczególnie, bo wystarczą trzy–cztery dni, aby braki we fryzurze pokryły się znaczącą szczecinką, do której mogłam dorównać pozostałe, krótkie jeszcze włosy.

– Au! Au! Zwariowałaś?! – rozdarłam się, gdy moje usta zostały uwolnione.

– Nikt mi niczego nie zrobił! W lesie ktoś mnie szpiegował, oprycha się wystraszyłam, na oślep leciałam, i stąd mam taką porytą facjatę.

– Ach... – rzekł krótko i odchrząknął z zakłopotaniem.

Jego niepewne chrząknięcie brzmiało jak przyznanie się do winy.

– To byłeś ty!

Ponownie odchrząknął.

– Cholerne lato, coś kwitnie i ciągle w gardle mnie drapie. O, co tu sobie rośnie? – Szybko zmienił temat i wsadził nos w sadzonki marihuany. – Co to? – powtórzył.

– Nie poznajesz? Maryśka. A w ogóle to co ty tu robisz?

– No właśnie! Co pan tu robi? – oburzył się z podłogi Ewaryst. – I skąd wy się znacie, bo przecież widzę, że się znacie. Spisek na mnie uknuliście, co?!

– Właśnie, skąd pani zna tego pana? – ze zdziwieniem zapytało Kasiątko.

– Nic wam do tego – burknął Gwidon, a do mnie powiedział: – Zamiast tyle gadać, pomóż mi ich związać.

Tak... na zadane pytania mój chrzestny nie miał wcale ochoty odpowiadać, ale ja nie miałam zamiaru rezygnować z uzyskania odpowiedzi. Postanowiłam, że za jakiś czas znów go o to przyduszę.

– Na stole leży drut – powiedziałam.

Gwidon obciął kombinerkami dwa kawałki, poderwał Ewarysta, wykręcił mu ręce do tyłu i sprawnie związał.

– Boli! – poskarżył się zacny społecznik.

– Facetów nie pieszczę.

Gwidon podszedł do Stefana i przyjrzał mu się z ciekawością.

– Te – trącił go butem – wstawaj.

Stefan się nie ruszył.

– Przecież widzę, że mrugasz! – Gwidon rozejrzał się po pomieszczeniu, dostrzegł konewkę, wziął ją i już wracał w kierunku Stefka.

– To jest kwas! Kwas! – wrzasnął Ewaryst, a Stefan natychmiast zerwał się na równe nogi. Gwidon do niego doskoczył, również wykręcił ręce i porządnie odrutował.

– Teraz obaj pod ścianę! Ale niech jeden od drugiego daleko stanie!

– Pod ścianę? Do jeńców chcesz strzelać?

– Nie, nie chcę. Ani do jeńców, ani nikogo innego.

– Oni mają coś schowanego pod podłogą. Chyba jakąś uprawę – powiedziałam.

– A gdzie wejście?

– Pod stołem jest kłapa.

– Bierz pistolet i trzymaj ich na muszce. Zajrzę tam.

Gwidon próbował ją unieść, ale mając wyjątkowo grube paluchy, nie mógł dać rady.

– Tam musi leżeć pręt – podsunęłam.

– Dobra, widzę go. – Sięgnął między stratowane roślinki, bez problemu uniósł wieko i zajrzał do środka.

– Uuuuu... – dziwnym dźwiękiem wyraził podziw nad tym, co zobaczył. – Pilnuj ich, wleżę do środka i się rozejrzę.

– Pospiesz się, bo im nie ufam. – Z niepokojem patrzyłam to na dziurę w podłodze, to na jeńców. Odnosiłam wrażenie, że Gwidona nie ma całe wieki. Wreszcie doszły mnie jakieś głosy. Rozmowa? Po chwili z dziury wyłonił się ciemnowłosy mężczyzna, a za nim wuj.

– Zobacz, kogo tam znalazłem!

– Kto to? – zapytałam, patrząc na zarośniętą twarz, w której jaśniały łatki

oderwanego zarostu. Tego biedaka Gwidon również rozkneblował – pomyślałam ze współczuciem.

– Nie wiem. Siedział tam związany i zaklajstrowany, a że błagalnie spozierał i z oczu dobrze mu patrzyło, uwolniłem go.

– Krzysiu! – wrzasnęło Kasiątko. – Odnalazłeś się!

– I na szczęście żyję – odpowiedział i zaczął masować sobie nadgarstki.

– Krzysiek? To ty?! – Nie spodziewałam się, że go tam odnajdziemy. Zawsze wyrokowałam, że przy nierozsądnym odżywianiu czeka go otyłość, i tak właśnie się stało – był pulchnutki i okrągły, a jego twarz, z powodu gęstej brody, wydawała się nieproporcjonalnie duża. Ale teraz, gdy Gwidon wyrwał mu połowę zarostu, na pewno zgoli brodę.

– Skąd mnie znasz?

– To ja, Ewka Kamińska!

– Ewka chłopczyca?!

Chłopczyca? Do tej pory nigdy w życiu nie słyszałam, aby ktoś tak na mnie mówił. Ale pory nadszedł kres i usłyszałam to od Krzyśka.

Tymczasem Krzysiek popatrzył na Ewarysta i Stefana.

– Do pierdła pójdziecie! – Pogroził im zwiniętą pięścią.

– Mnie też chcesz wsadzić? – oburzył się Stefan. – Wiesz dobrze, że uprawa i porwanie to pomysły starego! To on kazał mi robić te wszystkie złe rzeczy!

– Tylko się nie rozpłacz! – syknął Pławski.

– Niech pan da mu spokój! Mój Stefan jest bardzo wrażliwy. – Kasia stanęła w obronie ukochanego.

– Porwanie? O jakim porwaniu mowa? – zainteresował się Gwidon.

– Kazał mi porwać syna ogrodników – z płaczącą miną kablował Stefan.

– A Malina i Czesiek gdzie?! – huknęłam na Ewarysta.

– Skąd mogę wiedzieć? Nie odpowiadam za wszystkich, którzy na tej wsi zaginęli.

Wycelowałam mu między oczy.

– Prawdę gadać, kitu nie wciskać!

– Przecież mówię, że nie wiem! Stefek, powiedz jej, żeby nie mierzyła mi między oczy. Głowa mnie od tego boli!

Głowa to go od mojego kopnięcia bolała, ale widocznie o nim zapomniał. Opuściłam pistolet, a po chwili zastanowienia wycelowałam w Stefana.

– Teraz ciebie przesłucham. Co z Malwiną i Cześkiem? Gadaj zaraz, bo w łeb strzelę!

– Nie wiem! – jęknął płacząco. – Czy wy wszyscy musicie robić mi tyle przykrości?!

Gwidon podszedł do mnie i odebrał broń.

– Daj spokój, Ewa, policja lepiej ich przesłucha. – Popatrzył na zniszczone

sadzonki marihuany i wyjął z kieszeni telefon.

Gdy czekaliśmy na policję, postanowiłam rozmówić się z Gwidonem.

– A teraz gadaj, co robiłeś w Zadolu!

– Ewa – Gwidon zerknął na obecnych winnych i niewinnych całego zamieszania – nie teraz! Za chwilę przyjedzie policja. Później porozmawiamy.

– Teraz będziemy gadać! – Wściekle kopnęłam leżącą pod nogami metalową rurkę. Z brzdękiem poturlała się w kierunku Gwidona. – Przyznaj się! Matka cię na mnie nasłała! Baliście się puścić mnie w świat, więc ruszyłeś moim śladem! Czy wy wszyscy na głowy poupadaliście?!

Podążyłam szlakiem rurki, podbiłam ją czubkiem buta i znów kopnęłam do Gwidona. Tym razem dostał w kostkę.

– Ewka, postaw się w sytuacji twojej mamy!

– Więc miałam rację! – Zacisnęłam zęby i schyliłam się po rurkę. Podniosłam ją lewą ręką, a prawą zwinęłam w pięść i podstawiłam mu pod nos. Guzik mnie obchodziło, że Gwidon był z tych małych i krępych, tak mocno mięśniami nabitych, że mógłby mnie jednym palcem na posadzkę położyć. Ale gdy byłam wściekła, nikogo się nie bałam.

– Ewka! Uspokój się! Wszyscy patrzą! – Gwidon, z przepaszającym uśmiechem skierowanym do obecnych jedną ręką odsunął od siebie moją dłoń dzierżącą rurkę, a drugą pięść od swego nosa. Zerknęłam na Krzycha. Skulił się w sobie i patrzył na mnie jak... jak zwykle... czyli... O Boże, właśnie sobie uświadomiłam, że on patrzył na mnie z przerażeniem! Zawsze tak na mnie patrzył, więc zawsze sądziłam, że ten wzrok to taka jego uroda. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że... on mógł się mnie bać!

– Krzysiek! Co z tobą? – zapytałam go i odsunęłam się od Gwidona, a rysy twarzy Krzyśka jakby nieco złagodniały.

– Proszę, nie bij go. On mnie uratował. Ciebie zresztą też – dodał szybko.

– Zuch babka! – odezwał się Ewaryst. – Szkoda, że wcześniej cię nie znałem. Przydałabyś mi się bardziej niż ten tam... – Z pogardą kiwnął głową w kierunku załamanego Stefana.

– Niedoczekanie. – Pogroziłam Ewarystowi rurką.

Jak się później okazało, śledzenie mnie przez Gwidona nie było aż takim strasznym wybrykiem, bo dowiedziałam się o nim czegoś o wiele gorszego.

Gdy Gwidon znalazł się oko w oko z Adelą, na twarzy wioskowej wróżki wykwitł szeroki, tysiącem gwiazd jaśniejący uśmiech, a mój chrestny dostał czegoś na kształt paraliżu. Zmarszczyłam czoło – czy było coś, o czym nie wiedziałam?

– Gdzie ten delikwent? – nie bacząc na szczególną atmosferę, zapytał mnie jeden z dwóch policjantów. Podczas aresztowania Ewarysta i Stefana dokładnie im opowiedziałam o uwięzionym w piwnicy Bodziu. Dodałam też kilka, oględnie

rzecz ujmując, mijających się z prawdą uwag, że bandzior ów również w jakiś sposób może być powiązany z trefną plantacją, i liczyłam na to, że w ten sposób szybko się go pozbędziemy. Po takiej informacji przybyli do magazynów policjanci podzielili się zadaniami: trzech zabrało na komisariat Ewarysta, Stefana, Krzyśka i Kasiątko, a ja i Gwidon pojechaliśmy z dwoma pozostałymi, o imionach Mirek i Wiesiek, do domu dziadka Walerego. Na podwórzu ognisko już dogasało, Kamila, wyrwana z drzemki na świeżym powietrzu, zerwała się na równe nogi, a Adela, jak wspomniałam wyżej, oniemiała na widok mojego chrzestnego tak samo, jak on na jej widok.

– Policja? – odezwała się Kamila.

Ziewnęła, przetarła oczy i ponowiła pytanie.

– Policja? Co tu robi policja? Co się stało? I kto to jest? – Wskazała na przyczajonego Gwidona. Ale po chwili zawołała odkrywczco: – Twój wuj Gwidon!

Jakże miałyby go nie pamiętać, skoro gdy przyjeżdżała do mnie do Pucka, on towarzyszył nam w każdej wyprawie? Takiej traumy się nie zapomina.

– Skąd on się tu wziął? – Kamila była naprawdę bardzo zaskoczona.

– Gwiduś, przyszedłeś do mnie... – wyszeptła miłośnie Adela, a po chwili dodała ostrzejszym tonem: – Ale tego, że jesteś wujkiem Ewuni, mi nie powiedziałaś! – Pogroziła palcem i ruszyła z kopyta, by z głośnym piskiem rzucić mu się na szyję.

– W malinowym! – krzyknęła triumfująco i cmoknęła go w jedno oko. – Chruśniaku! Dobrze nam tam było, nie? – Cmoknęła go w drugie oko. – Tyle lat! Wiedziałam, że moje wróżby nie kłamią! Wiedziałam, że kiedyś tu wrócisz!

– Wrócisz? – szepnęłam z przerażeniem. – Jak to wrócisz?! To ty już tu kiedyś byłeś?!

I krew mnie zalała, bo dotarło do mnie, że rzekomo beztrioskie wakacje, na które przyjeżdżałam do Zadola, były właśnie takie – rzekomo beztrioskie! Inwazyjny chrzestny uporczywie podążał moim tropem, a i kto go wie, może jeszcze przez lornetkę podglądał, aby tylko nic mi się nie stało? Dziś już raz zmuszona byłam zweryfikować swoje wspomnienia związane z Krzyśkiem, a teraz to – Gwidon w Zadolu. Wiecznie wszędobyłski wuj chrzestny.

– Przyjeżdżałeś za mną do Zadola! – wrzasnęłam oskarżycielsko. Że też ta metalowa rurka w magazynie została. Teraz na pewno bym jej użyła. Gwidon łypnął na mnie z przestraczem i zasłonił się Adelą.

– Czy ten pan coś pani zrobił? – rzeczowo zapytał jeden z policjantów, Wiesiek chyba. Groźnie zmarszczył brwi i stanowczym ruchem podciągnął opadające spodnie.

– Tropi mnie od dziecka! – poskarżyłam się płacząco, bo cóż innego mi pozostało, jak tylko lanie łez nad zbezczeszczonym wspomnieniem dzieciństwa?! Kto jest autorem bzdury, że najgorsza prawda jest lepsza od najśłodsze

kłamstwa? Wolałabym tkwić w przeświadczeniu, że moje wakacje były takie, jakie pamiętałam – idealne. I jeszcze ta heca z Adelą. Obrzydlistwo.

– Nie tropi, tylko pilnuje! – Gwidon z niemałym wysiłkiem odczepił przyssaną do siebie Adelę. – Gdyby miał pan taką chrześnicę, co to od małego wszędzie wlezie i wszędzie narozrabia, to też by jej pan pilnował! I widzi pan, na kogo wyrosła? W co się teraz wpakowała?! I nie pilnuj tu takiej!

– Gdyby się ta pani w sprawę nie wpakowała, nie wiadomo, co by się stało z porwanym Banasiem ani jak długo jeszcze Pławski by prowadził swój ciemny interes – powiedział Wiesiek, a Mirek, ten drugi gliniarz, kiwnął głową na poparcie słów kolegi.

Nie zwracałam na nich uwagi, bo wpadło mi do głowy pytanie, które natychmiast musiałam wyartykułować:

– Gwidon, powiedz, u kogo wtedy nocowałeś?

Adela znów czule się do niego przyssała i z oddaniem wpatrywała w oczy. Wzdrygnęłam się. W malinowym chruśniaku... W malinowym chruśniaku przed ciekawych wzrokiem wuj Gwidon i Adela...

– Powiedzieć mu? – zapytała, czule muskając płatek jego ucha.

– Milcz! Niech sama zgadnie! – rzucił do mnie zaczepnie.

Oczywiście! Kto by się nie domyślił? Pewnie, że u niej!

– U Adeli!

– A broń Boże! – Wymieniona z imienia oburzyła się energicznie, przecząco kręcąc głową, aż fryzura jej się zburzyła. – Tak bez ślubu z mężczyzną pod jednym dachem?!

– Nigdy nie zgadniesz! – złośliwie zaśmiał się Gwidon.

Zastanowiłam się. Licha zagadka. W całej wsi dwa domy na krzyż.

– U Łucji!

– Zimno – powiedział z satysfakcją.

To w końcu u kogo on nocował? Zrobiłam gorączkowy przegląd wszystkich okolicznych chałup. Jeśli Gwidon był tak troskliwy, że wybrał się za mną aż do Zadola, to nie mógł spartaczyć sprawy i zamieszkać zbyt daleko ode mnie... Jak pilnować, to na całego... Zaraz, zaraz... Jasna i oczywista myśl uderzyła w moje mózgowie półkule – męskie gacie! Linka rozpięta na Rasputinowym podwórzu, na której dyndały nowe slipy i skarpety! Bielizna wcale nie należała do Rasputina, tylko do wuja czyściocha!

– Mam!

– Ciekawe... – prychnął i przycisnął mocniej Adelę, a ta zapiszczała radośnie.

– O co się zakładamy, że teraz zgadnę?

– Naprawdę chcesz przegrać?

– Wygrać. Inna opcja nie wchodzi w grę. Mów, czego chcesz, na wypadek

gdybym nie miała racji – zaśmiałam się z wyższością.

– Cóż, jak spadać, to z wysokiego konia. – Gwidon się zamyślił. – Albo nie. Niczego od ciebie nie chcę. Ty mów, czego sobie życzysz. Oto, jaki jestem wspaniałomyślny.

– Dobra. Panowie są świadkami. – Skinęłam głową w kierunku stróżów prawa.

Zastanowiłam się szybko, czego mogłam od niego chcieć? Tak!

– Chcę twój dom! – Oczy mi się zaświeciły, że znów mi go zapisze i znów będę bliska realizacji marzenia o własnym pensjonacie.

Gwidon tego się nie spodziewał.

– Niech ci będzie – powiedział z ociąganiem. – Ale, jakby co, chcę mieć tam zapewnione dożywocie.

– Stoi. Panowie słyszeli? – zwróciłam się do policjantów. Skinęli głowami.

– A więc uwaga! Mieszkałeś u Rasputina!

Gwidon zadrzał, ale twarz zachował kamienną. Przez chwilę zwątpiłam. Ale nie, przecież to u niego musiał mieszkać – groźnego Rasputina, który taki groźny mógł być tylko na okoliczność potrzeb wuja, który potrzebował dyskretnego lokum. Wyganiał nas więc stary Rasputin ze swego podwórza i straszył, czym się da: wyglądem, groźną miną, gromkim porykiwaniem i kto wie? Może nawet sam fabrykował na swój temat niestworzone historie, aby tylko nikt ze wsi pod jego dom nie podchodził.

– Mam rację?

– Dalej, niech pan mówi tak lub nie, bo my czasu nie mamy! – popędził go policjant Mirek.

– Gwiduś – Adela pogładziła go po twarzy – no, powiedz prawdę. Bo, pamiętaj, nieładnie jest kłamać! – Pogroziła mu palcem.

– Tak! To był ten wasz Rasputin! – wuj mruknął i nerwowo przeczesał włosy. – Jak się domyśliłaś?

– Dość tego – odezwał się policjant Wiesiek – później sobie państwo resztę wyjaśnią. My w pracy jesteśmy!

– Masz rację – poparł go policjant Mirek. – Niech już nas pani prowadzi do tego Bodzia.

Sekretny romans sprzed lat tylko na jakiś czas zajął moją uwagę, bo przecież nadal nie wiadomo było, gdzie podziewali się Malina, Czesiek oraz Szczek. Dobrze, że Krzysiek szczęśliwie się odnalazł, a Ewarysta i Stefana czekało to, na co zasłużyli – odsiadka. A Bodzio? Miał pecha, że wraz ze swym szefem w Zadolu znaleźli się niczym w oku cyklonu. Policjanci zgarnęli pijanego nieboraka na komendę, gdzie przerażony zaistniałymi okolicznościami sam z siebie zaczął śpiewać o ciemnych sprawkach prowadzonych w Krakowie przez bandę jego szefa – Wiktora. Bełkotliwie starał się zrzucić na niego całą winę, ale oczekiwanego

skutku nie uzyskał. Policjanci początkowo z pobłażaniem przysłuchiwali się zawiłej opowieści o grasującej po Krakowie szajce zajmującej się ściąganiem haraczy, handlem wszystkim, co zabronione, oraz morderstwami na zlecenie. Wreszcie gdy Bodzio padł na ziemię i łkając oraz bijąc się pięściami w piersi, zaczął rzucać dobrze znanymi policji ksywkami, zaczęli traktować go poważnie. Owo poważne potraktowanie poskutkowało tym, że Wiktora oraz część bandy aresztowano. Szukaniem Wiktora policjanci szczególnie się trudzić nie musieli, bo po kilku dniach sam do Zadoła przyjechał. Oczywiście wszyscy byli przesłuchiwani również na okoliczność zaginięcia Maliny oraz Cześka, ale jak jeden mąż twierdzili, że akurat na ich temat niczego nie wiedzą. Wiktora szczególnie przyciskano, bo przecież to jego kobieta zginęła i to on najbardziej rozpaczliwie jej poszukiwał, co zostało odebrane jako sprytny kamuflaż. Mówiąc o dramatycznych poszukiwaniach swojej dziewczyny, deklarował gorącą do niej miłość, więc w tej kwestii policja dała mu już spokój. Przynajmniej na razie.

– I co teraz? – zapytała Kamila, z zazdrością patrząc na Adelę, która z uczuciem gładziła dłoń Gwidona. Ja też na to patrzyłam, ale ze zdziwieniem, bo dumny jak paw Gwidon pozwalał jej na tę pieszczotę. Siedzieliśmy przed domem, piliśmy kupione u Łucji piwo (tak, tak, u tej samej Łucji, której po brodzie ciekło, ale w końcu piwo zamykane jest fabrycznie) i dojadaliśmy Cześkową kiełbasę. Ja również jadłam, piłam i wcale nie dbałam, który organ wewnętrzny i kiedy zacznie mnie po takim posiłku boleć. Po tym, jak otarłam się o śmierć, uzmysłowiłam sobie, że życie jest zbyt krótkie, aby odmawiać sobie przyjemności. Kiełbasa może i była tłusta, ale za to, gdy się ją dokładnie pogryzło i dłużej w ustach pottrzymało, całkiem smaczna. A i piwo również smakowało wybornie.

– I co teraz? – ponowiła pytanie Kama.

– Właśnie, Gwiduś, co teraz? – zaszcebiotała Adela i aby się ocknął z letargu, pomachała mu przed nosem dłonią.

– Nie machaj mi tu! Nie widzisz, że bez humoru jestem? – Wuj łypnął na mnie krzywo. Nie dziwiło mnie to, bo w końcu wygrałam zakład. I to przy świadkach.

– Pierścionek... – szepnęła. – Obiecałeś... A ty, Ewuniu, o tym, że w Zadolu jest twój wujcio, mogłaś się dowiedzieć, jeszcze zanim wybrałaś się na swą karkołomną wyprawę! – powiedziała sprytnie, błyskając szkłem okularów.

– Wiedziałaś, że Gwidon tu przyjechał?!

– Niezupełnie, ale gdybyś mnie wysłuchała, na pewno byś się domyśliła, o kim mówię. Otóż w dniu, gdy wy miałyście szykować ognisko, a ja wybrałam się zrobić Zygmunтови kolację, na jego podwórzu mignęła mi męska sylwetka. Ktoś z jego domu uciekł w krzaki, a potem pobiegł w kierunku lasu.

– Gdybyś mi opowiedziała tyle co teraz, na pewno bym się nie domyśliła, o kogo chodzi – prychnęłam.



– Jeszcze nie skończyłam. Otóż gdy ten osobnik skrył się w lesie, bardzo krótko zastanawiałam się, kim mógł być, bo twój wuj przez całe lata prawie się nie zmienił. – Popatrzyła na niego z czułością. – No, może lekko wyłysiał, ale sylwetkę zachował jak dawniej. A że my kiedyś w chruśniaku...

– Dobra, nie kończ – przerwałam jej.

– Ale ja muszę skończyć.

– To krótko proszę.

– Więc poznałam go po sylwetce, że to mój Gwiduś po latach znów w Zadolu się pojawił. Tego wieczoru postanowiłam opowiedzieć wam historię mojej nieszczęśliwej miłości, ale ty wcale nie chciałaś słuchać, tylko na wieś się paliłaś – dokończyła z wyrzutem.

I miała w tym wszystkim rację. Całkiem możliwe, że po szczegółowej opowieści puzzle poukładałyby się w mojej głowie.

– Adela, jeśli rozpoznałaś Gwidona, dlaczego za nim nie pobiegłaś? Nie myślałaś, że może leciał do chruśniaka, by na ciebie tam poczekać?

– Po co? Wiedziałam, że w końcu do Zygmunta wróci, bo zostawił u niego swój bagaż. Poza tym obiecałam wam powróżyć, a jeśli chodzi o chruśniak, w nocy nigdy sama tam nie szłam, bo bałam się dzików. Gwiduś zawsze po mnie przychodził. – Zdjęła okulary i przetarła oczy. – I tak to wyglądało, najpierw od serca chciałam wam powróżyć, a potem wrócić do Zygmunta, by poważnie rozmówić się z Gwidonem.

Jak na mój gust, jej plan postępowania był dość ryzykowny, bo wcale nie brała pod uwagę możliwości, że jej kochany, podczas gdy ona będzie urządzać sabat, mógł zwinąć manatki i znów uciec gdzie pieprz rośnie.

– Ale stało się, jak się stało – przerwała nam Kama. – No więc co z tym wszystkim? – Rozejrzała się po podwórzu. – Maliny jak nie było, tak nie ma, a my mamy przecież swoje plany. Świat na nas czeka... – zakończyła bez przekonania.

Od aresztowania Wiktora minęły dwa tygodnie i od tego czasu Kamila definitywnie przestała wierzyć w jakiegokolwiek wróżby. A kabałę, którą Adela postawiła sama sobie i która nieoczekiwanie się spełniła, moja przyjaciółka kładła na karb szczęśliwego przypadku. Cieszyłam się, że tak się stało, bo wreszcie wróciła do realnego świata. Była markotna i krzywo patrzyła na umizgi Adeli i Gwidona, ale liczyłam na to, że nasza podróż życia ją uleczy.

– Zazdroszczę wam tego wyjazdu – za naszymi plecami odezwał się męski głos. Podskoczyłyśmy z Kamą jak oparzone. Nic dziwnego po przejściach, jakie miałyśmy za sobą. To był Krzysiek. Przyszedł polem, okrążył dom i dlatego udało mu się nas zaskoczyć.

– Siadaj, Krzysiu. – Adela natychmiast przesunęła się na ławce, robiąc mu trochę miejsca. Była jedyną osobą, która tryskała tak radosną energią. Gwidon niby był zadowolony z jej adoracji, ale chyba nie do końca, bo czasem się odsuwał, robił

się chłodny, wprowadzał dystans, by po chwili znów się do Adeli przysunąć i pozwolić na głaskanie, a to po ręce, a to po policzku czy włosach. Odnosiłam wrażenie, że nie do końca jest pewien swoich uczuć. Kamila tkwiła w ponurym marazmie, a i ja, sama nie wiem dlaczego, zbyt dobrego humoru nie miałam.

– Napij się z nami piwka – zaproponowała Krzyškowi Adela i nie czekając na odpowiedź, podsunęła mu puszkę. – Po tym, co przeszedłeś, należą ci się już same przyjemności.

Krzyśiek, porwany przez Ewarysta i Stefana, spędził w piwnicy pod magazynami koszmarny czas. Ewaryst nie ukrywał, że wykwalifikowany ogrodnik, gdy tylko nauczy go prowadzenia uprawy marihuany oraz obsługi dozownika, natychmiast zostanie zabity. Krzyśka wybrał nie tylko ze względu na wykształcenie i doświadczenie przy różnych uprawach, ale przede wszystkim dlatego, że miał taki sam dozownik. Pławski swój kupił od znajomych Holendrów, u których pracował przez jakiś czas przy uprawie pomidorów. Bo bajeczką, którą się posługiwał na potrzeby ciekawskich, było to, że był metalurgiem. Nigdy również nie miał żony ani syna. Wiele lat swego życia spędził w więzieniu. Był takim samym jak Stefan, skorym do ciemnych interesów osobnikiem. I właśnie te podobieństwa zbliżyły ich do siebie, bo ze Stefanem poznali się w więzieniu, gdzie Ewaryst odbywał odsiadkę za wyłudzenia. Po wyjściu na wolność wyjechał do Holandii, gdzie najął się do pracy w ogrodnictwie. I tam właśnie wpadł mu do głowy pomysł, aby zająć się uprawą marihuany. Gdy wrócił do Polski, odszukał będącego już na wolności Stefana i przedstawił mu propozycję, na którą kompan zgodził się ochoczo. Długi czas zajęły im podróże po Polsce w poszukiwaniu idealnego miejsca na rozkręcenie interesu. W końcu wybór padł na Zadole. Pławski był zachwycony okolicą i wyrokował, że będą tu mogli bezpiecznie prowadzić swój proceder przez długie lata. Najpierw zajął się budowaniem wizerunku zapracowanego, dającego okolicznym mieszkańcom zajęcie społecznika – wydzierżawił i kupił trochę pola, na pierwszą suszarnię zaadoptował starą stodołę, w której naprawdę suszył rośliny, oraz nawiązał kontakt z odbiorcami świeżego surowca. Po kilku latach wydzierżawił od gminy magazyny, gdzie już tylko przy pomocy Stefana zaczął przygotowywać miejsce do profesjonalnej uprawy marihuany. Jednak na marzeniach o bogatej przyszłości pojawiła się rysa – było nią Kasiątko, z którym związał się Stefek. Okoliczni mieszkańcy mieli zbyt wiele własnych trosk i zajęć, by pętać się przy magazynach, lecz Kasiątko, ze względu na uczucie do narzeczonego, bardzo chętnie wszędzie za nim chodziło – również do suszarni. Ewaryst starał się wpłynąć na Stefana, żeby znalazł sobie inną dziewczynę, bo ta stanowiła zbyt duże ryzyko, ale ten zbywał go wzruszeniem ramion. Przed porwaniem Krzyśka Pławski rozmawiał ze Stefanem dość kategorycznie, bo przewidywał, że gdy zniknie jeden z mieszkańców wioski, policja będzie węszyć, a im mniej węszących, tym oni byli bardziej bezpieczni. Z tego względu Ewaryst

opóźnił porwanie i aby wreszcie pozbyć się Kaśki, rozpuścił na wsi plotkę, że Stefan jest recydywistą. Arek się wściekł, wieś wzięła młodą pod lupę, a Ewaryst zacierał ręce. Jego posunięcie było dość ryzykowne, bo tropiący Kaśkę miejscowi mogli wpaść na trop odbywającego się pod samym nosem ciemnego interesu, ale Pławski był dobrym psychologiem – wiedział, że miejscowi w zapamiętaniu przeoczą ten szczegół. I w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach się nie mylił, ale w jednym niestety tak. Tym odstającym od reszty procentem był Jasiek. Młody kochał się w Kaśce i tropił ją, jak ona Stefana. Kiedyś w trakcie owego tropienia rzuciło mu się w oczy, że Pławski do magazynów zwozi rośliny w doniczkach. W swej naiwności zwrócił Ewarystowi na to uwagę, ten chciał go zbyć i powiedział, że to są zioła przeznaczone do suszenia. Młody jednak nie dał temu wiary, więc Ewaryst za milczenie zaproponował, że od czasu do czasu za darmo podrzuci mu coś dobrego do powąchania. Jasiek ochno na to przystał, bo stosowane do tej pory dopalacze doszczętnie zrujnowały mu kieszeń. W ten sposób dla Ewarysty problem Jaśka przestał istnieć, a doprowadzenie do rozpadu związku Stefana i Kaśki pozostawił działaniu jej ojca, sąsiadów oraz czasu. Sam za to oddał się planowaniu porwania, do którego wreszcie doprowadził. Gdy okazało się, że w swych planach przegapił rzecz bardzo istotną, mianowicie to, że nie posiadał instrukcji obsługi dozownika – ukradł ją Banasiom. Ryzykowne posunięcie, ale Pławski był bardzo pewny siebie, a wszystkich wokół miał za nic nieznających głupków. I wszystko zapewne potoczyłoby się po jego myśli, gdyby nie zmarła Gertruda i my nie zjawiłybyśmy się w Zadolu.

– Wiesz, Krzysiu – Adela patrzyła, jak Krzysiek pije piwo – ty powinienes z moimi dziewczynkami wybrać się w tę podróż dookoła świata. Dobrze by ci to zrobiło.

– Może kiedyś gdzieś się wybiorę. Teraz chcę pobyc tutaj – odpowiedział. – Przyszedłem do was, żeby wam podziękować, bo do tej pory nie zdążyłem tego zrobić. Zapraszam dziś wieczorem wszystkich na kolację. Sam ją przygotuję. Przecież dzięki wam żyję. – Popatrzył na mnie, uśmiechnął się i pociągnął łyk piwa z puszki.

– Tak, bo w życiu najważniejsze jest życie. I miłość. – Adela poklepała Gwidona po policzku.

– Wiesz, Krzysiek... – odezwała się. Musiałam głośno wyartykułować coś, co od pewnego czasu nie dawało mi spokoju.

– Tak?

– Mogliśmy uratować cię dzień wcześniej.

– Dzień wcześniej, dzień później, niewielka różnica.

Sądziłam inaczej – w takich okolicznościach każda sekunda ma swą wagę. Złowrogą wagę.

– Dlaczego tak uważasz? – odezwał się Gwidon. – Przecież dzień wcześniej

nie miałaś zielonego pojęcia, co tu się dzieje.

– Wtedy gdy byłam rano na łące i spotkałam Ewarysta, on nieopatrznie się wygadał, że Krzysiek został porwany. Trzeba było od razu policję wzywać, a ja uznałam, że ze starości w głowie mu się pomieszało.

– A nie pomieszało mu się? Urządzić porwanie i wygadać się z tym? – zauważyła Kamila. – Do cholery z tymi jego pomysłami. Dobrze, że już w pierdlu siedzi, bo jeszcze by kogoś przez przypadek zabił.

– Mnie to obiecał całkiem świadomie – blado powiedział Krzysiek. – Ale skończmy już ten temat. Więc jak? Mogę na was wieczorem liczyć?

Oczywiście, że naszej obecności mógł być pewien.

Kilka dni po biesiadzie u Banasiów Kamila została wezwana na policję. Zawiózł ją tam Krzysiek. Ja zostałam w Zadolu z zamiarem ugotowania obiadu i sprzątnięcia kątów, a Gwidon gdzieś poszedł. Mówił, że do Rasputina, ale widziałam, jak kierował się na drogę prowadzącą do wsi. Podejrzewałam, że moc serduszek ciągnęła go do Adeli. Gdy zupa jarzynowa była gotowa (oczywiście zrobiłam ją z warzyw, które wyrosły w Zadolu), wyszłam przed dom, aby zażyć wiejskiego spokoju. Usiadłam na dziadkowej ławce, głowę oparłam o mur. Było tak przyjemnie, że na chwilę przysnęłam. Obudził mnie odgłos wjeżdżającego na podwórze samochodu. Otworzyłam oczy, był to należący do Krzyśka stary volkswagen kombi. Nie zdążył jeszcze na dobre się zatrzymać, a Kamila otworzyła drzwi i wyskoczyła z głośnym wrzaskiem. Poderwałam się na równe nogi.

– Ewka, Ewka! – w niebogłosy darła się przyjaciółka, a Krzysiek z radosnym uśmiechem wysiadł z auta.

– Co znowu?

– Ewka, nie uwierzysz! Rozwiązała się sprawa spadku! Wszystko moje!

– Twoje? Jakim cudem? – ożywiłam się.

– Słuchaj – Kama usiadła na ławce – pamiętasz, policja zabrała ze sobą wszystkie manele, które zostawiła Malina.

– Pewnie, że pamiętam, ale jak to się ma do spadku?

– Otóż oni jeszcze raz dokładnie przeszukali jej rzeczy i w torebce, między podszewką a skórą, znaleźli zaszytą kartkę!

Z przejęcia zasłoniłam dłonią usta.

– I wyobraź sobie, na tej kartce Malina napisała, że swą część spadku przeznaczają dla mnie! A teraz najciekawsze! Wiesz, kto jeszcze, oprócz niej oczywiście, na niej się podpisał?!

– Wiktor?

– Nie!

– Jej rodzice?

– Ha! Czesiek! Czesiek świadczył własnym podpisem!

– Ale... – Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam, i gorączkowo

układałam sobie wszystko w głowie.

– Myślisz, że ona tę kartkę napisała tutaj czy ze sobą przywiozła?

– Takie ryzykowne pismo wieźć ze sobą? Wiesz, co by było, gdyby Wiktor je znalazł? Myślę, że napisała to u nas, w Zadolu, Czesiek w nocy podpisał, a ona zaszyła podszewkę. Proste jak drut. A zaszyła w torebce, żeby gdy już ucieknie, tego świstka Wiktor nie dorwał.

– Miała farta, że Wiktor nie zabrał tej torby, tak jak jej komórki.

– Dlatego też komórka została. Jako lep na głupka.

– Mówisz, że u nas zaszyła? – nadal byłam sceptyczna. – Widziałas w jej rzeczach jakieś nici? Albo igłę?

– Nie widziałam. Może ze sobą zabrała?

– Jasne, razem z dziadkową książką porwała szpulkę nici oraz igłę? Bzdura! Ona tę kartkę musiała przywieźć ze sobą, a Czesiek...

– Wcześniej się na niej podpisał – odezwał się przysłuchujący się rozmowie Krzysiek.

– Sugerujesz, że oni się wcześniej znali?

– Być może. – Uśmiechnął się i mrugnął do mnie, co – zważywszy, że przez lata się mnie bał – z jego strony było dość odważnym posunięciem. Ale w ostatnim czasie tych „odważnych posunięć” Krzyśka wobec mojej osoby było całkiem sporo. Wyraźnie szukał mojego towarzystwa i traktował z wdzięcznością oraz szacunkiem, tak samo jak jego rodzice, którzy widzieli we mnie bohaterkę, dzięki której ich syn wrócił do domu zdrów i cały. Miło mi się z nim spędzało czas i z równą przyjemnością na niego patrzyłam – zgolił wielką brodę i zaczął wyglądać jak człowiek. Może jak nieco przyduży człowiek, ale prawdziwy facet musi porządnie zjeść, a ten, kto porządnie je, równie porządnie wygląda. I do tego wszystkiego dorzucił teraz swoje, całkiem niegłupie, trzy grosze. Patrzyłam na niego i powoli brałam pod uwagę nową możliwość...

– Tak! – wykrzyknęłam odkrywczo, bo coś mi się przypomniało. – Kama, pamiętasz reakcję Szczeka? Nie warczał na Malinę, nawet na nią nie zaszczekał, tylko merdał ogonem! Wyraźnie cieszył się z tego spotkania, więc musiał ją znać!

– To brzmi nieprawdopodobnie, ale całkiem sensownie... A w żywe oczy nam wpierała, że się z Cześkiem nie znają. I on to potwierdzał!

– Odstawili przed nami komedię. A może nie o nas im chodziło, tylko o Wiktora?

– To by się kleiło. Na to wygląda, że to ja miałam rację, bo jednak Malina poszła w romantyczne tango! Ale na miejscu Cześka miał być Krzysiek – dodała nieco złośliwie Kamila.

– Słucham? – Krzysiek złowrogo uniósł lewą brew i mogłabym przysiąc, że zazgrzytał zębami. Drugiego dnia po kolacji, na którą nas zaprosił, wpadł do nas na kawę i wtedy Kamila zagadała go na temat szczenięcego uczucia, które żywił do jej

kuzynki, wypomniała całowanie przy Śmierdzielu oraz wyraziła szczerą ubolewanie, że nie było mu dane na własne oczy zobaczyć, jak wspaniale się krakowska paniusia wyrobiła. Krzysiek najpierw się zdziwił i żadna z nas nie mogła dociec, czego owe zdziwienie dotyczyło – tego, że Kama zapamiętała jego afekt, czy tego, że Malina z nierokującej niczego dobrego ślamazary przeistoczyła się w zjawiskową piękność; po chwili otrząsnął się z zaskoczenia i mruknął, że co było, to było, a jego życie to nie jej interes, ale nie dało się ukryć, że nastrój na dalszą część popołudnia mu zepsuła. Teraz również swym nieostrożnym komentarzem zwarzyła mu humor.

– Tylko żartowałam – ugodowo powiedziała Kamila. – Ale heca, nie ma co... – Podparła ręką głowę i uśmiechnęła się błogo. – Ma jaja ta moja kuzynka! Uciekła od bandziora pierwszej wody!

– Masz rację. – Była jeszcze jedna rzecz, która mi się przypomniała podczas kolacji u Banasiów. Wampiryczna książka. Nie chciałam przy gospodarzach o nią pytać, ale teraz była ku temu dobra okazja.

– Krzysiek?

– Tak?

– Czy wy nie macie takiej książki w czarnej oprawie? Stare wydanie, zbiór dość wampirycznych opowiadań.

Stał oparty o samochód i bawił się kluczykami. Zastanawiał się.

– Jedyną czarną, która przychodzi mi na myśl, jest ta, którą miał wasz dziadek. – Podrzucił klucze.

– Tak, dziadek taką miał, ale ja pytam, czy wy nie macie?

– Skądże. U mnie w domu tego typu literatury nikt nigdy nie lubił.

Spojrzałam na Kamilę, a ona na mnie. Może to było tak, że Malina rzeczywiście na pamiątkę po dziadku zabrała ze sobą tę książkę? Schroniła się potem u Banasiów, gdzie czekała na Czeška, a książkę przez nieuwagę zostawiła w łazience? Czesiek natomiast, żeby opóźnić poszukiwania, nie zniknął razem z nią, tylko jakiś czas później. Odegrał przed nami farsę, że udaje się na poszukiwania, a tak naprawdę pojechał do Banasiów, skąd ją odebrał, i uciekli w sobie tylko znane miejsce. Przy Krzyšku jednak nie chciałam tego mówić.

– Dobra, to ja się zbieram – powiedział, ale jakoś niespieszno mu było wsiadać do samochodu, bo nadal był o niego oparty i przerzucał kluczyki z ręki do ręki.

– Okej – odpowiedziała Kamila, a on nadal stał.

– Wpadniesz do nas wieczorem na piwo? – zapytałam.

– Pewnie! – Ucieszył się i niemal wskoczył za kierownicę, co wyszło mu nad wyraz zwinnie, wzięwszy pod uwagę jego tuszę.

– Wiesz, Kamila, co? – powiedziałam, gdy Krzysiek odjechał.

– Tak?

– Uważam, że musisz pogadać z wujostwem.

– Przecież już z nimi gadałam, przez telefon – prychnęła Kama, która za rodzicami Maliny nie przepadała, tak samo jak za nią samą.

– Ale w tej sytuacji tym bardziej musisz – powiedziałam z naciskiem.

Do przeprowadzenia tej ważnej i biorąc pod uwagę wieloletni rodzinny konflikt, trudnej rozmowy, doszło szybciej, niż Kamila się spodziewała; wujostwo przyjechali nazajutrz, na całe dwa dni. Co dziwne, nie wyglądali na szczególnie przygnębionych ani załamanych. Przywitali się krótko, a że było akurat późne popołudnie, żeby nie tracić czasu i zdążyć przed wieczorem, od razu wybrali się na spacer.

– Kama – powiedziałam – nie sądzisz, że zachowują się nieco dziwnie?

– Też tak myślę. Żeby nie chcieli o jedynaczkę pogadać, tylko od razu do lasu wyrwali?

– Może ciągle są w szoku i dlatego tak głupio się zachowali?

– Być może.

W końcu rodzice Maliny wrócili. Po trzech godzinach, wesoło sobie gaworząc, przynieśli zawinięte w sweter maślaki i prawdziwki.

– Zobaczcie, co mamy na kolację! – zawołał ojciec Maliny, którego kostyczny, profesorski wygląd przez lata znacznie złagodniał. I mimo zaistniałych okoliczności starszy pan sprawiał wrażenie zadowolonego z życia mężczyzny. Tak samo radośnie wyglądała jego żona – matka Maliny, której powierzchowność ani odrobinę nie przypominała zjawiskowego wyglądu córki. Oczywiście nie znaczyło to, że była nieatrakcyjna: wzrostu raczej niskiego, z obfitym biustem z nienagannie obciętymi, ufarbowanymi na miedziany kolor włosami. Małżonkowie jednak nadal nie kwapili się do podjęcia trudnego tematu o tym, co mogło się stać z ich córką. Ćwierkali czule podczas czyszczenia grzybów, on do niej mówił „Wandziu”, ona do niego „Władziu” i patrząc tak na nich, można by powiedzieć, że oto właśnie wygrali milion w lotto, tacy byli szczęśliwi i promienni.

– No więc... – Kamila przerwała konsumpcję grzybowej. Mnie ta zupka nie wchodziła, bo gdy tylko brałam do ręki łyżkę, od razu przypominał mi się pogrzeb mojej ciotki – matki chrzestnej, świętej pamięci Jolanty.

– Tak, Kamilko? – zapytała Wandzia.

– Ja... chciałam z wami porozmawiać o spadku... Głupio wyszło, że to na mnie Malina zapisała swoją część... zupełnie tego nie rozumiem, bo... – Kamila urwała nagle. Zapewne chciała dodać, że zawsze to im, jej rodzicom, najbardziej na nim zależało.

– Zapisała, to zapisała – obojętnie powiedział Władek. – W życiu są ważniejsze sprawy niż pół domu i pół hektara pola.

– Otóż to. Jak zapisała, to jest twoje. Nam nic do tego – powiedziała Wanda.

– Kończcie tę zupę, bo budyń chcę podać.

– Ale Malina zaginęła i... – plątała się Kamila.

– Bardzo się o nią martwimy – przyszłam jej z pomocą. Małżonkowie spojrzeli na siebie.

– My również – ostrożnie powiedział Władek. – Ale przede wszystkim cieszymy się, że gdziekolwiek jest, nie ma z nią tego Wiktora.

– A jeśli ona nie żyje? – wyrwało mi się, bo przecież z tą jej ucieczką na dwoje babka wróżyła. Pewni niczego być nie mogliśmy.

– Oj, dlaczego od razu takie czarne myśli? – lekko rzuciła Wanda i podśpiewując pod nosem, zaczęła zbierać talerze.

– A co takiego Wiktor jej zrobił? – zapytałam.

– Wierz mi, że robił wszystko, co najgorszego mężczyzna może zrobić kobiecie. Bicie, zdrady, chorobliwa zazdrość, a do tego trząś całym Krakowem. – Władek spał się na chwilę, szczęki zacisnął, ale w końcu machnął ręką.

– Chyba nie był aż tak zazrosny, skoro ją u nas zostawił? Na kilkanaście godzin, ale zawsze – zauważyła Kamila.

– W drodze do Zadola odebrał jakiś pilny telefon, pewnie od jednego ze swych kompanów, i musiał wracać do ciemnych interesów. Myślał, że Malina pod waszą opieką tak od razu rogów mu nie przyprawi, tym bardziej że Czesiek wielkiej urody nie był.

– Znalście go, państwo?

– Oczywiście. Nieczęsto wprawdzie, ale tu wpadałem. Malwinka również starała się jak najczęściej nam towarzyszyć – powiedział Władek.

Proszę, proszę – nam mówiła co innego, że w Zadolu bywała rzadko, a Czeška nigdy nie miała okazji poznać.

– I wygląda na to, że ona faktycznie z tym Cześkiem uciekła.

– Oczywiście. To znaczy... – Władek się zaciął – powiedziałem oczywiście, bo policja nam tak zasugerowała. – Wyraźnie się zaplątał. – A jeśli chodzi o Wiktora, nam również dał się poznać z najgorszej strony. Pożyczył kiedyś większą sumę pieniędzy, a gdy zapytałem go, kiedy odda... – Głos mu się załamał.

– Pobił mojego męża. – Wanda położyła mu dłoń na ramieniu.

– Teraz, zeznając w sądzie, będziecie się mogli państwo odegrać – powiedziałam.

– Nie będziemy zeznawać – kategorycznie powiedział Władek. – Ten zbir kiedyś z więzienia wyjdzie, a my chcemy spokojnie żyć.

– Malwinka również chce żyć spokojnie – dodała Wanda i na tym definitywnie zakończyli rozmowę na temat swojej córki. Do końca pobytu rozmowy toczyły się na różne tematy, tylko nie o tym, co się wydarzyło w Zadolu. Drugiego dnia wujostwo pożegnali się serdecznie, wylewnie i promiennie i bardzo, bardzo nas do siebie, do Krakowa zapraszali. Kamila powiedziała, że na pewno wpadnie, ja niczego nie obiecywałam.



– Wszystko mi się w miarę klei – powiedziała Kamila i naciągnęła na siebie kołdrę, czego jej nie broniłam, bo nadal zalatywała stęchlizną. – Malina od dawna znała Cześka, uknuli cały cyrk, ale ten pilny telefon do Wiktora to był jak dar z niebios. Ale powiedz, skąd o tym telefonie wiedział wuj Władek?

– Policja mu wyklepała.

Zasypiałam już, a tej gadać się zachciało, jakby zostało jeszcze cokolwiek do omówienia. Było mi tak dobrze, tak wygodnie i wyjątkowo tej nocy żaden komar nie bzykał, a tu Kama nadawała jak katarynka! Odwróciłam się do niej plecami, ale ona, zupełnie niezrażona, ciągnęła:

– Może i tak... ale skoro miała opracowany cały plan, jego częścią musiał być również i ten telefon do Wiktora. Malina musiała wiedzieć, że ktoś go nagle wezwie do ciemnych interesów, bo w przeciwnym razie nic by jej i Cześkowi z planu nie wyszło. Kto więc do niego zadzwonił? Jak sądzisz?

– Nie mam pojęcia... – Ziewnęłam tak szeroko, że bardziej się nie dało. – To był zbieg okoliczności...

– Bardzo dla niej pomyślny.

Milczałam, a Kama gadała.

– Jak sądzisz, czy ona wcześniej w kwestii ucieczki się z Banasiami dogadała, czy spontanicznie do nich pobiegła? Według mnie musiała się umówić, bo nagle pojawienie się nocą na progu ich domu mogłoby być dość ryzykowne. Chociaż jeśli nawet się nie dogadała, to nie sądzę, aby ją wygonili. Ale ja bym się wcześniej umówiła. A ty? Jak byś zrobiła? Dobra, nie odpowiadaj, bo nie o ciebie tu chodzi. Cholera, Ewka, jak to było? No jak?!

– Bo ja wiem... – Poruszyłam się nerwowo, dając do zrozumienia, że nie chce mi się gadać, ale Kamila nadal wykazywała przemożną chęć prowadzenia konwersacji. Niech i ona na własnej skórze poczuje smak ignorowania. Zbyt dobrze tkwiło w mej pamięci jej skandaliczne zachowanie podczas poszukiwań Maliny. Świat dla niej nie istniał, tylko piękna gęba Wiktora. Nie ma to, jak coś sobie uroić.

– Ewka, powiedz coś! – Nachyliła się nade mną. Dotknęła mojego ramienia.  
– Śpisz?

– Nie.

– Więc powiedz, co o tym wszystkim sądzisz? Czy nagły telefon do Wiktora był z góry ustalony? A o tej książce, co myślisz? Ewka! Powiedz, jak to było?

Odwróciłam się do niej i spojrzałam prosto w nachyloną nade mną twarz.

– Co ja wróżka jestem? Zapytaj Adelę.

W ten oto sposób pozbawiłam przyjaciółkę chęci dalszego mnie męczenia i mogłabym spokojnie zasnąć, gdyby obrażona Kamila nie zburzyła mego spokoju słowami:

– A wiesz? – rzuciła lekko. – Nie jadę w tę podróż. Nie chce mi się.

Poderwałam się na łóżku, ale ona odwróciła się do mnie plecami i nakryła kołdrą po czubek głowy.

## Epilog

– Michaś, Michaś! Chodź do babuni Tosiuni, chodź, skarbeczku mój ty jedyny!

– Ja tego nie wytrzymam, ona znów z lizakiem do niego leci! – półgębkiem, żeby ani Krzysiek, ani teść tego nie usłyszeli, szepnęłam do Kamili.

– Nie dziw się. Późno się wnuka doczekała, więc szaleje. Ale mały zuch! Zobacz, jak przed nią spieprza! – Kamila z uśmiechem patrzyła na mojego synka rwącego wprost w kierunku Śmierdziela.

– Matko Boska! Niech mama leci szybciej, bo się dzieciak utopi! – Sama nie mogłam włączyć się do pościgu, bo klęczałam, a poderwać się z ziemi kobiecie w zaawansowanej ciąży łatwo nie jest.

– Mam cię, ty mój zbóju maleńki! – Moja teściowa, Antonina Banaś, złapała Michasia i mocno go utuliła. Mały, piszcząc wesoło, wyrwał jej z ręki lizaka i wpakował sobie do buzi. Z papierkiem, a jakże! Jeśli już musi dać mu tego lizaka, niech przynajmniej z papierka odwinie – pomyślałam.

– Moja krew! – Kamila z dumą obserwowała, z jaką przyjemnością Michał przegryza papier.

– Co twoja krew, jaka twoja krew? Nie widzisz, że papier żre? Jako matka chrzestna ruszyłabyś się i mu zabrała! – Z bezsilności, a może z powodu tego, że końcówka ciąży była naprawdę bardzo ciężka (USG twierdziło, że zagnieździły mi się bliźniaki), zachciało mi się płakać. Gdybym stała na nogach, mogłabym sama do małego podlecieć, bo to, że byłam gruba, nie oznaczało, że nie mogłam biegać, ale jak tu z brzuchem jak bęben sprawnie podnieść się z ziemi?

– Mamo! Nie widzi mama, co on je?!

– Oj, Ewciu, to przez ten szyld, bo tak się na niego zapatrzyłam! Ale grunt, że moje serduszko mocno trzymam, nie misiaczku? – Głośno cmoknęła Michała i wyrwała mu lizaka. Po podwórzu, a może i po całym Zadolu, rozszedł się wściekły wrzask okradzonego przez babkę dziecka.

– Wstawaj, Ewka, z tej ziemi, bo wilka złapiesz – powiedziała Kama.

– Skoro powiedziałam, że pozbiaram te gwoździe, to pozbiaram.

Nieopatrznie kopnęłam puszkę z gwoździkami, rozsypując je na podwórzu, a że Michaś bardzo się lubił w tym miejscu bawić, oczyma wyobraźni już widziałam, jak garściami te gwoździe sobie do buzi kładzie i połyka bez popicia.

– Wstawaj i zobacz, czy Krzysiek napis prosto zawiesił. Ja pozbiaram resztę.

– Wstanę, jak mi pomożesz. – Podała mi rękę i z trudem dźwignęłam się na nogi. Bliźniaki, a niech to!

Poprzedni szyld wisiał nad drzwiami domu dziadka Walerego, a ściślej biorąc Kamili, ładnych kilka lat, aż w końcu po ostatniej nawałnicy odpadło

mocowanie z jego prawej strony i dyndał nad drzwiami, grożąc radykalnym zerwaniem. Pół biedy by było, gdyby spadł dyskretnie, nie robiąc przy tym nikomu krzywdy, ale co, gdyby kogoś przy tym zabił? Kogoś z nas albo z gości? Skandal by był nie tylko na Dolny Śląsk, ale i na całą Polskę.

– Dalej, żono, patrz, jak to wygląda, bo drabina mi się przechyla! – zawołał Krzysiek.

– A mnie ręce mdleją – dodał teść.

Gdy wreszcie stanęłam pewnie na dwóch nogach, strzeliła mi gumka we włosach i czupryna rozsypała się na ramiona i zasłoniła oczy. Ze złością odgarnęłam włosy do tyłu i spojrzałam w górę.

– Niezły ten kolor, nie? – Kamila z miłością w oczach wpatrywała się w napis nad wejściem.

– Kamila... mówiłam ci, że czerwony do burdelu dobry!

Znów zebrało mi się na płacz, a pod żebrem poczułam bolesne kopnięcie, które miało się nijak do moich wcześniejszych licznych i przesadzonych dolegliwości. Gdy się jest po czterdziestce i oczekuje kolejnego porodu, którego wynikiem będzie przyjście na świat dwóch rozwrzeszczanych osobników, to chciałaś tego, babo, czy nie – starości dać się nie możesz, a wszelkie głupoty same z głowy wylatują, bo nie ma na nie czasu.

– Nie marudź, tylko mów, czy prosto wisi, bo według mnie mucha nie siada.

– Prosto. Tak prosto, że prościej być nie może.

Nad wejściem do pensjonatu Kamy, na drewnianej desce, czerwoną farbą i artystycznie koślawymi literami było napisane: „Sabat Czterdziestek”.

*PS*

*Kamila już się pogodziła z tym, że Olaf nie zamieszkał z nią w Zadolu, zaczęła odbierać telefony od Pedra, a jego imię znów gładko przechodzi jej przez gardło.*

*Adela od pewnego czasu namawia Gwidona, aby porzucili willę w Kołobrzegu i na stałe zamieszkali w jakimś egzotycznym zakątku świata. Z całego serca trzymam kciuki, żeby skutecznie się wyprowadzili, bo mogłabym tam urządzić nadmorską filię Sabatu Czterdziestek.*

*Kasiątko zakończyło edukację na szkole zawodowej i na pół etatu pracuje u Łucji.*

*Bodzio raz po raz pozdrawia mnie z ciupy.*

**PILNE!**

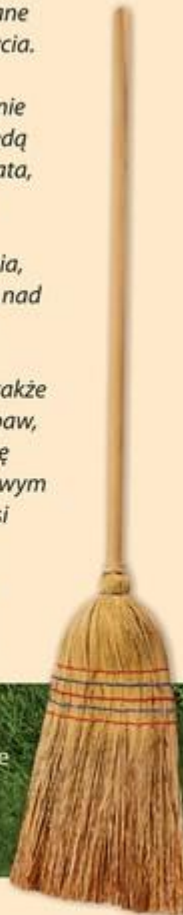
Dwie godziny temu w szpitalu we Lwówku Śląskim zmarł dziad Rasputin. Odszedł we śnie (ponoć z uśmiechem na ustach).

<sup>1</sup> Aleksy K. Tołstoj, *Rodzina wilkołaka* [w:] *Opowieści niesamowite – groza i niesamowitość w prozie rosyjskiej XIX i początku XX w.*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975, s. 187–219.

<sup>2</sup> Bolesław Leśmian, *W malinowym chruśniaku*.

## LEKKA, DOWCIPNA LEKTURA DLA KOBIET Z POCZUCIEM HUMORU.

*Gdy ma się czterdziestkę na karku, a za sobą nieudane małżeństwo, pora na urlop od dotychczasowego życia. Tak decyduje Ewa, a w tym życiowym oddechu towarzyszyć ma jej dawna koleżanka Kamila, obecnie mieszkająca w Barcelonie. Zanim jednak kobiety będą mogły wyruszyć w planowaną podróż dookoła świata, muszą załatwić sprawy spadkowe w małej wiosce, w której w dziecięcych latach spędzały wakacje. Przyjazd w to miejsce uruchomi dawne wspomnienia, spotkania po latach skłonią do porównań i refleksji nad własnym życiem – wszystko to jednak z humorem i sporą dozą kąśliwej ironii, bohaterki są bowiem osobami dalekimi od sentymentalizmu. Pojawi się także ta trzecia – nielubiana towarzysza dziecięcych zabaw, konieczna do załatwienia sprawy spadku. Pojawi się w towarzystwie przystojnego mężczyzny w luksusowym samochodzie, wzbudzi zazdrość i zniknie, a to zmusi bohaterki do poszukiwań. Prowadząc prywatne śledztwo wśród dość malowniczych mieszkańców wioski, uruchomią serię nieoczekiwanych zdarzeń, które wplączą je w prawdziwą intrygę kryminalną.*



### ANNA KLEIBER

z wykształcenia doktor nauk rolniczych w zakresie ogrodnictwa, pracuje w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu. Do tej pory opublikowała dwie powieści: *Kobieta z pozurę* i *Glupia baba*.

Patronat medialny

 **granice.pl**  
współpraca z Biblioteką



[www.wydawnictwobis.com.pl](http://www.wydawnictwobis.com.pl)

